



RYSZARD ĆWIRLEJ

**UPIORY SPACERUJĄ
NAD WARTĄ**

ZYSK I S-K
WYDAWNICTWO

Rodzicom:
mamie za wytrwałość
tacie za optymizm

ROZDZIAŁ I

Poznań, rok 1985
Poniedziałek, 3 czerwca

Godz. 4.30

Zygmunt Olczak zapalił pierwszego dziś papierosa. Z przyjemnością zaciągnął się mocnym dymem z samodzielnie zrobionego skręta. Spojrzał na unoszący się przed nim szary kłąb, który rozpływał się powoli w wilgotnym, bezwietrznym powietrzu. Z zadowoleniem pomyślał o kupionej wczoraj na Łazarzu pełnej paczce aromatycznego zagranicznego tytoniu, którą właśnie włożył do kieszeni swojej wędkarskiej kamizelki. Przypomniawszy mu się smak popularnych, palonych jeszcze niedawno, zanim przeszedł na skręty, i splunął na samą myśl o krajowym wyrobie, zatruwającym mu płuca ponad czterdzieści lat.

Sąsiad, ten Nowak z dziewiątego piętra, powiedział mu, że tytoń i bibułki to może nie taniej, ale zdrowiej, a poza tym więcej palenia wychodzi.

Zyga bardzo lubił tę wczesną porę budzącego się dnia. Zapach dymu tytoniowego i wody. Ta mieszanka była jak magnes, ciągnący go nad Wartę. Spojrzał na leniwie przesuwały się ciemny nurt rzeki, która za chwilę rozbłyśnie milionami drobnych refleksów odbijających się wśród pierwszych promieni wschodzącego słońca.

Po drugiej stronie rzeki powoli budziło się ze snu monstrualne blokowisko Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych”. Po wodzie niosły się pierwsze kaszlnięcia odpalanych pod blokami samochodów, małych fiatów, trabantów i syrenek. Przez most Marchlewskiego z głośnym stukotem przejechał pierwszy tego dnia, jeszcze pusty, zielony tramwaj nr 14. Zza majaczących w oddali brył akademików politechniki przy ulicy Św. Rocha powoli wychylała się

słoneczna poświata. Nic, trzeba się brać do roboty, pomyślał Olczak i nie wyjmując papierosa z ust, ściągnął z pleców pokrowiec z wędkami. Kilkadziesiąt metrów dalej, bliżej mostu, podobny rytuał odprawiał inny wędkarz. Olczak znał go od lat, choć nie wiedział nawet, jak się nazywa. Od ponad roku, czyli od czasu, gdy dali mu wreszcie w Ceglorszu* kopa i wysłali na emeryturę, spotykali się w tym samym miejscu kilka razy w tygodniu. Skinął mu więc głową, a tamten odpowiedział, przykładając palec do daszka czapki. Żaden nie odezwał się ani słowem. Wiadomo, nie ma co zbyt mocno kłapać dziobem i straszyć ryby.

Rozłożenie uszykowanej w domu wędkę zajęło mu kilkadziesiąt sekund. Sięgnął do plastikowego pudełka i wydobył z niego kilka białych robaków. Sprawnie nadział je na haczyk i podszedł do skraju betonowego nabrzeża. W tym momencie rzeka zamigotała. Ostry blask wschodzącego słońca prześlizgnął się po wodzie i oświetlił sterty kamieni u podnóża cementowej stromizny. Jak dalej będą takie upały, myślał Zyga, schodząc ostrożnie ku rzece, to niedługo wody w Warcie zabraknie. Chyba z pół metra już opadła, zauważył, oceniając szerokość piaszczystej łachy, która wynurzała się z toni, wyraźnie zwiększonej od wczorajszego poranka.

Stał pewnie na szerokiej krawędzi betonowego brzegu i przymierzył się do pierwszego rzutu. Nagle jego uwagę przykuło coś dziwnego, co w wyraźny sposób odcinało się barwą od przybrzeżnych kamieni. Coś, jakby większy kamień, było wyraźnie jaśniejsze i znacznie gładze. Zyga położył wędkę na pochyłym nabrzeżu, uważając, by nie splątać żyłki. Zaczął iść w tamtym kierunku. Przeszedł zaledwie parę kroków i znów przystanął. Mimo lekkiego porannego chłodu nagle zrobiło mu się gorąco. Z niedowierzaniem przyglądał się swojemu odkryciu. Umysł jeszcze próbował walczyć z tym, co podpowiadała mu rzadko zawodząca go intuicja. Zakręciło mu się w głowie i musiał usiąść, nie spuszczać jednak ani na sekundę oczu ze znaleziska. Słoneczne refleksy odbijające się w wodzie łagodnie ślizgały się po czymś gołym, bladym tyłku.

– Tej! – krzyknął Olczak do wędkarza sąsiada – cho no tu,

dalej. Machając ręką przywoływał tamtego, a sam zaczął przesuwać się ku miejscu, w którym bielily się pośladki. Nim nadbiegł znajomy wędkarz, Zyga zauważył już podkurczone, nienaturalnie wykrzywione nogi. Po chwili obaj mężczyźni nachylali się nad nagim kobiecym ciałem. Ustawiając się z dwóch stron, jednocześnie chwycili za leżące na kamieniach ręce, by jak najszybciej wyciągnąć z wody skrytą w toni głowę. Szarpnęli jednocześnie do góry i naga postać usiadła. Ale głowa nie wynurzyła się z wody. Głowy nie było.

Obaj, jak oparzeni, puścili ręce kobiety, i gołe barki wraz z pozostałością szyi zniknęły w wodzie.

– Kurwa – wyszeptał poblady Zyga. Odszedł jakieś dwa metry na bok, pochylił się nad kamieniami i wyrzygał niedawno zjedzone dwie sznytki z salcesonem popite bawarką. Obrócił się na prawo, upewnił, że tyłek naprawdę jest tam, gdzie jest, i znów dostał torsji. Po chwili uniósł nieco głowę. Na kamieniu, ledwie metr od niego, siedziała biała rybitwa, która z obojętnością stałego klienta baru mlecznego przyglądała się nieapetycznym rzygowinom.

Godz. 5.10

Głośnie, dźwięczne chrapanie przerwał świdrujący czaszkę metaliczny dźwięk telefonu. Marcinkowski rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po swojej sypialni, ale dopiero ponowny dzwonek uświadomił mu, że trzeba podejść do telefonu na korytarzu.

– Słucham, Marcinkowski – warknął do słuchawki.

– No, wstawaj – odezwał się z drugiej strony świata znajomy głos Brodziaka. – Mamy nad Wartą niezły pasztet.

– W dupie mam wszystkie pasztety, dopiero co się położyłem do łóżka – odpowiedział zirytowany Marcinkowski. W głowie czuł jeszcze ćmienie po wypitej wczoraj wieczorem butelce bałtyckiej.

– No, to żeby pomogło ci to w podjęciu jedynej właściwej decyzji, powiem ci, że ten pasztet nie ma głowy.

– Jasna dupa...

– No właśnie, ja powiedziałem coś znacznie gorszego, gdy dostałem tę informację. Przysłać po ciebie samochód? – zapytał z troską w głosie Brodziak, który wczoraj razem z Marcinkowskim przeprowadzał degustację butelki ze statkiem na nalepce.

– Nie, dzięki, przyjadę swoim – uśmiechnął się na myśl o nowiutkim polonezie i to złagodziło nieco jego irytację. Miał to auto zaledwie od miesiąca i uwielbiał nim jeździć. Pół roku temu dostał od komendanta wojewódzkiego talon na samochód, w nagrodę za rozwiązanie sprawy napadu na PKO i przymknięcie zabójcy kasjerki. Czekał później cztery miesiące, aż Polmozbyt zrealizuje talon, no i doczekał się. Co prawda kolor nie bardzo mu się podobał, ale nie było co wybrzydząć. W tej partii, która przyszła do sklepu, wszystkie miały kolor piasku pustyni i nic nie można było na to poradzić. Zaraz pierwszego dnia, gdy przyjechał nim do roboty, koledzy wymyślili, że kolor przypomina psie gówno, ale i tak widać było, że zazdroszczą mu samochodu. Większość z nich jeździła maluchami, syrenami albo fiatami 125p. Polonezów pod komendą parkowało zaledwie kilka i wszystkie należały do najwyższych szarż.

Jego auto miało też w wyposażeniu radiomagnetofon „Safari 2”, dzięki czemu mógł podczas jazdy słuchać własnych nagrań. To był komfort, o jakim jeszcze kilka miesięcy temu mógł tylko pomarzyć, jeżdżąc do pracy rozklekotanym, dziesięcioletnim maluchem.

– Kto dzwonił? – zapytała Grażyna.

– Nikt, śpij, muszę jechać...

– Kiedy wrócisz?

– A skąd ja to mogę wiedzieć... Zapalił lampkę nocną i zaczął powoli zbierać z podłogi rozrzucone tam niedawno części ubrania. Już chciał założyć białe gacie, ale przypomniał sobie, że laził w nich przez całą ostatnią dobę. Klnąc pod nosem, wstał i podszedł do szuflady w komodzie. Zajrzał do środka i zaklął tym razem głośniej. Wewnątrz nie było ani jednej świeżej pary. Ze złością stwierdził, że podobnie rzecz się miała ze

skarpetkami. Jedyne czyste były białe z frotty. Zakładał je na specjalne okazje, raz na kilka miesięcy, na przykład do gry w tenisa na kortach Olimpii. To były prawdziwe skarpetki Adidasa kupione za dolce w Peweksie. Uchowały się, bo raczej średnio pasowały do ciemnego garnituru, który nosił zazwyczaj do roboty. Złorzecząc całemu światu, a przede wszystkim swojej żonie, która niezbyt przejmowała się jego garderobą, sięgnął po superskarpety i poszedł do łazienki pogrzebać w wiklinowym koszu na brudy w poszukiwaniu średnio zabrudzonych majtek.

– Zrób wreszcie pranie, bo nie mam w czym chodzić. Na jaką cholerę załatwiłem ci tę automatyczną pralkę? warknął w stronę śpiącej żony.

– Zrobię, tylko musi uzbierać się cały bęben, bo nie będę marnowała proszku dla kilku par twoich gaci. Idź do kolejki po proszek, jak się dowiesz, że gdzieś rzucili, odstój kilka godzin i przynieś do domu, to wtedy będę ci prała nawet codziennie.

Grażyna odwróciła się do niego plecami i naciągnęła kołdrę na głowę.

Godz. 5.50

Szeregowy Mariusz Blaszkowski był blady jak ściana. Przeklinał w duchu swój ciekawski charakter. Miał zabezpieczać miejsce zdarzenia, czyli nie dopuszczać nikogo postronnego w pobliże brzegu, gdzie znaleziono zwłoki. Jako profesjonalista (w milicji był już przecież cztery miesiące) chciał zobaczyć trupa. Wbrew poleceniu szefa, który kazał mu stać przy ścieżce biegnącej z warcianej skarpy, poszedł nad brzeg rzeki. Zobaczył ciało z odciętą głową i natychmiast zwymiotował. Widział drwiące spojrzenia starszych kolegów, a ten rudy facet bez munduru powiedział mu nawet, że ma spierdalać stąd w podskokach i rzygać gdzieś dalej. Teraz pozbierał się już trochę do kupy i stanął w pewnej odległości od linki ograniczającej dostęp gapiów. Właściwie nie miał nic do roboty, bo ciekawskich nie było wcale. Rozmyślał więc nad

swoją wpadką i zastanawiał się, jak będą to komentować jego kumple z koszar przy Taborowej. Z drugiej strony jednak, myślał Blaszkowski, uczestnictwo w zabezpieczaniu miejsca zdarzenia jest o niebo lepsze od normalnych codziennych patroli.

Nie lubił chodzić z chłopakami na miasto, bo doskonale czuł, jak traktują ich ludzie. Nieufność, a niekiedy nawet pogarda, z jaką spoglądali na nich poznaniacy, kłuła go na każdym niemal kroku. Kumple albo mieli to w dupie, albo udawali, że jest im to obojętne. Niektórzy z nich byli agresywni i za pomocą pały próbowali wymusić respekt i posłuch u legitymowanych gówniarzy. Imponowało im najwyraźniej to, że mają władzę. Mariuszowi to się nie podobało, ale siedział cicho i nic nie mówił, bo wiedział, że jeśli wyrazi swój sprzeciw wobec prymitywnego chamstwa, szybko pożegna się ze służbą. A na pracy w milicji naprawdę mu zależało. Postanowił więc, że on będzie się przyzwoicie zachowywał i jakoś odbębni te dwa lata w ZOMO. To warunek konieczny, by dostać później robotę, a on od dzieciństwa zawsze wiedział, że chce być gliną kimś takim jak kapitan Żbik. Komiksy z jego przygodami zebrał chyba wszystkie i do dzisiaj czytał je w każdej wolnej chwili.

Na pobliskiej skarpie koło baraku zatrzymał się sraczkowaty polonez. Wsiadł z niego trzydziestoparoletni mężczyzna w ciemnym garniturze.

No, pojawił się jakiś ciekawski palant, pomyślał szeregowy Blaszkowski. Niech no tylko się tu zbliży, to dam mu w kość. Facet zamknął drzwi samochodu, pogmerał kluczem w zamku, a potem obszedł auto dookoła i sprawdził po kolei wszystkie pozostałe drzwi, czy aby na pewno są zamknięte. Gdy przegląd zabezpieczeń wypadł pomyślnie, schował klucze do kieszeni i ruszył niespiesznie w stronę milicjanta.

Co za elegancik, pomyślał szeregowy Blaszkowski, szpanuje białymi skarpetkami...

– Nie ma przejścia – powiedział zdecydowanym głosem.

Mężczyzna spojrzał na niego z lekkim uśmiechem, przystanął i zapytał:

– Co się stało?

– Nic się nie stało, trwa milicyjna interwencja, więc proszę stąd odejść i nie przeszkadzać.

– No dobra – odpowiedział ten w białych skarpetkach i bez słowa przeszedł obok milicjanta, podniósł linkę i ruszył w stronę rzeki. Blaszkowski chciał coś powiedzieć, krzyknąć coś w rodzaju „stać, bo strzelam”, ale w porę się zreflektował. Zauważył, że ten rudy, który pognął go z nabrzeża, pomachał rękaw stroną faceta w białych skarpetkach.

Ja pierdiele, pomyślał Blaszkowski, znowu się zblamowałem, to chyba ktoś z naszych, i to chyba ktoś ważny, bo mnie olał zupełnie.

„Ważny” podszedł do rudego. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Słuchaj, Miras, czy w tym pieprzonym mieście nie ma nikogo, kto zająłby się tą sprawą? Przecież my jesteśmy z wojewódzkiej, a tu, jak mi się zdaje, jest centrum Poznania. Co robią te lenie z miejskiej?

Rudzielec w uśmiechu wyszczerzył połówkę od tytoniu zęby.
– O ile mi wiadomo, to do takiej sprawy nie ma nikogo innego, obywatelu kapitanie. A komenda miejska przygotowuje się do rocznicy czerwca, więc sam rozumiesz...

Marcinkowski uśmiechnął się krzywo i spojrzał w dół na grupę uwijających się przy zwłokach techników.

– Co wiemy? – spytał wyciągając z kieszeni radomskie. Podsunął otwartą paczkę Brodziakowi, a ten skwapliwie skorzystał z okazji. Zapalili.

– Kobieta, wiek około 20 lat, na prawym ramieniu niewielki tatuaż przedstawiający jakiegoś robala. Zgon, jak wstępnie można ustalić, nastąpił około dziesięć godzin temu. W wodzie może leżeć jakieś dwie trzy godziny. Żadnych śladów w okolicy, na trawie, piasku czy betonie, to znaczy, że chyba nie tu została zaszlachtowana, no i oczywiście jeszcze ta obcięta głowa, to znaczy się jej brak.

– To jakiś pierdolony łowca głów, czy jak? – Marcinkowski próbował odgrzebać w pamięci podobnie makabryczne morderstwo i jakoś mu się nie udawało. Przypomniała mu się za to książka Szklarskiego Tomek wśród łowców głów i poczuł,

że po plecach z prędkością Ireny Szewińskiej przebiegły mu ciarki.

– Makarczuk, chodźcie no tu – Brodziak przywołał gestem grubego sierżanta, który stał nad brzegiem Warty w grupie innych milicjantów.

– To wasza dzielnica, no nie?

– Tak jest, panie poruczniku – odpowiedział dzielnicowy.

– To wyście byli tu pierwsi. Widzieliście tę babkę kiedyś wcześniej?

– A diabli ją wiedzą, panie poruczniku, jak nie ma głowy, to nic nie wiem, a po cyckach nie rozpoznam – uśmiechnął się krzywo Makarczuk.

– No a ci, co ją znaleźli, co to za wiara?

– Dane spisałem, to wędkarze z bloków po drugiej stronie. Jakby co, można ich jeszcze przepytąć, ale na mój rozum, to oni nic nie wiedzą. Wyciągnęli ją tylko i zameldowali, jak się należy. Jeden został przy zwłokach, a drugi poleciał do Bety, tego samu spożywczego, bo tam jest telefon, i zadzwonił na 997, a dyżurny zaraz do mnie.

– Dobra, w takim razie macie trochę roboty przed sobą, pokręćcie się po terenie i pogadajcie z ludźmi. Jak chcecie, możecie wziąć ze czterech młodych do pomocy. Makarczuk podrapał się po nosie.

– Panie poruczniku, a na cholere mi oni, wiara z zomolami nie będzie gadać. Ja wolę sam połażyć. Jak ktoś ma coś powiedzieć, to na pewno mnie, a nie im. Mnie tu wszyscy znają.

– Nie, to nie, chciałem wam pomóc, ale weźcie chociaż tego orzyganego, co tam stoi przy ścieżce – Brodziak głową wskazał na Błaszковского – tu się nie przyda, bo jeszcze nam zemdleje, a od was może się czegoś nauczyć. Może będą z niego ludzie.

Godz. 6.45

W barze mlecznym na rogu Dąbrowskiego i Mylnej pachniało kwaśną kapustą i ciepłym kompotem z truskawek. O

tej porze nie było tu jeszcze zbyt tłoczno. Zaledwie przy dwóch stolikach ozdobionych białymi porcelanowymi wazonikami z niebieskimi sygnaturkami PSSSpołem siedzieli klienci. Kwiatków w wazonach, oczywiście, nie było, ani nawet serwetek papierowych w specjalnych stołowych pojemnikach. Marcinkowski przychodził tu na śniadania i obiady, bo miał blisko z komendy, a poza tym było tanio. No i był jeszcze jeden powód. Przyzwyczajenie. Ta knajpa istniała w tym miejscu odkąd pamiętał, czyli od zawsze. Miał wrażenie, że w tym zwariowanym świecie, w którym wszystko zmienia się błyskawicznie, bar mleczny jest jedynym pewnym punktem, a jego jadłospis z plastikowymi literkami przypinanymi do plastikowej tablicy, wciąż ten sam od lat, jest gwarantem stabilizacji życiowej. Wydawało mu się, że to jak tablica z dziesięciorgiem przykazań Mojżesza: po pierwsze – pierogi leniwe, po drugie – naleśniki, trzecie – fasolka po bretońsku. Tyle, że tych przykazań żywieniowych było około trzydziestu. Nie musiał zresztą na nie patrzeć, i tak wiedział, co tam jest i za ile.

Na śniadanie często zamawiał fasolkę. Była kiepsko doprawiona, więc dosypywał do niej sporą porcję pieprzu ziołowego, który stał na bufecie. Normalny pieprz zniknął z baru gdzieś koło roku osiemdziesiątego wraz z aluminiowymi nożami i nic nie wskazywało na to, że kiedyś powróci. W sklepach nie można było go dostać za żadną cenę, więc kupowało się go na targu od Ruskich albo trzeba było przywozić z wycieczek do demoludów. A państwowy bar nie mógł sobie pozwolić na takie fanaberie, jak porządne przyprawy. Tu się spożywało, a nie jadło. Mimo to fasolka była pewnym daniem, bo nie zdarzyło się jeszcze, by kiedyś się nią zatruł.

Swoją drogą ciekawe, myślał kapitan, czy w Bretanii to danie jest tak popularne, jak u nas na przykład bigos. Nie miał pojęcia, ale zakładał, że tam przynajmniej lepiej ją Francuzi doprawiają. Jedno było natomiast pewne. Tego, jak jest w istocie, on, Alfred Marcinkowski, nie sprawdzi nigdy osobiście, bo nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek uzyskał zgodę

resortu na wyjazd do Francji. Chyba że Francja dołączy do wielkiej rodziny krajów demokracji ludowej, a na to na razie nie wyglądało. Najdalej na zachód mógł pojechać najwyżej do NRD. Uśmiechnął się na wspomnienie hektolitrów dobrego piwa i doskonałych parówek pochłanianych przez niego i jego kolegów podczas przyjacielskiej wizyty u bratniej milicji w Karl-Marx-Stadt. Pili wtedy przez trzy dni do upadłego, wywołując wielkie zdziwienie, a później nawet podziw NRD-owskich kolegów. Nie mogli uwierzyć, że można w tak ekspresowym tempie pochłaniać takie ilości alkoholu.

– A to słyszałeś? – wyrwał go z zamyślenia głos Brodziaka, który właśnie przyniósł sobie naleśniki z serem i rozsiadał się na metalowym krześle po drugiej stronie stołu. – Dlaczego milijanci chodzą zawsze parami? Bo jeden umie czytać, a drugi pisać. – Zarechotał głośno ubawiony swoim własnym dowcipem. Postawił talerz na brudnej ceracie i ręką zgarnął na podłogę jakieś okruszki pozostawione przez poprzedniego klienta.

Mirosław Brodziak był szczupłym trzydziestolatkiem o jasnej cerze upstrzonej setkami piegów i rudej, pofalowanej, nieco za długiej czuprynie. Typ wiecznego młodzieńca ceniącego nade wszystko dobrą zabawę w dobrym towarzystwie. Ubierał się ze smakiem w markowe dżinsy Wrangler i kurtkę tej samej firmy. Ciuchy kupował w Peweksie, bo jak mówił, polski dżins z „Odry” to zafarbowany na niebiesko materiał na worki do pyrów. Obaj z Marcinkowskim skończyli szkołę oficerską w Szczytnie, z tym, że Brodziak był trzy roczniki niżej. To dlatego był dopiero porucznikiem, podczas gdy jego starszy kolega dochrapał się już kapitana.

– Daj spokój z tymi głupotami – rzucił kapitan. – Powiedz mi lepiej, co myślisz o tej lasce nad rzeką. Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Uśmiech zniknął momentalnie z twarzy Brodziaka. Przejechał nerwowo dłonią po zmierzwionych włosach i spojrzawszy na Marcinkowskiego odparł:

– Ja se myślę, że to musiał zrobić jakiś psychol. Jak ty to tam powiedziałeś, łowca głów czy jak... bo ja wiem? Też, Fred, mnie

się zdaje, że nikt normalny nie urąbałby babie całej łepetyny...

– Zwróciłeś uwagę na tatuaż na ramieniu tej dziewczuchy? Mówiłeś, że to jest jakiś robal. Trzeba to dokładnie sprawdzić. Mam jakieś dziwne przeczucie, że to może nas dokądś doprowadzić. No i oczywiście głowa, to teraz najważniejsza kwestia.

Na komendzie powinni mieć już wywołane zdjęcia. Przyjrzymy się z bliska temu robakowi. A swoją drogą, to jaka normalna kobieta robi sobie tatuaż?

– Też o tym myślałem, trzeba by pogadać ze specjalistą od dziergania – podsumował Brodziak i wsunął do ust ostatni kęs naleśnika.

– Kto zamawiał ruskie? – krzyknęła bufetowa, pani Jadzia, w stronę sali konsumpcyjnej.

– Nikt, sami przyleźli – odpowiedział cichutko Brodziak i obaj milicjanci zaśmiali się głośno z udanego dowcipu.

Godz. 7.30

Na Ostrowie Tumskim poranne słońce oświeślało potężną bryłę gotyckiej katedry z dwiema wieżami. Ich barokowe hełmy odbijały się w ciemnym nurcie leniwie przepływającej Warty. Pod posadzką świątyni spoczywają podobno dwaj pierwsi historyczni władcy Polski – Mieszko I i Bolesław Chrobry. To oni podnieśli gród poznański do rangi miasta książęcego.

Gerard Matulak nie miał pojęcia o tym, kim byli obaj Piastowie, ani że miasto, w którym mieszkał prawie pięćdziesiąt lat, ma tak szacowną historię. Rozpiął rozporek i przez niewysoką burtę zaczął sikać do wody. Nie patrzył na katedrę, bo ten widok był dla niego czymś zupełnie normalnym. Za to z zainteresowaniem przyglądał się własnym siuśkom, fachowym okiem oceniając ich kolor. Ciekawe, pomyślał, czemu po piwie zawsze są takie białe?

Mimo że dzień się dopiero zaczynał, szyper Matulak zdążył opróżnić już trzy butelki poznańskiego z ratuszem na naklejce. Z zadowoleniem pomyślał o zgrabnej plastikowej skrzynce, w

której mieściło się dwadzieścia sztuk. Większość była z brązowego szkła, ale trafiło się kilka zielonych. Kierowniczka sklepu społemowskiego na pobliskim Chwaliszewie, pani Dorota, odłożyła mu tę skrzynkę z wczorajszej dostawy. Nie mógł więc wybrzydzać i prosić o wymianę zielonych na brązowe. Był przekonany, tak jak większość jego kolegów, amatorów złocistego płynu, że piwo w zielonych flaszkach szybciej się psuje, dlatego starał się kupować zawsze te w brązowych. Mówi się trudno, pomyślał Gerard i postanowił, że zielone trzeba załatwić jak najszybciej, by nie dać im szansy na zepsucie.

Dziś, zanim poszedł do starego portu, gdzie stała przycumowana jego barka, zaszedł do sklepu, a znajoma podała mu towar spod lady. Zapłacił parę złotych drożej, ale cena i tak nie była wygórowana.

W końcu kobiecie też coś się od życia należy, za to, że idzie ludziom na rękę, myślał z wyrozumiałością Matulak. Przytargał skrzynkę z drogocennym napojem na pokład i ukrył ją w dużym metalowym pojemniku na narzędzia, w schowku, którego stalową podłogę chłodziła warciana woda. Piwo miało więc szansę schłodzić się do odpowiednio niskiej temperatury. Miałoby, gdyby nie wielkie pragnienie szypra, który już zastanawiał się nad otwarciem czwartej zielonej butelki.

Zapiął rozpiorek i z kieszeni spodni wydobyl bialo-czerwona paczke klubowych. Wyciagnal jednego zmietolonego papierosa, wlozyl go do ust i podpalil ruską zapalniczką na benzynę. Klubowe też kupował u pani Doroty. Gdyby nie jej głowa do interesów, marnie wyglądałoby jego zaopatrzenie w tytoń. Kartkowy przydział wystarczał mu zaledwie na kilka dni. A ona ciągle miała na sprzedaż jakieś lewe ćmiki.

Spojrzał na przeciwległy brzeg rzeki. – Łe, tej, a te szkieły co tam robią? – wymruczał do siebie zdziwiony Matulak, widząc kilkunastu młodych milicjantów chodzących po betonowym nabrzeżu. Zdziwiło go, że wszyscy spoglądali w dół, jakby czegoś szukali w wodzie. Ci też mająrobotę, łażą szczony nad rzeką, zamiast gonić złodziei. A może tam się kto utopił? Sam też popatrzył na wodę przed sobą i wtedy zdziwił się jeszcze

bardziej. Tuż obok burty jego barki, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno sikał do wody, zobaczył pływające czarne włosy. Peruka jakaś czy co, zastanawiał się szyper. Zaraz zobaczymy, co to za cholera. Poszedł do sterówki po wielki podbierak do wyciągania ryb z wody. Zanurzył siatkę w wodzie i umiejętnie podsunął ją pod pływające włosy. Gdy był już pewien, że siatka podbieraka osiągnęła cel, delikatnie pociągnął ją do góry. Znowu się zdziwił, gdy poczuł ciężar. Szarpnął mocniej i coś, co wyłowił z wody, z głośnym plaśnięciem wylądowało na pokładzie barki.

– Łe, kurwa – zaklął Matulak i poczuł, że nogi mu wiotczą. Na stalowej płycie pokładu płaskodennej barki leżała czarnowłosa głowa kobiety, której martwe, szeroko otwarte oczy zdawały się przeszywać spojrzeniem Gerarda Matulaka.

Godz. 8.00

W gabinecie szefa wydziału dochodzeniowo-śledczego nie było zbyt wiele miejsca. Pod oknem stało biurko, a do niego przystawiono stół konferencyjny pokryty zielonym suknem i sześć krzeseł. Na dwóch z nich, po lewej i prawej ręce pulchnego, zupełnie łysego mężczyzny po pięćdziesiątce, zajęli miejsca Marcinkowski i Brodziak. Podpułkownik Żyto spojrzał na Marcinkowskiego.

– No, to referuj, co tam za problem mamy nad rzeką.

Fred w kilku zdaniach opisał wszystko, co dotąd ustalili, czyli niewiele.

– Teraz, obywatelu pułkowniku, trwają zarządzone przeze mnie poszukiwania nad Wartą. Mamy nadzieję, że w krótkim czasie uda nam się odnaleźć tę głowę. Bez niej będziemy mieli trudności z identyfikacją denatki. Powiem szczerze, że wygląda to paskudnie, zresztą sami zobaczcie – przesunął w stronę siedzącego pod ścianą pułkownika szarą kopertę z dopiero co wywołanymi zdjęciami z miejsca zdarzenia.

Żyto przejrzał szybko plik fotografii i zaraz oddał je swojemu podwładnemu.

– Obywatelu pułkowniku, nasi ludzie rozmawiają też z mieszkańcami osiedla, może ktoś coś zauważył w nocy – dodał Brodziak, który siedział naprzeciw swojego kolegi. Z pięknej, czarno-białej fotografii na ścianie spoglądał na milicjantów twórcą Cze-Ka, towarzysz Feliks Dzierżyński z posępnym obliczem – patron Milicji Obywatelskiej.

– Tak, towarzysze – zaczął pułkownik, a obaj oficerowie już wiedzieli, co ich czeka. – Czasy są niezwykle trudne, a na nas, funkcjonariuszach resortu, ciąży niezwykle odpowiedzialność. Społeczeństwo musi czuć się bezpiecznie, a my to bezpieczeństwo musimy mu zapewnić. Dlatego naszym priorytetem musi być szybki wynik, i to wynik pozytywny. Wynik pozytywny uzyskujemy dzięki wzmożonej aktywności naszych organów i błyskawicznym działaniom operacyjnym. Zalecam zatrzymać do wyjaśnienia i przesłuchać elementy najbardziej podejrzane. Raport z listą muszę mieć do piętnastej na tym biurku. No i poza tym, róbcie swoje.

Marcinkowski i Brodziak wstali z miejsc.

– Tak jest, obywatelu pułkowniku – odpowiedział kapitan.

Brodziakabrał zdjęcia i obaj wyszli z gabinetu szefa.

– No i co o tym sądzisz, obywatelu kapitanie?

– A co mam sądzić, wszystko jak zwykle, najważniejsze, że kazał nam robić swoje, a to znaczy, że nie będzie się wpierdalał w naszą robotę. Nie znasz go? Musi mieć na początku wynik, żeby mógł się wykazać przed towarzyszami z KW, a później się zobaczy. Przyjdzie walec i wyrówna, no nie, obywatelu poruczniku?

Zeszli na pierwsze piętro budynku komendy wojewódzkiej i skierowali się do pokoju 114. O tej porze biuro wydziału było jeszcze puste. Tylko przy stoliku pod oknem siedział smutny chorąży sztabowy Teofil Olkiewicz i wystukiwał coś dwoma palcami na maszynie do pisania.

Widać było, że mu nie idzie ta robota i najchętniej rzuciłby ją w diabły.

– Co, Teoś, zeznanko męczysz? – rzucił na powitanie Brodziak.

– Dalibyście spokój panowie, bo mnie tu zaraz szlag jasny

trafi.

Dziś muszę to dać prokuratorowi, a pani Zosia z hali maszyn ma akurat urlop. -Ale przeczytam wam coś ciekawego, słuchajcie:

...jak wypiliśmy piątą butelkę wódki, zauważyliśmy, że alkohol nam się skończył, więc ja, jako gospodarz, postanowiłem udać się na melinę na drugim piętrze domu nr 3 przy rynku Jeżyckim, w celu zakupu kolejnej porcji alkoholu. Po dokonaniu zakupu wróciłem do mieszkania swojego przy ulicy Jackowskiego nr 12 i wtedy okazało się, że mój znajomy Pilawa Roman leży w łóżku z moją małżonką Kowalik Marzeną z domu Januchta. W tej sytuacji postanowiłem zareagować, gdyż odniosłem wrażenie, że dochodzi właśnie do zbliżenia seksualnego i zdrady małżeńskiej. Oderwałem więc nogę od krzesła i zadałem kilka uderzeń w głowę żony Kowalik Marzeny, która zdrady się dopuściła i nawet nie jęknęła. Gdy uderzona tępym narzędziem straciła przytomność, zasiedliśmy wraz z Pilawą Romanem do dalszego spożywania alkoholu. Na pytanie, dlaczego nie udzieliłem pierwszej pomocy żonie mojej Kowalik Marzenie pragnę nadmienić, że nie mogłem, gdyż nie wiedziałem, że ona takiej pomocy potrzebuje, a poza tym byłem na nią bardzo zdenerwowany i na jej postępek.

- No to tu masz przynajmniej sprawę czystą, jest motyw, jest sprawca i teczka do prokuratora - powiedział Marcinkowski, grzebiąc w stercie śmieci w swoim odrapanym biurku.

- A co z Kowalik Marzeną z domu Januchta? - zainteresował się Brodziak.

- Jak to co, zmarła nad ranem, akurat jak chłopcy kończyli siódmą flaszkę - wyjaśnił Olkiewicz i wrócił do pisanego.

- No, wiedziałem, że jeszcze coś się uchowało - Marcinkowski z szerokim uśmiechem wydobył z czeluści biurka do połowy opróżnioną butelkę żytnej z kioskiem.

- Teoś, przerwij to stukanie i daj szkło, strzelimy po małym na dobry początek dnia.

Olkiewicz chwycił szklanę z herbatą, resztkę płynu z fusami wylał do kaktusa stojącego na oknie i podał naczynie

kapitanowi. Brodziak postawił obok własną szklankę, a Marcinkowski porcelanowy kubek.

Z aptekarską dokładnością odmierzył trzy równe porcje, zaś pustą butelkę schował do szafki biurka. Wypili bez słowa.

W tym momencie zadzwonił telefon. Fred podniósł słuchawkę.

Przez chwilę słuchał w milczeniu. – Dziękuję – zakończył rozmowę i spojrzał na Brodziaka. – Zaczyna się coś kręcić, mamy głowę.

Godz. 9.10

Teofil Olkiewicz był zadowolony z tego, że jego przełożony, Marcinkowski, kazał mu zostawić papiery i przewietrzyć dupsko. Zadanie, które dostał, było nieskomplikowane. Podczas gdy dwaj starsi stopniem oficerowie pojechali do zakładu medycyny sądowej oglądać jakieś trupy, on miał popracować nad „szybkim efektem śledztwa”, jak to nazwał Brodziak, i dokonać zatrzymań elementów podejrzanych.

Takie działania miały swoje dobre strony. Milicja wykazywała się natychmiast skutecznością, bo do aresztu śledczego trafiało zazwyczaj kilkanaście osób z półświatka. Co prawda, tylko na przepisowe 48 godzin, bo trzeba by było prawdziwego cudu, aby w takiej łapance na ślepo wpadł w milicyjną sieć ktoś, kto miałby coś wspólnego z aktualną sprawą. Zatrzymanych pakowano więc do śledczego, po jakimś czasie przeprowadzano rutynowe przesłuchanie i wypuszczano do domu.

Ale liczył się przede wszystkim doraźny efekt, ten dla zwierzchników i kontrolerów ich poczynań z ramienia aparatu partyjnego. Przed upływem kilku godzin od rozpoczęcia śledztwa w areszcie siedziało już kilkunastu penerów i można to było spokojnie wpisać do akt. Nikt więc nie mógł powiedzieć, że w sprawie nic się nie robi. To dawało trochę czasu na właściwe śledztwo, które mogło spokojnie nabierać tempa.

Był jeszcze jeden istotny aspekt tej zasłony dymnej, ale

przełożeni nie zdawali sobie z niego sprawy albo nie chcieli sobie zdawać sprawy. Dlatego właśnie Olkiewicz naprawdę lubił to robić. Podczas takich rutynowych zatrzymań milicjanci nie jechali byle gdzie, na ślepo, ale w miejsca doskonale sobie znane. Wybierali któryś z nielegalnych burdeli i jakąś melinę. A na melinie zawsze można było zarekwirować butelki z wódką. Flaszki dzieliło się potem pomiędzy uczestników akcji bez sporządzania protokołu przejęcia alkoholu. Zadowoleni byli milicjanci, którzy zapełniali swe domowe barki deficytowym towarem, i paradoksalnie – także meliniarze, bo bez zabezpieczenia nielegalnego towaru nie można było zastosować sankcji prokuratorskiej. Nie było więc śladu ich lewej działalności. Po jakichś dwóch dniach melina otwierała się na nowo.

Najgorzej wychodziły na tym dziwki, bo nie dość, że musiały podczas nalotu obsłużyć dzielnych stróżów prawa, to jeszcze pakowano je do aresztu. Ale i im opłacał się ten układ, bo po wypuszczeniu wiadomo było, że przez dłuższy czas będą miały spokój, a przy najbliższej okazji milicja pojedzie do innego burdelu.

Na takie akcje jeździli tylko wybrani, doświadczeni milicjanci, tacy, do których można było mieć zaufanie. Dlatego Olkiewicz lubił tę robotę, bo czuł się pewnie w pewnym towarzystwie. Dziś zabrał ze sobą dwóch mundurowych – plutonowego Majchrzaka, kierowcę nyski ze specjalnym przedziałem dla zatrzymanych, i sierżanta Kurzawę ze swojego wydziału. Jadąc ulicą Czerwonej Armii, zastanawiali się, czy najpierw pojechać do pewnego przyjemnego domu na Ratajach, czy do mniej przyjemnej, za to obficie zaopatrzonej nory na Dolnej Wildzie.

Milicyjny samochód zostawił za sobą Pałac Kultury i mijał właśnie stojące po lewej stronie ulicy ogromne, szklano-betonowe punktowce centrum handlowego Alfa. Rozsądek zwyciężył. Wilda była bliżej, skręcili więc w ulicę Ratajczaka.

Ciekawe, czy dożyję czasów, pomyślał Olkiewicz, kiedy ta kurewska Czerwonej Armii znów stanie się Świętym Marcinem?

Godz. 9.30

W niewielkiej celi nr 2 aresztu przy ulicy Chłapowskiego, na parterze komendy milicji na Wildzie, siedziało dwóch mężczyzn. Cella była czteroosobowa, nie uskarżali się więc na przepełnienie. Siedzieli na czarno pomalowanych drewnianych skrzyniach, które pełniły tu rolę łóżek. Chropowate, pociągnięte olejną farbą ściany miały kolor brudnej zieleni. Dodatkowo ozdabiała je wyskrobane przez siedzących tu wcześniej ludzi napisy i rysunki. Większość z nich świadczyła o dużym zainteresowaniu autorów intymnymi częściami ciała, tak kobiet jak i mężczyzn, choć zdarzały się również teksty o charakterze czysto informacyjnym. Pewien Marian pisał, na przykład, że kocha Arietę, Zdzisław oznajmiał wszystkim, że jedzie do Rawicza, a Krystian, że nienawidzi psów.

Leżące na pryzkach dwa gumowe materace z pościelą zwinięte były w przepisowe rulony. Staranność, z jaką obaj zatrzymani złożyli swe posłania, świadczyła nie tyle o ich zamiłowaniu do porządku, ile raczej o tym, że doskonale wiedzieli, jak należy zachowywać się w celi.

W drewnianych, solidnych drzwiach okutych stalowymi sztabami najpierw poruszyła się klapka judasza, a potem zazgrzytał zamek.

– Palimy, czy nie palimy? – zapytał strażnik, zaglądając do środka celi. W ręce trzymał pudełko zapalek. Aresztantom nie wolno było mieć przy sobie niczego, czym mogliby rozniecić ogień, dlatego co godzinę odwiedzał ich strażnik, proponując odpalenie papierosów.

– Panie dowódco – zagadnął go jeden z mężczyzn. – Zapaliłoby się, ale nie ma co. Może pan dowódca znajdzie jakiś tytoń. Może być używany.

– Zobaczysz się – odpowiedział mundurowy i zatrzasnął drzwi. Słyszeli jego oddalające się kroki.

Wszystko przez tego gościa z orkiestry – mówił krótko ostrzyżony mężczyzna z pokiereszowaną gębą. – To jasne jak słońce, że gdyby nie on, piłbym teraz zimne piwo na

Półwiejskiej. A ten kutas nie chciał grać. No i co z tego, że dancingi w WZ-cie¹ kończą się o trzeciej. Ja mu mówię, zagraj jeszcze jeden kawałek o tej Ewce, żeby nie płakała, bo ja akurat przygruchałem taką babkę, co się nazywała Ewka, no i chciałem, żeby dancing zakończyć z fasonem, zanim ją wezmę na chatę, bo ona już była zbajerowana na cacy. A ten łachudra mi mówi, że skończyli już granie i że mam się odpierdolić, bo jest zmęczony i idzie do domu. No to ja mu się odwinąłem raz i facet zjechał po ścianie, bo chamstwa to ja przede wszystkim nie znoszę.

- I za takie gówno dałeś się zapuszkować? – zainteresował się chudzielec w białym podkoszulku siedzący naprzeciw.

-Ady, nie za grajka. Szatniarz musiał zadzwonić po szkiełów, jak ja spokojnie powróciłem do stolika dopić zapłaconą gorzałę. A ta pinda, co siedziała ze mną, musiała coś się wystraszyć, bo jak ja rozmawiałem z orkiestrą, to się stleniła, więc miałem ju^rypanie z głowy i tylko kulturalnie zakończyć konsumpcję chciałem, i wtedy wpadło dwóch szkiełów. No to jednemu od razu bez pytania av tytę przylałem, ale źle fangę puściłem, sam na ryj poleciałem, no i ten drugi mnie przyduślił. Sprali mnie koncertowo leżącego i teraz mam dostać sankcję za napaść na funkcjonariusza na służbie.

- No, to niezły wywijas jesteś. W warunkach recydywy prokurator ci tego szkielea nie popuści – zawyrokował chudy. – Szykuj graty, bo jeszcze dziś cię widzę na Młyńskiej*.

Prorocstwo nie zrobiło najwyraźniej na obitym większego wrażenia. Widać było, że już dawno pogodził się z takim obrotem spraw.

-A ciebie, za co zapuszkowali? – zapytał kolegę.

- Mnie, za kulturę i sztukę – odpowiedział chudy. Wstał, wsunął na nogi czeskie półbuty bez sznurówek i poszedł się wysikać do kibla w narożniku celi.

Bezpośrednim powodem zatrzymania Zbysława Klimczaka był jego talent plastyczny. Znany był bowiem w swoim środowisku jako artysta od dziergania, czyli facet, który robi piękne tatuaże. Fachu nauczył się jakieś dwadzieścia lat temu

1 WZ – restauracja z dancिंगiem przy ul. Fredry 12

we Wronkach, gdzie odsiadywał pierwszy w swym życiu wyrok za rozbój. Później drobnych wyroków było jeszcze kilka, a nabyta w młodości umiejętność dziergania przydawała się podczas odsiadek. Zdobył szacunek i uznanie, a każde jego pojawienie się pod celą współwięźniowie witali z prawdziwą radością. Zapewniał grypsującym kolegom obfitość wszelkich deficytowych dóbr, które były zapłatą za jego umiejętności. Oni dawali mu ochronę i spokój twórczy, on zaś mógł pracować dla dobra socjalistycznej wspólnoty więziennictwa polskiego.

Dziś, parę minut po ósmej rano, dzielnicowy z Łazarza odwiedził go w jego mieszkaniu przy ul. Strusia i poinformował, że jest do niego parę pytań i musi na chwilę zostać zaobrączkowany. Z dzielnicowym Obrębskim znali się od lat, więc szkieł powiedział mu dla uspokojenia nerwowego, że chodzi tylko o dziary, a nie o jakieś lewe sanki, i że na spotkanie zaprosił go ten rudy Brodziak z komendy wojewódzkiej.

A pensjonat na Chłapowskiego to tylko po to, żeby się nie rozmyślił i żeby mu się czas nie dłużył.

Znowu szczęknęły drzwi celi nr 2. Strażnik wszedł do środka i na najbliższej pryczy rozłożył gazetę, w którą zawinięte były niedopałki zebrane z popielniczek na korytarzu komisariatu.

– Jak skróćcie, dajcie znać, to podam wam ogień.

Chodzi o areszt śledczy w Poznaniu przy ul. Młyńskiej

Godz. 9.30

Dzień właściwie dopiero się zaczynał, a w powietrzu było już chyba ze dwadzieścia stopni. Wietrzyk lekko zawiewający od strony Warty nie przynosił ulgi spoconemu Makarczukowi. Dzielnicowy już od trzech godzin chodził po osiedlu Młodych z przydzielonym mu przez Brodziaka nadwrażliwym młodym szeregowym. Byli już w kilku sklepach, rozmawiali z dozorcami i mieszkańcami bloków, których okna wychodziły na Wartę. Nie dość, że ich patrol jak dotąd nie przyniósł żadnego skutku, bo nikt z przepytanych ludzi niczego podejrzanego nie

zauważył w nocy, to jeszcze wkurzał go ten młody. Taki ułożony, grzeczniutki skurwysynek, pomyślał dzielnicowy, a do tego nie widać po nim zmęczenia i wcale się nie poci.

Zatrzymali się na skraju chodnika, by przejść na drugą stronę ulicy. Za nimi stał wielki, dziesięciopiętrowy blok, na dachu którego umieszczono ogromny, widoczny z daleka napis „Osiedle Młodych”. Dzielnicowy doszedł do wniosku, że coś mu się od życia należy i teraz koniecznie musi się czegoś napić. Ruszył w stronę samu spożywczego Beta, niskiego betonowego pawilonu przy ulicy Marchlewskiego.

Przez jezdnię wolno przejechał ciężarowy star załadowany po brzegi głośno dzwoniącymi skrzynkami z butelkami po mleku. Ciężarówka skręciła w prawo i zajęchała na tyły sklepu. Milicjanci przeszli przez uliczkę i również udali się w stronę sklepowego zaplecza. Kierowca zaparkował przy dużych drzwiach magazynowych i wraz z pomocnikiem zabrał się do ładowania skrzynek ustawionych pod ścianą budynku. Dzielnicowy otworzył szare, pomalowane olejną farbą drzwi z tabliczką Obcym wstęp wzbroniony. Znaleźli się na zapleczu samu. Makarczuk pewnie przeszedł parę metrów i otworzył drzwi do biura po lewej.

– Dzień dobry, pani Marysiu – powiedział, wchodząc do środka.

– Witam, panie Tadziu, proszę wejść. O, nie jest pan sam? – zdziwiła się pulchna kobieta w średnim wieku, przyzwyczajona najwidoczniej do częstych odwiedzin milicjanta. – To co, jakieś piwko panowie wypijecie, jak rozumiem?

– Jeśli nie sprawimy kłopotu pani kierownicze – uśmiechnął się Makarczuk.

– Jaki to kłopot, panie Tadeuszu – powiedziała przeciskając się obok niego przez drzwi. – Zaraz przyniosę. Proszę się rozgościć.

– Słuchaj, jak będziesz tak gadał z ludźmi, to niczego się nie dowiesz – pouczał młodego milicjanta Makarczuk, wieszając na drewnianym wieszaku czapkę i raportówkę z pałką. – „Dziękuję”, „przepraszam bardzo”, „ależ oczywiście”, co to, kurwa, za język? Ty nie jesteś kelnerem, tylko milicjantem. Oni

mają czuć respekt przed mundurem i funkcjonariuszem. Blaszkowski spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Wie pan, mama zawsze mi mówiła, że więcej działasz uprzejmością niż złością.

– No i masz mądrą mamę! – roześmiał się dzielnicowy rozbrojony szczerością chłopaka. – Ale to jest milicja, a nie dom u mamy. Ludzie muszą wiedzieć, że ty jesteś władza, to znaczy się ten, przedstawiciel władzy. Masz mieć minę twardego faceta, który ma za sobą autorytet państwa, a na sobie mundur...

– A w ręce pałę...

– Jak trzeba, to i pałę.

– Ja myślę, że ludzie powinni nas szanować, a nie – bać się.

– Jak jest strach, to jest i szacunek. Ja pierdolę, gdzieś ty się szczone uchowal? Jak jesteś taki mądry, to spróbuj szacunku z tym śmierzdem – to mówiąc, wskazał przez okno na ceglany, pomalowany na białą przysklepowy śmietnik, w którym grzebał jakiś facet. – Widzisz tego tam przy kiblach na śmieci? To jest niejaki Frankowski. Bez stałego meldunku. On tu łązi po dzielnicy, grzebie w śmietnikach, a śpi po kłatkach schodowych, ale jako osobowe źródło informacji kompletne gówno. Nie lubi milicji, bo dostał parę razy wpierdol. Próbuj, synu. Drzwi do biura otworzyły się i do środka weszła uśmiechnięta kierowniczką, pani Marysia, trzymając dwa półlitrowe poznańskie.

– Są, ale niestety ciepłe, no jak to latem...

– Przepraszam pana bardzo, nazywam się Mariusz Blaszkowski. Jestem szeregowym Milicji Obywatelskiej. Słyszałem o panu wiele dobrego, podobno pan wie tutaj wszystko o wszystkich...

Butelka, którą miejscowy pener Frankowski wygrzebał właśnie z pojemnika na śmieci, wypadła mu z ręki i z łoskotem poturlała się pod nogi milicjanta. Ten uśmiechnięty schylił się, podniósł ją i podał mężczyźnie.

– Koniec świata – wyszeptał Frankowski.

Godz. 9.30

W podziemiach Zakładu Medycyny Sądowej śmierdziało jak w dobrym miejskim szalecie. Marcinkowski nie znosił tego miejsca, bo miał wrażenie, że charakterystyczny gęsty zapach chloru zmieszanego z formaliną przenika i przesiąka nie tylko ubranie, ale i całe ciało. Dziś musieli tu jednak przyjść z Brodziakiem, by przekonać się, jak wygląda zamordowana kobieta.

W korytarzu czekali dopiero jakieś dwadzieścia minut, a już każdy wypalił przynajmniej po trzy papierosy. Ale palenie nie przynosiło ulgi. Dym wydawał się jakiś słodki i zawiesisty. Palenie skracało jednak czas oczekiwania, no i zabijało nudę. Poza tym, złe samopoczucie kapitana Marcinkowskiego było też spowodowane przez dotkliwe ssanie w żołądku. Pierwsza dziś szklaneczka wódki, wypita w pokoju na komendzie, przedstawiała właśnie działać i kapitan myślał już tylko o tym, gdzie tu skoczyć, by wychylić coś jeszcze. Myślał, że już dawno powinni siedzieć w jakiejś knajpie, tymczasem doktor Malinowski cały czas zajmował się zwłokami kobiety znad Warty. Obok, na drewnianym, zielonym taborecie siedział Brodziak i najspokojniej w świecie czytał „Głos Wielkopolski”.

— Co tam, panie, w polityce? — zagadnął go wreszcie Marcinkowski, ząc jednocześnie resztkę radomskiego w pordzewiałej popielniczce na wysokiej nóżce.

— Coś takiego! — zdziwił się Brodziak wpatrzony w pierwszą stronę gazety. — Kto by przypuszczał? Wyobraź sobie, że nie zabraknie nam woli konsekwentnego kontynuowania reformy. Powiedział to towarzysz Wojciech Jaruzelski, pierwszy sekretarz KC PZPR, podczas krajowej narady partyjno-gospodarczej w Poznaniu.

— Ja się pytałem, co ciekawego słyhać, jeśli nie zrozumiałeś — burknął kapitan.

— No przecież mówię, jest świetnie, reforma gospodarcza jest wdrażana, a olsztyński Stomil postawił na oszczędność materiałową i poprawę jakości opon. I wyobraź sobie, że

zużywają mniej materiałów, a poziom jakości wyrobów nie obniżył się. Czyli idziemy do przodu. To znaczy, że teraz w oponach samochodowych będzie mniej komponentów i dzięki temu będą lepsze. To przecież logiczne. Im coś mniej skomplikowane, tym lepsze, nie? Mniej jest tego, co mogłoby się ewentualnie zepsuć.

– Ciekawe, czy moje nowe opony są z Olsztyna. Muszę to sprawdzić – przestraszył się nie na żarty Marcinkowski.

Wreszcie drzwi od pomieszczenia, w którym przeprowadzana była sekcja, otworzyły się. Czysty, pachnący mydłem i uśmiechnięty doktor Malinowski wyszedł na korytarz i zbliżył się do milicjantów.

– Idziemy do mojego pokoju, czy chcecie sobie popatrzeć na efekty mojej pracy?

– Daj spokój – obruszył się Brodziak. – Spadamy z tego smrodliwego kibla. Daj nam tylko zobaczyć głowę tej dziewczyny, bo resztę widzieliśmy już rano nad rzeką.

– To nie widzieliście głowy nad Wartą? – zdziwił się lekarz.

– Skąd! – odpowiedział Marcinkowski. – Głowę przywieziono do ciebie, gdy byliśmy na komendzie.

– No, to wszystko rozumiem...

– Co rozumiesz? – zapytał porucznik.

– Rozumiem, że nie macie zielonego pojęcia o tym, z czym mamy do czynienia. Zapraszam do środka.

Doktor odwrócił się i poszedł w stronę sali, w której przeprowadzano sekcje.

Na wielkim stole leżały zwłoki. Malinowski podszedł do stołu i odsunął skraj ceratowego całunu.

– A gdzie ta głowa? zapytał kapitan.

– Jej głowa? – uśmiechnął się niewyraźnie lekarz. – Nie mam zielonego pojęcia.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Ta, którą przywieźli przed godziną, leży tam, na drugim stole.

– Chcesz powiedzieć... – Brodziak przerwał w pół zdania.

– Dokładnie to, co myślicie. Ta głowa nie pasuje do tego ciała.

– Kurwa mać – jęknął kapitan Marcinkowski – Naprawdę mamy w Poznaniu pierdolonego łowcę głów.

ROZDZIAŁ II

Godz. 10.16

Sraczkowaty polonez zjechał z Garbar w ulicę Dominikańską, mijając niewielki gotycki kościółek z czerwonej cegły. Po lewej stronie, przy skrzyżowaniu z Szewską, był monopolowy. Pod sklepem stało paru facetów. Mimo że wyglądali na amatorów trunków, nie zamierzali tu nic kupować. Czekali na okazję, by złożyć się na jakąś butelkę, której o tej porze nie można było kupić w sklepie z alkoholem. Do godziny trzynastej obowiązywała bowiem prohibicja. Sklepy monopolowe zajmowały się jedynie skupowaniem pustych butelek. Ci, którzy zarobili parę groszy na sprzedaży flaszek zebranych na pobliskich skwerach i śmietnikach, robili tu zrzutkę i szli kupować gorzałę albo jabole do którejś z pobliskich melin, jakich na Starym Mieście było kilkanaście. Dwaj milicjanci jadący polonezem nie zwrócili najmniejszej uwagi na sklep. W końcu, kto interesowałby się nieczynną studnią. Wjechali w Żydowską. Marcinkowski zaparkował samochód w niewielkiej zatoczce przy galerii sztuki. Wysiedli. Właściciel obejrzał jeszcze wszystkie drzwi poloneza, by skontrolować, czy na pewno są zamknięte, po czym ruszyli w stronę Starego Rynku.

W kamienicy na rogu Wielkiej i Rynku mieściła się restauracja U Dyla. Można tu było całkiem dobrze zjeść, ale dopiero w porze obiadowej. Fred szczególnie cenił sobie sznycel na grzance z frytkami serwowany tu na długim, prostokątnym talerzu. Do tego musiało być zimne piwo, oczywiście, jeśli akurat tego dnia piwo było w lokalu dostępne.

Dlatego, gdy przychodził tu na obiad, zawsze zaczynał od pytania, czy jest i czy schłodzone. Lokal posiadał jeszcze jedną zaletę. Obsługiwano w miarę szybko. Na obiad czekało się zaledwie jakieś pół godziny. To wystarczało akurat na

przejrzenie „Expressu” i wypicie pierwszego poznańskiego. Teraz restauracja dopiero budziła się ze snu. Widać było przez duże okna, że lokal jest pusty, a kelnerki zabierają się do rozkładania obrusów na stołach.

Do klubu Związku Polskich Artystów Plastyków w Arsenale na poznańskim Starym Rynku wpuszczano, teoretycznie, tylko te osoby, które mogły okazać szatniarzowi legitymację związkową. Każdy plastyk mógł jednak wprowadzić kogoś spoza związku, więc grono stałych bywalców było dość liczne. Byli to jednak w większości ludzie, którzy z miejscowymi artystami mieli jakieś powiązania, a więc dziennikarze, aktorzy czy muzealnicy. Na pewno jednak nie wszedłby tu nikt prosto z ulicy. Szatniarze dbali o poziom towarzystwa.

Brodziaka przyprowadził tu kiedyś jego kumpel z podwórka, który zajmował się malowaniem szyldów sklepowych. Miał dług wdzięczności wobec Brodziaka i musiał mu postawić wódkę, bo ten załatwił mu anulowanie zatrzymania prawa jazdy za jazdę po pijaku. Więc umówili się w Arsenale.

Pili tam aż do zamknięcia klubu, potem przenieśli się nieopodal Pod Koronę na Zamkowej, skąd wyszli dopiero, gdy kelnerzy oświadczyli, że lokal nie serwuje już trunków. Było dobrze po północy, więc nie mieli wyboru i musieli pójść do Moulin Rouge. Obaj jednak tak się zataczali, że przejście na plac Wolności i dalej, na Kantaka, było wyzwaniem ponad ich siły. Wtedy porucznik wpadł na pomysł. Z Korony wyszli wprost na pusty już o tej porze Stary Rynek. Stanęli koło Wagi Miejskiej i Miras Brodziak zaczął wołać na cały głos:

– Szkieły, szkieły!

Błyskawicznie pojawił się przy nich patrol młodych zomoli, którzy już sięgali po pały. Ale Brodziak był szybszy, wyciągnął swoją legitymację służbową, ustawił ich na baczność i kazał wezwać radiowóz. Auto, którym jeździli tej nocy koledzy porucznika, bez problemów zawiozło ich do nocnej knajpy. Rano podtrzymali tytę w piwiarni na Wroclawskiej, a już o dziesiątej spokojnie mogli wrócić do klubu w Arsenale.

Atmosfera tego miejsca od razu przypadła milicjantowi do gustu.

Mile, kulturalne towarzystwo artystów, niskie klubowe stoliki ze szklanymi blatami i szerokie fotele, w których można było wygodnie się rozłożyć, a niekiedy nawet zdrzemnąć, to było to, czego potrzebował od czasu do czasu każdy długodystansowy pijak. Najważniejsze jednak, że mimo obowiązującego zakazu sprzedaży alkoholu przed godziną trzynastą bufetowa pani Teresa serwowała zaufanym gościom herbatę z prądem.

Brodziak już drugiego dnia dołączył do grona zaufanych i wtajemniczonych.

– Dwie mocne herbatki, pani Tereniu, i dwa tatary – poprosił porucznik Brodziak, stojąc przy bufecie. Fred mościł się już w fotelu w rogu sali. Porucznik zabrał tatarę, które bufetowa podała od razu, i poszedł do stolika. Na herbatę trzeba było trochę poczekać. Żaden z nich nie miał ochoty najedzenie, a surowe mięso nasuwało niemiłe skojarzenia.

Nie było wyjścia, jeśli chciało się pić, trzeba było zamówić zakąskę. Przez całą drogę ze szpitala nie rozmawiali ze sobą. Każdy z nich na własną rękę analizował dane. Teraz wreszcie odezwał się Marcinkowski.

– Gdzie my, kurwa, jesteśmy, stary? Co to ma być? Ja pierdolę...

O takich pojebach to ja czytałem tylko w kryminałach, a tu nam się trafił jakiś popierdoleniec, który zarzyna baby jak w amerykańskich horrorach. To jest Poznań, a nie Ameryka. Tu się zabijają młotkiem albo butelką po gorzole, a nie ucinają głowy.

– Panie Mirku! – zawołała pani Terenia z bufetu. – Herbatki proszę odebrać.

Godz. 11.00

Weronika była wściekła. Siedziała przed lustrem i nerwowo rozczesywała bujne rude włosy. W niewielkim pokoju jednorodzinного domu na Ratajach ściany wyłożone były brzydką tapetą w kwiatki.

Najważniejszy i największy mebel stanowiło w nim łóżko, przykryte teraz nieco zmiętą czerwoną narzutą. Mieściła się tu jeszcze niewielka szafa garderobiana, wciśnięta w ścienną wnękę, mikroskopijnych rozmiarów fotelik i równie mała toaletka. Siedząca przed nią dziewczyna w kusym szlafroku co chwilę spoglądała kątem oka na lustrzane odbicie faceta, który siedział za jej plecami na łóżku, w samych gaciach i podkoszulku. Nie zwracał na nią uwagi. Oglądał uważnie swoją brązową skarpetkę. Widok najwyraźniej mu się nie spodobał. Zmarszczył czoło, a później z rezygnacją naciągnął ją na nogę. Duży paluch lewej stopy wylaźł na zewnątrz. Pokiwał nim z rezygnacją a potem zaczął zakładać drugą skarpetę.

– Nie mogłeś mi od razu powiedzieć? – kobieta odwróciła się gwałtownie na krześle. Ich spojrzenia spotkały się na moment, lecz on zaraz spuścił wzrok. To prawda, było mu trochę głupio, ale taka już jest ta praca.

Schylił się i podniósł z podłogi spodnie. Wciągnął obie nogawki, potem wstał, podciągnął je do góry i nasunął na ramiona czarne szelki.

– Jak bym ci powiedział, to miałabyś ochotę na zabawę? – próbował usprawiedliwić się, zresztą bez większego przekonania, Olkiewicz.

– Po co się denerwujesz i tak nic nie możemy na to poradzić.

– Jaką zabawę? Pakujesz mnie i moje dziewczyny do pudła i dziwisz się, że jestem zła. Człowieku, zaczynają się targi! Dewizowcy zjeżdżają się do miasta, a ja mam spędzać czas w areszcie dla jakichś twoich zasranych rozkazów.

– Rozkazy nie są zasrane, kochana, tylko święte. A w ogóle, bo to pierwszy raz się zdarza? – zdziwił go ten gwałtowny wybuch. – Do targów jeszcze trochę czasu zostało, a wy tylko na rutynowe przesłuchanie i zaraz wracacie do domu. Będziesz mieć teraz spokój na trzy, cztery miesiące. Przez ten czas nikt ci dupy nie będzie zawracał. Daję ci słowo. Chyba lepiej dać się teraz zapuszkować, niż w czasie targów, no nie?

– Daj spokój, jestem zdenerwowana, mam problemy i jeszcze wy mi się na łeb zwalacie...

– Jakie problemy? – zapytał, wciskając koszulę w szare

spodnie z kantem i wcale nie licząc na jakąś interesującą odpowiedź.

– Targi idą i gdzie ja teraz znajdę zastępstwo za Sandrę?

– Co, zwała ci? – zarechotał Olkiewicz zawiązując krawat.

– A cholera ją wie. W tango pewnie poszła, ale rzeczy zostawiła. Jak kamień w wodę.

– Która to ta Sandra? zainteresował się milicjant.

– Nie pamiętasz? To ta szczupła blondynka, taka niewysoka z Pily, co wywalili ją w zeszłym roku z NRF-u, ona ma taki niewielki tatuaż na ramieniu.

– Aha – odpowiedział Olkiewicz, ale i tak nie wiedział, o kogo chodzi. Zresztą nawet nie próbował wysilać pamięci dla odgrzebania wyglądu jakiejś kurewki. Zastanowił go tylko na sekundę ten tatuaż. Baba z tatuażem, pomyślał, jakaś idiotka czy jak?

Po chwili był już myślami gdzie indziej. Przy następnym zadaniu, które czeka jego grupę specjalną.

– No dobra, dość tych ksiutów, idę po chłopaków, a ty, Weronka, ubieraj się. Postaram się załatwić was w ekspresowym tempie.

– Nie jestem Weronka, tylko Wera.

– Weronka czy Wera, jedna cholera – wymamrotał pod nosem Olkiewicz i zadowolony, że mu się tak ładnie zrymowało, zaśmiał się głośno.

Godz. 11.00

Bezdomny Karol Frankowski siedział na ławce i obgryzał skórkę od chleba. Właśnie przed chwilą dostał bochenek w pobliskim sklepie.

Teraz siedział na nadwarciańskim bulwarze i z zainteresowaniem przyglądał się milicjantom, którzy po drugiej stronie rzeki chodzili po nabrzeżu w poszukiwaniu nie wiadomo czego.

Na moście Marchlewskiego panował normalny o tej porze ruch. Dziesiątki samochodów pędziły na wylotówkę w stronę

Śląska. Z przeciwnej strony, od ronda Rataje, auta podążały do centrum miasta. Po między ninii przesuwiał się na Górczyn, zielony tramwaj nr 5, wypełniony ludźmi do granic możliwości. Ciekawe, zastanawiał się Frankowski, jak to się dzieje, że o tej porze w tramwajach jest taki tłok; ci ludzie powinni być przecież w pracy albo w szkole, a wszyscy wałą do centrum. Pewnie na zakupy, szukać okazji do znalezienia czegoś ekstra jak kawa czy słodycze. W naszej socjalistycznej ojczyźnie wszyscy mają obowiązek pracy, a w godzinach pracy naród robi najlepsze interesy na mieście, to, kto do cholery pracuje?

– Łe, a ci co tam robią? – powiedział do siebie, patrząc ze zdziwieniem, jak na środku mostu jakiś facet przełazi przez barierkę. Drugi stał po właściwej stronie i przytrzymywał linkę, po której ten pierwszy opuszczał się w dół. Zjechał parę metrów i za chwilę na drugiej linie kolega opuścił do niego wiadro.

Ci to muszą mieć nerwy, pomyślał Frankowski, gdy zrozumiał już, w czym rzecz. Malowanie przesłał na takiej wysokości to sport dla naprawdę odważnych.

Odwrócił głowę i spojrzał na rzekę. O tym, że tam, na brzegu, wędkarze znaleźli trupa bez głowy, mówiło już całe osiedle, a pewnie i cały Poznań. Wieści o takich sprawach rozchodziły się po mieście lotem błyskawicy. Na razie jednak nikt nie wiedział, kto zabił i dlaczego. Nikt niczego nie zauważył oprócz jednego człowieka. Dzisiejszej nocy pan Franio, jak mówili o nim znajomi, spał w budzie, na przystani kajakowej nad Wartą, tuż przy osiedlu Piastowskim, niedaleko mostu Marchlewskiego. Do baraku przyszedł około jedenastej wieczorem. Przełaził przez dziurę w płocie, bo brama o tej porze była zamknięta. Musiał przejść obok niewielkiego hangaru, w którym przechowywano kajaki i łodzie, by znaleźć się koło drewnianej budy. Kiedyś składowano tu narzędzia i farby. Od lat jednak szopa stała pusta, nikt więc nie myślał o tym, by zamykać do niej drzwi. To właśnie miejsce pan Franio zaadaptował na swoje potrzeby mieszkaniowe.

Stróż, Zenek Prentki, który opiekował się tym terenem, dobrze wiedział, że Frankowski mieszka na przystani, ale nie przeszkadzało mu to zupełnie. Zdawał sobie sprawę, że Franio

jest nieszkodliwy. Zenka interesowało tylko jedno – by w nocy mieć jakąś zgrabną butelczynę, która pozwoliłaby mu spokojnie zasnąć.

Nic więc dziwnego, że dziś rano, gdy na przystań przyszedł dzielnicowy Makarczuk i pytał, czy nie usłyszał w nocy niczego podejrzanego Zenek mógł z czystym sumieniem przysiąc, że nic ciekawego nie zauważył. W końcu noc jest od spania, a nie od rozglądania się. Usłyszał i zauważył za to pener Frankowski, ale nikt go nie pytał. Do czasu.

Dotychczas milicjanci, którzy chcieli czegoś od Frania, pakowali go do suki i wieźli na komisariat. Tam dawali mu mały wycisk, zadawali pytania, a po przepisowych czterdziestu ośmiu godzinach wywalali na ulicę. Zawsze byli wobec niego chamscy i opryskliwi. Frankowski zauważył nawet pewną prawidłowość, że im kto miał niższy stopień, tym bardziej był wulgarny i prymitywny. No, ale taka już była ta milicja i nie można się po niej spodziewać niczego innego. Zwłaszcza od czasu, gdy wprowadzili stan wojenny, rzadko zdarzało się, by do milicji szedł ktoś porządny. Przyjmowali same męty, które bez szemrania wykonywały każdy najgłupszy nawet rozkaz, rozmyślał Frankowski. Dlatego dziś przeżył prawdziwy szok, gdy zagadnął go ten młody zomowiec. Chłopak jakby z innej bajki. Parę metrów dalej stał ten gbur dzielnicowy Makarczuk, dlatego pan Franio nie bardzo chciał gadać, ale powiedział młodemu, że mu coś powie koło jedenastej, jak już załatwi niecierpiące zwłoki interesy, czyli sprzeda swoje flaszki i robi zakupy w Becie. Teraz siedział na ławce, skubał chleb i czekał na milicjanta. Szeregowy Blaszkowski był punktualny. Przyszedł od strony posterunku rzecznego, w którym siedział od pewnego czasu wraz z dzielnicowym Makarczukiem. Usiadł na ławce obok Frankowskiego i wyjął służbowy notes. Pan Franio kątem oka zauważył, że kartka notesu z dzisiejszą datą była zupełnie pusta. Oznaczało to, że milicjant nie dowiedział się niczego ciekawego przez cały poranek.

Uśmiechnął się na myśl, że informacja, którą mu zaraz poda, może mieć dużą wagę dla całego śledztwa.

– Słuchaj, chłopaku – zaczął Frankowski. – Ja, jak jest lato,

przenoszę się z klatek schodowych do tego baraku, tam po lewej stronie, widzisz go, tam na przystani. No i dzisiaj w nocy też tam spałem, znaczy się chciałem spać, ale jakoś mi nie było do spania. Wylazłem z mojego domku i poszedłem przewietrzyć głowę. Siadłem sobie na trawce i patrzę na rzekę, i na gwiazdy. A tam po drugiej stronie chodzi silnik samochodu. To się zdziwiłem, że w nocy ktoś tu zajechał nad sam brzeg.

– Jaki to był samochód? – zapytał niecierpliwie milicjant.

– Jeszcze nie wiedziałem, bo byłem za daleko, ale jak już usłyszałem ten silnik, to się zainteresowałem i poszedłem trochę bliżej. No i patrzę, a tam stoi trabant, koloru nie powiem, bo za ciemno było, ale na pewno jakiś jasny, może biały. Myślałem, że kierowca w środku siedzi, ale patrzę, a tu po tym cementowym brzegu jakiś facet się wspina i idzie do auta. Przyszedł do auta, otrząpał pory, wsiadł i pojechał.

– Jak wyglądał ten człowiek?

– A bo ja wiem, było daleko i noc do tego, ale jedno to wiem na pewno, był to młody szczon, najwyżej mógł mieć do trzydziechy, ale głowy za to nie daję.

– Poznałby go pan, panie Frankowski? – zapytał milicjant przerywając na chwilę notowanie.

– A w życiu, za daleko, panie milicjancie.

– Czy mógłbym pana poprosić, by powtórzył pan to wszystko na komendzie?

Pan Franio wzdrygnął się na samą myśl, że miałby się stawić w miejscu, gdzie przeżył już tyle upokorzeń.

– Ile razy byłem na milicji, to za każdym razem dostawałem tam wpierdol.

– Daję panu słowo honoru policjanta, że tym razem nic panu nie grozi.

– Chyba milicjanta? – poprawił go pan Franio.

– Ja pracuję w milicji, ale tak jak mój dziadek jestem policjantem.

– Jakoś ci wierzę, synku, ale, cholera, nie wiem dlaczego, no i mam nadzieję, że złapiecie tego skurwiela.

– Nowak, chodź tu, do pana – zawołał z kąta sali niewysoki mężczyzna obcięty najeża. Mały kundel, który od kilku minut siedział tuż nodze Marcinkowskiego, teraz zamerdał ogonem i pobiegł w kierunku swego właściciela.

– To jest pan Józiu, malarz pejzażysta. Ten jego kejter nazywa się Fafik albo jakoś tak, ale on od czasu, jak się pokłócił ze swoim sąsiadem, nazwał go Nowak, od nazwiska tego sąsiada – wyjaśnił koledze Brodziak.

– Muszę to zapamiętać. Jak kupię sobie psa, to na pewno wykorzystam pomysł, tylko tych nazwisk dla niego mam dość sporo i będzie problem z wyborem. – Marcinkowski już się trochę uspokoił. Emocje zastąpiła chłodna kalkulacja. Zdążyli wypić herbatę i teraz czekali aż bufetowa zaparzy im następną.

– Fakty są następujące – zaczął kapitan. Mamy dwa, niepełne, trupy młodych kobiet. Głowa pierwszej pływała w wodzie jakieś trzy dni, śmierć według opinii lekarskiej nastąpiła około czwartku. Nie mamy ciała. Dziewczyna jest brunetką w wieku około dwudziestu pięciu lat. Przyczyna zgonu to najprawdopodobniej uduszenie, na co wskazywałby obrzek na szyi. Głowa odrąbana chyba siekierą, już po śmierci. Druga ofiara to blondynka, brak znaków szczególnych, prócz tatuażu na lewym ramieniu, przedstawiającego jakiegoś pajaka czy kraba. Tu również śmierć przez uduszenie. Na ciele kilka niewielkich sińców i zadrapań. Jednak nie ma śladów gwałtu. Jej także głowę odrąbano po uduszeniu. Śmierć nastąpiła jakieś piętnaście godzin temu. Leżała na nadbrzeżnych kamieniach. Morderca chciał ją pewnie wrzucić do rzeki, ale czegoś czy raczej kogoś się przestraszył i uciekł, zostawiając ją na brzegu. Możliwe też, że głowę wrzucił najpierw, więc jest tylko kwestią czasu, kiedy i gdzie wypłynie. Podobnie z pierwszym ciałem.

– Chyba że popłyną do morza – zauważył Brodziak. – Możemy je odnaleźć za godzinę albo za miesiąc.

– Masz rację, ale na szczęście mamy na razie tyle danych, że możemy spróbować zidentyfikować obie dziewczyny. Zrobimy

więc tak, pojedziesz na Chłapowskiego i pogadasz z tym specem od tatuażu. Dowiesz się, czyja to robota i w ogóle wszystkiego. Ja polecę na komendę i poproszę o zgodę na poszukiwania na większym odcinku rzeki, zwłaszcza że ta brunetka mogła już dopłynąć do Wroniek. Każę też zrobić odbitki zdjęć twarzy tej dziewczyny i tatuażu tej drugiej, i roześlemy to po wszystkich posterunkach. Niech chłopaki trochę popytają. Jak to wszystko załatwię, idę do domu trochę się przespać. Ty zrób to samo. Spotkamy się o dziewiętnastej w biurze. Może już coś będzie wiadomo.

– Przyniosłam panom herbatkę, bo już całkiem wystygła – stwierdziła z lekką naganą w głosie pani Teresa, stawiając jednocześnie przed nimi dwie pełne szklanki. Nowak znowu siedział przy nodze Marcinkowskiego.

Godz. 11.45

Pokój przesłuchań w komisariacie na Chłapowskiego wyglądał dokładnie tak samo, jak wszystkie tego rodzaju pokoje w milicyjnych komendach. Ściany wymalowane na biało, z zieloną lamperią. Na jednej z nich zgodny z przepisami orzeł namalowany został na porcelanowym talerzu. Wokół godła obwódka z napisem Milicja Obywatelska 40 lat w służbie socjalistycznej ojczyzny 1944 – 1984. Po lewej stronie stało biurko z lampką i wygodne, obite materiałem krzesło dla śledczego, zaś przed nim zwyczajny drewniany taboret dla przesłuchiwanego. Brodziak od kilku minut siedział za biurkiem i palił papierosa. Po chwili rozległo się pukanie i do pokoju wszedł milicjant, wprowadzając Zbysława Klimczaka.

– Obywatelu poruczniku, melduję doprowadzenie zatrzymanego na przesłuchanie.

– Dobra, dobra – machnął ręką oficer. – Dajcie go tu i możecie się odmeldować. A ty siadaj.

Mundurowy wyszedł z pokoju. Brodziak podsunął Klimczakowi paczkę klubowych.

– Zapal se.

– Dzięki – mężczyzna sięgnął po paczkę i wyjął papierosa.

Milicjant podał mu zapalniczkę, reklamówkę Marlboro, zachodnią jednorazówkę z dorobionym zaworkiem do ponownego napełniania.

Takie zapalniczki w NRF-ie rozdawano za darmo. U nas były dobrem szczególnie pożądanym. Na bazarach kupowało się je za kilkadziesiąt złotych, w zależności od atrakcyjności nadruku. Gdy gaz się wyczerpał, właściciel szedł z drogocennym sprzętem do zakładu ślusarskiego, w którym dorabiano klucze i zaworki. Operacja trwała kilka minut i za niewielką dopłatą posiadacz jednorazówki stawał się właścicielem zapalniczki o przedłużonej żywotności. Można ją było napełniać teoretycznie w nieskończoność, a w praktyce kilka razy, zanim elementy mechaniczne nie rozleciały się zupełnie.

– Podobno ma pan do mnie jakiś interes – zaczął Klimczak, odpalając papierosa.

– No mam. Chciałem cię, Zbyniu, o coś zapytać.

– To wał pan śmiało, bo mnie ważne interesy czekają na mieście.

Muszę jeszcze dziś na Junikowie grób dziadka pogrzebać.

– Coś ty taki nerwowy, pogadamy i pójdziesz sobie w cholerę.

A dziadkowi chyba za bardzo się nie śpieszy, nie?

– Jak mam nie być nerwowy, panie poruczniku, jak mnie o świcie szkiely z łóżka ciągną w obręczkach jak przestępcę jakiegoś. Wstydu mi narobili na całą chatę.

– O ile wiem, to jesteś na warunkowym i można cię zapraszać na rozmowę zawsze wtedy, gdy wymagać tego będą okoliczności. A teraz jesteś właśnie potrzebny, jako milicyjny konsultant – uśmiechnął się Brodziak.

– Łe jery, tylko niech pan nikomu o tym nie gada, bo jak się na Łazarzu rozejdzie, że jestem jakiś konsultant, to nikt ze mną już flaszki nie robi.

Brodziak zajrzał do szarej koperty i wyciągnął z niej dwa zdjęcia ze zbliżeniem tatuażu.

– Popatrz, co o tym sądzisz?

Klimczak przyjrzał się przez chwilę obu fotografiom i odłożył je na stół.

- Fachowa robota, widziałem już takie.
- Gdzie?
- Na plaży u zagraniczników ze strefy dewizowej.
- Co to znaczy, mów jaśniej, do cholery – zainteresował się milicjant.
- Sprawa jest prosta jak prześcieradło, panie poruczniku. Nasze dziary robi się igłą i w nakłute miejsce wpuszcza atrament, czyli nic się w tym względzie nie zmieniło od czasów Wikingów. A na Zachodzie wiara ma już elektryczne maszynki, które robią nakłucia i wpuszczają farbę w tempie błyskawicznym. Jeśli ja robię jedno nakłucie, to taka maszyneria ma już 100 nakłutych punkcików. Szybko, bez bólu, a kasa leci.
- To znaczy, że ten tatuaż musiał być wykonany za granicą?
- zapytał, upewniając się porucznik.
- Trafił pan w sedno tarczy. U nas nikt jeszcze takiej techniki nie posiada. Taka maszynka to jakieś pięćset doliczów, kogo na to stać? Ale jeszcze trochę i my tym złamasom pokazemy, że Polak potrafi. Niech no ja taką lutownicę dostanę w swoje ręce, to zaraz założę tu centrum tatuażu artystycznego. Wiaruchna będzie do mnie walić drzwiami i oknami.
- Pod warunkiem, że znajdzie się ktoś, spoza grypsery, kto będzie chciał mieć dziary na skórze.
- Panie poruczniku, moda na tatuaże nadchodzi wielkimi krokami. Niedługo zobaczy pan, że co druga laska będzie sobie robić takie skarabeusze albo motylki czy inne fikuśne ozdóbki, nawet na tyłkach.
- Zaraz, co powiedziałeś, skarabeusze?
- No ten robał na fotce, to skarabeusz, jak nic. Ten, co w Faraonie toczy kulkę z gówna i zatrzymuje całą armię, znaczy się egipski święty.

Godz. 12.10

Południe to była całkiem niezła pora na w miarę szybkie przebycie prawie całego centrum Poznania. Teraz ruch na

ulicach był dość spory, ale i tak dojazd na Rataje, do osiedla, na którym mieszkał od roku Marcinkowski, zajmował mu zaledwie 20 minut. Wyjechał z Kochanowskiego na Dąbrowskiego i skierował się w stronę mostu Dworcowego. Gdy tylko ruszył, otworzył do połowy okno i włączył swoje nowe dio safari 2, ustawione oczywiście na program III Polskiego Radia.

O tej porze nadawali program „W tonacji Trójki”. Lubił tę audycję, bo dawali tu dużo dobrej muzyki, której prowadzący nie zagadywał jakimiś idiotycznymi opowieściami. Teraz z zadowoleniem stwierdził, że puszczają piosenkę jednego z jego ulubionych zespołów – Supertramp Braekfast in America. Oznaczało to, że dziś program prowadzi ktoś, komu pasują podobne muzyczne klimaty, co jemu, czyli zapewne Piotr Kaczkowski. Facet potrafił robić takie programy, że Marcinkowski, a pewnie i wielu podobnych mu wielbicieli dobrej muzyki, potrafiło słuchać ich godzinami. Szczególnie lubił sobotnie popołudniowe programy „Zapraszamy do Trójki” prowadzone przez Kaczkowskiego. Jeśli tylko było to możliwe, te popołudnia starał się spędzać z radiem.

Teraz czuł się zmęczony, a muzyka pozwalała mu się odprężyć. Nie mógł jednak nie myśleć o tym, co wydarzyło się dziś od rana. Zastanawiał się, co może być motywem tych dwóch morderstw. Ale na razie nic nie przychodziło mu do głowy. Przede wszystkim, myślał, trzeba zidentyfikować obie kobiety i sprawdzić czy miały ze sobą coś wspólnego, czy też są to zupełnie przypadkowe, wybierane na chybił trafił ofiary. No i jeszcze jedna istotna sprawa to sposób dokonania morderstwa. Duszenie to powszechnie stosowany przez świrów rodzaj zadawania śmierci. W szkole milicyjnej uczył się o przypadkach seryjnych dusicieli, a przykładów uduszeń miał już w swojej kryminalnej praktyce dość sporo. Ale nigdy dotąd nie słyszał, by jakiś wariat najpierw dusił młode kobiety, a później odrąbał im głowy. No i najważniejsza kwestia, po co to robił?

Polonez w kolorze piasku pustyni zjechał z wiaduktu dworcowego i właśnie zbliżał się do dworca PKS. Z

niewielkiego głośnika umieszczonego pod deską rozdzielczą samochodu wolno płynęło allegro drugiego koncertu F-dur w wykonaniu Filharmoników Berlińskich pod dyрекcją Herberta von Karajana. Fred pomyślał, że zaraz będzie w domu, ale uświadomił sobie jednocześnie, że Grażyny na pewno nie ma o tej porze. Co gorsza, na pewno też nie ma w chacie nic do jedzenia, a jak tu iść spać z pustym żołądkiem? Decyzję podjął więc niemal odruchowo. Włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo, w ulicę Przemysławą i prawie natychmiast w lewo, w stronę dworca PKS-u. Na parkingu było sporo wolnych miejsc. Zamknął dokładnie drzwi samochodu i poszedł do hali dworca. Tu w poczekalni był zwykły bar z wysokimi stolikami, bez siedzeń, ale prawdziwym smakoszom to nie przeszkadzało. Oni wiedzieli, że w tym miejscu można naprawdę dobrze zjeść. Od pewnego czasu dzierżawcą bufetu było Państwowe Gospodarstwo Rolne w Buszewku. Dzięki temu bar zaopatrywano w doskonale wiejskie wyroby. Nie było kolejki. Przed nim stał zaledwie jeden facet, który kupował flaki. Flaki mieli tu doskonale, ale tym razem miał ochotę na coś bardziej konkretnego, zwłaszcza że nie było pewności, czy zdarzy się jeszcze tego dnia jakiś porządny, ciepły posiłek. Grubą i niską bufetową w białym fartuchu i w czepku na głowie poprosił o bigos i dwie białe kielbasy z bułką.

Marcinkowski uwielbiał bigos, a ten podawany na dworcu miał wszelkie walory dobrego bigosu domowego. Ani za słodki, ani za kwaśny, z odpowiednio dużą ilością kielbasy i mięsa. Widać było na pierwszy rzut oka, że ta potrawa nie jest tu typowym dla naszej gastronomii tygodniowym przegładem resztek.

Przez wielkie okno baru można było przyglądać się temu, co dzieje się na peronie. Na najbliższy podjechał, właśnie zapowiedziany przez megafony, niebieski autobus PKS do Wągrowca przez Murowaną Goślinę. Kilkadziesiąt osób stojących dotąd w jakim takim porządku rzuciło się do drzwi. Ludzie z wielkimi torbami, walizkami i pakunkami | szturmowali autobus, wchodząc na siebie i popychając się. Ci, którzy] mieli szczęście znaleźć się bliżej drzwi, w pośpiechu

zajmowali miejsca siedzące. Pozostali mogli liczyć na podróż na stojąco. W ciągu zaledwie paru minut od pojawienia się na przystanku autobus napchany był do granic możliwości. Kilkunastu niedoszłych pasażerów, pozostałych na peronie, z zawiścią i wściekłością patrzyło na szczęśliwców,] którzy weszli do środka.

Marcinkowski przyglądał się tej scenie z zupełną obojętnością.

Tłok w autobusie i dantejskie sceny przy wsiadaniu nie były przecież niczym niecodziennym. Pochłaniał swoją porcję, przypominając sobie dzisiejszą rozmowę z Brodziakiem w klubie u plastików. Powiedział wtedy, że to popierdoleniec, który zarzyna baby jak w amerykańskich horrorach. I to było słowo klucz. Amerykański horror, pomyślał kapitan. Pojeb musi skądś czerpać przykłady, myślał dalej, delektując się białą kielbasą. Na pewno nie z naszej głównianej rzeczywistości, ale z tej pociągającej, zachodniej. Morderstwa, te najbardziej okrutne, zdarzają się tylko w horrorach. Nasza telewizja nadaje horrory wyłącznie od święta i tylko te ocenzone, czyli niedrastyczne. Ale do kraju przyjeżdżają kasety video. Kto ma dostęp do kaset i magnetowidów? Najbogatsi ludzie we własnych domach i młodzież na pokazach filmów wyświetlanych z magnetowidów. Młodzież to najczęściej studenci, bo pokazy poza cenzurą odbywają się w klubach akademickich. Pewnie wśród nich, tych oglądających, jest ktoś, kogo szczególnie interesują horrory.

Jestem b lisko, pomyślał kapitan, kończąc bigos. Czuł, że wreszcie coś mu zaczyna świtać w głowie. Trzeba wracać na komendę. Tylko co z tym robakiem na tatuażu?

Godz. 12.55

Milicyjny radiowóz, niebieski fiat 125p, wjechał powoli na Stary Rynek. Auto zatrzymało się tuż przy antykwariacie. Nie mogło posuwać się dalej, bo prowadzono tu jakieś wykopy i drewniane barierki zagraadzały drogę. Z fiata wysiadł porucznik

Brodziak, machnął ręką do kierowcy i ruszył w stronę Wrocławskiej.

O tej porze na Rynku było sporo ludzi. Ławeczki ustawione na chodniku okupowały grupki nastolatków. Palili papierosy i po kryjomu popijali piwo z butelek. Było dość ciepło, więc wielu z nich ubranych było w różnokolorowe podkoszulki.

Ciekawe, pomyślał milicjant, mijając roześmianą, hałaśliwą grupkę, że oni wszyscy przestają już być szarzy. Jeszcze niedawno w ubiorach na ulicach dominowały jakieś bure, trudne do określenia kolory, bo taką atrakcyjną gamę barw oferował nasz rodzimy przemysł. Tymczasem teraz coraz więcej jest w tych ubraniach kolorystycznej radości. Widać, że paczki z Zachodu zmieniają Polaków. Ale naprawdę kolorowo będzie tu za kilka dni. I jeszcze tłoczniej, bo niedługo zacznie się Jarmark Świętojański. Gdzieś tam zwożono już konstrukcje drewnianych straganów, które wkrótce zapełnią cały rynek łącznie z przylegającymi do niego uliczkami.

Mniej więcej w połowie długości ulicy Wrocławskiej, po prawej stronie, była pijalnia piwa. Brodziak od czasu do czasu lubił tu zachodzić, by, jak sam mówił, wsłuchać się w głos ludu pracującego. Lokal dość ciekawie pomyślano. Miał dwa poziomy. W sali na górze znajdowały się drewniane przedziały. W każdym z nich stał szeroki stół z dwiema ławami, na których zasiadali ściśnięci jak śledzie amatorzy piwa z kufkami w ręce. Ławki obliczone były na trzech, maksymalnie czterech klientów, lecz na każdej z nich siedziało nawet siedmiu mężczyzn z kufkami piwa poznańskiego. Na każdym stole stawiano też wielką szklaną popielniczkę z luksfery. Ten patent stosowały niemal wszystkie piwiarnie w mieście. Luksfery miały tę zaletę, że nie kosztowały nic, bo przynosiło się je z każdej budowy, a poza tym, aby napęlić je petami, potrzebny był zbiorowy wysiłek jakiejś setki palaczy. Te popielnice personel opróżniał raz na kilka godzin albo dopiero po zamknięciu lokalu. W tej chwili były wypełnione już do połowy petami, a więc piwo sprzedawano od rana. Samo wejście do piwiarni nie oznaczało bowiem, że człowiek spragniony musi koniecznie zaspokoić swoje pragnienie. Zdarzały się, i to dość

często, dni, w które piwa nie było.

W powietrzu wisiała siwa, gęsta zawiesina tytoniowego dymu.

W głębi lokalu po lewej stronie strome schody prowadziły do podziemi. Tam znajdowała się druga sala, bez boksów, zastawiona długimi stołami i ławami. O ile na górze sprzedawano wyłącznie piwo kuflowe, o tyle na dole można było kupić jedynie piwo butelkowe. Nie serwowano jednak szklanek do piwa. Pić trzeba było wprost z butelek. Nic więc dziwnego, że prawdziwi pijacy ze Starego Miasta wybierali lokal górny, dolny zaś okupowała młodzież.

Brodziak podszedł do bufetu, w którym do kufli polewał pan Froncek, potężny mężczyzna w białym, niezbyt czystym kitlu. Milicjant chciał kulturalnie stanąć w kolejce, ale bufetowy zauważył go od razu.

– Już się leje, panie Mirku! – błyskawicznie napełnił kufel i podał szkło Brodziakowi, zręcznie omijając wyciągniętą dłoń klienta, który stał pierwszy przy bufecie.

– Bierz tę grabę, chłopie, bo to piwo zamówione – warknął na faceta bufetowy. – Pan siada śmiało na rezerwacji – wyjaśnił porucznikowi, gdy ten z kuflem w ręku zaczął rozglądać się za wolnym miejscem.

Po prawej stronie pod ścianą ujrzał niewielki stolik z trzema krzesłami. Na nim ustawiono kartonik z ręcznie nagryzmołonym napisem „rezerwacja”. Przy tym specjalnym stole mogli zasiadać tylko ci, którym pozwolił na to personel lokalu. Teraz siedział tam zaledwie jeden degustator piwa. Brodziak poznał go od razu. To był Gruby Rychu, jego dawny kolega z podstawówki.

– Siadaj, Miruś – odezwał się Rychu, odsuwając nogą krzesło.

Podali sobie ręce. Kiedyś, gdy chodzili do podstawówki, byli nierozłącznymi kumplami. Siedzieli w jednej ławce, grali razem w piłę i wspólnie wyprawiali się na jabłka do ogródków działkowych. Z czasem ich drogi zaczęły się rozchodzić. Brodziak skończył liceum i poszedł do milicji, a Rychu został na ulicy. Kręcił się koło miejscowych cwaniaczków, handlował

czym popadło, a w końcu zajął się walutą pod Peweksem.

Teraz był już lepszym bambrem. Siedział sobie spokojnie w piwiarni, a pod sklepem stali młodzi cinkciarze z jego zespołu. To od Grubego Rycha Brodziak kupował dolary po dobrym kursie. Mimo że ich kontakty były sporadyczne, dawna przyjaźń przetrwała. Poza tym, Rychu był najlepiej poinformowanym człowiekiem na całym Starym Mieście, a tego milicjant nie mógł nie doceniać.

– No i co tam u ciebie? – zagadnął Rychu, lekko trącając kufel kolegi swoim kuflem.

– Stara bida, jak zwykle – odparł porucznik. – Zalatany jestem i nawet człowiek nie ma czasu napić się piwa.

Gruby sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę marlboro. Poczęstował kolegę.

– Nieźle ci się powodzi, Rychu – zauważył z uśmiechem milicjant.

– Kręcę się trochę, jak zwykle, to i efekty widać. A na mieście słychać, że dużo masz pracy, Miruś, od rana. I że twój problem nazywa j się jeździec bez głowy.

– Ależ ta wiara ploty rozpuszcza, nic się nie dzieje, a ci zaś pierdoła – Brodziak pociągnął spory łyk piwa.

Gruby Rychu spojrział uważnie na kolegę.

– Wiaruchna przy piwie mówi, że to jakiś wariat musiał spotkać się z twoim problemem. Może to i prawda, ale niektórym wydaje się, że mówią tak, bo nie pomyśla.

– Pierdoły z Gadek. A co mówią ci, którzy potrafią myśleć? – zainteresował się porucznik.

– Że wariaci to siedzą w Gnieźnie, a socjalistyczne społeczeństwo jest praktyczne...

Chyba muszę jeszcze wrócić na komendę, pomyślał porucznik Brodziak.

Godz. 13.00

Szeregowy Mariusz Blaszkowski siedział na krześle w pokoju 114 i czytał Kodeks postępowania karnego. Nie żeby zaraz był

nim bardzo zainteresowany, czytał z nudów, skracając sobie czas oczekiwania, aż pojawi się któryś z lokatorów tego pokoju. A KPK był jedyną rzeczą w pomieszczeniu, którą mógł czytać bez obawy, że zostanie posądzony o grzebanie w cudzych papierach. Właśnie szukał odpowiedzi na pytanie, co grozi mordercy znad Warty, gdy drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wtoczył się niewysoki, krępy mężczyzna około pięćdziesiątki z brzęczącą, niebieską siatką z wiskozy w ręce.

– A ty, kurwa, co za jeden? – zapytał facet na widok Blaszkowskiego. Młody milicjant natychmiast zerwał się z krzesła i stanął w przepisowej pozycji na baczność, domyślając się, zresztą słusznie, że musi to być ktoś o parę stopni ważniejszy od niego.

– Szeregowy Blaszkowski melduje swoje przybycie – wyrecytował regulaminową formułkę.

– Aha – zdziwił się nieco Olkiewicz i opadł na krzesło przy swoim biurku. Niebieską siatkę chciał postawić tak, by intruz nie widział, co się w niej znajduje. Na próżno, bo siatka stawiana bardzo ostrożnie na podłogę, wydała jednak z siebie charakterystyczny dźwięk, jakże miły dla ucha każdego pijaka i nie pozostawiający wątpliwości co do jej zawartości.

Jakiś szczon z ZOMO był w tej chwili najmniej potrzebny Olkiewiczowi, no ale skoro przylazł, to znaczy się, że miał powód. Chorąży miał nadzieję, że w pokoju zostanie albo Brodziaka, albo Marcinkowskiego i spokojnie będą mogli wychylić po szklance wódeczki, którą zarekwirował w melinie na Wildzie. Niestety, żadnego z nich nie było, a na dodatek siedział tu jeszcze ten młody, uniemożliwiający swoją obecnością rozpamiętowanie butelki.

W melinie zarekwirowali prawie czterdzieści butelek żytniej, bałtyckiej i vistuli. Biorący udział w akcji milicjanci większość natychmiast rozwieźli do własnych domów, jednak pięć flaszek Olkiewicz lojalnie przywiózł na wydział. Dwie butelki pękły już po drodze i Teoś siedział za swoim biurkiem niedopity i coraz bardziej zły. Wpadł na prosty pomysł, że przepyta chłopaka i wyrzuci go z biura.

– No to mów, z czym przychodzisz do nas? – zaczął oficer.

– Melduję, że mam przekazać informację porucznikowi Brodziakowi albo kapitanowi Marcinkowskiemu.

Olkiewicz już chciał krzyknąć na gówniarza i opierdolić go za bezczelność, ale drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju wszedł Marcinkowski, który od kilkudziesięciu minut miał spać we własnym łóżku.

– No, cześć Teoś, jak tam zasłona dymna? – zapytał wchodzący.

– Wszystko świetnie, obywatelu kapitanie, zatrzymanych cztery kurewki, jeden meliniarz i pięciu penerów na Dworcu Głównym. Jutro od rana zajmę się przesłuchaniem tej menażerii.

– No, to masz niezły wynik. A pan z czym do nas przychodzi? – kapitan spojrzał na Blaszkowskiego, który od razu poznał we wchodzącym elegancika w białych skarpetkach.

Stojąc w pozycji zasadniczej, szeregowy wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Melduję, obywatelu kapitanie, że dzielnicowy Makarczuk przy-B słał mnie z zeznaniem.

– Samemu mu się dupy nie chciało ruszyć i wyręcza się tobą?

– zdziwił się kapitan – Melduję, że to nie tak.

-A jak?

– Kiedy nie wiem, jak mam to powiedzieć.

– Najlepiej powiedz normalnie, jak było – zaśmiał się Olkiewicz. I – przestań meldować.

– Dzielnicowy powiedział mi, że mam sam to gówno zanieść panu kapitanowi, bo on się nie będzie za mnie wstydził. To znaczy się, obywatel dzielnicowy stwierdził, że zeznanie jest niewiarygodne, a zeznający zrobił mnie w trąbę.

Marcinkowski spojrzał uważniej na chłopaka.

– Rozumiem, że masz zeznanie wnoszące, twoim zdaniem, coś do sprawy, a Makarczuk ma co do tego wątpliwości.

– Tak jest, obywatelu kapitanie – uśmiechnął się szeregowy, gdy kamień spadł mu z serca.

– No to siadaj i mów, w czym rzecz, a ty, Teoś, polej nam po maluchu. Coś tam chyba dobrego przywiozłeś z miasta, nie? Olkiewiczowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wstał, zabrał

szklanę z biurka kapitana, postawił obok swojej na własnym biurku i sięgnął do siatki po butelkę żytniej. Przez chwilę zawahał się, spoglądając uważnie na szeregowego, po czym uśmiechając się szeroko, powiedział:

– A ty masz jeszcze czas, szczyłu, na gorzołę, no nie, panie kapitanie?

Godz.13.40

Janusz Ciesielski, kierownik klubu studenckiego w Domu Studenckim „Jagienka”, bardzo lubił seanse video. Łączył w ten sposób przyjemne z pożytecznym. Miał dzięki nim nieograniczony, darmowy dostęp do nowych filmów, a dodatkowo klub zarabiał całkiem niezłą kasę za bilety. Od czasu, gdy w kraju zaczęły pojawiać się pierwsze magnetowidy, kluby studenckie zaczęły zwiększać swe dochody. Od roku jego klub miał do dyspozycji dwa takie urządzenia, których właścicielami byli dwaj kolesie, studenci z UAM. Każdy z nich posiadał własny magnetowid, kupiony na Zachodzie za ciężką kasę. Nic więc dziwnego, że chcieli, aby tak poważna inwestycja zwróciła się i przynosiła dochody. Dlatego obu chłopakom zależało, by seanse w klubie na Obornickiej urządzano jak najczęściej, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Na frekwencję nie można było narzekać, bo ludożerka waliła na takie pokazy drzwiami i oknami, spragniona zachodnich filmów spoza oficjalnej dystrybucji. Problemem był tylko brak kaset z nowymi filmami. Na Conana Barbarzyńcą czy Rambo łapali się już tylko młodzi studenci z pierwszego roku, którzy dopiero co przyjechali do Poznania. Ci ze starszych lat chcieli nowości, a z tym był kłopot. Ciesielski niechętnie zgadzał się na powtórki, dlatego naciskał na chłopaków, by zwiększyli swoją aktywność w poszukiwaniu nowych filmów. Chłopcy łapali już kontakt ze studentami, którzy również mieli magnetowidy. Jeździli więc do Warszawy czy Katowic z kasetami do wymiany i przeważnie co tydzień pojawiała się coś nowego.

Nikt z wielbicieli filmów nie zwracał uwagi na kiepską jakość

kopii filmów i fatalny dubbing. Liczyła się przede wszystkim możliwość oglądania dzieł nie zawsze ambitnych, ale za to mających jeden niepodważalny atut. Były to filmy, które trafiały do nas zza żelaznej kurtyny. Ciesielski czekał teraz w klubowym biurze, którego ściany zdobiły plakaty filmowe i proporce ZSP, na jednego ze swych „wyświetlaczy”. Miał z nim ustalić repertuar na ten tydzień. Trzeba było zrobić afisze ogłoszeniowe i wypisać na nich tytuły filmów. Na jednym seansie wyświetlano zazwyczaj dwa, a niekiedy nawet trzy filmy, tak by widzowie mieli poczucie, że nie są robieni w konia i mają świetną, zróżnicowaną ofertę.

Z dwóch głośników radia amator stereo, stojącego na niewielkiej, drewnianej szafce z dokumentami klubowymi, dochodził głos Jana Kaczmarka, który śpiewał piosenkę o szczupaku-bandycie, co poluje na lina.

– Cholera, zaraz skończy się „Powtórka z rozrywki”, a tego pacjenta jeszcze nie ma – denerwował się kierownik Ciesielski.
– O drugiej będę musiał wyjść... Wstał z krzesła i stanął przy zakratowanym oknie, sprawdzając jednocześnie czas na ręcznym zegarku marki Ruhla.

Na ławce przed akademikiem siedziało trzech studentów i ukradkiem popijało korbola. Kierownik znał ich wszystkich. Ci należeli do pijackiej elity akademika „Zbyszko”. Zajęcia na uczelni nie przeszkadzały im zupełnie w rozwijaniu własnych zainteresowań alkoholowych.

– Cześć, Janusz – usłyszał za swoimi plecami – sory, że tak późno, ale pociąg miał dwie godziny spóźnienia. Myślałem, że już dziś w ogóle nie dojadę.

W drzwiach biura stał niewysoki, szczupły chłopak w dżinsach i zielonej koszuli, z wielką torbą przewieszoną przez ramię.

– No cześć, Maciek, kurna, już miałem prawie wychodzić. Mów szybko, co masz, znaczy, dawaj opisy filmów.

Chłopak postawił torbę na podłodze i uklękawszy obok, zaczął w niej grzebać. Po chwili wydobył zeszyt, a z niego kartkę z tytułami filmów. Podał ją Ciesielskiemu.

– Na jutro mam dwa ekstra horrory. Zupełne nówki,

będziemy mieć absolutną poznańską premierę. Jeszcze ich nie widziałem, ale w Warszawie mówili mi, że rewelacja.

-Ajakie tytuły?

- Jeden się nazywa Ghost, a drugi Ghostbusters.

- To prawie tak samo – zdziwił się kierownik.

Godz. 14.10

Brodziak był bardzo zaskoczony, gdy otworzył drzwi swojego pokoju w komendzie i zobaczył siedzącego za biurkiem Marcinkowskiego. Informacja, którą dostał od Grubego Rycha w pijalni na Wrocławskiej, wydała mu się na tyle ważna, że postanowił wrócić do komendy i poszperać w starych papierach. Spanie mogło w końcu trochę poczekać. A jemu zaczęło coś chodzić po głowie.

- No i co tu robisz, chłopie? – spytał, wchodząc do środka. – Miałeś się przespać w domu.

- Zdaje się, że tak samo jak ty – odpowiedział kapitan. – Teoś, nalej no porucznikowi, bo chyba jest trochę zmarnowany, a ty słuchaj. Ten pan szeregowy przyniósł nam informację, myślę, że może na razie najistotniejszą dziś dla całej sprawy.

Porucznik spojrzał na siedzącego skromnie pod ścianą milicjanta i ze zdziwieniem rozpoznał w nim zarzygańca znad Warty. Wziął szklanke od Olkiewicza i usiadł za swoim biurkiem.

- Spisywał jakiegoś penera na Ratajach – ciągnął Marcinkowski.

- Ten powiedział mu, że widział w nocy, dokładnie w miejscu, gdzie znaleziono ciało bez głowy, zaparkowanego trabanta z włączonym silnikiem i jakiegoś faceta, który łąził po nabrzeżu.

- Niby wszystko świetnie – zauważył Olkiewicz – tylko młodzieniec trochę się pogubił, bo zamiast wziąć faceta na komendę do przemaglowania, umówił się z nim, że ten sam tu przyjdzie. Czujesz to, zaprosił go do nas! – zaśmiał się milicjant.

– Jak nazywa się ten pener znad Warty? – spytał rzeczowo Brodziak.

– Frankowski, obywatelu poruczniku.

– No to, Teoś, musisz chyba przeprosić naszego młodego kolegę, bo nie doceniasz go.

– Co? – zdziwił się Olkiewicz.

– Ten Frankowski siedzi grzecznie na dole i czeka. Akurat przyszedł, jak wchodziłem do firmy i meldował na biurze przepustek, że chce się widzieć z Fredem albo ze mną. Powiedziałem mu, że ktoś za chwilę po niego zejdzie.

Marcinkowski i Brodziak spojrzeli na siebie i buchnęli śmiechem.

By ukryć zmieszanie, chorąży Olkiewicz wziął do ręki kopertę ze zdjęciami, które przyniósł porucznik. Wydobył fotografie i zaczął się im uważnie przyglądać. Nagle coś go zainteresowało.

– Co to, kurwa, jest? To tatuaż? – zapytał Brodziaka.

– Nie widziałeś tego jeszcze? To zbliżenie robaka z ramienia dziewczyny znalezionej nad Wartą. To jest skarabeusz. Nasz spec od tatuażu wyjaśnił mi, co to za ptica.

– Aha, skarabeusz – powtórzył chorąży i odłożył zdjęcia, zastanawiając się, czy nie zaproponować kolegom jeszcze jednej lułki.

– Słuchaj, młody – Marcinkowski od dłuższej chwili przyglądał się uważnie siedzącemu pod ścianą szeregowemu, po którym widać było wyraźne skrępowanie całą tą sytuacją. – Teraz pójdziesz na dół, na biuro przepustek, i przyprowadzisz tu tego faceta, z którym się umówiłeś. Mam ochotę trochę z nim pogadać. To po pierwsze. Po drugie, pójdziesz na Taborową i zgłosisz się do porucznika Jastrzębskiego i powiesz mu, że od jutra jesteś przydzielony do pomocy w śledztwie, które prowadzi mój zespół. W związku z tym jutro rano meldujesz się tu o dziewiątej w cywilkach. A po trzecie, jeśli potwierdzi się to, co mówił ci ten Frankowski, to wszystko wskazuje na to, że dzięki tobie śledztwo ruszy z miejsca. Oszołomiony tym wszystkim Blaszkowski nie mógł przez chwilę uwierzyć w to, co usłyszał.

– Jeszcze coś? – zapytał szeregowego kapitan.

– Tylko jedno, obywatelu kapitanie, względem tego Frankowskiego, co go tu przyprowadzę.

– No, co – ponaglił go Marcinkowski.

– Przepraszam, ale ja mu dałem słowo, że jeśli tu przyjdzie, to nikt go nie posadzi, ani nie dadzą mu wycisku. On ma kiepskie doświadczenia z nami.

– No to powiedziałeś mu prawdę – uśmiechnął się Brodziak.

– Chyba będziemy mieli z niego pociechę. Rano, jak dawałem go Makarczukowi do pomocy, miałem jakieś przeczucie co do niego, a teraz widzę, że nie pomyliłem się – powiedział porucznik, gdy szeregowy wyszedł z pokoju.

– Co to za głupie baby? Olkiewiczowi w dalszym ciągu nie dawało spokoju zdjęcie, które leżało przed nim na biurku.

– Co mówisz, Teoś? – spytał Fred.

– E nic, nie mogę się tylko nadziwić, że jakieś młode kobiety mogą sobie robić tatuaże jak najgorsze oprychy.

ROZDZIAŁ III

Godz. 15.20

Kapitan Marcinkowski zaparkował samochód pod dziesięciopiętrowym blokiem na Ratajach. Wysiadł z auta, sprawdził wszystkie drzwi, czy na pewno są pozamykane, i ruszył w stronę wejścia do budynku. Pod domem stało kilkanaście samochodów. W większości były to małe fiaty i syreny. Tuż pod jego klatką schodową stał też NRD-owski trabant.

Milicjant zatrzymał się koło niego i zaczął mu się uważnie przyglądać. Przypomniawszy sobie charakterystyczny, pierdzący dźwięk, jaki wydawały silniki tych aut. Ten Frankowski, nawet jeśli by nie znał się na markach samochodów, rżenia trabanta nie mógł pomylić z niczym innym. Morderca przyjechał na miejsce, w którym pozbył się zwłok, tak charakterystycznym samochodem, że lepiej być nie mogło. Tak, ten punkt w rozgrywce z milicją facet oddał walkowerem. Oznaczało to jedno – łowca głów na pewno nie był profesjonalistą, ale jakimś popaprańcem, który najpierw robił, potem myślał albo, co gorsza, w ogóle nie myślał.

– Co, panie sąsiedzie, chciałby się pan zamienić na samochody?

Chętnie dam panu mojego trampka za tego nowego poldka. Oczywiście za niewielką dopłatą.

Fred odwrócił się. Za nim stał uśmiechnięty, zadowolony z żartu Walkowiak, sąsiad z trzeciego piętra.

– A dzień dobry, nie, nie zamieniam się, tak się tylko zastanawiam nad czymś...

– To nie jest zły samochód ten trabant, ale to prawda, że do poloneza mu daleko, plastikowa mydelniczka z silnikiem, ale najważniejsze, że jeździ, więc nie można narzekać. Zawsze coś

do domu można i nim przywieźć, tylko cholernik ma trochę mały bagażnik, ale jak się dobrze upakuje, to nie ma problemu. A słyszał pan, jak o nim mówił Walkowiak rozejrzał się na boki, jakby się bał, że ktoś niepowołany usłyszy, i przysunął się nieco bliżej. – Trabant to zemsta Honeckera za nasz udział w zdobyciu Berlina – powiedział niemal szeptem.

Obaj sąsiedzi uśmiechnęli się do siebie konfidencko.

– Miłego dnia, idę trochę pomieszkać – zakończył rozmowę Marcinkowski i ruszył w kierunku klatki schodowej.

Milicjant, a porządny jak normalny człowiek, pomyślał Walkowiak i otworzył drzwi do trabanta. Nie były zamknięte na kluczyk, bo zamek zepsuł się jeszcze w zeszłym roku. Nowych w Polmozbycie nie było już od czterech lat, jak wyjaśnił mu sprzedawca, od czasu gdy Szwaby zamknęły granicę z NRD-owem w stanie wojennym.

Wchodząc do bramy, Marcinkowski usłyszał charakterystyczny dźwięk odpalanego wschodnioniemieckiego auta.

– Tego cholerstwa nie da się pomylić z niczym innym – upewnił się raz jeszcze.

Podszedł do windy i wcisnął guzik przywołujący dźwig. To najgorszy moment podczas każdego powrotu do domu, zawsze bał się tej chwili. Już wiele razy okazywało się, że ta główniana winda zatrzymywała się gdzieś między piętrami. A dziś wejście na dziewiąte piętro było ponad jego siły.

Czuł się zupełnie wypompowany po zarwanej nocy i pełnym wrażeń poranku. Na komendzie ustalili z Brodziakiem plan najbliższych działań i podzielili się pracą. Najważniejsze jednak, że napisali i oddali raport dla pułkownika. Przedstawili w nim wstępne wyniki śledztwa i efekty akcji Olkiewicza. Początkowo miał to zrobić sam Teoś, ale po wypiciu paru głębszych jakoś mu nie szło i zrobili to w trójkę. To znaczy Brodziak pisał na maszynie, on dyktował, a Olkiewicz głośno chrapał na swoim krześle.

Winda z głośnym stukotem zjechała na parter. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Droga na górę nie zawsze była podróżą marzeń.

Zdarzało się, że winda zatrzymywała się nagle i pasażer

zostawał uwięziony. Tym razem jechała płynnie.

Raport, który napisali, dawał im nieco spokoju. Teraz przez chwilę, to znaczy dzień czy dwa, nikt z przełożonych nie będzie się wtrącał w ich robotę. Spokój będzie miał też pułkownik Żyto, który o zatrzymaniu podejrzanych poinformuje swoich przełożonych.

Obaj prowadzący śledztwo doszli do wniosku, że trzeba spenetrować rynek filmów video, a więc handlarzy kasetami i organizatorów pokazów, i przyjrzeć się niektórym osobom oglądającym filmy. O ile pierwsze dwie grupy były dość nieliczne, o tyle kinomani stanowili już poważny problem. No, ale kapitan zdawał sobie sprawę, że bez infiltracji tego obszaru nie da się nic zrobić. Na pewno kluczem do całej sprawy był jasny trabant i znalezienie jego właściciela, który w dodatku interesowałby się horrorami. Mogło to, według Marcinkowskiego, dokąś ich zaprowadzić. Chłopaki z drogówki już zajęli się przygotowywaniem listy takich samochodów z Poznania i okolic.

Swoją drogą, myślał Marcinkowski, trzeba mieć naprawdę fart, żeby trafić na tego bezdomnego znad Warty. Ten młody milicjant na pewno może im się jeszcze przydać, bo nie jest to pierwszy lepszy kretyn z ZOMO. Dlatego kapitan natychmiast podjął decyzję o zabraniu go do siebie. Zwłaszcza że wymyślił dla niego już odpowiednie zadanie, którego nie mógłby wykonać ani on, ani Brodziak, nie mówiąc już o Olkiewiczu. Teofil był fajnym kompanem i sumiennym podwładnym, jednak zlecać można mu było tylko proste zadania. W kwestiach intelektualnych z ledwością wiązał koniec z końcem.

Teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że uda się szybko zidentyfikować zwłoki obu kobiet, no i znaleźć pozostałe części ciała. Nad tym pracowali już od kilku godzin milicjanci w całym Poznaniu.

Winda stanęła na dziewiątym piętrze. Fred otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

No i pozostawała jeszcze kwestia tatuażu, myślał Marcinkowski, idąc w stronę drzwi od swojego mieszkania. W Poznaniu na pewno jest ktoś, kto może mi coś na temat

skarabeusza powiedzieć, historyk albo ktoś taki... Zakładając oczywiście, że ten skarabeusz ma jakieś znaczenie i nie jest to tylko robal zrobiony ot tak, dla ozdoby. Cały czas miał jakieś dziwne przeczucie, a ono właściwie nigdy go nie zawodziło, że ten tatuaż dokądś go zaprowadzi.

Włożył klucz do zamka yeti i przekręcił dwa razy w lewo. Drzwi otworzyły się. Wszedł do przedpokoju. W mieszkaniu nikogo nie było. Grażyna pewnie poszła jeszcze po zakupy, pomyślał, bo o tej porze powinna być już w domu. Jego żona pracowała w pobliskiej szkole podstawowej. Uczyla historii. Do pracy chodziła codziennie na ósmą rano, a po lekcjach najczęściej wybierała się na polowanie w pobliskich sklepach. Wracła później do domu obładowana siatkami wypełnionymi tym wszystkim, co udało jej się wystać w kolejkach.

Fred ściągnął buty, po drodze pozbył się też spodni i koszuli. W samych majtkach i skarpetkach poszedł do dużego pokoju włączyć muzykę. Nie znosił ciszy w domu. Podszedł do meblościanki, na której obok telewizora neptun kolor stał sprzęt grający. Wieżę stereo kompletował prawie rok. Najpierw udało mu się kupić od znajomego srebrny wzmacniacz faust i kolumny altusy. Później, po paru miesiącach, prawie cudem dostał w sklepie gminnej spółdzielni na jakimś zadupiu radio trawiata, a magnetofon kasetowy finezja załatwił mu Brodziak. Teraz do pełni szczęścia brakowało mu jeszcze tylko porządnego gramofonu, bo ten, który miał, czerwony plastikowy artur stereo, był sprzętem dość miernej klasy i szkoda było płyt na jego tępą igłę.

Z szuflady wyciągnął stilonowską kasetę z nagraniem Ściany Floydów. Włożył ją do magnetofonu i wcisnął klawisz. Muzyka wypełniła cały pokój.

Podszedł do barku i otworzył uchylne drzwiczki. Zapaliła się niewielka jarzeniówka, która oświetliła mizerną zawartość szafki. Stała tam zaledwie jedna butelka wódki, do połowy opróżniona, i butelka ajerkoniaku, pełna. Z obrzydzeniem spojrzał na żółtą ciecz i sięgnął po flaszkę stołowej. Odkręcił korek i pociągnął spory łyk. Poczuł, jak ciepło rozplywa mu się po gardle. Zamknął barek i położył się na kanapie. Gdy

dziecięcy chór po raz pierwszy zaprotestował przeciwko brytyjskiemu systemowi edukacji, spał już w najlepsze.

Godz. 15.30

Czarna wołga na milicyjnych numerach zatrzymała się pod budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ulicy Czerwonej Armii. Podpułkownik Eugeniusz Żyto wysiadł z samochodu i z szarą teczką pod pachą ruszył w kierunku schodów prowadzących do drzwi budynku. Stał na chwilę i spojrzał w lewo, na plac Mickiewicza. Ilekroć tu przychodził, zawsze przypominał mu się ten czerwcowy dzień sprzed trzydziestu lat, kiedy ulicę przed komitetem wypełniał tłum ludzi. Wraz z kilkudziesięcioma innymi milicjantami był w tym budynku. Mieli chronić towarzyszy z KW, ale sami byli posrani ze strachu. Było tam także kilkunastu ubeków i to chyba jeden z nich nie wytrzymał napięcia i zaczął strzelać do tłumu.

Pułkownik przymknął oczy i wstrząsnął głową, jakby chciał rzucić z siebie koszmar tamtych chwil. Twarze i sylwetki padających ludzi do dziś prześladowały go w najczarniejszych snach.

Dziesiątki razy stawiał sobie pytanie, czy po to wstępował do milicji, obywatelskiej zresztą, by chronić ubeków i aparaczków przed robotnikami, w państwie, w którym rządzić miała klasa robotnicza? Został milicjantem w dzień wyzwolenia Poznania. Parę dni wcześniej zgłosił się do ruskiego oficera, tak jak wielu poznaniaków, i poprosił o karabin. Dostał broń i wraz z dużą grupą Polaków został rzucony do walk o Cytadelę. A później, gdy Szwaby się poddały, wiedział, że to sami Polacy, a nie Ruscy, muszą pilnować porządku w oswobodzonym mieście. Dlatego na pytanie zadane przez polskiego oficera w rogatywce, czy chce wstąpić do milicji, bez wahania odpowiedział – tak.

Tamten czerwiec zdecydował o jego dalszych losach. Nie mógł tak po prostu wystąpić z MO. Postanowił więc zrobić kursy oficerskie i postarać się o pracę w pionie kryminalnym.

Czuł, że to robota, w której naprawdę może się przydać.

Przez lata piał się mozolnie po szczeblach drabiny służbowej, aż Pod koniec lat siedemdziesiątych został szefem. Sam dobierał sobie ludzi do pracy i wiedział, że wyszukał najlepszych. Brodziak i Marcinkowski byli facetami, którym bez zastanowienia mógł powierzyć najtrudniejszą sprawę, mając pewność, że zrobią wszystko, by wsadzić winnego za kratki. Obaj mieli rzadką umiejętność analizowania danych i wyciągania właściwych wniosków. Gdy złapali właściwy trop, nie było już możliwości, by stracili go z oczu. Ta dwójka doskonale się uzupełniała. Marcinkowski zimny i opanowany, typowy analityk; Brodziak, zwykły podwórkowy rozrabiaka, który zawsze wiedział, z kim pogadać albo komu przylać.

Pułkownik nawet nie zauważył, jak znalazł się pod drzwiami biura pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, najważniejszej osoby w województwie. Wszedł do pokoju. Sekretarka, pani Gabrysia, powitała go promiennym uśmiechem. Stało tu potężne biurko z kilkoma telefonami, pod ścianą niewielka szafka, a tuż koło drzwi, dwa fotele i stolik dla gości czekających na audiencję. Z tranzystorowego radia na parapecie cichutko płynęła muzyka. Andrzej Rosiewicz śpiewał piosenkę o chłopcach radarowcach.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku, towarzyszu sekretarz prosił, żebyście chwilę poczekali, bo rozmawia właśnie z Warszawą. Usiądźcie, proszę. Zaparzę wam kawki.

Żyto usiadł w głębokim fotelu. Wziął ze stolika „Trybunę Ludu”, ale nie chciało mu się czytać. Sięgnął po gazetę, żeby głupio nie wyglądać przed sekretarką. Ta już po chwili postawiła przed nim aromatyczną kawę w szklance na szklanym spodeczku.

– To orient – pochwaliła się Gabrysia. – Jest w naszym bufecie, jakby towarzyszu pułkownik chciał, to mogę zadzwonić, żeby przynieśli parę torebek. Żona się na pewno ucieszy.

– A wie pani, że chętnie; prawdziwa orient, mówi pani. U nas w bufecie dają tylko super, ale do orientu to ona się nie umywa. Sekretarka rozpromieniona sięgnęła po słuchawkę telefonu, a on udał, że wraca do lektury.

Kawa orient była nieco tańsza od kawy super, ale prawda była taka, że to właśnie orient była znacznie lepsza, bardziej aromatyczna niż ta o parę złotych droższa. Nic więc dziwnego, że tę lepszą kawę znacznie trudniej było dostać w sklepie. Od pewnego czasu na naszym rynku zaczęły pojawiać się także kawy z Zachodu, przysyłane w paczkach czy przywożone w transportach z darami. Ale nie po raz pierwszy okazywało się, że Polacy najbardziej cenili sobie rodzime wyroby. Pułkownik uśmiechnął się pod nosem na myśl o dzisiejszej naradzie ze swymi podwładnymi. Zdawał sobie sprawę, że dobry dowódca musi przede wszystkim dać popracować swoim ludziom i nie przeszkadzać im. Dlatego na początku śledztwa robił operatywki, wygłaszał parę kretyńskich zdań, żądał wstępnego wyniku w postaci fikcyjnych zatrzymań i spuszczał śledczych ze smyczy. Wiedział, że to bzdury i oni też wiedzieli. Jednak dzięki temu wszyscy byli kryci. On rozpinął nad nimi parasol ochronny w postaci swoich idiotycznych rozkazów, oni dawali mu raport, który był gównem wart, ale tym papierem mógł zatkać gęby towarzyszom z komitetu, wykazać, że śledztwo się toczy, no i już daje pierwsze wyniki. Zwyczajna zasłona dymna, która pozwalała jego oficerom normalnie pracować.

– Towarzysz sekretarz skończył telekonferencję, możecie, towarzyszu pułkowniku, wejść do środka.

Godz. 15.40

Porucznik Jastrzębski kończył już służbę. Siedział w swoim niewielkim pokoiku w koszarach milicji na Taborowej i zastanawiał się, co ma zrobić z dzisiejszym popołudniem. Rozwagał dwie opcje. Albo pójdzie do piwiarni koło swojego domu na osiedlu Kraju Rad, albo kupi piwo w samie spożywczym i wypije w domu. Tak naprawdę niewiele mu się chciało. Czuł się strasznie zmęczony, więc bliższa mu była druga wersja. Z tym, że nie miał pewności, czy piwo będzie w sklepie. Natomiast pierwsza możliwość była znacznie atrakcyjniejsza, bo dawała szansę rozmowy z jakimiś laskami

wpadającymi tam na Piwo z sokiem. Ale to rozwiązanie było, niestety, znacznie bardziej niebezpieczne. Dobrze pamiętał, jak miesiąc temu upił się w barze i chciał Pozamykać te wszystkie elementy antysocjalistyczne siedzące przy sąSiednim stoliku. Elementy w postaci czterech solidnych facetów nie dały mu szansy. Wyniosły go na dwór i sprząły mu mordę. Niestety, nie mógł sobie przypomnieć, kto dokładnie go lał i pięknie zapowiadające się śledztwo utknęło w martwym punkcie. Tym bardziej, że bufetowa zeznała, iż wychodził z lokalu o własnych siłach, nie wspomagany przez siły wrogie publicznemu porządkowi.

Dziś przez całe przedpołudnie porucznik nadzorował na placu apelowym musztrę piątej i szóstej kompanii. Cztery pierwsze pracowały od rana na mieście w związku z jakąś aferą kryminalną. Porucznik miał nawet rano jechać z nimi, ale dobrze wiedział, czym to pachnie i postarał się od tego przykrego obowiązku wymigać. Wysłał więc szefa, sierżanta Nowaka i młodego podporucznika Perczaka, powierzając mu dowództwo nad całością. Sprawa była dość prosta. Wiadomo, że młodych milicjantów wykorzystuje się do szukania jakichś dupereli w miejscach wskazanych przez ekipę dochodzeniową i na takich akcjach można było stracić cały dzień. Dlatego Jastrzębski wyreczył się Perczakiem. Niech się chłopak uczy milicyjnej roboty, zanim trafi na prawdziwą akcję, jak na przykład rozpieprzanie manifestacji Solidarności, myślał porucznik z satysfakcją. Trochę mu było głupio, że musiał włądować w to swojego sierżanta, starego wygę, który doskonale wiedział, w co został wepchnięty, ale służba nie drużba. Nie mógł przecież posłać tego Perczaka samego, bo on, chłopak zaraz po szkole, miałby trudności z samodzielnym trafieniem palcem do tyłka, a co dopiero z rozdysponowaniem zadań czterech kompanii. W takich operacyjnych sprawach konieczny był dobry szef – podoficer, a takim właśnie facetem był Krzychu No-] wak. Świnia jakich mało w stosunku do podwładnych, ale nieoceniony jako organizator prostych, nie wymagających wielkiego polotu zadań.

Jastrzębski właśnie zawiązywał urwaną sznurówkę w lewym

czarnym, nieco sfatygowanym, służbowym półbucie, gdy usłyszał jakieś krzyki dobiegające z korytarza.

– Co tam jest, kurwa? – zaklął pod nosem. Wstał z krzesła i założył niebieską olimpijkę mundurową. Spokojnie pozapinał wszystkie guziki, poprawił półkrawat i ruszył w stronę drzwi. Krzyki nasilały się i już był pewien, że podoficer kretyn ćwiczy jakiegoś kota. W sumie nie była to sprawa do interwencji oficerskiej, ale znudzony oczekiwaniem na koniec służby porucznik postanowił się zainteresować.

Na końcu korytarza, przy ścianie, niemal przylepiony do zgniłozielonej lamperii stał szeregowy. Porucznik poznał go od razu. Był to ten pieprzony myśliciel Blaszkowski. Przed nim podskakiwał i darł się, używając określeń dalekich od ogólnie uznawanych za przyzwoite, o głowę niższy podoficer służbowy, tępy palant Zygmunt Fik. Miał on poważne trudności z wypowiedzeniem choćby jednego zdania, w którym nie znajdowałoby się przynajmniej kilka słów zaczynających się na k. Dlatego koledzy nazywali go Kurfikiem.

Szeregowy stał w postawie zasadniczej i uśmiechał się pod nosem, a Kurfik, widząc tę wyraźną ironię w spojrzeniu kota, wydierał się jeszcze bardziej. Był tak podniecony własną rymstokową tyradą, że nawet nie zauważył, że podszedł do nich oficer.

– Co jest, kapralu? – zapytał cicho Jastrzębski, który już odczuł satysfakcję, widząc nielubianego przez siebie Fika doprowadzonego do pasji. Mimo że i Blaszkowski go denerwował, poczuł teraz do niego coś w rodzaju sympatii za to, że udało mu się doprowadzić kaprała do stanu wrzenia.

Kapral Fik jakby nie od razu zdał sobie sprawę z obecności przełożonego. Jeszcze chwilę spoglądał złym okiem na szeregowego i dopiero po paru sekundach zdołał zebrać myśli. Obrócił się w lewo, stanął na baczność i zameldował.

– Obywatelu poruczniku, Blaszkowski! – wykrzyknął.

– Świetnie, kapralu, dziękuję, że poinformowaliście mnie, z czym albo raczej z kim mam do czynienia – wysyczał cicho Jastrzębski. Fik zrobił się cały czerwony na gębę i przez chwilę wydawało się, że zaraz eksploduje.

– Melduję posłusznie, obywatelu poruczniku, że Blaszkowski tu jest... – próbował ratować się kapral, ale dalej mu nie wychodziło.

~ Znaczący się, przyszedł tu sam.. On jest tutaj, a jest sam, a nie tam... Porucznik już dawno zrozumiał, o co chodzi podoficerowi, ale dalej spokojnie czekał na wyjaśnienia z zimną, sadystyczną obojętnością kucharza spoglądającego na kraba przed wrzuceniem go do wrzątku.

– On, melduję, obywatelu poruczniku, opuścił miejsce postoju, znaczący się uciekł, w sytuacji, gdy jego kompania przeszukuje, to znaczący się wykonuje... Wyszłem na korytarz, a on se idzie... tu...

– Chcecie powiedzieć – przerwał mu wreszcie zniecierpliwiony oficer – że samodzielnie oddalił się z miejsca, w którym zgodnie z rozkazem jego kompania wykonuje zadanie operacyjne? – dokończył z jadowitą grzecznością porucznik.

– Dokładnie melduję, że tak się rzeczy mają, obywatelu poruczniku, a ten złamaniec na dodatek nic nie gada i jeszcze beczelnie chce się widzieć z obywatelem porucznikiem – odpowiedział kapral Fik uradowany, że wreszcie mu się udało.

– A to ciekawe – uśmiechnął się Jastrzębski, pozostawiając kurdupla Fika samemu sobie i robiąc krok w stronę Blaszkowskiego. – I co wy na to, szeregowy? – uśmiechnął się porucznik, robiąc przy tym wyćwiczoną i wypróbowaną już nie raz minę, jakby chciał żywcem pożreć młodego milicjanta.

– Melduję posłusznie, obywatelu poruczniku, że od dziś, od godziny 14.15, jestem przydzielony do grupy dochodzeniowej kapitana Marcinkowskiego z Komendy Wojewódzkiej. Obywatel kapitan kazał mi się zameldować u obywatela porucznika i przekazać, że mam dziś zostać zwolniony z zajęć, a jutro rano zameldować się na komendzie, w pokoju 114. Rozkaz, zgodnie z poleceniem kapitana Marcinkowskiego, ma obowiązywać od zaraz.

Kapral Fik zrobił minę, jakby miał się zaraz rozplakać. Czuł, że dał dupy na całej linii.

– No to na chuj tu stoicie, zamiast meldować się u mnie?

– Kiedy melduję, że chciałem, ale obywatel kapral nie dał mi

szansy...

– Fik, spierdalajcie mi z oczu! – krzyknął porucznik, a nim jego polecenie zdążyło wybrzmieć na korytarzu, po nadgorliwym podoficerze, kapralu Kurfiku, nie było już śladu.

– To mówisz, że zwolniony z zajęć, a jutro na KW. Jak rozkaz to rozkaz – rozpromienił się porucznik, który już znalazł rozwiązanie problemu godne Clausewitza, które pozwalało mu wyjść z twarzą z tak wyraźnego wtrącania się w jego dowódcze kompetencje przez jakiegoś kapitana z komendy. – Zameldujecie się w kuchni u sierżanta Oborniaka i pomożecie mu trochę w myciu garów. Koniec dyżuru po kolacji. Jak się uwiniecie, to już koło dwudziestej trzeciej macie luz. A rano do pracy zgodnie z rozkazem. No i zajęciami się nie przejmujcie, poradzimy sobie bez was, Blaszkowski. Nadrobicie to później.

Godz. 15.45

– No to znaczy, że nasza Milicja Obywatelska stanęła na wysokości zadania. Jak tak dalej pójdzie, to ani się obejrzymy, a przestępca trafi za kratki, co, towarzyszu pułkowniku?

Szczupły mężczyzna w rogowych okularach podniósł wzrok znad papierów i uśmiechnął się do łysego milicjanta. Zza jego pleców, z obrazu w złożonych ramach, spoglądał zamyślony Włodzimierz Iljicz Lenin w krawacie w groszki.

– Mam taką nadzieję, towarzyszu sekretarzu – odpowiedział spokojnie Żyto.

– Widzę, że działacie nadzwyczaj sprawnie. Podejrzani siedzą już w kilka godzin po dokonaniu morderstwa. Swoją drogą, jak wy, towarzyszu pułkowniku, myślicie, czy na Zachodzie też mają taki sprawny system, jeśli chodzi o ściganie przestępców? Ale powiedzcie tak szczerze, co myślicie?

Pułkownik podrapał się w czubek łysej głowy, udając, że się zastanawia, jednak odpowiedź miał już od dawna przygotowaną.

– Ja myślę, towarzyszu sekretarzu, że jednak nie.

– A dlaczego tak sądzicie? – zainteresował się sekretarz.

– To proste, oni opierają się przede wszystkim na technice, a my na ludziach i wypróbowanych zespołach ludzi. W tym nasza siła. Technika, towarzyszu sekretarzu, nie zastąpi myślącego człowieka.

– O właśnie, słuszne spostrzeżenie, bardzo słuszne spostrzeżenie, pułkowniku. Naszą siłą są nasi ludzie. Świetnie to ujęliście. Ludzie Przede wszystkim. Bo bez żelaznej woli i wspólnej dążności do celu moglibyśmy sobie tę technikę wstawić do... muzeum. Liczy się przede wszystkim praca, i to kolektywna praca, doskonale przygotowanych jednostek. A ten ich Columbo, to taka propaganda dla zamydlenia prawdziwego obrazu szarej rzeczywistości.

– To tylko film, towarzyszu sekretarzu – zauważył pułkownik.

– No, właśnie mówię, propaganda, ale da się pooglądać. A wracając do sedna kwestii, to w związku z tą sprawą musimy teraz podjąć wspólnie decyzję. Chodzi, wiecie, o odbiór społeczny tego, co tam nad Wartą się wydarzyło. Jeśli o mnie chodzi, to wiecie, że ja bym niepotrzebnie nie chciał niepokoić społeczeństwa. Ale skoro kwestia już i tak wypłynęła, bo są świadkowie i elementy niepożądane w postaci gapiów, to my nie możemy nabrać wody w usta i społeczeństwu należy się informacja. Co wy o tym myślicie? – tu sekretarz spojrzał wymownie na pułkownika.

– Towarzyszu sekretarzu, ja jestem od roboty, a wy od myślenia – próbował wybrnąć milicjant. Przywalił mi tymi gapiami, skurwiel, pomyślał pułkownik, znaczy organizacja do dupy, chciał mi dać do zrozumienia, ale w takim miejscu trudno, żeby nie było ludzi. Następnym razem poprosimy mordercę, żeby wybrał bardziej ustronne miejsce.

Żyto spojrzał hardo w oczy sekretarzowi, a ten natychmiast uciekł ze spojrzeniem pod swoje biurko.

– To prawda, nie dało się tego ukryć i ludzie musieli coś zauważyć, dlatego trzeba puścić jakiś komunikat, który by, jeśli to możliwe, pomógł, a nie zaszkodził. – powiedział Żyto.

– O, właśnie, też tak myślę, pułkowniku, niech pomoże, a nie szkodzi. Więc o czym myślicie? – zainteresował się pierwszy zbierając resztki zakłopotania z podłogi. – Trzeba by, wiecie,

towarzyszu pułkowniku, uciąć łeb wszelkim spekulacjom i plotkom, bo z tego, co do nas dochodzi, to obywatele mówią już w całym mieście o znalezieniu zwłok.

– Wydaje mi się, że sprawa jest prosta. Należy w gazecie dać informację, że wyłowiono zwłoki z Warty i że przyczyna śmierci to najprawdopodobniej utonięcie. Ucinamy w ten sposób spekulacje o obciętej głowie. Jednocześnie dajmy prośbę, by każdy, kto coś zauważył, niech się zgłosi na milicję.

– Tak też zrobimy – zawyrokował najwyższy partyjny autorytet Wielkopolski i podniósł słuchawkę telefonu.

– Pani Gabrysiu, niech pani zadzwoni do redakcji „Expressu Poznańskiego” i powie, żeby przyleciał tu ten redaktor Marian Kapica, i poproście jeszcze do mnie towarzysza Jaszczę z wydziału propagandy.

Pierwszy sekretarz KW odłożył słuchawkę telefonu i mrugnął do pułkownika.

– Jaszcz jest u nas od niedawna, przeszedł z ZSMP, ale widać, że chłopak ma polot, pomoże nam zredagować komunikat. A ten Kapica to ideowy towarzysz, napisze wszystko, co mu każemy, to znaczy prześlemy.

Godz. 17.15

Chudy jak szczapa rudzielec z lewej, zgrabna czarnowłosa dziewczyna o semickich rysach w środku i pucołowaty potężny grubas z prawej. Obaj chłopcy obejmują dziewczynę, a ich dłonie znikają gdzieś w okolicach jej pleców i nieśmiało manipulują obok pośladków. Ona rozkłada ramiona i wspiera się na ich barkach. Chłopcy są w kąpielówkach, a dziewczyna w jednoczęściowym stroju kąpielowym. Cała trójka radośnie uśmiecha się wpatrzeni w obiektyw aparatu smiena, który za chwilę zrobi im zdjęcie. Stoją na plaży nad Rusalką. Za ich plecami widać kąpiące się dzieci, a w oddali na wodzie faceta ze śmiesznymi bokobrodami, w kajaku, z wiosłem w rękach.

Właśnie skończyli szkołę podstawową. Wszyscy mają po piętnaście lat. Przed nimi nieodgadniona przyszłość, dorosły

świat, z którym dopiero przyjdzie im się zmierzyć.

Gruby Rychu został podejrzanym typem, Mirek podejrzliwym szkierem, a ona, teraz kelnerka z restauracji Turystyczna, nadal kocha ich obu.

Mieszka w trzypiętrowej kamienicy na Żydowskiej, w dwupokojowym mieszkaniu z mikroskopijną kuchnią. Okna wychodzą na ulicę Wielką, ale widać też stąd spory kawałek Starego Rynku.

Brodziak bywał tu dość często. Nie tak jednak często, jakby sobie tego życzył. Gdyby to od niego zależało, dawno już by tu przyniósł swoją szczoteczkę do zębów. Lecz ilekroć próbował podjąć ten temat, zawsze spotykał się z twardym sprzeciwem. Miał czasami wrażenie, że ona w dalszym ciągu zastanawia się, którego z tej dwójki na fotografii wybrać. Rudego czy Grubego?

Wsparta na kartonowej nóżce, czarno-biała niewielka fotografia jest oprawiona w drewnianą ramkę ze szkłem. To jedyna, obok kryształowego wazonika, ozdoba stojąca na przedwojennej dębowej szafonierce. Oba przedmioty odbijają się w lusterku osadzonym w zwieńczeniu szafki. Mirek dostrzega w nim najpierw bibeloty, później swoją brodę i czarne oczy Marzeny.

– Znowu się gapisz na tę fotkę. Zostaw to i chodź do stolika. Już masz kawę.

Brodziak odwraca się i widzi, jak dziewczyna siada na bordowym tapczanie, opierając rękę na poduszce leżącej na zagłówku. Patrzy na jej kolana i smukłe nogi. Ona chwyta jego spojrzenie i oboje już wiedzą, że picie kawy jest tylko pretekstem.

– Wiesz, widziałem się dzisiaj z Rychem.

– I co tam u niego? – zainteresowała się. – Dalej pracuje w POM-ie?

– Jakim POM-ie? – zdziwił się Brodziak.

– Nie słyszałeś tego? – zaśmiała się Marzena. Pom w jego wykonaniu to nie Państwowy Ośrodek Maszynowy. Rysiu mnie oświecił jakiś czas temu, jak spotkaliśmy się na Masztalarskiej. Zapytałam go tak zwyczajnie, co słyszać, a on na to, że robi teraz w Pomach. A jak zrobiłam głupią minę, to mi wyjaśnił, że

POM to znaczy Powolny Obchód Miasta.

– Ten to jest zgrywus! – zaśmiał się Mirek, siadając na tapczanie obok Marzeny. Wszyscy mówią na niego Gruby Rychu, a dla niej to jest ciągle Rysiu, pomyślał z odrobiną irytacji.

– Ludzie się tak bardzo nie zmieniają – zauważyła dziewczyna.

– Zawsze lubił żartować i ciągle jest taki sam. A pamiętasz, jak w szkole wypuścił na lekcji myszy. Ta jędra Terlikowska od matmy mało nie dostała wtedy zawału. Do dziś nie mogę zapomnieć, jak wskoczyła na krzesło i zaczęła krzyczeć. I wszędzie te myszy. Było ich chyba ze sto.

– Dokładnie osiemdziesiąt siedem.

– Skąd wiesz? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Hodowaliśmy je w metalowej beczce przez cztery miesiące.

– Co ty gadasz? – zdziwiła się Marzena. – I nic mi nie powiedzieliście?

– Dokładnie to było tak – wyjaśnił Mirek. – Najpierw znaleźliśmy tę beczkę. To była jakaś ruska beczka po ropie albo po innym świństwie. Leżała w naszej piwnicy. Łaziliśmy tam, szukając z Rychem skarbów i trafiliśmy na nią. Leżała przewrócona i przykryta jakimiś klonkrami. Jak ją podnieśliśmy, to zajrzeliśmy do środka. Patrzymy, a tam na dnie lata kilka myszy, które uwięziliśmy. Jak ta beczka stanęła pionowo, to one nie miały szansy z niej wyjść. Postanowiliśmy założyć hodowlę. Przynosiliśmy im codziennie jedzenie, jakieś resztki, suchy chleb i wrzucaliśmy to do środka. Miały tyle żarcia, że nic, tylko się rozmnażać. I rozmnażały się jak głupie. Zastanawialiśmy się, co z nimi zrobić i wtedy wymyśliłem, że można by je wypuścić na matmie, bo wszyscy wiedzieli, że Terlikowska panicznie boi się myszy.

– To ty wymyśliłeś ten numer? – spojrzała na niego z niedowierzaniem. – A ja cały czas myślałam, że to Rysiu.

– Pomysł był mój, ale wykonanie wspólne. Wydobyliśmy je podbierakiem wędkarskim Rycha starego, wsadziliśmy do worka po pyrach i do tornistra. A dalej już sprawa była prosta. – Spojrzał na nią z tą łobuzerską iskrą w oczach, tą samą, którą odkryła już bardzo dawno temu, jeszcze w szkole podstawowej.

– Ludzie się tak bardzo nie zmieniają, pomyślała i przejechała palcami po jego rudej czuprynie. Mirek chwycił tę rękę i delikatnie przyciągnął Marzenę do siebie.

W dupie mam dzisiaj śledztwo, łącznie z całą Milicją Obywatelską, zdążył jeszcze pomyśleć, a zaraz potem przestał myśleć.

Godz. 17. 50

Jola Sztajner, niewysoka szczupła blondynka, prawie godzinę temu przyjechała z Rawicza do Poznania. Niezbyt dobrze знаła to miasto, ale wierzyła, że wkrótce to się zmieni. Dziewczyna właśnie zdała maturę i teraz szykowała się do egzaminów wstępnych w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Chciała studiować wychowanie plastyczne i wierzyła, że wkrótce stanie się prawdziwą poznanianką. Przywiozła ze sobą wszystkie niezbędne dokumenty, które należało złożyć w uczelnianej komisji rekrutacyjnej. Dziś na składanie papierów było już za późno, ale Jola nie miała zamiaru lecieć od razu do swojej przyszłej szkoły.

Do dziekanatu chciała się wybrać jutro rano. Dziś miała się spotkać ze swoją koleżanką z Rawicza. Umówiła się z nią w Horteksie.

Małgosia Witkowska, studentka historii, mieszkała w akademiku. Dziewczyny przyjaźniły się od wielu lat, nic więc dziwnego, że gdy jakieś dwa tygodnie temu studentka przyjechała odwiedzić rodziców w Rawiczu, spotkała się też z młodszą o dwa lata koleżanką. Obie postanowiły, że Jola przyjedzie do Poznania w poniedziałek, spotkają się w Horteksie, bo to najbliższej Dworca Zachodniego, a później pojedą do akademika. Następnego dnia obie pójdą do dziekanatu PWSSP i złożą papiery Jolki.

Jola już pół godziny siedziała przy stoliku, czekając na koleżankę. Była coraz bardziej zniecierpliwiona. Zdążyła zjeść deser Ambrozja, wypić koktajl truskawkowy i kawę, przeczytać informację, że „Książka skarg i wniosków znajduje się u kierownika ” oraz że kobiety w ciąży, renciści i emeryci oraz

osoby mundurowe na służbie obsługiwane są poza kolejnością", a Gochy dalej nie było. O tej porze w barze panował umiarkowany ruch. Przed dużą ladą chłodniczą, w której wyeksponowano kremowo-lodowe horteksowskie desery, stała zaledwie pięcioosobowa kolejka, a w dużej sali barowej zajęte były tylko cztery stoliki. W powietrzu unosił się delikatny zapach galaretki owocowej i wody kolońskiej przemysławka.

Któraś z dziewczyn pracujących w bufecie była zapewne miłośniczką dobrej zabawy w dyskotecę, bo już po raz piąty w ciągu 10 minut z niewielkiego głośnika podłączonego do radiomagnetofonu kasprzak leciała piosenka duetu Modern Talking You 're my hart, you 're My SOUL Jolka z uwagą przyglądała się wszystkim gościom w nadziei, że jej koleżanka siedzi w jakimś zakamarku. Oczywiście, nie miało to sensu, bo wszyscy ci, którzy byli w tej chwili w Horteksie, weszli tu już po jej przyjściu.

To niemożliwe, żeby zapomniała, denerwowała się dziewczyna.

Dwa tygodnie temu umawialiśmy się na mur beton. Później wysłałam jej jeszcze kartkę do akademika z potwierdzeniem, że na pewno dziś będę, więc nie mogła o mnie zapomnieć. Wczoraj, co prawda, próbowała się jeszcze dodzwonić do koleżanki do domu studenckiego. Dostała nawet połączenie z portiernią ale po półgodzinnym oczekiwaniu okazało się, że dziewczyny nie ma w akademiku. Trochę ją to zaniepokoiło, no, ale w końcu wiadomo było, że Gośka może mieć swoje sprawy i niekoniecznie musi siedzieć wieczorem w pokoju.

Dziewczyny umówiły się na wpół do szóstej, a tu dochodziła już szósta i wszystko wskazywało na to, że ta małpa Gocha albo zapomniała, albo z jakiegoś ważnego powodu nie mogła przyjechać. Jolka postanowiła, działać. Skoro ona nie przyjechała, to ja jadę do niej, zdecydowała. Wstała od stolika i podeszła do bufetowej, młodej dziewczyny w białym fartuchu i czepku ze znaczkiem Hortex.

– Przepraszam panią czy może mi pani powiedzieć, jak mam dojechać do akademika na Obornickiej? On się nazywa „Jagienka”.

– To tam, gdzie jest Cicibór – uśmiechnęła się sprzedawczyni, ukazując niepełny rząd popsutych zębów. Zapewne te braki były przyczyną lekkiego seplenienia, które nie przeszkadzało jej jednak w obsłudze klientów baru.

– Tam są fajne dyski w soboty, da się podylać nieźle – dodała – Najlepiej, jak wsiądziesz w autobus 71 pod Izbą Zemieślnicą, to niedaleko, napseciw dworca PKS, i tym autobusem dojedziesz na Obornicką prawie pod akademiki. Najlepiej jak pójdziesz na Dwozec zachodni, psejdziesz tunelem do głównego, potem wejdź na most Dworcowy i idź w stronę dworca PKS.

– Dziękuję – powiedziała Jola i wyszła na ulicę. Marny twój los, jak cię dopadnę w tym twoim akademiku, pomyślała ze złością o niesłownej koleżance, i ruszyła w stronę PKP.

Godz. 18.30

Marzena wstała z kanapy i poszła w stronę kuchni. Mirek patrzył w ślad za nią, z przyjemnością oceniając kształt jej gołych pośladków. Mógłby tak patrzeć i podziwiać harmonijną budowę ciała całymi godzinami. Jednak odsłona tego spektaklu trwała zaledwie parę sekund. Dziewczyna zniknęła w kuchni.

Rozejrzał się po pokoju. To mieszkanie niewiele zmieniło się od czasów, kiedy bywał tu za szczona. Kiedyś nie było tu kanapotapczanu, dwóch foteli i ławy. Stał za to solidny dębowy stół i sześć krzeseł. Tu dawniej toczyło się życie rodzinne. Zastąpiła je nietrwała nowoczesność ze Swarzędzskich Fabryk Mebli – komplet wypoczynkowy senator. Pamiętał, jak namęczył się jakiś czas temu, by ten zabytkowy mebel wynieść z domu, gdy Marzena kupiła sobie nowoczesne meble. Stół i krzesła długo walczyły o przetrwanie i musiał włożyć wiele wysiłku, zanim porąbał je na kawałki nadające się do spalenia. Nowoczesny komplet po zaledwie paru latach używania wyglądał tak, jakby miał się sam za chwilę rozlecieć. I tylko przy głównej ścianie stała dębowa, przedwojenna witryna wypełniona książkami, a na ścianie wisiał stary oleodruk w

solidnych dębowych ramach przedstawiający księcia Józefa skaczącego przez Elsterę.

– Chcesz herbaty? – zapytała zza koralikowej, tandetnej zasłony oddzielającej kuchnię od pokoju.

– To zależy, jaką masz – odpowiedział Brodziak, tylko po to, żeby odpowiedzieć cokolwiek i nie być posądzonym o niegrzeczność. Wcale nie chciało mu się herbaty. Napiłby się piwa albo czegoś mocniejszego, ale wiedział, że Marzena nie ma zwyczaju trzymania alkoholu w domu.

– Jak to, jaką? – zdziwiła się. – No, normalną, madras, a jaką miałabym mieć? A może masz ochotę na piwo? – Wyrzała z kuchni i spojrzała na leżącego na tapczanie Mirka.

– No nie, dziewczyno, jasne, że chcę piwa. Ty chyba czytasz w moich myślach.

– Bo wiesz, jak wracałam dziś z pracy, to weszłam do sklepu spożywczego, bo mówili wszędzie, że od dzisiaj mają się skończyć w Poznaniu kłopoty z tłuszczami, to jest z masłem, margaryną, i że bez problemów będzie to można dostać.

– I co, było masło? – zainteresował się Brodziak.

– No właśnie, było masło bez żadnej kolejki i bez kartek, a sprzedawczyni powiedziała, że teraz ma już być zawsze, tak jej powiedzieli w PSS-ach. No i powiedziała jeszcze, że ma piwo poznańskie pasteryzowane, ale to już tylko dla znajomych, więc głupio mi było nie wziąć paru butelek, to kupiłam masło i piwo.

Zegar na ratuszu zabił dwa razy. Mirek wstał i podszedł do okna.

Mimo że było już późno, kilku robotników uwijało się przy sporej dziurze koło antykwariatu. Śpieszyli się, bo niedługo miały zacząć się targi i Jarmark Świętojański, więc najbardziej reprezentacyjna część miasta nie mogła straszyć ogromnym wykopem. To chyba w ostatnią sobotę pękła tu rura i sporą część Rynku zalała woda. Potop opanowano dość szybko, ale w dziurze nadal grzebali robotnicy.

Podszedł do niewielkiej komody, na której stał czarno-biały stary telewizor neptun, a obok niego odbiornik tranzystorowy jola. Włączył przycisk. Niezbyt lubił jazz, lekko zirytował się więc, gdy usłyszał swingujące dźwięki wydobywające się z

radia. Spojrzał na czerwoną strzałkę na skali. No tak, to przecież pierwszy program. Marzena zawsze miała radio ustawione na jedynkę. Ona zupełnie nie zwracała uwagi na to, jaka muzyka leci w radiu. Ważne było, żeby coś tam grało i tyle. A jedynki słuchała, bo jak mówiła, tu dają Matysiaków, a ona na tym radiowym serialu się wychowała. Pokręcił Podłużnym walcem regulacji fal. Jezu jak się cieszę z tych króciutkich Wskrzeszeń – zaśpiewał Klaus Mittwoch i Mirek już wiedział, że nastawił na Trójkę.

– Dawno nie piłem normalnego poznańskiego piwa. Najczęściej, jeśli już jest w sklepie, to niepasteryzowane – powiedział, gdy usłyszał syk po otwarciu butelki. – Fajnie, że kupiłaś. Trzeba było wstawić do lodówki.

– A co ty myślisz, że ja jestem glapami filtrowana? Schłodzone jak się należy.

Zajrzał do kuchni, ale nie wchodził do środka. Chciał tylko spojrzeć na nią. Zobaczył jej gołe ramiona i coś mu przyszło do głowy.

– Ty, kto se robi tatuaże?

– Złodzieje i kurwy – odpowiedziała Marzena.

Wrócił do pokoju i zamyślony opadł na fotel. W mieszkaniu rozszedł się aromatyczny zapach świeżo zaparzonej herbaty. Plastikowe zasłonki rozchyliły się i naga, czarnowłosa Wenus weszła do pokoju z tacą, na której stała szklanka z herbatą, kufel z grubego szkła i butelka poznańskiego pasteryzowanego po czterdzieści pięć złotych plus zastaw, najlepszego na rynku jasnego piwa. Podeszła do niskiej ławy i ustawiła wszystko na blacie z fachową sprawnością kelnerki. Kurde, zielona, pomyślał Brodziak spoglądając na butelkę.

Godz. 19.05

Na ławce przed akademikiem „Jagienka”, na wprost okien biura klubu studenckiego Cicibór, siedziało trzech radosnych studentów. Pili dobre, tanie wino z pobliskiego sklepu. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że to nie pierwsza tego

dnia opróżniana przez nich butelka. Mieli powód do radości, bo w ubiegłym tygodniu zakończyli sesję letnią i właśnie jutro rozjeżdżali się na wakacje. Huczne pożegnanie trwało już czwarty dzień. Akademiki powoli pustoszały. Poznań był jedynym akademickim miastem w Polsce, w którym sesje egzaminacyjne kończyły się w maju, a nie w czerwcu. Tutaj przed Międzynarodowymi Targami Poznańskimi większość domów studenckich zamieniano na hotele dla gości targowych. Jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych uczestnicy targów rzeczywiście chętnie korzystali z takiej oferty. Teraz czasy się zmieniły i rosły również wymagania przedstawicieli firm. Goście chcieli komfortu, a tego nie mogły zapewnić im siermiężnie wyposażone akademiki z łazienkami na korytarzach i z rozlatującymi się meblami w pokojach. Wybierali więc coraz bardziej zbliżające się do europejskich norm hotele albo prywatne kwatery w luksusowo urządzonych mieszkaniach czy willach. Dlatego chętnych do mieszkania w czasie targów w akademikach było coraz mniej, ale tradycja wcześniejszego o miesiąc końca roku akademickiego trwała w najlepsze i nikt nie myślał, by cokolwiek tu zmieniać.

– Patrzcie, panowie – powiedział dość niewyraźnie szczupły blondyn w okularach. – Idzie tu jakiś nowy towar do przerobu – zauważył, dostrzegając nieznaną sobie dziewczynę.

– Trochę za wcześnie na egzaminy wstępne – zażartował jego kolega, półnagi dryblas w krótkich spodenkach i bez koszulki.

Trzeci student, drobny brodac, chciał coś powiedzieć, ale nie udało mu się, więc tylko zaśmiał się głośno.

– Może koleżanka zdegustuje nieco boskiej ambrozji? – blondyn wyciągnął rękę z jablem w stronę dziewczyny, gdy ta była tuż obok ich ławki.

Wszyscy trzej roześmiali się jak na komendę z dobrego – ich zdaniem – żartu, ale dziewczyna nie zareagowała, przyspieszyła kroku i poszła w stronę wejścia do akademika.

– Ale fajna sarenka – powiedział brodaty, któremu wreszcie udało się wyartykułować myśl.

Sarenka Jola weszła do holu i podeszła do portierni, w której

na fotelu siedziała pulchna kobieta pod sześćdziesiątkę. Robiła na drutach wełniany szalik albo coś innego, równie ciepłego.

– Dzień dobry – powiedziała Jola, nachylając się do okienka.

– Dobry – odburknęła kobieta, nie przerywając robótki i nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem.

– Proszę pani, ja przyjechałam do mojej kuzynki – skłamała od razu na wstępie z tą kuzynką, bo tak ją poinstruowała już wcześniej Gośka, żeby nie było problemów z wejściem.

– Nazwisko i numer pokoju – warknęła baba, zła, że ktoś ośmiela się zakłócić jej pasjonujące zajęcie.

– Małgosia Witkowska, pokój 512.

– Nie ma, klucz jest w przegródce, znaczy się, że wyszła albo co.

– A nie mówiła, kiedy wróci, jakieś kartki nie zostawiła dla mnie? – zapytała nieśmiało Jola.

– Mnie się nie spowiadała – sapnęła coraz bardziej znieczierpliwiona kobieta. – A kartki żadnej nie ma.

– A czy ja tu mogę na nią poczekać?

– Tam na fotelach możesz czekać. – Ruchem głowy wskazała rząd foteli stojących przy ścianie koło tablicy ogłoszeń. – Ale legitymację trzeba zostawić.

Dziewczyna położyła na półce pod okienkiem portierni swoją niewielką zieloną torbę. Z bocznej kieszonki wyjęła portfel, a z niego legitymację uczniowską. Podała dokument portierce, która niezadowolona podeszła do okienka. Wzięła legitymację i wsunęła w przegródkę obok klucza do pokoju 512, po czym bez słowa wróciła na fotel.

A co będzie, jeśli ona nie przyjdzie dziś wcale? Może gdzieś wyjechała, zastanawiała się coraz bardziej zdenerwowana Jolka. Co to wszystko może znaczyć? Jak ona mogła zrobić mnie tak w balona? Przecież wie, jak ważny jest dla mnie ten przyjazd. Co mam robić? Jechać z powrotem do domu i przyjechać jutro? Rozpacz powoli zaczęła przemieniać się we wściekłość. Gdyby teraz drzwi do akademika otworzyły się i stanęłyby w nich Gocha, to chyba bym ją zabiła, pomyślała zła jak lichy dziewczyna.

Ale Gośka nie stanęła w drzwiach, za to w drzwiach do portierni stanęła gruba i niesympatyczna portierka. Podeszła

do dziewczyny, trzymając coś w ręce.

– Ta Witkowska z 512, to jej chyba już nie ma od kilku dni, bo ja se przypomniałam, że na poprzednim dyżurze wkładałam do jej przegródki kartkę. To znaczy się było w zeszłym tygodniu i ona jeszcze nie odebrała tego. – Kobieta pokazała trzymaną w ręce pocztówkę. Pocztówkę z Rawicza, wysłaną tydzień temu przez Jolę.

Godz. 20.10

Grażyna weszła do mieszkania i od razu natknęła się na ciuchy porozrzucane na korytarzu. Pozbierała z podłogi spodnie, marynarkę i koszulę, i wszystko to powiesiła na krześle w sypialni. Potem wróciła do przedpokoju, zabrała siatki z zakupami i poszła do kuchni. Nie wchodziła do dużego pokoju, bo wiedziała, że Fred śpi w najlepsze. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że dziś nie będzie już żadnego wspólnego wieczoru. On już się nie obudzi i prześpi noc na kanapie, a ona pójdzie za chwilę położyć się w sypialni. Zresztą nawet i tu słyszała jego chrapliwy oddech. Znak, że jest kompletnie wykończony.

Niewielka kuchnia była urządzona w sposób nie odbiegający od norm narzuconych obywatelom przez socjalistyczne państwo. Trzy wiszące białe szafki, pod nimi trzy stojące, brązowy blat kuchenny, piec, dwukomorowy zlewozmywak i duża lodówka polar, która była przejawem prawdziwego luksusu. Udało się ją kupić dzięki znajomościom Brodziaka. Przy takich poważnych zakupach jego pomoc była nieoceniona. Facet potrafił załatwić dosłownie wszystko.

Pod ścianą po lewej stronie od wejścia, stał niewielki prostokątny stół, a przy nim narożnik do siedzenia.

Grażyna położyła siatki z zakupami na stole i usiadła. Była tak zmęczona, że nawet nie chciało jej się wypakować zakupów. Ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Do lodówki trafiło masło, żółty ser, kawałek szynki i kielbasy z kartkowego przydziału, dżem i kilka puszek mielonki turystycznej, którą sprzedawano bez

kartek. Prócz tego kupiła mąkę, kaszę, ryż i dwa kilo cukru. W końcu zaczynał się miesiąc i można było wreszcie zrealizować kartkowy przydział. Zakupy zrobiła zaraz po lekcjach w kilku osiedlowych sklepach. Przyszła z tym wszystkim do domu i okazało się, że winda nie działa, więc zostawiła siatki u sąsiadów na parterze, bo nie miała ochoty wspinać się objuczona ciężarami na dziewiąte piętro.

Po południu miała umówioną wizytę u ginekologa w szpitalu na Spornej. Bała się tej wizyty i tego, co powie jej lekarz. Przed tygodniem zrobiła sobie wszystkie badania i teraz czekała na ostateczną diagnozę jak na wyrok.

– Muszę pani powiedzieć, że nie widzę najmniejszych przeszkód, by mogła pani zająć w ciążę –jeszcze teraz dźwięczały jej w uszach słowa doktora Pawlaka.

Stojąc przed otwartą lodówką wreszcie zdała sobie sprawę z tego, co to wszystko oznaczało. Ten mały pokój, który od chwili, kiedy się tu wprowadzili, był cały czas nieumeblowany, może już wkrótce ożyć. Całe to puste mieszkanie wypełni się życiem. Oparła głowę o lodówkę i zaczęła płakać. Oczywiście pod warunkiem, że będę się kiedyś jeszcze widzieć z moim mężem. Zamknęła drzwi od lodówki, starła wierzchem dłoni załzawione oczy i poszła się wykąpać.

Była w przedpokoju i już chciała otworzyć białe drzwi do łazienki, gdy nagle coś zaświtało jej w głowie.

– Nie, nic z tego! Nie mam zamiaru przeżywać tego sama! – mruknęła pod nosem i ruszyła do pokoju, w którym spał Fred. Zapaliła światło, podeszła do szafki ze sprzętem muzycznym i włączyła radio. Nie musiała niczego szukać na skali. I tak ustawione było na Trójkę. Supertramp, zdziwiła się, słysząc głos Rogera Hodgsona ulubionego wokalisty jej męża. No to będzie miał miłe przebudzenie. Przekreśliła solidną gałkę potencjometru w prawo. Dont leave me now wypełniło cały pokój.

– Jezu, jestem w niebie – odezwał się facet śpiący na tapczanie.

– Jeszcze nie, ale za chwilę będziesz – odpowiedziała mu Grażyna, zdejmując jednocześnie lekką, bawełnianą sukienkę madę in India.

ROZDZIAŁ IV

Wtorek, 4 czerwca

Godz. 8.00

Teofil Olkiewicz siedział w pokoju przesłuchań na Chłapowskiego i jadł śniadanie. Żona Jadwiga przygotowała mu do pracy sznytki z salcesonem i leberką. Na początek wybrał te z salcesonem. Wyjął chleb z papieru i rozłożył na talerzu równiutko pokrojone kanapki. Ze skórzanej torby wyciągnął plastikowy termos i nalał pełny kubek kawy zbożowej z mlekiem. W torbie miał jeszcze małą, płaską metalową butelczynę, do której wczoraj przelał sobie trochę wódeczki. Piersiówkę ozdobioną wygrawerowanym obrazkiem przedstawiającym niedźwiadka Miskę i pięć olimpijskich kół z Igrzysk w Moskwie przywiózł mu z wycieczki do Związku Radzieckiego jego szwagier, kolejarz. Spojrzał na grubego misia i uśmiechnął się na wspomnienie, jak to podczas tej pseudoolimpiady nasz Kozakiewicz pokazał Roskom wała. Tym jednym gestem sprawił, że od razu pokochała go cała Polska. Piersiówka była przydatnym podarunkiem, z którego Olkiewicz korzystał bardzo często, a właściwie niemal codziennie. Dziś oczywiście zabrał tę flaszkę ze sobą, bo wiedział, że dzień zacznie od nudnych przesłuchań na obcym terenie, więc musiał być przygotowany na ssanie w żołądku.

Chłopakowi, który pełnił służbę, kazał przyprowadzić pierwszą z zatrzymanych osób o ósmej piętnaście. Miał jeszcze trochę czasu. Spokojnie zjadł cztery kanapki, popijając je kawą, okruszki zgarnął ręką na podłogę, a później butem wsunął pod biurko. Teraz sięgnął po piersiówkę i pociągnął niewielki łysek. Co prawda, nic go jeszcze nie ssalo, ale po stanowił tym pierwszym dziś łykiem zabezpieczyć się na wszelki wypadek. Spojrzał na ręczny zegarek radziecki marki Poljot na mocno

sfatygowanym pasku ze sztucznej skóry. Było dokładnie osiem po ósmej.

Miał więc jeszcze chwilkę. Wyciągnął z teczki zestaw fotografii, które wczoraj dał mu porucznik i ułożył je na skraju biurka po stronie bliższej przesłuchiwanemu. Przed sobą natomiast położył blok z papierem w kratkę i niebieski długopis zenith. Kolejny raz spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest dopiero jedenaście po ósmej. Skoro było jeszcze tyle czasu, sięgnął do torby i wypił trochę z piersiówki. Przyjemne ciepło rozlało się w gardle. Zadowolony schował butelkę i z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl paczkę ekstra mocnych z filtrem. Rozdarł papierowe opakowanie, wytrząsnął papierosa, wsadził go do ust i przypalił zapalką. Chciał ją odłożyć do popielniczki, ale popielniczki nigdzie nie było. Rozległo się energiczne pukanie. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł milicjant, który miał służbę. Już chciał się zameldować, ale Olkiewicz był szybszy.

– Gdzie jest, kurwa, jakaś popielniczka? – zapytał z wyraźną irytacją w głosie.

– Melduję, że nie wiem.

– No, to znajdź mi coś do petowania i dawaj tego pierwszego.

Milicjant zasalutował, odwrócił się i skinął w głąb korytarza. Do pokoju wszedł pan Tosiek, właściciel meliny na Górnej Wildzie.

– No i jak się spało, panie Tošku? – ucieszył się na jego widok Olkiewicz. Mina pana Tośka nie wyrażała jednak radości z porannego spotkania z chorążym Olkiewiczem.

– A idź pan w chuj – odpowiedział mężczyzna i usiadł na taborecie.

– Panie Tošku, no i co się pan gniewasz, ja tu pana chronię jak mogę, a pan robisz głupie miny od rana. Co, śniadanko nie smakowało czy jak?

– A co miało smakować, cztery sznytki z margaryną i kawa z kubka metalowego. O, patrz pan, jak piłem to cholerstwo, to se gębę całą poparzyłem od tego rantu.

Olkiewicz spojrzął na mężczyznę i zauważył, że rzeczywiście facet miał nad wargą okrągłą, zaczerwienioną pręgę od

rozgrzanego kubka.

– Od tego się nie umiera, panie Tośku. A teraz trochę formalności i do domu. Najpierw powiem panu, że – tu milicjant pochylił się nad jakąś kartką i zaczął czytać – doniesienie o prowadzonej przez obywatela Anioła Antoniego, syna Karola i Genowefy z domu Polewka, nielegalnej działalności spekulacyjnej w postaci handlu deficytowym towarem, jakim jest wódka i wino, nie potwierdziło się. W trakcie przeszukania nie stwierdzono w mieszkaniu zatrzymanego żadnego alkoholu przeznaczonego tak na sprzedaż, jak i na własny użytek. W związku z czym podejrzany o handel nielegalny alkoholem został zatrzymany do wyjaśnienia i po przesłuchaniu na okoliczność podejrzenia prowadzenia przez niego wyżej wymienionego handlu został zwolniony.

– To pan zaraz podpiszesz i jazda, żadnego kolegium nie będzie, więc kartotekę masz pan czystą jak łąza. Ale jeszcze tylko rzuć pan okiem na te fotki i powiedz, kiedy miałeś do czynienia z tymi osobami, znaczy się, kogo tu pan rozpoznajesz.

Melinarz wziął plik zdjęć, przejrzał je uważnie i odłożył na biurko.

– Melduję posłusznie, że okoliczności z panią tą nie miałem i nie rozpoznaję denatki.

– A skąd, przepraszam, pan wie, że o denatkę się rozchodzi? – zainteresował się Olkiewicz.

– Co ja nie widzę, że ten łeb to od nieboszczki pochodzi? – zdenerwował się pan Tosiek. – Pewnie od tej, coście ją w Warcie wyłowili wczoraj. Całe miasto już gada, że upiory bez głowy spacerują nad Wartą, a pan chce mnie jak dziecko podebrać pod siusiaka. Od wczoraj wiaruchna gada o tej franczy z wody. I jedno jest pewne, pan się mnie Pytasz, ale ja panu powiem. Po co było ten łeb obcinać, wszyscy się zastanawiają. I jedno jest pewne, to nie branżowa robota. Bo nikt uczciwy, kto miałby interes w dopomożeniu jej w zejściu z tego świata, nie Marnowałby cennych kalorii, zdobytych dzięki kartkowemu przydziałowi białka, na obcinanie tyty.

Fred wybiegł z klatki schodowej i pognął w stronę swojego poloneza. Umówił się wczoraj z Brodziakiem, że będzie w firmie parę minut po ósmej, a wszystko wskazywało na to, że dojedzie tam przed dziewiątą. Spał tak mocno, że nie usłyszał nawet, jak rano żona wychodziła do pracy. Zasnął dopiero koło trzeciej w nocy, po tym jak Grażyna obudziła go wieczorem i później nie dała mu już spać. Jeszcze teraz na myśl o jej niedużych, kształtnych piersiach, falujących rytmicznie nad jego twarzą, robiło mu się gorąco. Nie rozumiał, jak faceci mogą zachwycać się wielkimi babskimi cyckami wylewającymi się ze staników, tak jak na przykład Miras, dla którego ideałem kobiecości była Sophia Loren. Zresztą ta jego Marzena była do niej całkiem podobna. Fred natomiast lubił tylko i wyłącznie filigranowe kobietki, z piersiami, jak sam mówił, pasującymi do ręki, a nie przelewającymi się między palcami. Dlatego, gdy pierwszy raz zobaczył Grażynę, niewielką szczupłą dziewczynę o harmonijnych rysach, wiedział, że zrobi wszystko, żeby ją zdobyć. Był wtedy w szkole podstawowej na spotkaniu z okazji dnia milicjanta. Wypatrzył ją wśród kilkunastu innych nauczycielek stojących pod ścianą sali gimnastycznej. On na środku sali opowiadał, jak to MO walczy z nieprawościami tego świata, a dzieci widzące w nim kapitana Żbika słuchały z otwartymi buziami. W pewnym momencie zauważył, że już nie stara się opowiadać dzieciom, ale robi wszystko, by zwrócić jej uwagę na siebie. No i zwrócił. Jak później się okazało, dość skutecznie.

Otworzył drzwi kluczykiem. Usiadł w fotelu i odpalił stacyjkę. Silnik zaskoczył od razu. Włączył jedynkę i powoli puścił sprzęgło. Auto stało w miejscu. Zdziwiony, lekko przygazował, ale samochód nadal ani drgnął. Sprawdził więc ręczny hamulec. Okazało się, że był opuszczony i nie blokował kół. Koła, zaraz, zaraz – wyszeptał – i w tym momencie wszystko zrozumiał. Zgasił silnik i wyszedł z poloneza. Nie musiał już właściwie sprawdzać, bo dobrze wiedział, co się

stało. Samochód stał na ceglówkach, a wszystkie cztery koła zniknęły. Jacyś gnoje przyuważyli jego poloneza. Widzieli, że ma nowe auto, więc opony są mało zużyte i w nocy przyszli jak po swoje.

No i nie sprawdzę, czy wyprodukowano je w Stomilu Olsztyn, pomyślał okradziony milicjant. Szlag by trafił, ale ja im, kurwa, nie daruję. W ciągu paru minut był z powrotem w mieszkaniu. Wykręcił numer komendy i na centrali poprosił o połączenie ze swoim pokojem. Odebrał Brodziak.

– Mirek, słuchaj, jakieś skurwysyny ukradły mi wszystkie cztery koła. Weź jakiś wóz i podjedź tu po mnie do chaty. Musimy coś zrobić, bo mnie zaraz szlag jasny trafi.

– Nic się nie przejmuj, czekaj spokojnie, już organizuję pomoc.

A poza tym pamiętaj, że Stomil Olsztyn postawił na oszczędność materiałową – śmiał się porucznik i odłożył słuchawkę. Już po sekundzie podniósł ją znowu i wykręcił numer dyżurnego.

– Dyżurny, słucham – odezwał się bezbarwny głos.

– Cześć, mówi Mirek Brodziak, potrzebuję, na już, jakieś auto, najlepiej z kierowcą, i to na kilka godzin. Muszę odebrać z Rataj Freda.

– Cha, cha – zarechotał głos w słuchawce. – Co jest, ma kaca i boi się wsiąść do swojego nowego poloneza?

– No prawie zgadłeś. Nie może wsiąść, bo w nocy podpierdolili mu wszystkie cztery koła pod blokiem.

Cisza. A po chwili coś jak zbieranie myśli.

– Yyyyyy, jak? Koła, milicjantowi? O kurwa, co za kretyni.

– No, też tak myślę. Co za niefart. Ale stawiam głowę, że jeszcze dzisiaj się znajdą.

– No mowa. Już uruchamiam chłopaków. Nie daję tym gnojom żadnych szans. A samochód masz za pięć minut pod głównym wejściem. Grzechu Kowal pojedzie.

Jola zerwała się z tapczanu. Otworzyła oczy i w pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Dopiero po chwili przyszło otrzeźwienie. Uświadomiła sobie, że przebudziła się w akademiku „Jagienka” przy Obornickiej. To był pokój Goški, koleżanki, która gdzieś się zapodziała. Przypomniła sobie wczorajszy wieczór i tę grubą portierkę. Gdy kobieta powiedziała jej, że Goška nie odebrała kartki i że nie ma jej od kilku dni, Jola, zupełnie bezradna, rozplakała się. I to chyba sprawiło, że oschła i obojętna dotąd kobieta stopniała jak lód. Usiadła na fotelu obok Joli i zaczęła ją uspokajać. Potem wypytała o wszystko. Po co tu przyjechała i co zamierza robić. Gdy dziewczyna opowiedziała jej całą nieskomplikowaną historię, wstała bez słowa i poszła do swojej klitki. Po chwili wróciła z kluczem w ręce. – Nie powinnam tego robić, ale jak jesteś kuzynką tej dziewczyny, to mogę cię wpuścić. Przenocujesz tam, a ona może się zjawić. A jak nie, to jutro oddasz klucz i załatwiasz swoje sprawy na uczelni.

– Dziękuję pani – powiedziała Jola. Wzięła klucz i chciała iść do windy, ale jeszcze coś nie dawało jej spokoju.

– Wie pani co? Ja tak myślę, że może jej się coś stało i dlatego jej nie ma. Może by zawiadomić milicję?

– Łe tam, nie ma jej dopiero jakiś czas. Ty myślisz, że oni tam w milicji nie mają co robić, tylko szukać jakiejś studentki, co zabalowała.

– No, ale ona nigdy czegoś takiego nie zrobiła. Umówiła się ze mną przecież.

– Idź do pokoju, prześpij się, a jak nie wróci do jutra, to się pomyśli.

W czteroosobowym pokoju tylko na jednym łóżku była pościel. Widać było, że koleżanki Goški już skończyły sesję i rozjechały się na wakacje. Goška miała zostać tu tylko do dzisiaj i razem z Jolą wrócić do domu. Ale bałagan w jej rzeczach nie wskazywał na to, że szykowała się do zdania pokoju. Rzeczy porozwalane były tak, jakby dziewczyna dopiero wyszła i za chwilę miała wrócić. Widać było, że nie

zaczęła jeszcze żadnych przygotowań do wyprowadzki.

Wczoraj Jola czekała na nią prawie do północy. Potem położyła się spać, mając nadzieję, że gdy się obudzi, jej koleżanka już będzie w pokoju.

Teraz rozejrzała się po wszystkich kątach, ale Gośki nigdzie nie było. Postanowiła, że zawiezie swoje papiery na uczelnię i zacznie jej szukać. Gdzie, tego na razie nie wiedziała.

Szybko wstała, ubrała się i poszła się umyć do umywalni na korytarzu. Tutaj dopadł ją natychmiast ten charakterystyczny smród pasty do podłóg, starego linoleum i jakiejś bliżej nieokreślonej zgnilizny. Na podłodze koło toalet siedział oparty o pomalowaną na zielono ścianę brodaty chłopak. Spał w najlepsze. Jola poznała w siedzącym jednego z wczorajszych ławkowych imprezowiczów. Ciekawe, jak dostał się do akademika. Ta gruba portierka na pewno nie wpuściłaby tu żadnego podpitego chłopaka, pomyślała dziewczyna, przechodząc tuż koło śpiącego. Chłopak otworzył oczy, spojrzał na Jolę i powiedział słabym głosem:

– Sarenko, pomocy.

Sarenka wystraszyła się i uciekła.

Godz 8.55

– To jakieś szczuny, panie poruczniku – powiedział wielki jak tur plutonowy Grzechu Kowal, obchodząc poloneza dookoła. – Do tego pateraki, bo nawet nie umieli fachowo zdjąć kapsli. – Nachylił się przy tylnym, prawym nadkolu i podniósł coś z ziemi. – O, kawałek plastiku ułamali przy ściąganiu – pokazał odłamany fragment kapsla. – Fachury by tak nie spaprali roboty.

Brodziak pokiwał głową, przyznając rację milicjantowi.

– Co za kurwy! – zaklął. – Jeszcze się nie rozeszło, że to samochód milicjanta. No, mają pecha skurwiele, że trafili akurat na to auto. Koła odniosą w zębach, ale wpierdol ich i tak nie minie. Albo od swoich, albo od naszych. To tylko kwestia tego, kto ich pierwszy dopadnie.

– A swoją drogą, panie poruczniku, to te złodzieje robią się coraz bardziej bezczelne. Jeszcze parę lat temu to nie do pomyslenia było, żeby coś takiego mogło się stać w Poznaniu.

– To były inne czasy, Grzechu. Mniej aut było, a te milicyjne wszyscy dobrze znali. Teraz samochodów przybywa, młodzi nie mają rozeznania, rąbią, co im wpadnie w ręce. Najczęściej im się udaje, chyba, że mają pecha, jak ci od auta Freda.

Marcinkowski wyszedł z klatki schodowej i podszedł do nich. Uścisnęli sobie ręce.

– No i co powiecie? Nowy polonez, a wygląda jak półtora nieszczęścia. A ja wsiadłem do niego i chciałem jechać.

– To się ciesz, że solidne cegły ci podłożyli, bo jakby były do dupy, to mógłby ci się przewrócić i miałbyś jeszcze spotkanie z lakiernikiem.

Estakadą za ich plecami przejechał ogromny tir. Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na drogę, która biegła kilka metrów ponad poziomem parkingu, na którym stali.

– Ale smok – powiedział z podziwem plutonowy, patrząc w ślad za znikającym kolosem. – To Szkieber. Coraz więcej ich się tu pojawia. Jak tak dalej pójdzie, to rozjeżdżą nam całkiem ten lichej asfalt.

– Co ty, Grzechu, a skąd ma ich być więcej? Szwaby nie mają do nas większego interesu, a nas na takie wozy nie stać. Myślisz, że PKS-y mają pieniądze na takie potwory? Mają wszystkiego kilkadziesiąt takich tirów i to wszystko – powiedział Marcinkowski.

– Ja tam się nie znam na tym, ale myślę, że taki transport to przyszłość. Jak odejdę kiedyś z milicji, to chciałbym jeździć takim wozem – rozmarzył się Kowal.

– A swoją drogą, Fred – Brodziak spojrzał z uśmiechem na kapitana – powiedz mi, jak można żyć w bloku przy takiej drodze?

– Człowieku, do wszystkiego można się przyzwyczaić, to tylko kwestia odpowiedniego znieczulenia.

– Na Zachodzie to przy osiedlach koło autostrad buduje się takie wielkie mury, żeby nie było słychać – stwierdził plutonowy z pewnością znawcy zagadnień komunikacyjnych.

– W głowach im się tam od tego dobrobytu przewraca. Normalni ludzie stawiają mury w więzieniach – stwierdził mocno stąpający po ziemi porucznik Brodziak.

Godz. 9.00

Szeregowy Mariusz Blaszkowski, w dżinsach i koszulce z napisem Shaolin" i podobizną Bruce'a Lee, zastanawiał się, czy z czarnego telefonu dodzwoni się do Piły. Wiedział już, że te szare to aparaty wewnętrzne obsługujące połączenia między pokojami w komendzie. Ale on postanowił dowiedzieć się, czy z pokoju, w którym teraz siedział, można zadzwonić do domu. Podniósł słuchawkę i wykręcił kierunkowy 067. Odezwał się sygnał ciągły, więc zaczął kręcić kolejne cyfry 235 55. Z zadowoleniem przekonał się, że jest połączenie. Wyobraził sobie czerwony telefon stojący na specjalnie przymocowanej do ściany półeczce w mieszkaniu rodziców przy ulicy Towarowej. Po chwili w słuchawce usłyszał kobiecy głos.

- Halo – powiedziała pani Blaszkowska.
- Cześć, mamó, Mariusz mówi.
- Mariusz, synku, co u ciebie, wszystko w porządku?
- Tak, mamó. Jestem zdrowy i lepiej być nie może.
- Mariuszek, słuchaj, tak się bałam, mówili w radio, no wiesz, w tym co tata słucha, że w Poznaniu były zamieszki na pierwszego maja, a ty nie dzwoniłeś tyle czasu.

Rzeczywiście, nie dzwonił, ale co miał opowiadać matce, że brał udział w rozpędzaniu manifestacji pierwszomajowej? Wstydził się tego. No, ale nie miał wyjścia. Był w milicji i musiał wykonywać rozkazy. Zresztą pójście do milicji zamiast do wojska to była jego przemyślana decyzja. Chciał być oficerem śledczym, a żeby dostać się do szkoły oficerskiej, najpierw trzeba było odbębnić dwa lata w ZOMO. Wtedy pierwszego maja stał razem ze swoją drużyną na Półwiejskiej.

Pochód, który wyszedł z kościoła farnego, chciał iść pod krzyż na placu Mickiewicza, ale milicjanci zablokowali im wyjście już na ulicy Paderewskiego, więc poszli na Półwiejską

gdzie czekały na nich kolejne oddziały milicji. Ludzie nieśli flagi Solidarności, krzyczeli „Uwolnić poetycznych”, „Święto pracy, chodźcie z nami, dziś nie będą bić pałami”.

Były to jednak tylko pobożne życzenia. Milicja zaatakowała. Mariusz był w grupie uderzeniowej. Udawał tylko, że walczy, ale tak naprawdę robił wszystko, by nikomu nie wyrządzić krzywdy. I wtedy w tej całej gemeli zobaczył, że do bramy wlatuje jakiś młody szczort a za nim z pałą leci Kurfik. Mariusz ruszył za nimi. Chłopak leżał na ziemi, a zomowiec trząsał go wielką koncertową pałą. Podbiegł do milicjanta i chwycił go za rękę. Szarpnął podoficerem, aż ten stracił równowagę. Kurfik był niższy od Blaszkowskiego i znacznie od niego drobniejszy, toteż nie mogło być mowy o równych szansach w zwarcu. Pała Kurfika spadła na ziemię, a młody milicjant chwycił podoficera za gardło i warknął:

– Spróbuj ze mną ty skurwielu, no dalej, spróbuj.

– Ja cię, ja... ty chuju, ja cię pod sąd, ja cię ...

– Powiesz o tym komuś, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha. A teraz won gnoju.

– Ja cię, ty, ja cię... – Kurfik nie mógł najwyraźniej zebrać myśli. Był zaszokowany. Nie mieściło mu się w głowie, że jakiś milicjant i do tego jeszcze kot, niższy stopniem, może mu coś takiego zrobić.

– Spierdalaj, powiedziałem! – krzyknął szeregowy i odwrócił się do chłopaka, który ciągle jeszcze leżał zwinięty w kłębek na ziemi.

– Możesz wstać? – zapytał. Ten skinął potakująco głową i podniósł się z pomocą Mariusza. Mógł mieć najwyżej piętnaście lat.

– To leć teraz na klatkę schodową i schowaj się u kogoś w mieszkaniu, bo cię znowu dopadnie jakiś kutas.

– Chodź do mnie, mieszkam tu na drugim, przechowam cię, aż się to skończy – powiedziała dziewczyna, która stała na schodach i której milicjant dotąd nie zauważył. Musiała widzieć całe zajście.

– Dziękuję panu – uśmiechnęła się do Mariusza, biorąc jednocześnie chłopca pod ramię.

- Nie ma za co – odparł zmieszany milicjant.
- Jest. Dzięki panu odzyskałam dziś wiarę w ludzi.
- Halo, mam, od dzisiaj jestem przydzielony do zespołu śledczego, słyszysz, pracuję przy sprawie kryminalnej, a nie na ulicy. Powiedz to tacie, on będzie wiedział, o co chodzi.

Godz. 9.19

Chorąży Olkiewicz działał w ekspresowym tempie i dlatego był teraz zmęczony. Przesłuchał i wypuścił już dziś pana Tośka i trzy dziewczyny od Weronki. Spieszył się, bo skończyła się już gorzola w piersiówce. Chciał czym prędzej pojechać do swojego biura. Tam w szafce miał schowanych jeszcze parę wczorajszych butelek. Teraz zamierzał szybko załatwić szefową burdelowego interesu i polecieć na Kochanowskiego. Pomyślał sobie, że mógłby poprosić chłopaków z radiowozu, którzy go będą podwozić, żeby gdzieś po drodze stanęli przy jakimś barze, a on błyskawicznie strzeli sobie jedno zimne piwko. Ta myśl wyraźnie poprawiła mu humor, zwłaszcza że niedaleko stąd, na Dzierżyńskiego (chyba pod numerem dwudziestym) mieściła się sympatyczna mordownia, w której można było się napić i dowartościować, patrząc na zakazane ryje przy kuflach. Postanowił więc, że penerów zatrzymanych wczoraj na dworcu chłopcy mają przetrzymać do jutra i wypuścić bez przesłuchania, tylko po spisaniu danych. Przecież rozmowa z nimi i tak nie wniosłaby niczego do sprawy. On za to szybko załatwi Weronkę i jazda na piwko. Zadowolony wstał od biurka i zaczął robić porządek na blacie.

Okruszki z talerza zrzucił na podłogę, a talerz z orłem 40 lat w służbie narodu odwiesił z powrotem na ścianę. Papiery po kanapkach zwinął w kulkę i wcisnął do swojej teczki. Tu natknął się na piersiówkę. Wydobył ją, odkręcił zakrętkę i wylał na język jeszcze parę ostatnich kropli. Gdy był już pewien, że w środku nie ma nic ciekawego, schował butelkę do torby. Spojrzał na swój notatnik, w którym nie zapisał dziś ani jednego zdania, i postanowił schować go także. Pod

notatnikiem leżała szara koperta ze zdjęciami. Wsunął ją tam, gdy z pokoju wychodził pan Tosiek i dopiero teraz przypomniał sobie, że te zdjęcia powinien pokazać też dziewczynom, które przesłuchiwał, ale tak się z nimi zagadał o różnych pierdołach, że zupełnie o tym zapomniał. No dobra, zdjęcia zobaczy szefowa interesu, to tak, jakby wszystkie dziewczyny widziały, pomyślał rezolutnie. By tym razem nie zapomnieć, położył stertę zdjęć na przeciwległym brzegu biurka. Wyciągnął z paczki ekstra mocnego i zapalił. Zapalną wrzucił do popielniczki i odruchowo przeliczył pety. W masywnej kryształowej popielnicy, którą przyniósł mu służbowy, było pięć niedopałków. Cholera, za dużo pałę. Może by tak rzucić to palenie. Mówią, że to niezdrowe jest. Ale w końcu, co jest zdrowe? Wszystko, kurde, jest szkodliwe. Życie jest szkodliwe dla zdrowia, pomyślał Teoś.

Jego filozoficzne rozważania przerwało energiczne pukanie. Drzwi otworzyły się po raz nie wiadomo który i stanął w nich znowu ten sam chłopak.

– Melduję doprowadzenie zatrzymanej na przesłuchanie.

– Dobra – przerwał mu chorąży. – Daj ją do środka i powiedz dyżurnemu, że na dziewiątą trzydzieści potrzebuję radiowóz na komendę. Do pokoju weszła, a właściwie wpłynęła rudowłosa trzydziestoletnia kobieta. Teofil uśmiechnął się szeroko, widząc Weronikę. Dziewczyna była zjawiskowo piękna i Teoś nieraz dziwił się, że woli dawać dupy jakimś penerom, niż być porządną kobietą, na przykład sprzedawczynią w sklepie czy fryzjerką. Ludzie waliliby do niej drzwiami i oknami, myślał milicjant, któremu na jej widok jak zwykle naprężyła się nogawka od spodni.

Mimo że była nieumalowana i po całej nocy spędzonej w celi, wyglądała lepiej niż wicemiss Polski, ta Jolanta Niedorezo, z radością pomyślał milicjant. Chciał jej powiedzieć, żeby usiadła, ale ona już siedziała.

– Ja pierdołę, dawaj mi papierosa i mów, jak długo, kurwa, jeszcze mam tu siedzieć? – zaatakowała go natychmiast. Mimo że była piękna jak z obrazka, język, którym się posługiwała, spokojnie wtopiłby się w krzykliwą rzeczywistość baru Pelikan

na Starołęce. O, tam mogłaby łąć piwo do kufli. Żaden pener by jej nie podskoczył, rozmarzył się milicjant.

– Spokojnie, kochana, za pięć minut już cię tu nie ma – z ojcowską wyrozumiałością próbował poskromić ten wybuch. – Masz tu fajeczkę, zapal sobie – podsunął jej paczkę swoich śmierdzących, mocnych ćmików; ona, nie zwracając uwagi na markę, wyciągnęła jednego. Chorąży zapalił zapalkę i podał jej ogień. Nachyliła się nad przesuniętą na skraj biurka stertą zdjęć i wtedy niezapalony jeszcze papieros wypadł jej z ręki.

Na wierzchu stosu zdjęć leżało to ze zbliżeniem skarabeusza.

Chyba jest trochę zmęczona, pomyślał Teoś patrząc na Weronikę, która w ciągu sekundy zrobiła się błąda jak ściana.

Godz. 9.20

– Kurde, Grzechu, wyłącz to Lato z radiem – poprosił grzecznie Brodziak, gdy auto zatrzymało się na światłach pod budynkiem Arkadii.

– To jeszcze nie jest Lato z radiem, tylko Cztery pory roku. Lato zacznie się, jak się zacznie lato.

– Wszystko jedno, co to jest. Nastaw jakąś muzykę dla ludzi. Ja pierdołę, no przecież nie katuj nas tym Boney M – odezwał się z tylnego siedzenia Marcinkowski.

– Ale, kapitanie, ja mam w tym radyjku tylko pierwszy program na długich falach. UKF-u nie łapię. Ale mogę włączyć kasetę. Mam nagranego Denisa Russosa – pochwalił się plutonowy. – Córka mi nagrała.

– Włącz Wolną Europę – warknął kapitan.

– Ale pan se robi jaja, kapitanie. Na tym gównie? Ja w domu ściagam na starym pionierze, ale to to nie złapie nawet Deutsche Welle – stuknął palcem w radiomagnetofon trubadur. – A poza tym w godzinach urzędowania najlepiej zagłuszają.

Fiat stanął pod Okrąglakiem. Dwaj oficerowie wyszli z samochodu, polecając Grzechowi, by poczekał na nich chwilkę. Przeszli przez ulicę na drugą stronę w kierunku księgarni

muzycznej. Minęli sklep i weszli w ulicę Lampego. Tu, w czteropiętrowej kamienicy po lewej stronie, mieszkał od jakiegoś czasu Gruby Rychu. Rok temu wprowadził się do mieszkania pewnej sympatycznej kierowniczką restauracji. Mirek podejrzewał, że łączyło ich nie tylko łóżko, ale także wspólne lewe interesy. Nie interesował się tym zbytnio, bo w końcu nie była to jego sprawa. Najważniejsze, że Rychu wreszcie się ustatkował. Dotąd latał z kwiatka na kwiatek i nigdy nie miał stałej kobiety. Brodziak nawet zastanawiał się, czy to nie dlatego, że Marzena wybrała właśnie jego, a nie Rycha. W końcu obaj do niej kiedyś startowali i obaj byli w niej zakochani. Ale te zawody wygrał on, a Rychu gdzieś wtedy przepadł. Odnalazł się po paru miesiącach pod Peweksem.

Weszli do brudnej, ciemnej bramy, której przechodnie używali jako wygodnej toalety. Niegdyś reprezentacyjny wjazd do ekskluzywnej kamienicy wyglądał teraz jak fragment tunelu dworcowego. Smród szczytn był odrażający. Dlatego z prawdziwą ulgą weszli na klatkę schodową. Tu śmierdziało trochę mniej.

– Drugie piętro – wyjaśnił koledze Brodziak.

– Jesteś pewien, że będzie w domu?

– A co ma nie być, on już nie stoi pod Peweksem. Teraz ma całą grupę własnych cinkciarzy, którzy pracują dla niego. On jest prawdziwy biznesmen. I nie musi wstawać tak wcześnie jak my.

Przedwojenne solidne dwuskrzydłowe drzwi wyposażone były w elektryczny dzwonek. Brodziak nacisnął przycisk trzy razy. Po chwili wewnątrz mieszkania rozległ się jakiś hałas, usłyszeli ciężkie kroki. Szczęknęły zamki i zasuwki, a potem w drzwiach pojawił się zaspany Gruby Rychu w eleganckiej piżamie w srebrne paski.

Spojrzał na gości i otworzył szerzej, zapraszając ich machnięciem ręki do środka. Wyglądało to tak, jakby wcale nie zaskoczyła go wizyta dwóch milicjantów. Fred trochę się zdziwił, natomiast Mirek nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Gdy kiedyś przychodzili do swoich domów, nawet kilka razy dziennie, ich powitania wyglądały dokładnie tak samo.

– Wejdźcie do salonu – powiedział Rychu. – Ja se choć przemiję facjatę.

Milicjanci weszli do ogromnego pokoju, którego okna wychodziły na ulicę Lampego. Wyglądał jakby żywcem wycięty z niemieckiego katalogu. Jasne skórzane kanapy na środku pokoju, szklana ława na metalowych chromowanych nóżkach, pod ścianą na niewysokiej przeszklonej szafce ogromny japoński telewizor, a przy nim piękna, również japońska wieża stereo. Na ścianie nad telewizorem wisiał ogromny obraz w złożonych ramach przedstawiający ułanów na koniach.

– Ładnie tu, nie? – uśmiechnął się Brodziak, sadowiac się na jednej z kanap.

– Stary, to jest chata jak z katalogu. A ten pokój jest większy od całego mojego mieszkania!

Godz. 9.23

– Jaki, kurwa, tatuaż? – zdenerwował się nie na żarty Teofil Olkiewicz. – Ta twoja Sandra miała coś takiego na skórze?

– Nie coś takiego, tylko to jest ona, ty kretynie. Nie poznałeś jej?

Przecież nie dalej niż miesiąc temu spałeś z nią.

– No może i spałem, ale nie pamiętam tego tatuażu – próbował sobie coś przypomnieć, ale bezskutecznie. Tak naprawdę nawet nie pamiętał, że miesiąc temu był w burdelu u Wery. Musiał być chyba nieźle wstawiony, skoro nie kojarzył. Spał z jakąś laską tatuażem? A cholera jasna je tam wie. Czy to człowiek ma czas, żeby się wszystkim przyglądać? Robi swoje i do domu, nie?

– Co jej się stało? – spytała dziewczyna. – Gdzie ona jest?

– Jak to gdzie? zdziwił się Olkiewicz. – No jest w kostnicy, a gdzie ma być?

– Nie żyje?

– Zimny trup. Ani zipnie.

Weronika podniosła papierosa, którego przed chwilą upuściła. Trzęsącą się ręką próbowała zapalić zapalke, jednak

nie udawało jej się. Wreszcie zniecierpliwiona rzuciła pudełko na biurko, w stronę Olkiewicza.

– No zapal mi, kurwa, tego ćmika, chyba widzisz, że nie mogę sobie poradzić.

Chorąży podał jej ogień. Zaciągnęła się dymem i zaraz potem jej pancerz ochronny pękł jak balon. Rozplakała się niczym mała dziewczynka. Nie miał pojęcia, jak powinien się w tej chwili zachować. Zwykle w trudnych sytuacjach nie wiedział, co zrobić, dlatego postanowił nie robić nic i dać się jej wypłakać. Choć słyszał, że na histerię najlepszy jest strzał w papę, a to umiał robić całkiem nieźle, postanowił, że nie będzie na Weronice wypróbowywać tej metody, bo może się na niego jeszcze rzucić z pazurami. Diabli wiedzieli, co w takiej babie siedzi.

Patrzył na płaczącą Weronikę i popadał w coraz większą irytację. Właśnie zdał sobie sprawę, że jego misterny plan zorganizowania sobie sympatycznego przedpołudnia legł całkowicie w gruzach. I to wszystko przez ryczącą babę i jej wytatuowaną koleżankę. Zimne piwko poszło się pierdolić, pomyślał ze złością. Teraz będę musiał przesłuchać ją na okoliczność rozpoznania okazanego zdjęcia, zaprotokołować wszystko, a później pojechać z nią na komendę. Ale to nie wszystko, trzeba będzie też pojechać do willi na Ratajach i tam zabezpieczyć rzeczy denatki. Przesłuchać jeszcze raz wszystkie kurwy. Ale w końcu, co ja mogę. Czy to moja wina, że jedna z jej kurewek dała sobie obciąć łeb.

Ja to jestem pechowiec, westchnął chorąży Olkiewicz. Zachciało mi się jechać do burdelu Weronki, a mogliśmy skoczyć bliżej, na Sołacz² i teraz nie byłoby tego całego zamieszania. Mi się zachciało tej rudej dupy!

Wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Otworzył je i ryknął na cały głos w głąb korytarza.

– Podoficer! Dawać mi tu protokolanta z maszyną.

– Czy to jest na pewno Sandra? – Weronika spojrzała na niego, jakby miała nadzieję, że zaprzeczy.

– A skąd ja, kurwa, mogę to wiedzieć; to ty rozpoznałaś ten

²Sołacz – luksusowa dzielnica willowa

tatuaż – warknął.

– Pokaż mi zdjęcie twarzy, to będę miała pewność – mówiąc to Weronika wykrzesła z siebie jeszcze resztki złudzeń. Myślała, że jednak to może być pomyłka, choć ten tatuaż mówił wszystko.

– No, niestety, nie poradzimy na to nic i tatuaż musi ci wystarczyć – powiedział Olkiewicz. – Nie mam zdjęcia twarzy, bo nie mamy jej głowy. Ktoś jej upierdolił łeb – z właściwą sobie delikatnością wprowadził ją w makabryczne szczegóły morderstwa.

Weronika zbladła jeszcze bardziej, a zaraz potem zsunęła się z taboretu, uderzając o podłogę.

Masz ci los. A mogłem teraz pić zimne piwo, pomyślał ze smutkiem chorąży Olkiewicz. Do dupy z taką robotą.

Podszedł do kobiety, podniósł ją i posadził na swoim krześle z oparciem. Poklepał ją po policzku, a gdy zobaczył, że odzyskuje przytomność, uśmiechnął się i powiedział:

– No daj spokój, Weronka. Wrażliwa jesteś, psiakrew, jak władza ludowa na ludzką krzywdę.

Zostawił ją samą i wyszedł na korytarz. Młody milicjant siedział na krześle, a obok niego stała na stole wielka maszyna do pisania.

– Melduję, że maszyna już jest i zaraz będzie ktoś, kto umie na niej pisać.

– Dobra, a teraz jeszcze zorganizuj coś do picia, jakąś wodę albo coś, bo mi ta babka mdleje.

Kto by przypuszczał, że taka kurwa delikatna, pomyślał chorąży i wrócił do pokoju.

Godz. 9.55

W ulicę Lampego wtoczył się z hałasem stary, zielony tramwaj nr 23, który jechał na osiedle Lecha. Był prawie pusty. O tej porze mało kto jeździł na Rataje. To z osiedli peryferyjnych tłumy ludzi podążały do centrum miasta, by zapolować na coś spoza kartkowego przydziału. Ludzie łudzili

się, że w sklepach przy głównych ulicach miasta zaopatrzenie jest nieco lepsze. Owszem, zdarzały się chwile, że tu i ówdzie rzucano jakiś towar, na przykład chałwę, prawdziwą czekoladę czy wino Sangria. Ale tak naprawdę sklepy zaopatrywano według normalnego rozdzielnika, dając określoną ilość towaru na każdą dzielnicę. W centrum bywało więcej ludzi, więc szybciej roznosiła się informacja, że na przykład w Delikatesach naprzeciw Teatru Polskiego mają jugosłowiańskie sardynki. Te same sardynki tego dnia pojawiały się też w jakimś sklepie na osiedlu Kosmonautów, Świerczewie i w Kiekrzu, ale o tym wiedzieli tylko miej scowi. A po mieście szła informacja, że w centrum było coś luksusowego w postaci sardynek w puszkach. Tak powstawała legenda dobrze zaopatrzonego śródmieścia Poznania, która ściągała tu tłumy myśliwych z siatkami.

– Przepraszam, jak dojść stąd do szkoły plastycznej? – spytała Jola wielkiego milicjanta, który oparty o maskę niebieskiego fiata 125p przyglądał się tramwajowi.

– Jakiej szkoły plastycznej? – burknął Grzechu Kowal.

– Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych.

– A, do tej. To normalnie – odpowiedział stróż prawa, którego znudziło już oczekiwanie na dwóch pasażerów i najchętniej odjechałby stąd natychmiast.

– Pójdiesz tu w prawo za Okrąglakiem, zejdziesz tak jak tramwaj jedzie, Mielżyńskiego na dół, do placu Młodej Gwardii i dalej wzdłuż torów tramwajowych do końca ulicy 23 Lutego. A jak po prawej stronie skończą się domy, to będziesz stała przy plastikach. Taki ciemnozielony, wielki budynek.

Jola spojrzała na milicjanta i jeszcze przez sekundę zastanawiała się nad czymś.

– No, tu w prawo -jeszcze raz wskazał milicjant kierunek.

– Nie, ja chciałam się jeszcze tylko zapytać, że jak się ma podejrzenie, że ktoś zaginął, to gdzie się to zgłasza?

Grzechu przestraszył się nie na żarty, że dziewczyna będzie chciała mu coś zgłosić i będzie musiał zacząć procedurę spisywania. Dlatego pośpieszył z wyjaśnieniem.

– Jak jest jakiś problem, to najlepiej na komendę miejską, to

tu niedaleko, od Plastycznej w prawo i na plac Wolności znowu w prawo.

– Dziękuję panu – powiedziała dziewczyna i poszła w stronę placu Młodej Gwardii, a milicjant odetchnął z ulgą.

– A pieprzę to czekanie, skoczę do Okrąglaka się rozejrzeć – postanowił i od razu wszedł na schody prowadzące do największego domu towarowego w mieście.

Godz. 9.55

– To jakieś pierdolone szczuny – powiedział ogolony i pachnący Old Spicem Rychu, rozwalony w fotelu. Piękną srebrzystą pidżamę zamienił na białe polo Lacoste i byle jakie, porozciągane, granatowe spodnie dresowe. Naprzeciw niego na jednej z dwóch kanap siedzieli obok siebie Mirek i Fred.

– Też mi się tak wydaje – powiedział Brodziak. – Amatorska robota początkujących.

– To, co prawda, nie moja działka – zauważył Rychu – ale spróbuję coś zrobić. Znam jednego faceta, który kręci się w oponiarskim interesie. Dam mu znać, żeby się zorientował w temacie. Ten klient zna wszystkich w Poznaniu i okolicy. To jest takich, którzy żyją z przemysłu motoryzacyjnego.

Wstał i podszedł do telefonu, który stał na niewielkim stoliczku koło okna. Wykręcił numer i już po chwili było połączenie.

– Z panem Czesiem proszę, Rychu z tej strony. – Po chwili pan Czesio był przy telefonie.

– Witam, jak zdrówko, panie Czesiu. Nie, nie potrzebuję golfa, wie pan przecież, że nie mam prawa jazdy. Ja bardzo lubię chodzić, a za siedzeniem, nawet w samochodzie, raczej nie przepadam. Zresztą wie pan, że ja pracuję w Pomach, więc na co mi samochód? No, ale do rzeczy. Dziś w nocy na Ratajach jakieś szczony skubnęły cztery kółka z nowego poloneza koloru piasek pustyni, a wóz zostawili na ceglówkach. Problem w tym, że to wózek mojego dobrego znajomego, który na domiar złego jest milicjantem od kryminalnych kwestii. W związku z tym

powstała taka inicjatywa, żeby te kółka wróciły w trymiga na miejsce. No to ja z całym szacunkiem, pomyślałem se o panu jako o człowieku najbardziej szanowanym w branży samochodowej. Dobrze, panie Czesiu, jeszcze przez chwilę jestem pod domowym telefonem. Dziękuję. Do widzenia.

Rychu odłożył słuchawkę i uśmiechnięty wrócił do siedzących milicjantów.

– Pan Czesław oddzwoni w ciągu kwadransa.

Z kuchni dobiegł siedzących dźwięk gwizdka czajnikowego.

– Czego się napijecie, kawy czy herbaty?

– Może być kawa – powiedział Fred.

– Dla mnie też – dodał Mirek.

Już po chwili gospodarz wchodził do pokoju z tacką, na której stały trzy filiżanki z chodzieskiej porcelany ozdobione różyczkami.

– A to słyszeliście? – odezwał się stawiając tackę na szklanym blacie ławy. – Dlaczego milicjanci chodzą zawsze we dwóch?

– Z tym czytaniem i pisanem? To znamy.

– Nie, nie, kolego – zaśmiał się Rychu. – Chodzą we dwóch, bo nieszczęścia chodzą parami.

Godz. 10.15

Choraży Olkiewicz był zadowolony. Protokolant, młody wysoki kapral, wykręcił z wałka maszyny do pisania zeznanie Weroniki. Poszło im to znacznie szybciej, niż się spodziewał. Kobieta opowiedziała wszystko, co wiedziała na temat Sandry. Najważniejsze było to, że dziewczucha wyszła z willi na Ratajach około trzynastej w sobotę i miała wrócić na wieczór. Odtąd nikt jej nie widział. Nie powiedziała Weronice, dokąd idzie, wyjaśniła tylko, że chce uregulować jakieś stare sprawy.

Na początku, gdy się dowiedział, że ta dziewczyna na zdjęciu to jedna z lasek od Weronki, wkurzył się nie na żarty, bo ta wiadomość komplikowała mu życie. Ale później przemyślał wszystko i wyszło, że nie jest tak źle. W końcu to dzięki jego

działaniom udało się zidentyfikować zabłądzone laskę. Brodziak i Marcinkowski to takie niby pistolety, ale to stary milicjant wpada na trop. Jeszcze się chłopaki przekonają, że stary Olkiewicz to ktoś, z kim trzeba się liczyć. Trzeba będzie jeszcze raz przemaglować pozostałe dziewczyny. Ale to już niech zrobią Brodziak i Marcinkowski, myślał Olkiewicz; niech też się na coś przydadzą.

Gdy milicjant wyszedł z maszyną w rękach, chorąży podsunął jedną z kopii zeznania w stronę Weroniki.

– Musisz to teraz przeczytać i podpisać. Tu jest wszystko, co powiedziałaś.

Wzięła do ręki długopis leżący na biurku i nie czytając nawet podpisała u dołu kartki. Widać było, że jest kompletnie przybita całą sytuacją i podpis składa mechanicznie, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Tak przynajmniej wydawało się Olkiewiczowi, który przyglądał się jej zza biurka i nawet zaczął się zastanawiać, czy może by nie wykorzystać jej obecności w tym pokoju dla uprzyjemnienia sobie poranka. Zaraz jednak odrzucił tę myśl, bo doszedł do wniosku, że intymne kontakty przesłuchiwaney z przesłuchującym, zwłaszcza w stanie wielkiego wzburzenia tej pierwszej osoby, mogą przynieść niezbyt miłe dla przesłuchującego efekty.

Jednak mylił się w ocenie stanu ducha Weroniki. Jej umysł zaczynał już pracować na najwyższych obrotach, analizując całą sytuację. To była jedna z jej dziewczyn, myślała Wera, za którą była odpowiedzialna. Podczas składania zeznań przed tym obleśnym burakiem poukładała sobie nieco w głowie tę całogemełę. Pierwsze, co przyszło jej na myśl, to to, że Sandra musiała wdepnąć w jakąś śmierdzącą sprawę. Może miało to coś wspólnego z jej pobytem w Niemczech Zachodnich. I teraz te niemieckie brudy upomniały się o nią.

Czy ona właśnie tak nie powiedziała, kiedy w sobotę mówiła, że musi iść do miasta. „Dopadły mnie stare sprawy”. Tak właśnie powiedziała. „Stare sprawy, które muszę raz na zawsze dokończyć”. Weronika nie pytała jej, o co dokładnie chodzi. Wychodziła z założenia, że jeśli będzie chciała, to sama jej powie.

Dom, który prowadziła, to nie był burdel, w którym wyzyskiwało się kobiety. Ona założyła coś w rodzaju spółdzielni produkcyjnej. Tu każda z dziewczyn pracowała na siebie, odpalając działkę z urobku na prowadzenie interesu i zapewnienie klientom odpowiednich warunków. Dlatego między nią a dziewczynami panowały partnerskie stosunki i nawet zawiązywało się coś na kształt przyjaźni. Rozmowy o problemach były na Porządku dziennym i dlatego śmiało mogła zapytać Sandrę, czy nie radzi sobie z jakąś trudną sytuacją. Z drugiej strony ich partnerskie stosunki dawały Sandrze pewność, że z wielkim problemem może się spokojnie do niej zwrócić. Nie zrobiła tego, a więc nie uważała, że stare sprawy mogą być jakimś problemem. Teraz żałowała, że pozostawiła Sandrę samą sobie z czymś, z czym dziewczyna musiała się uporać. Że nie pogadały dłużej. Gdyby wtedy usiadły i porozmawiały... Ale kto mógł wiedzieć, czym skończy się to załatwianie starych spraw. Sandra chciała wrócić w sobotę wieczorem, ale później, przed samym wyjściem powiedziała jeszcze, że jakby nie wróciła na noc, to ma się nie martwić, odrobi zaległości z nawiązką, w czasie targów. Na to też wtedy nie zwróciłam uwagi, pomyślała Wera. Już wtedy liczyła się, że może wystąpić jakieś opóźnienie, a kwestia odrabiania zaległości była po prostu śmieszna. Nikt by jej przecież złego słowa nie powiedział, gdyby nie wróciła na noc, bo firma i tak by z tego powodu nie odnotowała jakichś kolosalnych strat.

O tych wątpliwościach nie powiedziałam Olkiewiczowi podczas zeznania, myślała Weronika. A chuj z nim. On i tak nic w tej sprawie nie robi. No właśnie, a kto może coś zrobić? Kto znajdzie tego gnoja, który w taki paskudny sposób skrzywdził jej dziewczynę? Przecież nie te tępaki z milicji. Oni nadają się tylko do palowania studentów, a nie do myślenia. To bydle nie może ujść sprawiedliwości. A sprawiedliwość dla takiego skurwiela musi zostać wymierzona w taki sposób, żeby każdy w przyszłości wiedział, że nie można bezkarnie zabijać dziewczyn.

Początkowa bezradność i bezsilność, które zawładnęły nią w chwili, gdy dowiedziała się o morderstwie, teraz zniknęły zupełnie. Znowu była tą odważną i zdecydowaną kobietą, dla

której liczyło się przede wszystkim działanie. Postanowiła, że zrobi wszystko, by odnaleźć mordercę i odpłacić mu za to, co zrobił.

– No dobra, to mogę teraz już iść? – zapytała, spoglądając na siedzącego przed nią milicjanta.

– E, nie tak szybko, królewno. Jeszcze troszeczkę to potrwa. Teraz pojedziemy razem do komendy na Kochanowskiego, a później odwieziemy cię do domu, bo tam trzeba będzie przejrzeć rzeczy tej dziewczyny. Wszystko nam musisz pokazać, no i jeszcze raz muszę pogadać z pozostałymi panienkami z twojej trzódki. Może którejś z nich coś powiedziała ciekawego ta Sandra, zanim zniknęła.

– Jak to? – zdziwiła się Weronika. – Nic ci nie powiedziały o niej?

A prawda – uśmiechnęła się, lekko wydymając dolną wargę.

– Dopiero ja poznałam ten tatuaż i powiedziałam ci, że to Sandra. Ale zaraz, zaraz – coś jej przyszło na myśl. – To znaczy, że przesłuchiwałeś wszystkie dziewczyny i nie pokazałeś im tych zdjęć? Nie skojarzyłeś, a ja mówiłam ci przecież wczoraj, że Sandra, blondynka z tatuażem, zginęła.

– No właśnie, te zdjęcia to było tylko rutynowe przesłuchanie... – zapłatał się Olkiewicz.

– Teoś, ależ z ciebie cymbał – zaśmiała się Weronika, widząc głupią minę chorążego Olkiewicza.

Godz. 10.20

– Ale na tym Heysel się porobiło w środę, nie? Czterdzieści osób nie żyje. Ci angielscy kibice są jak jakieś pojeby. Skąd to się bierze w ludziach. U nas to chyba nie do pomyślenia – zastanawiał się Gruby Rychu.

– Tam im się chyba od tego dobrobytu we łbach poprzewracało – powiedział z przekonaniem Brodziak.

– Coś w tym jest – ciągnął gospodarz. – Te gnoje już od urodzenia mają wszystko podane na tacy, sklepy wypełnione po brzegi, nie muszą stać w kolejkach i zastanawiać się, czy

dostaną papierosy na kartki. A na dodatek do wyboru mają sto gatunków piwa.

-I to właśnie ten dobrobyt rodzi frustracje – stwierdził Marcinkowski.

– Co rodzi? – zdziwił się Mirek.

– Złość z powodu braku perspektyw – wyjaśnił koledze Fred.

– Oni mają wszystko, ale to wszystko jest osiągalne dla nielicznych. I to powoduje, że niektórzy ludzie w takich skrajnych sytuacjach uciekają w agresję. To dla nich sposób na odreagowanie stresu, który daje im codzienność. Czują się odrzuceni przez bogate społeczeństwo. No jeszcze jedno, tam jest bezrobocie, które rodzi frustratów, a my mamy nakazy pracy dla wszystkich. U nas to niemożliwe, bo nie ma społecznej nierówności. Czy jesteś dyrektorem, czy robotnikiem, masz takie same problemy, jak brak mięsa, kłopoty z benzyną do gównianych samochodów czy fajki na kartki. Tak naprawdę w PRL-u wszyscy jesteśmy biedakami i dlatego jesteśmy szczęśliwi, bo wszyscy mamy takie samo gówno. Ale wyobraźcie sobie, że dzieje się cud i nagle nasza władza wpada na pomysł i zapelnia wszystkie sklepy towarami z Peweksów. Całe miasto zamienia się w gigantyczny Pewex. Jest wszystko bez kartek, a wiara nie ma pieniędzy na kupowanie i na zakupy stać tylko nielicznych. Wyobrażacie sobie taką gemelę? Wiara rozpierdoliłaby całe miasto. Co tam jeden stadion! Mielibyśmy cały Poznań wściekłych ludzi, i to od razu jednego dnia. A tam ten proces już trwa kupę lat. Najbiedniejsi żyją w ichnim Peweksie i nie mają kasy na nic. Więc rozrabiają.

– Pięknie to powiedziałeś – całe miasto to Pewex! Ale byłoby cudownie – rozmarzył się Rychu.

– Ty, ale miałbyś przegwizdane. Skąd wziąłbyś tylu ludzi do obstawiania wszystkich sklepów? – próbował sprowadzić go na ziemię Brodziak.

– Stary, po co ludzie, ja zaraz otworzyłbym punkt wymiany waluty i naród waliłby drzwiami i oknami.

– I wtedy przyjechałaby milicja i zamknęła ci ten interes, razem z tobą - Mirek zrobił smutną minę, składając

jednocześnie obie dłonie jak do zakucia w kajdanki.

– Bo to jest państwo milicyjne, a nie ludzkie – stwierdził Gruby Rychu. – Prawda jest taka, że Peweksy są głupie, a ich sama nazwa Przedsiębiorstwo Wewnętrzny Ekspert to idiotyzm możliwy tylko u nas. Jak można eksportować coś do wewnątrz? Mnie się zdaje, że coś takiego to jest import, nie? Ale najgłupsze jest to, że w tym kraju ludzie nie mogą mieć dolców i legalnie ich kupować. Dopóki to się nie zmieni, zawsze będę mówił, że ta cała reforma gospodarcza, o której mówił tu w sobotę w Poznaniu Jaruzel, to mydlenie oczu naiwniakom. Niech dadzą ludziom robić normalne interesy, to nikt nie będzie musiał wprowadzać odgórnie reform, bo naród sam się reformuje.

Zadzwonił telefon. Rychu poderwał się z fotela i poczłapał do aparatu.

– Halo, tak, panie Czesiu. Dziękuję. Do zobaczenia – odłożył słuchawkę i oznajmił gościom z wyraźnym zadowoleniem:

– Kółka toczą się na Rataje. Pomyłka została wyjaśniona, a ci, którzy się pomylili, dowiedzą się wkrótce, co czuli kibice włoscy na Heysel.

Godz. 10.30

Przyszła studentka zeszła po schodach dawnego gmachu Ziemstwa Kredytowego, w którym od 40 lat kształcili się plastycy, i stanęła tyłem do budynku swojej przyszłej szkoły. Spojrzała na przeciwną stronę ulicy, gdzie mieściła się Poczta Główna. Może by zadzwonić do domu i spytać tatę, co robić? No, ale w domu nikogo nie ma o tej porze. Muszę sama zdecydować.

Była zła na siebie, na Goškę i w ogóle na cały świat. Na siebie, bo zaczęła dzień od załatwiania własnych spraw. To znaczy, poszła do szkoły plastycznej złożyć dokumenty w dziekanacie, czyli załatwiała swoje interesy, podczas gdy jej koleżanka może potrzebowała pomocy. Ale z drugiej strony może żadnej pomocy nie potrzebuje, tylko gdzieś zaszalała,

zabalowała i olała ją, Jolę. Więc może ma zupełnie niepotrzebnie jakieś skrupuły. Poza tym była zła, bo nie tak sobie wyobrażała swój pierwszy samodzielny, dorosły przyjazd do Poznania. Myślała, że spędzi miły wieczór w akademiku u koleżanki, że może pozna jakichś sympatycznych chłopaków, a może pójdą razem do kina. Chciała zobaczyć Vabank II i liczyła na to, że Gośka jeszcze nie widziała tego filmu. No, ale plany, które jeszcze wczoraj wydawały się całkiem realne, po przyjeździe do Poznania wzięły całkowicie w łeb. Teraz, po załatwieniu swoich spraw na uczelni, musiała pójść na milicję i zastanawiała się, czy przypadkiem jej tam nie wyśmieją.

Idąc w górę ulicy Marcinkowskiego, zastanawiała się nad tym, co Gośka mówiła na temat studiów. Właściwie nigdy nie wspominała o żadnym chłopaku, z którym by się umawiała czy choć od czasu do czasu spotykała. Na pytania dotyczące facetów z akademika zawsze odpowiadała lekceważąco, że to banda gówniarzy. Bo gdyby miała jakiegoś chłopaka, to byłby jakiś punkt zaczepienia, myślała intensywnie Jola. A na domiar złego, koleżanki z jej pokoju wyjechały już z Poznania i niczego nie można się od nich dowiedzieć na temat tego, gdzie Gośka łąziła i z kim. Jedno nie ulegało wątpliwości. Ona na pewno nie wyjechała na wakacje, bo nie zdała pokoju i nie zabrała rzeczy.

Po lewej stronie, na parkingu, stało kilkanaście niebieskich milicyjnych samochodów. Kilka nysek, jakaś warszawa, dwa polonezy i fiaty 125p. Przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno powinna tam wchodzić. Bała się milicjantów. Zwłaszcza po stanie wojennym, kiedy tyle złego zrobili ludziom. Ale w końcu wytłumaczyła sobie, że nie wchodzi tu, by rozrzucać ulotki, ale po to, by ratować koleżankę.

– Raz kozie śmierć – powiedziała do siebie i pewnym krokiem minęła stojącego przed drzwiami wartownika.

Wewnątrz było coś w rodzaju recepcji. Kawał ściany odgradzała od zewnętrznego świata szyba z małym uchylnym okienkiem. Za nim siedział jakiś łysiejący, podstarzały facet, który pił herbatę ze szklanki z zanurzoną łyżeczką. Typ erotomana, stwierdziła w myślach znawczyni zagadnień seksualnych, które w jej wypadku ograniczały się tylko do

rubasznych klepnięć po pupie w wykonaniu kolegów z klasy IV B.

– Chciałabym rozmawiać z kimś, komu mogę zgłosić zaginięcie – powiedziała Jola, nachylając się do otwartego okienka.

Facet chciał jej coś odpowiedzieć, ale do jego dyżurki wszedł młody chłopak w mundurze moro. Na biurku, przy którym siedział pijący herbatę, położył szarą kopertę, zsalutował i wyszedł. Mężczyzna odstawił szklankę i wydobył plik zdjęć. Zrobił to na tyle nieporadnie, że fotografie rozsypały mu się na blacie. Jakies rysunkowe portrety pamięciowe, kilka fotek zakazanych ryjów jakichś facetów i jedna czarnowłosa dziewczyna. Jola dostrzegła ją od razu. Zobaczyła Gośkę. Próbowwała się trzymać parapetu, ale jej się nie udało.

Wartownik, który zza szyby obserwował kątem oka dziewczynę, zobaczył, że ta traci równowagę. Wbiegł do środka, ale już tylko po to, by podnosić ją z podłogi.

ROZDZIAŁ V

Godz. 11.00

W sklepie rzeźnickim przy ulicy Wioślarskiej na osiedlu Jagiellońskim nie pachniało ani wędzonką, ani kielbasą śląską, ani nawet nie dawało się w nim wyczuć zapachu mięsa. Jedyny zapach, jaki unosił się w powietrzu, to zapach kleju płynnego „guma arabska”. Na parapecie okiennym siedziało pięć kobiet. Sprzedawczyni za ladą ze stoickim spokojem naklejała na duże arkusze papieru wycięte z kartek klientów kupony na mięso. Wycięte skrawki smarowała klejem, przykładając do papierowych kwadracików wielkości paznokcia buteleczkę z gumowym dozownikiem. Lekkie przyciśnięcie uwalniało kroplę miodowego, kleistego płynu. Dla każdej gramatury wieprzowiny od 500 do 200 gramów przeznaczona była inna płachta do naklejania. Wołowina i cielęcina z kością też miały osobny arkusz. Całe szczęście, że mam tyle wolnego czasu, pomyślała pani Stasia Gruca, która powinna sprzedawać mięso, a zajmowała się papierkową robotą.

Powinna sprzedawać, ale nie miała czego. To, co było do sprzedania rano, wyprzedala w ciągu zaledwie godziny. Towaru nie sprzedawała jednak natychmiast po przywiezieniu. Najpierw wszystko to, czyli mięso i trochę wędlin, musiała podzielić wraz z panią kierownik na dwie równe części. Pierwsza była przeznaczona do natychmiastowej, czyli porannej sprzedaży, a druga do sprzedaży popołudniowej dla tych, którzy rano pracowali. Kobiety, które czekały w sklepie, zajmowały kolejkę, by zrobić zakupy w chwili, gdy zacznie się druga tura sprzedawania, czyli gdzieś około piętnastej. Były to same emerytki, dobrze znane pani Stasi. Już wcześniej wykupiły poranny towar. Żadna z nich nie chodziła do pracy, więc wszystkie miały czas zająć kolejkę i spokojnie czekać przez pół dnia. W kolejce były codziennie. Robiły zakupy dla siebie,

swoich sąsiadów i znajomych z bloków, więc osoby, które przychodziły tu w okolicach piętnastej, miały marne szanse na kupienie czegoś dobrego. Baby kolejkowe wykupywały wszystko, a dla tych, dla których ustanowiono popołudniową turę, zostawały tylko ochłapy.

Często więc w sklepie dochodziło do przepychanek i awantur między stałymi klientkami a tymi, którzy chcieli kupić cokolwiek na swoje kartki. Ale nawet te wytrwałe kobiety, spędzające u rzeźnika pół dnia, nie mogły być pewne, że kupią to, na czym im zależy. Jak ognia bały się bowiem antykolejki, czyli uprawnionych do kupowania poza kolejnością – kobiet w ciąży, inwalidów i mundurowych na służbie. Gdy ktoś taki pojawiał się w sklepie na kilka minut przed rozpoczęciem sprzedaży (bo wtedy przyłaziły te cholery) – w prawdziwej kolejce zaczynało wrzeć. Nie dochodziło do bójek tylko dlatego, że sprzedawczynie nauczone latami praktyki sprzedawały raz antykolejce, raz kolejce, i tak na zmianę. Prawdziwa kolejka szczerze nienawidziła antykolejki, szczególnie zaś solą w oku tych prawdziwych, wytrwałych staczek były dziewczyny w ciąży, których większość, zdaniem emerytek, robiła sobie brzuchy tylko po to, by móc kupować bez kolejki. To właśnie te france były najczęściej tematem rozmów kolejkowych bab. Liczyły je, sprawdzały, która kiedy rodzi, z kim mieszka i w którym bloku. Żadna obca by się tu nie dostała albo, co gorsza, taka, która tylko ciążę udaje. Zresztą obcy nie mieli co liczyć na pobłażanie. Za sprawą kolejkowego komitetu w tym osiedlowym sklepie bardzo rygorystycznie pilnowano, by sprzedawczynie wydawały towar tylko na kartki tu zarejestrowane.

Dziś jednak tematem numer jeden nie była żadna z miejscowych ciężarnych. Dziś od rana gadały o tej bez głowy znad Warty. O ile wczoraj były to tylko spekulacje, dziś miały już pewność, że ta zabita to pewnie Baśka Wasikowa z wieżowca naprzeciwno, z ósmego piętra, bo od paru dni nikt jej nie widział ani w sklepie, ani na osiedlu, a powszechnie wiadomo było, że to lafirynda i wywłoka, więc nic dziwnego, że jej ktoś łeb urąbał. Uradziły nawet, że trzeba by zgłosić to na

milicji, że jej nie ma i że one wiedzą, że to ona. Gdy więc do sklepu wszedł niespodziewanie dzielnicowy Makarczuk, Pelagia Janiakowa postanowiła działać.

– Dzień dobry – powiedział milicjant i podszedł do lady, za którą siedziała w dalszym ciągu pani Stasia zajęta wyklejanką.

– Dobry, panie Tadeuszu – uśmiechnęła się sprzedawczyni, przerywając robotę. – O piętnastej będą serdelki, odłożyć dla pana? – zapytała cicho, by kobiety nie usłyszały tego, co mówi.

– A gdzie tam, nie mam czasu na pierdoły, mam sprawę ważniejszą do pani, służbową. Jako że pani tu wszystkich zna, jak mało kto.

– Względem czego? – zapytała pani Stasia.

– Względem morderstwa.

– Boże święty, a o co się tak dokładniej rozchodzi? – przestraszyła się trochę kobieta.

– Pani spojrzysz na ten portret – tu wyciągnął z raportówki zdjęcie ze zbliżeniem głowy wyłowionej w Warcie. – Zna ją pani?

– A uchowaj Boże, u mnie tylko porządne ludzie kupują, a nie takie lafiryndy.

Pelagia Janiakowa wstała z parapetu i podeszła do dzielnicowego.

– Może i my rzucimy okiem – powiedziała – bo jakieś podejrzenia też tu mamy. Kobiety ze zwinnością, o którą trudno byłoby je posądzać, podbiegły do milicjanta i otoczyły go szczelnym wianuszkciem. Chcąc, nie chcąc, Makarczuk puścił w obieg fotografię.

Już po chwili pani Pelagia oddała mu zdjęcie.

– Przykro nam, panie milicjancie, ale to na pewno nie jest ta Baśka Wąsik.

Godz. 11.05

Informacja przekazana przez Grubego Rycha, że koła się znalazły, wyraźny sposób wpłynęła na humor kapitana Marcinkowskiego.

W innych okolicznościach taka wiadomość byłaby warta opicia, ale dziś obaj milicjanci śpieszyli się na komendę. Umówili się więc z Rychem, że wkrótce spotkają się na małą popijawę, ale teraz musieli pędzić. Rychu, człowiek biznesu, wiedział, że jest czas na pracę i czas na przyjemności. Dlatego doskonale rozumiał, że zawsze zdążą mu się jeszcze odwdziżyć. Poza tym lubił wyświadczać drobne przysługi znajomym, bo nigdy nie wiadomo, kiedy on będzie potrzebował świadectwa wdzięczności.

Tymczasem obaj milicjanci jechali do komendy. Dziś rano mieli zastanowić się nad dalszymi krokami w sprawie „Łowcy głów”, bo takim kryptonimem ochrzcili zabójstwa. Ale złodzieje części samochodowych wprowadzili w ich plan działania nieco zamieszania. Teraz, gdy samochodowa sprawa już się definitywnie zakończyła, trzeba było w śledztwo wprowadzić trochę porządku. Jadąc na komendę nie wiedzieli jeszcze, że śledztwo bez ich udziału ruszyło z kopyta.

Gdy weszli do pokoju 114, ujrzeli rozpromienionego i wyraźnie podchmielonego Olkiewicza. Żaden z oficerów nie zwrócił jednak na to najmniejszej uwagi. Bardziej zdziwiłoby ich, gdyby Teoś o tej porze był całkowicie trzeźwy i pachnący brutalem, a nie gorzola. Na tym samym krześle co wczoraj siedział młody zomowiec, o którym dzisiaj całkowicie zapomnieli. Ale przecież młodzi są od tego, żeby czekać na rozkazy, a nie wzbudzać poczucie winy u oficerów tym, że nie uwzględnili ich w swoich dopołudniowych planach.

– No, co tam, panie chorąży, jak twoje kurewki? – zapytał kapitan Marcinkowski, wkraczając rażnym krokiem do pokoju. Machnął od razu ręką na Blaszkowskiego, żeby ten nie wstawał, i podszedł do swojego biurka. Brodziak już siedział w fotelu przy biurku, które znajdowało się tuż przy drzwiach.

– Same dobre informacje, obywatelu kapitanie – zameldował chorąży. – Znamy już na dziewięćdziesiąt procent dane obu denatek, w związku z tym myślę, że powinniśmy to opić.

– Zaraz, zaraz, Teoś, mów o co chodzi, a później przyjemności. Olkiewicz opowiedział więc szybko o porannym

przesłuchaniu Weroniki i o jego efektach, a także o informacji, którą otrzymał od chłopaków z komendy miejskiej na temat identyfikacji zdjęcia przez jakąś dziewczynę.

– Raport Olkiewicza z przesłuchania i raport z miejskiej są na biurku kapitana – zakończył tryumfalnie chorąży.

– Małgorzata Witkowska, lat 21 studentka II roku historii – czytał na głos fragment raportu Marcinkowski – pochodzi z Rawicza, w Poznaniu mieszka w DS. Jagienka. – To ta brunetka, której głowę mamy – wyjaśnił wszystkim. – Jej zdjęcie rozpoznała koleżanka, która przysłała na milicję zgłosić zaginięcie. Druga, ta od tatuażu, to dziewczyna, którą zidentyfikowała szefowa burdelu, znajoma Teosia, niejaka Weronika Markowska. Rozpoznała tatuaż i mówi, że dziewczyna to Agnieszka Klimek, lat 25 z Piły, pseudonim artystyczny Sandra....

– Co jest, szeregowy? – Fred podniósł wzrok znad raportu widząc, że Blaszkowski macha ręką, jakby chciał się zgłosić do odpowiedzi w szkole.

– Ja wiem, kto to jest, obywatelu kapitanie.

– O kim mówisz? – rzeczowo zapytał, Marcinkowski.

– Melduję, że ja jestem z Piły i ja ją znam. Ona mieszka obok mojego bloku, znaczy się na tym samym podwórku.

– Widzisz, Fred, mówiłem ci, że ten młody nam się przyda. Cha, miałem nosa, nie? – zaśmiał się Brodziak.

Godzina 11.10

Maciek Trelka, student II roku historii, miał własne mieszkanie. Zajmowało ono co prawda zaledwie 37 metrów kwadratowych i składało się z kuchni i dwóch pokoi, jednego w miarę dużego, a drugiego mikroskopijnego, ale było to prawdziwe własnościowe mieszkanie, a nie Pokój w akademiku. M-3 w czteropiętrowym bloku na osiedlu Piastowskim kupił w zeszłym roku jesienią. Przez cały osiemdziesiąty trzeci rok jeździł do NRD na wycieczki organizowane przez młodzieżowe biuro podróży Juventur. A

wszystko dzięki kumpłowi z ZSP, który jakiś czas temu dostał w tym biurze stałą pracę. On organizował wycieczki i układał listę zakwalifikowanych osób. Maciek wpisywał się na każdy możliwy wyjazd i ruszał do NRD-owa z towarem.

Początkowo woził tam jakieś pierdoły, jak krem nivea, ciemne przeciwsłoneczne okulary czy kupowane od Rusków lornetki. W Niemczech kupował butelki dla niemowląt, smoczki i ceratowe pieluszki, czyli wszystko to, czego u nas nie można było dostać i o czym było wiadomo, że każda ilość zejdzie na pniu. Zarabiał na tym duże pieniądze, ale prawdziwe eldorado zaczęło się od czasu, jak wymyślił srebro. Kupował w kilku sklepach jubilerskich grube srebrne bransolety i sprzedawał je w berlińskiej mennicy państwowej. Robił to przez jakieś pół roku, ale wycofał się, kiedy Niemcy, zaniepokojeni zbyt dużą ilością napływającego towaru, zaczęli kontrolować dokumenty osób sprzedających. Zrobiło się niebezpiecznie, więc przestał. Ale zarobił na tym interesie tyle, że nie wiedział, co robić z kasą.

Postanowił więc kupić mieszkanie. Z tym nie było większego problemu, bo choć w kraju panował głód mieszkań i budowało się mało albo prawie wcale, to mieszkania na wolnym rynku można było kupować bez większych przeszkód. Wystarczyło tylko przejrzeć gazetę z ogłoszeniami. Sprzedający chcieli jednak najczęściej zapłaty w twardej walucie, ale skoro w Polsce zabroniony był handel walutami, w ogłoszeniach zamieszczano informacje, że mieszkanie jest do kupienia za bony PKO, czyli papierowe kupony zastępujące w obrocie wewnętrznym dolary.

To był diabelski pomysł naszych władz, które w latach sześćdziesiątych wymyśliły, jak dobrać się do dolarów wysyłanych z zagranicy do obywateli PRL. Sprawa była niezwykle prosta. Jeśli na przykład jakiś naukowiec albo pisarz otrzymywał honorarium z wydawnictwa na Zachodzie, pieniądze musiały przyjść do niego na konto w PeKaO, jedyne banku uprawnionego do prowadzenia rachunków dewizowych.

I tak na koncie pana Kowalskiego pojawiał się wpływ w

wysokości 200 dolarów amerykańskich. Ale jeżeli teraz Kowalski zapragnął wyciągnąć 20 dolarów i przetracić w Peweksie, bank wypłacał mu równowartość kwoty w bonach PKO, bo obywatel Polski Ludowej nie mógł mieć przecież zachodnich pieniędzy. Za bony można było kupować w Peweksie i legalnie płacić nimi w prywatnych transakcjach krajowych. Ogłoszenie w gazecie typu Sprzedam mieszkanie za bony było czystą fikcją, bo i kupujący i sprzedający wiedzieli, że określenie „bony” oznaczało prawdziwe dolary, a nie papierki będące ich równowartością w Peweksach.

Maciek znalazł więc ogłoszenie z mieszkaniem za bony, kupił dolce od znajomego cinkciarza i zawarł legalną transakcję, płacąc nielegalnymi dolarami.

Wtedy też wpadł na pomysł z magnetowidem, bo zostało mu jeszcze trochę pieniędzy z „akcji srebro”. Pojechał do Gdańska i kupił od marynarza zupełnie nowy odtwarzacz i kilka kaset z filmami. Tak zaczął się interes z wyświetlaniem filmów w akademikach. Na początku nazywało się to „seansami dla studentów uczących się angielskiego”, bo filmy nie miały jeszcze polskiego lektora. Później, dzięki pomocy koleśki z polibudy i na sprzęcie Politechniki Poznańskiej, udało się nagrać pierwszy podkład lektorski do filmu na VHS-ie. Legitymacja ZSP i kontakty z Juventuru otwierały mu drzwi do wszystkich poznańskich klubów studenckich. Problemem był repertuar. Tylko od czasu do czasu na Łazarzu pojawiały się jakieś nowe tytuły. Dlatego zaczął jeździć za kasetami po innych miastach. Tam w klubach studenckich poznał kilkanaście osób, które zajmowały się wyświetlaniem filmów. I tak powstał pierwszy w Polsce niezależny rynek dystrybucji filmów. Na tym interesie, w ciągu zaledwie paru miesięcy działalności, dorobił się swojego pierwszego samochodu – białego trabanta.

Było już po jedenastej, gdy Maciek podniósł się z łóżka. Wczoraj do późna w nocy oglądał filmy, które przywiózł z Warszawy. Dostał w sumie sześć kaset. Wszystkie kopie były dość nędzne, ale nadawały się do wyświetlania na pokazach. Denerwowali go tylko kiepscy, niefachowi lektorzy, no ale nie

można mieć wszystkiego. Poza tym nikt nie jest od razu Janem Suzinem.

Wstał i włączył radio, ale gdy prowadzący zapowiedział, że przedstawi teraz sylwetkę zespołu Korvina, przełączył na magnetofon i na cały regulator puścił, tak dla przebudzenia, Republikę. Gdy Grzegorz Ciechowski zaczął śpiewać o nowych sytuacjach, był już w łazience. Trzeba zacząć nowy dzień. Kasa czeka na odważnych, pomyślał, a potem ze zdziwieniem zauważył, że nie trafił do miski klozetowej i nasikał sobie na stopę. – Kurwa – zaklął głośno – to zły znak na początek dnia.

Godz. 11.15

Do pokoju wszedł sierżant Tomasz Kubiak. Przed chwilą jeszcze siedział w swoim pokoju, który dzielił z trzema kolegami, i czytał spokojnie gazetę. Dziś od rana zajmował się porządkowaniem szafy, bo na zaniedbywane od roku porządki przeznaczył dzień, w którym będzie miał więcej luzu. Właśnie taki dzień się zapowiadał. Wczoraj zamknął sprawę dwóch kieszonkowców z Dworca Głównego. Siedział do późnego wieczora, by zrobić całą papierkową robotę, a później, gdy już skończył, poszedł na piwo. Dziś od rana był bez żadnego przydziału, postanowił więc spędzić dzień na leniuchowaniu. Zaraz po przyjściu do pracy powywalał ze swojej szafki wszystkie szpargały i zaczął je segregować. Wkrótce jednak znudziła go ta robota. Poszedł do bufetu na dole zjeść żurek z białą kielbasą, a gdy się posilił, doszedł do wniosku, że czas na zapoznanie się z ostatnimi wydarzeniami. Kupił w kiosku Ruchu, który znajdował się na parterze komendy, „Gazetę Poznańską”. Właśnie rozkładał wielką płachtę na stole zawalonym papierami i zdążył jeszcze dojrzeć informację o tym, że angielskie kluby zostały wykluczone z europejskich pucharów za rozróbę na Heysel, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon. Brodziak wezwał go do pokoju 114. Sierżant Kubiak spojrzał na to wszystko, co wydobył dziś rano z szafki, po czym zgarnął całą gemelę i wrzucił z powrotem na półki. Wiedział, że

skoro wołają go do Marcinkowskiego, to w ciągu najbliższych paru godzin na pewno nie znajdzie chwili na zajęcie się szafkowymi porządkami. Wziął tylko z biurka swój podręczny notes z kalendarzem Teno w siwej, plastikowej okładce i poszedł na pierwsze piętro.

– Cześć, Tomek – powitał go kapitan Marcinkowski – siadaj, musimy pogadać. Wskazał mu wolne krzesło stojące bokiem do jego biurka.

Kubiak usiadł i oparł się łokciem o blat.

– Przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, że włączam cię do sprawy „Łowcy głów”. W związku z tym dam ci zaraz akta, żebyś szybko sobie poczytał, co i jak jest ustalone i co się w ogóle dzieje. W skrócie powiem ci tyle, że mamy dwie młode dziewczuchy, uduszone, którym później obcięto głowy. Znamy już ich dane; jedna była studentką historii, druga kurwą. Od tej pierwszej mamy głowę, a od drugiej ciało z tatuażem egipskiego skarabeusza, ale głowy jeszcze nie znaleźliśmy. Nie wiemy, czy coś je łączy, bo jeśli tak, to znajdziemy odpowiedź na to, kto jest mordercą. Niestety, wszystko wskazuje na to, że są to dziewczyny wybrane przypadkowo przez jakiegoś świra. Mamy z Mirkiem taki pomysł, że inspiracją dla tego zbokola mogą być albo są filmy magnetowidowe. Dlatego Miras pokręci się trochę w terenie i spróbuje ustalić coś wśród tych, którzy handlują kasetami z filmami. Teoś poj edzie zaraz do domu, w którym mieszkała Sandra, ta kurewka, i przejrzy jej rzeczy. Młody pokręci się wśród studentów i posprawdza, czy są teraz jakieś pokazy video w akademikach. Chciałbym, żebyś skoczył do pokoju w „Jagience”, w którym mieszkała ta studentka historii i przetrząsnął jej ciuchy. Rektorat już jest powiadomiony, a do pokoju wejdiesz z kierownikiem akademika. Dobrze by było, żebyś pogadał też z dziewczyną, która ją zidentyfikowała. To jej koleżanka, która zgłosiła zaginięcie. Jest w szoku. Przewieziono ją do szpitala MSW.

Gdy skończył mówić, podał sierżantowi teczkę z dokumentacją dotyczącą śledztwa. Kubiak wziął ją do ręki i położył na kolanach. Marcinkowski spojrzał na Olkiewicza.

– No, Teoś, skoro mamy wszystko ustalone, to teraz możemy

walnąć po małym. Dawaj szkło.

Olkiewicz z niecierpliwością czekał na ten sygnał. Z szafki swojego biurka wydobyl cztery przygotowane już wcześniej i dokładnie umyte szklanki. Do każdej z nich nalał na trzy palce bałtyckiej.

– A ty, młody, skoro i tak nie pijesz – Brodziak zwrócił się do Mariusza – skocz do pani Gieni z kiosku na dole i przynieś jakieś fajki, powiedz, że ja cię przysłałem. Ona zawsze ma coś spoza kartkowego Przydziału dla znajomych – wyjaśnił porucznik, widząc, że Blaszkowski zrobił głupią minę, pewnie zastanawiając się, jak kupić papierosy bez kartek. Najlepiej – caro albo carmeny.

Sięgnął do kieszeni i podał chłopakowi czerwony, stużłotowy banknot z portretem Ludwika Waryńskiego w okularach.

Godz. 12.00

Łukowate metalowe drzwi otworzyły się i na zewnątrz wyjechały dwa białe koziółki. Najpierw sunęły na boki, by zaraz potem ustawić się naprzeciwko siebie. A potem zaczęły się trząść.

Ten codzienny spektakl, który na Starym Rynku zaczynał się zawsze w południe, obserwowało kilkadziesiąt osób. Wśród nich grupa Japończyków z niewielkimi aparatami fotograficznymi. To pewnie goście targowi, pomyślał Mariusz, który też akurat tu trafił. Tak długo był już w Poznaniu na Taborowej, a jakoś nie zdarzyło się jeszcze, by mógł zobaczyć tę słynną poznańską atrakcję. Kiedyś przyjechał tu z wycieczką klasową, gdy chodził jeszcze do podstawówki. Ale wtedy bardziej zainteresowany był warkoczami Aliny Gil, najpiękniejszej dziewczyny w klasie, prawie tak pięknej jak ta blondynka Agnetha z ABBY. Dlatego zajęty pociąganiem za te warkocze niewiele wyniósł ze spektaklu rozgrywającego się na ratuszowej wieży.

Teraz, gdy dostał pierwsze w swoim życiu zadanie operacyjne, którego sposób wykonania zależał wyłącznie od

niego, realizację postanowił zacząć od nadrobienia koziołkowych zaległości. Koziołki po zakończonym pojedynku wróciły do swojego domu, Japończycy schowali aparaty, a Mariusz postanowił coś zjeść. Po przeciwnej stronie rynku, koło pałacu Działyńskich, był bar Piccolo. Chłopaki w koszarach mówili, że można tam zjeść prawdziwe włoskie spaghetti i na dodatek niezbyt drogo. Nie było wyjścia, musiał sprawdzić, jak jedzą Włosi. Knajpkę znalazł bez problemu. Po obu stronach baru zainstalowano wysokie stoły z przytwierdzonymi do podłogi stolkami. W głębi znajdował się bufet. Niestety, w kolejce do kasy czekało kilkanaście osób. Większość z nich to byli Japończycy z aparatami na piersiach, którzy spod ratusza przyszedli tu szybciej niż on. Pewnie chcieli spróbować polskiej kuchni, pomyślał Mariusz ustawiając się za ostatnim skośnookim klientem.

Na szczęście kolejka przesuwiała się dość szybko. Cekał zaledwie dwadzieścia minut. Poprosił o zachwalane przez kolegów spaghetti po bolońsku. Na jajowaty talerz bufetowa nałożyła makaron, a baba z kuchni stojąca z drugiej strony wielkich aluminiowych garów wlała nabierkę czerwonej brei. Zapłacił i poszedł. Przez chwilę stał bezradnie, rozglądając się za wolnym miejscem. W końcu dostrzegł, że z prawej strony przy trzecim stole jakaś para właśnie skończyła i zbiera swoje klesmenty. Szybko podszedł do stolika i wdrapał się na zwolnione siedzenie, stawiając jednocześnie talerz na blacie.

Nabranie długiego makaronu na widelec okazało się niezbyt łatwe.

Pomyślał, że trzeba pokroić makaron widelcem na drobniejsze kawałki. Zaraz jednak zauważył, jak jego sąsiad z lewej strony nawija nitki na widelec. Mariusz spróbował i udało się. Zadowolony z odkrytego właśnie sposobu radzenia sobie z zagranicznym daniem, a jeszcze bardziej z tego, że nie pokroił makaronu i nie zachował się jak matoł, rażno zabrał się do jedzenia. Rzeczywiście, spaghetti było bardzo smaczne. Pochłonięty jedzeniem nawet nie zauważył, że naprzeciwko niego ktoś zajął miejsce.

– My się chyba znamy – powiedziała dziewczyna, stawiając

swoją porcję spaghetti na stole.

Mariusz podniósł głowę i poczuł się głupio, bo z ust wystawał mu długi kawałek makaronu. Wessał go szybko, a ona zaśmiała się cicho, sądząc pewnie, że zrobił to dla zgrywy.

– Dzień dobry – powiedział, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Nie miał zielonego pojęcia, kim była ta dziewczyna i skąd niby mieliby się znać. Takich ładnych lasek przecież się nie zapomina.

– Nie pamięta mnie pan? Przyznam, że okoliczności, w jakich się spotkaliśmy, nie były zbyt miłe.

–Tak?

– Ale powiedziałam wtedy, że dzięki panu odzyskałam wiarę w ludzi.

Godz. 12.30

Na rynku Łazarskim było o tej porze tłoczno. Na straganach z owocami i z warzywami sprzedano już wszystko, co dało się zebrać z sadów i ogrodów podpoznańskich badylarzy. Na kilku stoiskach handlowali jeszcze działkowcy dorabiający do swych skromnych emerytur. Sprzedawali płody swojej pracy i wielomiesięcznych zabiegów. Między stoiskami kręcili się i uwijali ludzie robiący zakupy, każdy z plastikową siatką czy torbą z materiału w ręce. Ale ta część targowiska już powoli zamierała. Łazarski zieleniak kończył pracę, by odżyć następnego dnia wczesnym rankiem. Za to w drugiej części rynku, tej od strony wylotu na Lodową i Findera, handel trwał w najlepsze. Tam na chodnikach i na długim, cementowym murku okalającym zdeptany trawnik zagnieździły się ministoiska ze wszystkim. Można tu było kupić zachodnie papierosy w paczkach i na sztuki, czasopisma niemieckie z gołymi babami, markowe spodnie dżinsowe i książki, których nie sprzedawano w księgarniach. Duży tłok panował przy stoliku turystycznym; stał na nim rozkręcony na cały regulator przenośny radiomagnetofon prezentujący właśnie przebój Limahla The Neverending Story.

Długowłosy młodzieniec, właściciel stoiska, prezentował klientom zafoliowane kasety magnetofonowe.

U chłopaka można było dostać niemal każdą nowość, która pojawiała się na listach przebojów. Tonpress czy Muza, rodzime przedsiębiorstwa fonograficzne, wydawały kasety z najnowszą muzyką z kilku – lub kilkunastomiesięcznym opóźnieniem, a i tak zdobycie nagrań Perfektu czy Manaamu w księgarniach muzycznych graniczyło niemal z cudem. Tymczasem prywatna inicjatywa w postaci tego stoiska potrzebowała zaledwie kilku dni na wypuszczenie na rynek składanki z ostatnią listą przebojów Marka Niedźwiedzkiego z radiowej trójki. Tu bez problemów można też było kupić nagrania zachodnich zespołów, które w naszych sklepach nie pojawiały się wcale. Do wyboru, do koloru i wszystko oczywiście nielegalnie.

Ale takimi drobnymi sprawami milicjanci nie interesowali się wcale. No, gdyby się okazało, że gdzieś pod ich bokiem wyrosła jakaś nielegalna minifabryka zalewająca rynek kasetami, wówczas byłaby to sprawa warta śledztwa. Jednak dopóki o tego rodzaju przedsięwzięciu można było powiedzieć, że jest niemal detaliczne, nie było czym zawracać sobie głowy. Stoiskiem interesował się za to porucznik Brodziak. Z tym, że zupełnie prywatnie. Kupował tam od czasu do czasu kasety z muzyką, której słuchał. Między nim a sprzedającym chłopakiem nawiązała się nawet nić sympatii. Chłopak, podobnie jak Mirek, lubił dobrą muzykę rockową, a obaj mieli już zupełnego hopla na punkcie angielskiego zespołu Marillion. To dzięki kontaktom Darka, bo tak miał na imię handlarz, płytoteka Brodziaka powiększyła się o dwa zupełnie nowe, jeszcze zafoliowane, przywiezione prosto z drugiego obszaru płatniczego płyty Script i Fugazi.

Dzisiaj jednak Brodziak nie przyszedł tu w poszukiwaniu nowości muzycznych. Interesowały go filmy video.

– Czego pan szuka, panie Mirku? – zapytał z uśmiechem sprzedawca, gdy dostrzegł go w grupie ludzi oglądających jego towar. – Mam dziś Duke ‘a Genesis, prosto z NRF-u.

– Duke ‘a mam nagranych – odpowiedział milicjant. – Dziś

interesują mnie kasety do magnetowidu.

– No proszę, kupił pan sobie magnetowid?

– Tak jakby, chciałem się zorientować, co jest do kupienia i czy w ogóle jest to gra warta świeczki. Znaczący z tymi kasetami. Jeśli kupię taki sprzęt, to czy będzie co oglądać.

– Masz pan Depeche Mode? – zapytał Darka niewysoki facet w płócienną czapkę z daszkiem.

– Jeszcze ciepła prosto z Niemiec – powiedział długowłose wskazując zafoliowaną kasety magnetofonową.

– Ile za to cudo, panie?

– Sześć stówek.

– Ile? Czy się nie przesłyszałem? Panie, kasety w księgarni muzycznej są po 230 złotych.

– To idź se pan kup Mieczysława Fogga na Lampego, bo u mnie tylko świeży towar, to i kosztować musi.

– Panie, ale czemu tak drogo?

– Wszystko przez Reagana i jego restrykcje. Gdyby nie on, teraz byłibyśmy krajem mlekiem i miodem płynącym, a kasety byłyby po 230 za sztukę.

– Jak przez Reagana, to biorę – oświadczył facet w czapce i wyciągnął z kieszeni marynarki portfel.

Gdy transakcja dokonała się, Mirek przeszedł na drugą stronę stolika z kasetami i usiadł na murku obok sprzedawcy. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki paczkę caro i poczęstował Darka. Zapalili.

– To jest tak, panie Mirku, że ten przemysł u nas dopiero zaczyna.

Filmów jest niewiele. Rambo, Rocky i takie tam pierdoły. Wszystko to przyjeżdża do nas przez zieloną granicę, bo kaset do PRL-u nie wolno przywozić. Ale magnetowidy są już w Peweksach, więc nie ma siły, by nie powstał rynek na kasety. No więc, jeśli będzie potrzeba, znajdą się też tacy, którzy będą chcieli zarobić i zacząć dystrybucję. To, co na razie mam u siebie, to chłam. Filmy przegrywane po dziesięć razy i jakoś do dupy. Ale najgorsze jest to, że takie filmy nie mają profesjonalnego polskiego lektora. Chciałby pan, żeby Isaure czytała panu pani Zosia z warzywniaka na Łazarzu? A tak to

wygląda, że wczytują teksty amatorzy bez dykcji. I oglądając taki film, nie skupia się pan na akcji, tylko wkurwia, że facet, który czyta, nie umie czytać.

– No, ale chyba już są kasety, przyzwoicie nagrane i ten, co czyta, robi to tak, że nie denerwuje widza ?

– Powiem panu, że na razie to wyjątki. Jest paru chłopaków od nas, z Poznania, którzy próbują robić to w miarę dobrze. Oni zajmują się wyświetlaniem filmów w klubach studenckich. Mają najlepsze rozeznanie w tym, co u nas chodzi na rynku.

– Można z nimi pogadać?

– Czemu nie – odpowiedział Darek. – Przychodzą tu dość nieregularnie, ale jak pan chce, poproszę o namiary, jak się któryś pojawi. Jednego z nich znam lepiej, byłem nawet u niego w chacie. To jest Maciek Trelka. Mieszka na Piastowskim. Jak się panu chce, to może pan pogadać z nim. I niech się pan powoła na mnie.

Godz. 12.35

Póki jeszcze siedzieli w biurze, Olkiewicz miał nadzieję, że jakoś wymiga się od wyjazdu z Weroniką na Rataje. Bąknął coś nawet na ten temat Marcinkowskiemu, ale kapitan powiedział mu tylko, żeby przestał pierdolić, i sprawa była skończona. Teraz jechał z Grzechem Kowalem jego dużym fiatem ulicą Marchlewskiego na Rataje. Grzechu włączył kasetę z nagraniami Denisa Russosa, ale na Olkiewiczuz nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Obojętna na aksamitny głos greckiego grubasa była też Weronika, która siedziała z tyłu auta. Ona chyba jakoś tak w ogóle zobojętniała, pomyślał chorąży.

– Ej, Weronka, coś taka smutna, odwozimy cię luksusowo do chaty, a ty wyglądasz, jakbyś chciała na oselkę napluć?

– Odpierdol się, Teoś – warknęła i spojrzała przez szybę. Minęli właśnie Akademię Wychowania Fizycznego, przejechali skrzyżowanie z Bema i wjechali na most Marchlewskiego.

– Coś ty taka niedotykańska? Patrz tam, na nabrzeże. Tam ją właśnie znaleźli – wyjaśnił Olkiewicz. – Tam, gdzie te sznurki,

jest zabezpieczony obszar.

Weronika nie odezwała się do niego. Patrzyła na leniwie przepływającą pod nimi rzekę, a w jej twarzy można było dostrzec determinację i zdecydowanie. Olkiewicz oczywiście niczego nie dostrzegł.

– Na rondzie jedź w lewo, w Zamenhoffa – poinstruował plutonowego.

– Teoś, kurde, ja wiem, gdzie jest Kaliska.

Nie minęły dwie minuty, gdy samochód zatrzymał się przed bramą willi należącej do Weroniki.

Dwaj milicjanci i kobieta wysiedli z auta. Chodnikiem z cementowych płyt przeszli do schodów prowadzących do drzwi wejściowych.

Nim zdążyli zadzwonić, drzwi otworzyły się. Stała w nich starsza kobieta ze szmatą w ręce.

– Wszystko w porządku, pani Weroniko – powiedziała na widok wchodzącej po schodach właścicielki interesu. Ta uśmiechnęła się do swojej pracownicy i weszła do środka. Za nią posuwali się dwaj milicjanci uważnie śledzeni chmurnym spojrzeniem pani Bronki, która pełniła tu rolę sierżanta-szefa, czyli zajmowała się aprowizacją i utrzymaniem porządku.

– Chodźcie do salonu – Wera obróciła się w stronę wchodzących za nią mężczyzn. – Zaraz zawołamy dziewczyny.

– Pani Broniu, wszystkie wróciły z Chłapowskiego?

– A jakże, pani Weroniko, tylko jeszcze dalej nie ma Sandry.

– Tak, wiem. Poproś pozostałe dziewczyny, panowie chcą z nimi porozmawiać.

– Czy mają się przebrać? – zapytała kobieta.

– Nie, nie, to spotkanie w sprawach, no, że tak powiem, pozazawodowych – wytłumaczyła Weronika i poszła do niewielkiego pokoju obok kuchni, gdzie mieściło się coś na kształt biura. Weszła do środka i starannie zamknęła za sobą drzwi. Na drewnianej ławie, obok której stały dwa obrotowe foteliki z oparciami ze skaju, stał czerwony telefon. Sięgnęła po słuchawkę i szybko wykręciła znany sobie numer.

– Słucham – odezwał się męski głos.

– Mówi Weronika, mam poważny problem.

– Rozumiem, że mogę w jakiś sposób pomóc – odpowiedział ten z drugiej strony kabla.

– Nie znam nikogo innego, kto mógłby pomóc.

– Kiedy możemy się spotkać?

– U mnie o piętnastej.

Mężczyzna przerwał połączenie, a Wera odłożyła słuchawkę na widelki.

Olkiewicz rozsiadł się na wygodnej kanapie stojącej pod ścianą.

Całe wnętrze niewiele odbiegało od tych, jakie spotykało się w zwykłych willach mieszkalnych. Nie było tu tylko telewizora, który w każdym mieszkaniu odgrywał rolę najważniejszego sprzętu. Ustawiono za to trzy kanapki i dwa fotele. Na parapecie okiennym stało kilka doniczek z kwiatkami, a w jednym z narożników ogromna palma. Obok niej, na zwykłym krześle, przysiadł Grzechu Kowal.

Po chwili w pokoju pojawiły się trzy dziewczyny. Żadna z nich nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Jedna w dżinsach i koszulce, dwie w lekkich sukienkach były jak zwyczajne dziewczyny, których pełno na ulicach miast. Bez wyzywających makijaży, bez zwykłej dla nich pewności siebie w kontaktach z obcymi facetami – nie wyglądały wcale na przedstawicielki najstarszej profesji świata. Usiadły na kanapie naprzeciw Olkiewiczowi. Zaraz też przyszła Weronika, a na koniec pani Bronka, która stanęła pod ścianą tuż przy wejściu.

– Dziewczyny, mam smutną wiadomość – powiedziała szefowa, zajmując miejsce na fotelu.

One spojrzały na nią, w napięciu czekając na dalsze słowa.

– Sandra nie żyje.

Chorąży Olkiewicz przyglądał się ich twarzom. Profesjonalista w takich sytuacjach stara się wyciągnąć jakieś wnioski z mimiki, gestykulacji, niekontrolowanych zachowań lub pierwszych słów, jakie wypowiedzą ludzie, gdy dojdzie do nich dramatyczna wiadomość.

Teoś też analizował dane. Wystarczyło mu zaledwie parę chwil obserwacji, by dojść do wniosku, że następnym razem weźmie na górę tę drobniotkę Kingę, która teraz zakryła twarz dłońmi. Jakoś wcześniej nie zwrócił na nią uwagi.

Kapitan Janusz Kotlicki jadł zupę owocową z makaronem w stołówce komendy milicji. Białą talerz z drugim daniem, kotлетem mielonym z pyrami i białą kapustą, przesunięty był na przeciwległy brzeg stołu.

W ten sposób milicjant zrobił sobie miejsce na rozłożenie na blacie dużego albumu z malarstwem Aiwazowskiego. Górny brzeg książki oparł na dwóch solniczkach, dwóch pieprzniczkach i pustym pojemniku na serwetki. Dzięki temu mógł z perspektywy nadtalerzowej podziwiać morskie pejzaże. Godzinę temu album stał jeszcze na półce antykwariatu na Starym Rynku. Kapitan wstąpił tam, wracając z muzeum instrumentów muzycznych. Przeprowadzali ekspertyzę starych skrzypiec, które trafiły do niego ze Słubic, od chłopaków z Urzędu Celnego. Celnicy zatrzymali pewnego skrzypka z Poznania, który wyjeżdżał z orkiestrą na koncerty we Francji. Podczas kontroli okazało się, że zamiast zwykłych skrzypiec ma w futerale bardzo stary instrument. Skrzypek trafił do pudła, a skrzyp, ce na komendę wojewódzką w Poznaniu. W komendzie istniał specjalny wydział zajmujący się przestępstwami związanymi z dziełami sztuki. Kotlicki, historyk sztuki z wykształcenia, był zastępcą szefa wydziału. Dziś zawiózł skrzypce do muzeum, by przyjrzeni się im najlepsi w Polsce specjaliści od takich okazów. Gdy przyjechał na miejsce, zwolnił kierowcę z samochodem, bo po załatwieniu spraw skrzypcowych chciał wrócić pieszo do komendy. Taki spacer przez Stare Miasto nie mógł oczywiście obyć się bez krótkiej wizyty w antykwariacie. Na półce z malarstwem kapitan natychmiast wypatrzył album, którego szukał już od pewnego czasu. Zbiór prac XIX-wiecznego rosyjskiego realisty wydano zaledwie rok temu i pozycja ta była na naszym rynku trudna do zdobycia. Dlatego bez większego namysłu zapłacił za książkę 1000 złotych. Tyle, na ile opiewała cena ręcznie wypisana ołówkiem na wewnętrznej stronie okładki.

Teraz z wypiekami na twarzy oglądał swe trofeum rozłożone na stole.

Tu dopadł go Marcinkowski.

– Cześć, Jasiu. Można? – zapytał i nie czekając na odpowiedź już rozsiadał się obok kolegi. Ten spojrzał na niego, unosząc wzrok ponad spuszczone na nos okulary i uśmiechnął się zakłopotany, jakby został przyłapany na oglądaniu gazety z gołymi babami.

– To Aiwazowski – powiedział i odsunął talerz po zupie.

– Poczekaj, odniosę, bo idę po swoje drugie. Fred postawił na stole swoją owocową, zabrał talerz kolegi i poszedł do bufetu po kotlet. Gdy wrócił do stolika, nowy album Kotlickiego leżał już zamknięty na jednym z wolnych krzeseł.

– Wyobraź sobie, że znalazłem go dziś w antykwariacie. Ten Aiwazowski był w zeszłym miesiącu w ruskiej księgarni, ale zaraz go wyprzedali. Zresztą cena była jak za darmochę, jedyne 750 złotych. Więc ktoś go kupił i oddał do antykwariatu, i ja go dziś trafiłem, tyle że musiałem dać za niego dwie i pół stowy więcej.

– Aha – Fred kiwnął głową z uznaniem dla efektów kolekcjonerskiego polowania kolegi. Ale zaraz wykazał się kompletną ignorancją.

– A kto to ten Aiwazowski?

Kotlicki, wstrząśnięty do głębi brakiem kulturalnego obycia Marcinkowskiego, już chciał mu zrobić wykład na temat XIX-wiecznej szkoły realizmu rosyjskiego w malarstwie, ale gdy spojrzał na jedzącego zupę Freda, zrezygnował.

– A, taki ruski malarz... – wyjaśnił i zabrał się za zupełnie wystygły kotlet. Ugryzł pierwszy kęs i poczuł, że coś twardego tkwi w mięsie. Wydobył z ust niewielki kawałek kości i przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

Fred spojrzał również i uśmiechnął się.

– Co, dzisiaj znowu na kotlety zmielili psa razem z budą?

– Sugerujesz, że to mięso jest niepełnowartościowe? – Kotlicki spojrzał wymownie na klopsa, na kolegę i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Słuchaj, Jasiu, ty jesteś historyk sztuki, nie? Chciałem cię

już rano zapytać, ale wsząkłeś gdzieś. Powiedz mi, czy ty znasz się na symbolice egipskiej. Chodzi mi o starożytny Egipt.

Kotlicki spojrział na niego z zainteresowaniem.

– To zależy, o co ci chodzi. Jeśli o jakieś proste kwestie, to czemu nie, ale głębsze analizy to powiem od razu, że to nie moja działka.

– Nie chodzi mi o zagłębianie się w sprawę symboli. Po prostu natrafiłem gdzieś w trakcie śledztwa na skarabeusza. I teraz chcę wiedzieć, czy to naprawdę skarabeusz i co znaczył dla Egipcjan; może dzięki temu dowiem się, jakie ma on znaczenie w moim śledztwie.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie jest prosta. Jeżeli ma trzy pary nóg, a górne półkolistie zamykają się nad głową i do tego mają ząbki, a oprócz tego odwłok jest prążkowany, to masz skarabeusza.

– To on jest – ucieszył się Fred.

– A co do znaczenia, to skarabeusz jest symbolem odradzającego się życia.

Usłyszawszy to ostatnie zdanie, Marcinkowski spojrział uważniej na kolegę. Odradzające się życie i zabita dziewczyna naznaczona takim symbolem. Czyżby to mogło coś oznaczać? – zastanawiał się.

– Ale jeśli chcesz wiedzieć więcej na ten temat, to przejdź się na uniwersytet. Akurat tu, w Poznaniu, mamy gościa, który na temat tych egipskich znaków wie prawie wszystko. On się nazywa Krzysztof Karwat i jest docentem. Facet zna się na sprawach starożytnych Egipcjan trochę lepiej ode mnie.

– Mamy takiego specja tutaj? To ciekawe. Może warto z nim pogadać.

Godz. 13.30

Dorota musiała już iść, a Mariusz tym bardziej. Na Rynku miał być tylko chwilę, a stracił już ponad godzinę. Ładnie się zaczyna moje samodzielne zadanie, pomyślał szeregowy w cywilu, patrząc w zielone oczy dziewczyny. Im intensywniej w

nie patrzył, tym był pewniejszy, że nie stracił ani minuty.

Siedzieli na ławeczkach w uliczce między galerią Biura Wystaw Artystycznych a Muzeum Wojska Polskiego. Mariusz nawet przez chwilę zastanawiał się, jak to możliwe, że zna tę dziewczynę zaledwie kilkadziesiąt minut, a już powiedział jej tak dużo o sobie. Wszystko to była tylko kwestia przypadku. Przypadkowo spotkali się w bramie podczas rozpędzania manifestacji pierwszomajowej i przypadkowo trafili na siebie dzisiaj w tej włoskiej spagheterii. No, dzisiaj to właściwie ona trafiła na niego i to dzięki niej zaczęli w ogóle rozmowę. Bo prawda była taka, że on z tego całego zamieszania na Półwiejskiej zapamiętał tylko jakąś dziewczynę, która zaopiekowała się młodym chłopakiem.

Ale tego, jak ona wyglądała, po prostu nie pamiętał. Był tak wzburzony całą sytuacją, że jej obraz stał się tylko mglistym wspomnieniem. To wspomnienie dopiero dziś nabrało realnych kształtów. I co ważniejsze, te kształty były całkiem przyjemne.

Okazało się, że Dorota studiuje polonistykę. W Poznaniu na Półwiejskiej mieszka od urodzenia.

On opowiedział jej o swojej drodze do milicji i o tym, dlaczego znalazł się wśród siepaczy. To ona użyła tego słowa, mówiąc o zomowcach, gdy próbował, zresztą bezskutecznie, wyjaśnić, że wcale nie wszyscy są tacy źli. W końcu doszli do porozumienia i co gorsza, Mariusz musiał się z nią zgodzić, zresztą z pełnym wewnętrznym przekonaniem, że ZOMO to zbieranina paskudnych typków, wśród których znajdują się normalni ludzie.

– Teraz najważniejsze, żeby ci normalni, kierujący się ludzkimi uczuciami, zaczęli dominować w tej bandzie – mówiła z zapalem dziewczyna.

I znowu okazało się, że i on myślał podobnie. Ale jedyne, co robił dotąd, to starał się nie wyróżniać, udawać, że ze wszystkim się zgadza i jak najgłębiej ukrywać swoje myśli.

– Nie miałeś kłopotów z tym facetem z bramy? – zapytała o kaprała Fika.

– To jest taka gnida, która próbuje wszystkim wykazać, że są

od niego głupszy i mniej od niego znaczą. Tyle jego, ile nakrzyczy. Tak naprawdę wszyscy śmieją się z jego głupoty. Typowy zakompleksiony gnojek, dla którego szczytem marzeń jest stopień kaprała.

-Ale nie zgłosił nikomu o tym zajściu z tobą? – dopytywała się Dorota.

- No coś ty. Wtedy w bramie przestraszył się nie na żarty. To przecież nic trudnego odciąć takiemu łeb podczas snu...

- Zrobiłbyś to? – spojrzała na niego z lękiem w oczach.

- Nie po to chcę być milicjantem, żeby łamać prawo – odpowiedział z pełnym przekonaniem szeregowy Mariusz Blaszkowski.

Godz 14.15

-Atos, chodź do pana. Atos, gdzie ty jesteś piesku?

Pan Józef Musiał ze skórzaną czarną smyczą w ręce stanął na ścieżce i rozglądał się wokół, pogwizdując przy tym na swojego ulubieńca.

Kilka minut temu jego brązowy cocker spaniel, który zazwyczaj kręcił się tuż przy nodze, wskoczył w najbliższe krzaki i gdzieś przepadł.

Pan Józef, wojskowy emeryt, nie martwił się tym zbyt. Już wiele razy zdarzało się, że Atos, w końcu pies myśliwski, poczuł jakiś trop i leciał kilkaset metrów w głąb Lasku Dębińskiego. Teraz, gdy zniknął między drzewami, jego właściciel postanowił, że da mu jeszcze chwilę swobody na wyhasanie się. Wydobył z kieszonki białej, płóciennej koszuli paczkę zefirów i zapalił. Zaciągnął się i wykrzywił usta z obrzydzeniem. Co za paskudztwo! Pani Stenia miała całkowitą rację, pomyślał i zaciągnął się znowu.

Po ostatniej wizycie u lekarza, kiedy okazało się, że ciśnienie ma niezbyt dobre, musiał wreszcie podjąć jakąś decyzję. Doktor powiedział, że powinien rzucić palenie albo chociaż je ograniczyć, bo jego pompa może w końcu się na niego zdenerwować. Pan Józef doszedł do wniosku, że nie ma co

lekceważyć zaleceń lekarza i postanowił rzucić ekstra mocne, które palił od prawie dziesięciu lat. Poszedł do swojego kiosku Ruchu na Czechosłowackiej i poprosił panią Stenię, kioskarkę, którą znał od lat, by pomogła mu dokonać wyboru. Kobieta bez słowa położyła przed nim paczkę zefirów.

– To miętowe świństwo. Jak pan chce rzucić, to nie ma nic lepszego na odzwyczajenie.

Spojrzał z obrzydzeniem na te pedalskie papierochy, ale co było robić. Poprosił jeszcze o „Głos Wielkopolski” i poszli z Atosem na spacer.

Skończył palić, wyrzucił biały niedopałek na ścieżkę i przydepnął butem. Czuł, że wcale się nie napalił. Skoro jednak doktor kazał, nie było wyjścia. Pan Józef nie kwestionował nigdy rozkazów przełożonych. A lekarz był dla niego jak dowódca. Kazał zrobić porządek z paleniem, więc trzeba się było podporządkować.

Rozejrzał się wokół, ale psa ciągle nie było. Gwizdnął głośno na palcach i wtedy odpowiedziało mu szczeknięcie. Dobiegło gdzieś z głębi lasu. Zagwizdał jeszcze raz. Szczeknięcie powtórzyło się. Zdecydowanie ruszył w kierunku, w którym jego czujny słuch zlokalizował Atosa.

– Co jest z tym cholernikiem? – zastanawiał się pan Józef, przedzierając się przez zarośla. – Bawi się ze mną w podchody czy jak? Co parę metrów przystawał i gwizdał, a pies odpowiadał mu szczeknięciem. Wreszcie po paru minutach tego niecodziennego marszu na orientację, gdy pokonał już dystans jakichś dwustu metrów od ścieżki, dostrzegł spaniela. Pies siedział na ziemi. Przed nim leżała pognieciona torba foliowa. Atos przyglądał się jej, warcząc cicho.

– Coś ty tam znalazł, batiarze jeden? – zapytał psa pan Józef. Podszedł do torby i nie podnosząc z ziemi, rozchylił foliowe brzegi. Najpierw poczuł smród, a zaraz potem zobaczył rój wielkich, czarnych much wylatujących z wnętrza. Niezrażony paskudztwem zajrzał do środka. Ujrzał zakrwawiony policzek i fragment nosa przykryte posklejanymi, jasnymi włosami. Ostrożnie zwinął brzegi torby i przygniótł je do ziemi. Znalezisko zaszokowało go, ale nie na tyle, by stracił głowę.

Jako stary frontowy żołnierz, który przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina, widział już w swoim życiu znacznie gorsze rzeczy. Teraz, jak zawsze pod wpływem stresu, zaczął działać. Rozejrzał się wokół.

Kilka metrów obok dostrzegł grubą gałąź. Przyniósł ją na miejsce i wbił pionowo w ściółkę, by zaznaczyć miejsce. Odszedł kawałek, ale na tyle, by nie stracić z oczu znaleziska i szczyrykiem o dwunastu ostrzach, który zawsze nosił przy sobie, wyrył na drzewie znak krzyża.

Następnie czynność tę powtórzył jeszcze trzykrotnie, przesuwając się w stronę ścieżki. Tu również, przy skraju dróżki, wbił pionowo patyk, zaznaczając miejsce wejścia do lasu.

Niecały kilometr od ostatniego znaku, do ulicy Piastowskiej, pokonał szybkim marszem w zaledwie parę minut. Rozejrzał się i zobaczył, że z lewej strony nadjeżdża auto dostawcze. Wyszedł na jezdnię wraz z uwiązany na smyczy psem i podniósł rękę do góry.

Kierowca Marian Jarząbek jechał z Lubonia do Poznania. Blaszycki dostawczy żuk, którego prowadził, należał do poznańskich PSS-ów. Właśnie rozwiózł towar do kilku sklepów spożywczych i teraz wracał z pustą paką do swojej firmy. Uwinął się szybko, więc już oczami wyobraźni widział się siedzącego w pijalni piwa na Strzeleckiej, niedaleko swojego domu. Nagle rozmyślania o poznańskim z pianką przerwało mu coś, co wyskoczyło na ulicę. Ze zdumieniem dostrzegł, że na środku pasa ruchu, którym jechał, stoi jakiś facet z psem. Przestraszył się nie na żarty i weisnął hamulec do dechy. W pierwszej chwili pomyślał, że na drogę wyskoczył milicjant, ale gdy po chwili przekonał się, że to jakiś stary dziad, wpadł we wściekłość. Nie dość, że stary idiota naraził siebie, to, co gorsza, mógł sprawić, że samochód roztrzaskałby się na drzewie w lasu.

Kierowca otworzył drzwi i już chciał zbluzgać krety, gdy ten niespodziewanie szybko podszedł do drugich drzwi. Otworzył je zdecydowanym ruchem i zawołał z wyraźnym lwowskim akcentem:

– Milczeć. Nic nie mówić i jechać na milicję. My też pojedziem.

Atos, ładuj się do auta, migiem.

Godz 15.00

Szpakowaty mężczyzna w jasnym letnim garniturze siedzący w biurze u Weroniki miał około czterdziestki. Był wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, i doskonale zbudowany. Widać było, że to nie typ faceta zza biurka, ale raczej sportowca, czynnie uprawiającego jakąś dyscyplinę. Łokcie położył na obu oparciach fotela, a w dłoniach trzymał kubek z kawą.

– Chcę mieć tego skurwiela – powiedziała Weronika, patrząc na swojego gościa.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, pociągnął łyk kawy i odstawił kubek na ławę.

– Nie chce pani zaufać Milicji Obywatelskiej? W końcu to oni są od łapania przestępców.

Przez chwilę próbowała wyobrazić sobie Olkiewicza, jak usiłuje dopaść mordercę Sandry. Ten oślizgły, wiecznie spocony typ, który pobierał swój haracz w naturze raz na kilka tygodni, przyprawiał ją o mdłości. Dla niej był jak wesz, której nie sposób zabić i z którą trzeba nauczyć się żyć. Ale żeby ten pasożyt, uosobienie wszystkich paskudnych cech milicjanta, miał sobie poradzić z jakimś nieprzebierającym w środkach mordercąto było zupełnie niewyobrażalne.

Pół godziny temu wyszedł od niej z wielką torbą, zapełnioną rzeczami Sandry. Weronika myślała, że milicjant będzie je przeglądał, sprawdzi dokładnie wszystko i może trafi na coś, co mogłoby być śladem. Tymczasem on kazał mundurowemu pójść do samochodu po worek i do tego worka po pyrach zapakował wszystko, co należało do zabitej dziewczyny. Jej ubrania, prywatne szpargały, wszystko to wsadził do środka i zabrał ze sobą, pozostawiając ogołocony pokój. I taka świnka miałyby na coś natrafić, myślała Wera. To upewniło ją w

przekonaniu, że konieczne jest szukanie sprawiedliwości na własną rękę.

– Niech pan nie żartuje – zachnęła się Weronika. – Łapać się to oni potrafią co najwyżej za kutasy. A takie gnoje jak ten, który zabił moją Sandrę, chodzą sobie spokojnie na wolności. Chcę, żeby ta świnią poniosła karę, i to taką, żeby potem każdy zastanowił się dwa razy, zanim spróbuje skrzywdzić jakąś dziewczynę.

– Powiem pani, że jest to oczywiście do zrobienia. Problem tylko z ceną. Myślę, że każdego, nawet największego wariata, można znaleźć. To tylko kwestia tego, ile się ma pieniędzy, aby zapłacić tym, którzy mogą w takiej sprawie pomóc. A co do wymierzania sprawiedliwości, to myślę sobie, że to na razie problem drugorzędny. Jeśli go znajdę, mogę oderwać mu łeb natychmiast albo przywieźć go do pani, i wtedy razem wkręcimy go w maszynkę do mięsa. Pani wybór.

– Za ile jest pan gotowy go znaleźć i wkręcić? – uśmiechnęła się do niego Weronika i tym razem zastosowała ten rodzaj uśmiechu, który zniewalał tak wielu mężczyzn.

– Dwa i pół tysiąca dolarów – rzucił swoją cenę i widać było, że magnetyzm kobiety nie działa na niego zupełnie.

– Za tyle dostarczy go pan do mnie żywego – powiedziała z wyraźnym naciskiem na ostatnie słowo.

– Jeśli pani pozwoli, najpierw porozmawiam jeszcze z dziewczynami. I jeszcze jedno, poproszę o trzydzieści procent z góry. Na delegację.

Dwa i pół tysiąca dolarów. To była horrendalna kwota, ale Weronika nie zastanawiała się ani chwili. Wiedziała, że to musi kosztować, a facet, który siedział w jej fotelu, był najlepszą gwarancją, że pieniądze nie zostaną wywalone w błoto. Znała go od kilku 'at (jako człowieka kompetentnego). Wykonywał już dla niej kilka drobnych zleceń i zawsze wywiązywał się ze swoich zobowiązań bez zarzutu.

Wstała z fotela i podeszła do biurka stojącego pod oknem. Z szyi ściągnęła srebrny łańcuszek, na którym wisiał kluczyk od pancерnej kasetki. Chwilę pogrzebała w środku, by za moment rozłożyć na biurku plik banknotów. Odliczyła żadaną kwotę i

podawała mężczyźnie. Ten wziął pieniądze do ręki, złożył plik na pół i bez liczenia schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Chcę mieć tego skurwiela – powtórzyła po raz drugi.

– Klient nasz pan – powiedział uśmiechnięty mężczyzna.

– A księga skarg i wniosków znajduje się u kierownika zakładu? – zapytała Weronika.

ROZDZIAŁ VI

Godz. 15.05

Szeregowy Blaszkowski w cywilnym ubraniu, w koszulce z Bruce'em Lee i džinsach, wyglądał jak jeden ze studentów mieszkających na tym osiedlu. Na ławeczkach i trawnikach przed wieżowcami akademików polibudy na Rocha siedziało kilkudziesięciu młodych ludzi. Atmosfera panowała nadzwyczaj luźna. Widać było, że dla większości z nich rok akademicki już się zakończył, a teraz siedzieli jeszcze na osiedlu, by nadrobić towarzyskie zaległości zaniedbane przez okres sesji. Młodzi ludzie pili piwo poznańskie i wino markowe. Towar kupowali w pobliskiej Becie. Na szczęście dziś w sklepie było pod dostatkiem płynów spełniających ich wymagania.

Mariusz siedział na jednej z ławeczek i przeglądał plan Poznania.

Godzinę temu kupił tę mapę w kiosku Ruchu na placu Wiosny Ludów. Tam właśnie przyprowadziła go Dorota. Pokazała mu przystanek tramwajowy na Strzeleckiej, z którego mógł pojechać na Zamenhoffa. Powiedział jej, że jedzie zobaczyć się ze znajomym z Piły, który studiuje na Politechnice. Dziewczyna śpieszyła się do domu, ale umówili się, że jak tylko będzie miał czas, zadzwoni do niej. Podała mu numer telefonu, który skrzętnie zapisał w swoim prywatnym notesie.

Gdy zniknęła na Półwiejskiej, on kupił w kiosku dziesięcioprzejazdowy bilet i plan Poznania. Na przystanku wsiadł w piątkę, tak jak mu kazała Dorota, i po paru minutach jazdy wysiadł, zgodnie z jej instrukcją, na pierwszym przystanku za mostem Marchlewskiego. Z daleka dostrzegł już sylwetki trzech beżowych wieżowców. Wiedział, że dwa z nich należą do polibudy, a jeden do AWF-u. Tutaj postanowił zacząć

swoje poszukiwania, bo wiedział, że w jednym z tych akademików mieszka Robert Nowacki, kolega z jego klasy w ogólniaku. Co prawda, nie bardzo wierzył, że uda mu się go odnaleźć, zwłaszcza że chłopak mógł już pojechać na wakacje do Piły, ale myślał, że spróbować warto.

Wszedł do pierwszego z brzegu akademika nr 6. Już na drzwiach wejściowych zauważył duży afisz wykonany ręcznie mazakiem na kartce bristolu. Ogłoszenie informowało wszystkich chętnych, że jutro, to jest w środę, o godzinie 18 w sali telewizyjnej DS 5 odbędzie się pokaz filmów video. Zapisał tę informację w notesie, po czym poszedł na portiernię zapytać o kolegę. Portier nie znał jednak faceta. W kolejnym akademiku, w piątce, portierka sprawdziła w zeszytce meldunkowym i okazało się, że Nowacki Robert mieszka na dziewiątym piętrze w pokoju 907. Nie ma tam jednak teraz nikogo, bo klucz jest w przegródce. Mariuszowi nie pozostało nic innego, jak połączyć chwilę po osiedlu w nadziei, że kumpel może wróci za chwilę.

Usiadł na ławce, z której mógł spokojnie obserwować wejście do akademika na wprost napisu wykonanego studencką ręką na ścianie, tuż pod oknami parteru. Mimo starań administracji osiedla napis i tak wyłaził spod warstwy farby, która miała go ukryć.

„Wojtek historia ci może wybaczy, ale u mnie masz przejebane. Józek K.”

Mariusz rozłożył mapę na kolanach i sprawdzał teraz połączenia autobusowe z Obornicką. Zamierzał za chwilę wyruszyć w tamtą okolicę, by pokręcić się po osiedlu uniwersyteckim.

– No i co tak patrzysz w tę mapę, smutny kliencie? – usłyszał nad sobą głos. Nie musiał nawet podnosić głowy, bo wiedział, do kogo należy.

– Sprawdzam czy jest zaznaczone miejsce, w którym mieszka największy palant w Poznaniu.

Obaj zaśmiali się głośno i podali sobie ręce.

– Mariuszek, co cię tu sprowadza? – zapytał student politechniki, Robert Nowacki, zaskoczony tym niespodziewa-

nym spotkaniem.

– Mam trochę wolnego, no i pomyślałem, że warto zobaczyć, jak żyjesz.

– No to chodź do mnie do pokoju. Ale zaraz, powiedz mi, czy masz może przypadkiem trochę niepotrzebnej kasy, bo moglibyśmy zakupić kilka flaszek poznańskiego. Podobno jest w Becie świeża dostawa. A ja jestem zupełnie splukany.

– No, to masz dziś szczęśliwy dzień, chłopie, bo coś tam w mojej kieszeni się znajdzie – uśmiechnął się tajny agent Mariusz Blaszkowski.

Wstał z ławki i ruszyli obaj w stronę samu spożywczego, w którym wczoraj był z sierżantem Makarczukiem. Gdy przechodzili koło drzwi szóstki, Blaszkowski spojrział na afisz z zaproszeniem na jutrzejszy seans filmowy.

– Szkoda, że to dopiero jutro – powiedział patrząc na kartkę.

– Co jutro?

– No te filmy, nie widziałem jeszcze takich filmów z kaset.

– Nie widziałeś, ciemniaku? No tak, skąd by tam u was na wsi w Pile miały się wziąć pokazy video. Ty, ale słuchaj, dzisiaj jest wtorek, to będą wyświetlać o osiemnastej w Ciciborze na Obornickiej. Jak chcesz, możemy tam skoczyć. Tylko musisz mi fundnąć bilet, bo jak widzisz, ciężko u mnie z kasą.

– No, czemu nie! – ucieszył się Mariusz. – A drogie to jest?

– Coś ty, taniej niż do normalnego kina. Bilet kosztuje tyle, co piwo z kaucją. Pięć dych.

Godz. 15.30

Restauracja Kasztelańska na osiedlu Piastowskim z daleka wyglądała jak zwyczajny pawilon handlowy, jakich pełno na nowych osiedlach. Wewnątrz też nie była w żaden sposób wyjątkowa. Nie miała nic z kasztelańskich wnętrz, co sugerowała nazwa. Dwie ściany sali konsumpcyjnej były całkowicie przeszklone. Klienci mieli wrażenie, że siedzą wewnątrz dużego akwarium. Wyposażenie stanowiły przykryte białymi obrusami proste stoliki z płyty laminowanej na

metalowych nogach i pasujące do nich proste krzesła, a na podłodze kwadratowe płytki z gumoleum. Akcentami mającymi nawiązywać do staropolskiej nazwy knajpy były przystrajające jedną ze ścian, wzorowane na tarczach herbowych wytwory rodzimej metaloplastyki.

Porucznik Brodziak najpierw poszedł do ubikacji. Od godziny marzył, aby się wysikać. Bo piwo, które wypił na rynku Łazarskim z Darkiem, sprzedawcą kaset, przypomniało mu o sobie bólem pęcherza. Toaleta płatna 10 zł – głosił ręcznie wykaligrafowany napis na tekturce przyklepionej do drzwi WC. Przed drzwiami stał taboret z porcelanowym talerzykiem. Nie było babci klozetowej, więc nikt nie pilnował, by monety z Sienkiewiczem trafiały na talerz. Oznaczało to jedno. Skoro nikt nie pilnował kibla, to ruch w Kasztelańskiej był minimalny i nikomu nie opłacało się pobieranie kiblowego haraczu. Wysikany stróż prawa nawet nie pomyślał o tym, by zapłacić za skorzystanie ze śmierdzącego pisuaru. Zapiął rozporek i poszedł na salę. Usiadł przy stoliku pod oknem naprzeciw bufetu.

W restauracji był zupełnie sam. Mimo to, a może właśnie dlatego kelnerka zauważyła go dopiero po jakichś dziesięciu minutach. Wysoka, dobrze zbudowana blondynka z pokaźnym biustem, powiekami mocno podkreślonymi niebieskim cieniem i karminowymi ustami podeszła do stolika kołysząc biodrami. Brodziak lubił ten typ kobiet, ale ta wydała mu się zbyt jarmarcznym wydaniem jego ideału. Z obojętną miną podała kartę dań z kasztelańskim herbem wytłoczonym na plastikowej okładce.

– Niech mi pani da jedno poznańskie i setkę czystej – poprosił Brodziak, nie spojrzawszy nawet na menu.

Wyjątkowo szybko, bo już po jakichś pięciu minutach od przyjęcia zamówienia dziewczyna przyniosła dwie pięćdziesiątki, piwo w wysokiej szklance z cienkiego szkła i galaretkę z groszkiem, marchewką i mięsopodobnymi ochłapami.

– Co to jest? – spytał Brodziak wskazując galart.

– To jest galart – wytłumaczyła mu dziewczyna.

- Aha, a po co mi galart?
- No, jak to? – zdziwiła się, jakby nie zrozumiała pytania. – Alkohol podajemy wyłącznie do konsumpcji, więc dałam galart, bo pan nic nie zamówił, a on jest najmniej schodzący, to się go podaje niezamawiającym.
- Rozumiem, specjalność zakładu lorneta i meduza – zażartował. Chyba nie znała się na żartach.
- Specjalnością naszego zakładu jest kotlet kasztelański po staropolsku – wytłumaczyła mu tę prostą prawdę, o której mógłby się dowiedzieć, gdyby sięgnął do karty dań. Ale on nie sięgnął i ona o tym wiedziała.
- Rozumiem – pokiwał głową. – Po staropolsku, czyli jak?
- Normalnie, jak schabowy, tylko z frytkami zamiast pyrów i z zestawem surówek, a nie z kiszoną kapustą.
- Wie pani co? To ja w takim razie zamówię normalny z pyrami i kapuchą kiszoną, a galart niech pani zabierze.
- Ale on i tak wliczony – uśmiechnęła się kelnerka.
- No, rozumiem, a co tam jest w środku? Spojrzała na niego jak na kogoś nienormalnego.
- Panie, a kto to może wiedzieć.

Godz. 15.55

– Panie kierowniku, jest już ten pan z milicji! – zawołała pani Jadwiga w stronę otwartych drzwi pokoju, który zajmował kierownik domu studenckiego „Jagienka”. Zenon Surma wyszedł ze swojego gabinetu. W pokoju z dwoma rozklekotanymi biurkami zobaczył mężczyznę, na którego z niepokojem czekał od przedpołudnia. Wtedy to zadzwoniono do niego z rektoratu uczelni z prośbą, by pomógł we wszystkim panom z milicji, którzy się dziś do niego zgłoszą, bo prowadzone jest bardzo ważne śledztwo. Dlatego kierownik ma się podporządkować wszystkim poleceniom przedstawicieli organów. Przez te parę godzin, jakie minęły od telefonu, kierownik Surma wprost wyłaził ze skóry, by dowiedzieć się, o co może chodzić. Dzwonił do kolegów z innych akademików, a

także do znajomych w pionie administracyjnym uniwersytetu, ale nikt nic nie wiedział albo nie chciał powiedzieć. Zastanawiał się więc gorączkowo, czy to może chodzić o te nieprawidłowości w bilansowaniu poprzedniego roku, gdy okazało się, że coś nie bardzo zgadzają mu się wpływy z opłat studenckich za mieszkanie. Ale tamta sprawa już chyba się rozeszła po kościach, myślał kierownik, i martwił się coraz bardziej.

Okolo piętnastej był już po wypiciu ćwiartki stołowej, więc rozdygotane nerwy nieco się uspokoiły. Gdy pani Jadwiga zawołała do niego ze swojego pokoju, czuł się zupełnie dobrze, a pusta półlitrowka leżała w koszu na śmieci.

– Bardzo proszę do mnie – uśmiechnął się do milicjanta i poczekał w drzwiach, aż ten wejdzie do środka.

– Proszę, niech pan siada – wskazał mu jeden z dwóch foteli stojących pod ścianą i oddzielonych od siebie ławą przykrytą bieżnikiem w łowickie pasy. Prócz sterty papierów stało tam radio tranzystorowe jowita. Spiker zapowiadał właśnie niezwykle interesującą audycję ukazującą sylwetki laureatów poprzednich festiwali piosenki radzieckiej w Zielonej Górze. Zenon Surma zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie wyłączyć radia, ale w obliczu tematyki audycji wyłączenie mogło być odebrane jako gest nieprzyjazny wobec polityki kraju i sojuszków zawartych przez ludową ojczyznę. Wolał nie ryzykować, zwłaszcza że nie znał człowieka.

Milicjant miał chyba w dupie sojusze, bo sam ściszył radio, nie przejmując się niczym.

– Napije się pan czegoś, herbaty może, a może czegoś mocniejszego? – zapytał kierownik z nadzieją w głosie.

Sierżant Tomasz Kubiak spojrział badawczo na kierownika, a później mrugnawszy znacząco, skinął głową. Jezus Maria, odetchnął z ulgą kierownik. Jak chce kielicha wypić, znaczy, że nie będzie mnie macał w sprawie tych niedoborów w kasie. Chwała Bogu, czyli w jakiejś gównianej sprawie milicja przysłała.

Poczuwszy znowu pewny grunt pod nogami, uśmiechnął się porozumiewawczo do sierżanta i zajrzał do pani Jadzi.

– Da nam pani dwie literatki, czyste, pani Jadziu, bo

oranżady chcemy się z panem napić.

Już po chwili dwie puste szklaneczki stały na ławie. Kierownik Surma najpierw zamknął drzwi do gabinetu, a później wyciągnął z barku w segmencie Kowalskiego dwie szklanki, butelkę stołowej i butelkę oranżady z etykietą zastępczą. Jej zastępczość polegała na tym, że nie była to zwykła kolorowa nalepka z napisem oranżada, ale biała kartka z przybitą do niej pieczętką informującą, że konsument ma do czynienia z oranżadą właśnie, a jej cena wynosi 12 zł 50 groszy plus 2 zł kaucja za butelkę.

Do szklanek rozlał czerwoną oranżadę, a do literatek wódkę.

– No, to za spotkanie – kierownik podniósł do góry swoją szklaneczkę i wypił. Sierżant też wypił alkohol bez zmruczenia oka, po czym wyciągnął z kieszeni paczkę giewontów bez filtra. Otwartą podsunął kierownikowi. Ten, choć palił tylko z filtrem, skorzystał z okazji, bo z tytoniem było u niego krucho. Kartkowy przydział wystarczał mu zaledwie na parę dni, a później musiał kombinować, jak wszyscy. Dlatego, gdy tylko nadarzała się możliwość, z przyjemnością palił cudzesy.

– Panie kierowniku, jestem tu u pana w niezwykle delikatnej, ale i cholernie poważnej sprawie – zaczął Kubiak. – Otóż, dostaliśmy informację, że zaginęła pewna dziewczyna, która studiuje na uniwerku, a mieszka w pańskim akademiku.

Surma uśmiechnął się szeroko, bo sprawa, z którą przyszedł milicjant, okazała się tak mało ważna wobec wagi tych, które miał na swoim kierowniczym sumieniu, że znów poczuł się niesłychanie ważnym pracownikiem UAM. Postanowił więc zrobić wszystko, by zasłużyć sobie na dobrą opinię u milicji. To zawsze się może przydać, kombinował w myślach.

– Jak mogę panu pomóc? – zapytał. – Oczywiście, może pan liczyć na pełną współpracę i całkowitą dyskrecję z mojej strony.

– Muszę przejrzeć jej rzeczy, a pan powinien w tym uczestniczyć jako świadek, to jest jedno. Poza tym nikt nie powinien wiedzieć, że coś takiego miało miejsce, dlatego musimy to zrobić tak, by pański personel nie zorientował się, w czym rzecz. To po drugie. A po trzecie niech pan weźmie z portierni klucze od kilku pokoi, w tym od pokoju 512, i powie

tej kobiecie, co tam siedzi, że to kontrola bezpieczeństwa przeciwpożarowego w wybranych pomieszczeniach.

– Niech się pan nie martwi, wszystko zrobimy tak jak trzeba – powiedział kierownik Zenon Surma, nalewając do literatek kolejną porcję gorzoly.

Godz. 15.55

Mirek Brodziak zjadł schabowego z kapustą i ziemniakami. Musiał przyznać, że danie było całkiem nieźle przyrządzone. Popił obiad resztką piwa i skinieniem głowy poprosił kelnerkę, by podeszła do jego stolika.

– Pani mi da jeszcze piwo i seteczkę, ale bez tego dodatku w postaci galarczika.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się blondyna. – Policzymy to jako alkohol do konsumpcji tego schabowego. I co, smakował kotlecik?

– Pierwsza klasa, jak w domu u mamy – pochwalił milicjant.

Gdy dziewczyna odeszła, spojrzął na zegarek. Zaraz czwarta, już powinien tu być, pomyślał, spoglądając w stronę drzwi.

Dziś na Łazarzu zapisał sobie dane tego gościa, który zajmował się wyświetlaniem filmów w akademikach. Myślał, że może wpadnie do niego jutro, ale gdy wychodził z rynku Łazarskiego zauważył koło sklepu spożywczego radiowóz. Chciał podjechać do komendy tramwajem, ale gdy zobaczył milicyjne auto, stwierdził, że szczęście uśmiechnęło się do niego. Podeszedł do samochodu, otworzył drzwi od strony kierowcy i powiedział:

– No i co się tak opierdalacie, chłopaki?

Kapral Marciniak, który właśnie jadł kajzerkę z kielbasą, odwrócił się do intruza, chcąc zapewne opieprzyć gościa, który bezczelnie zakłócił mu przerwę obiadową. Gdy zobaczył gębę Brodziaka, uśmiechnął się radośnie.

– A, porucznik! A my tu z ze Zdlichem mamy odpoczynek krótki – wyjaśnił starszemu stopniem koledze.

Kapral Zdzichu Maślanka kiwnął do Brodziaka z drugiego

siedzenia.

– Czy ja co mówię? – zaśmiał się Brodziak. Zatrzasnął drzwi kierowcy, otworzył tylne i włądował się na siedzenie.

– Mam do was prośbę, o ile nie robicie teraz nic ważnego.

– A gdzie, ważnego – odwrócił się do niego Marciniak. – Zwykły patrol mamy, nie, Zdzichu?

– No – potwierdził Maślanka.

– To w takim razie złap się któryś za mikrofon i daj mi dyżurnego z miejskiej.

Gdy po chwili nawiązali łączność przez radiotelefon, Brodziak przejął mikrofon.

– Cześć, mówi Mirek Brodziak z wojewódzkiej, potrzebuje wszystkich namiarów na faceta, który mieszka na osiedlu Piastowskim, a nazywa się – tu spojrzał do swojego notesu i odczytał – Maciej Trelka, student II roku historii.

Już po paru minutach przyszła odpowiedź. Ku zdumieniu porucznika oficer dyżurny podał mu nie tylko dokładny adres, co było zresztą zupełnie normalne zważywszy na obowiązek meldunkowy, któremu podlegał każdy obywatel kraju, ale co istotne – dostał też numer telefonu, a to już był fart. Telefon należał bowiem do dóbr trudno dostępnych, a czas oczekiwania na założenie aparatu w domu wahał się od ośmiu do dziesięciu lat. Nie każdy miał szczęście posiadania takiego luksusu.

Chłopcy podwieźli go radiowozem do najbliższego działającego aparatu na poczcie przy Dworcu Zachodnim. I tu po raz kolejny okazało się, że Brodziak ma dziś fart. Po drugiej stronie kabla odezwał się Maciek Trelka.

Brodziak powołał się na znajomość z Darkiem z Łazarza i poprosił o spotkanie w sprawie kaset z filmami. Umówili się na szesnastą w Kasztelańskiej, bo to niedaleko domu Maćka.

Dwie minuty po czwartej do restauracji wszedł niewysoki, szczupły chłopak w dżinsach i letniej, bawełnianej koszulce. Rozejrzał się po sali, w której siedział tylko jeden klient. Podszedł więc do stolika, który zajmował porucznik.

– Jestem Maciej – przedstawił się.

– Witam, to ja dzwoniłem do ciebie – Mirek uściśnął dłoń wyciągniętą przez chłopaka na powitanie, a potem wskazał mu

krzesło naprzeciw.

Tym razem kelnerka przysła natychmiast, bo siedząc za bufetem zauważyła, że pojawił się nowy klient.

– Podać coś? – zapytała, nie zwracając się do żadnego z mężczyzn bezpośrednio.

– Wypijesz piwo? – zapytał Brodziak chłopaka, a gdy ten skinął głową, poprosił o dwa poznańskie.

– Słuchaj, mój znajomy, Darek z Łazarza, polecił mi ciebie jako faceta najlepiej zorientowanego w branży filmowej w Poznaniu.

Chłopak gładko przełknął komplement, a później popił go piwem. Problem jest taki, mam mieć fajny odtwarzacz, ale nie wiem, czy warto w to wchodzić. Dlatego chciałem zapytać, czy na tym rynku jest jeszcze miejsce dla kogoś z dobrym sprzętem, bo jak powiesz, że nie, to wpierdalać się nie będę.

– Człowieku, ja obstawiam tylko kluby studenckie z jednym kolesiem, a i tak roboty mamy tyle, że ledwo zipiemy. Dla człowieka z jajami jest jeszcze tyle miejsc do zagospodarowania, że daj Boże zdrowie.

Jak wejdiesz teraz, to masz tyle roboty, że się nie pozbierasz. Tyle, że kluby studenckie są nasze i nikogo spoza Zsyphu tam nie wpuszczą. Ale gdzie indziej eldorado.

– A jak z repertuarem?

– Kaset na razie jest mało, ale ode mnie możesz odkupywać świeżo dubbingowane.

– No, to możemy zrobić niezły interes.

– Stary, to interes życia, ale tylko na rok, no może dwa...

– Czemu? – zainteresował się porucznik.

– Bo niedługo każdy będzie miał w domu magnetowid. To tylko kwestia czasu.

Ciekawe, czy to rzeczywiście kwestia czasu, myślał Mirek. Jeśli ceny będą takie wysokie, to kiepsko to widzę. Mało kto ma tyle dolców, by móc wywalić pięćset dolarów na takie чудо. Magnetowidy w szkołach czy instytucjach, to jeszcze rozumiem, ale w prywatnych domach, to chyba niemożliwe. A poza tym, by to mogło się stać popularne, muszą być wszędzie dostępne filmy, a u nas kto się zajmie dystrybucją? Może

Tonpress, który ma kłopot z wydaniem dziesięciu płyt rocznie?

Z drugiej strony, magnetofony w latach sześćdziesiątych to też był niewyobrażalny luksus. A teraz niemal każdy może pozwolić sobie na sprzęt do nagrywania.

– A wracając do repertuaru, powiedz mi, bo ja lubię takie filmy, no takie straszne, dreszczowce, filmy grozy... Jest coś z tego do dostania?

– Masz fart, że mnie spotkałeś, chłopie – uśmiechnął się Maciek.

– Wszystkie filmy grozy, jakie chodzą na rynku, mam w swojej prywatnej kolekcji. I jeszcze kilkadziesiąt innych bez polskiego tekstu.

Godz. 16.15

Docent Krzysztof Karwat siedział w swoim pokoju na wydziale historii UAM w Collegium Novum. Mimo że nie miał już zajęć, bo rok akademicki właściwie już się skończył, nie spieszył się do domu. Tutaj miał wszystko, co było mu potrzebne do pracy. Książki, skrypty, odręczne notatki, szafy pełne różnych szpargałów, a każdy z nich był na wyciągnięcie ręki. W domu – co prawda – też miał okazałą własną bibliotekę, ale tam, w Puszczykowie, nie było atmosfery do pracy. Dlatego wolał siedzieć tu tak długo, jak było to możliwe. Przeważnie więc siedział bardzo długo i dopiero wieczorem wracał do siebie.

Początkowo, zaczytany w tłumaczeniu starożytnego tekstu, nie zwrócił uwagi na pukanie do drzwi. Dopiero gdy rozległo się ponownie, znacznie bardziej energiczne, podniósł głowę znad papierów.

– Proszę! – powiedział, zły, że ktoś bezczelnie zamierza mu przeszkodzić.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w garniturze. Uśmiechnął się niepewnie, zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka.

– Dzień dobry, panie docencie, jestem kapitan Marcinkowski

z Komendy Wojewódzkiej MO.

Naukowiec spojrzał na niego z wyraźnym zdziwieniem.

– Niech się pan nie denerwuje, wszystko jest w jak najlepszym porządku – zaczął tłumaczyć milicjant. – Chodzi mi tylko o pomoc.

– Milicja potrzebuje pomocy? – zadrwił Karwat. – Myślałem, że to wy jesteście od pomagania. Niech pan siada – wskazał na krzesło obok biurka. – To w czym mogę panu pomóc? – zapytał oschle.

– Właściwie to pewnie nic istotnego, ale powiedziano mi, że pan wie wszystko na temat starożytnego Egiptu....

– Wszystko? – zaśmiał się Karwat. – Pan mnie przecenia.

– Na pewno nie, panie docencie. Mówiono mi o panu, jako o najlepszym specjaliście od spraw związanych z wierzeniami starożytnych Egipcjan. A ja chcę tylko wiedzieć, czy to, z czym do pana przychodzę, ma jakiegokolwiek znaczenie.

– O czym pan mówi? – zainteresował się naukowiec.

Marcinkowski wyciągnął z teczki kopertę, a z niej zdjęcie. Podsunął je mężczyźnie. Ten spojrzał tylko na fotografię tatuażu i podparł głowę dłońmi. Marcinkowskiemu wydawało się, że egiptolog z uwagą przygląda się fotografii. Po dłuższej chwili Karwat spojrzał na milicjanta.

– To skarabeusz. W starożytnym Egipcie symbol wędrówki słońca po niebie i jednocześnie symbol odrodzenia. Wizerunki skarabeusza, takie jak ten, były częstą ozdobą grobowców. To przedstawienie jest uproszczoną schematyczną formą, bardzo popularną w ikonografii. Tak właśnie przedstawiano skarabeusza na pieczęciach, naszyjnikach, pierścieniach i kto wie, pewnie i na tatuażach.

– Proszę mi powiedzieć, czy dziś takie wyobrażenie egipskiego bóstwa może mieć dla kogoś jakieś szczególne znaczenie? – zapytał kapitan. Karwat uśmiechnął się lekko. Jeszcze raz spojrzał na zdjęcie.

– Myślę, że to tylko ładny znaczek graficzny, bez żadnego praktycznego czy symbolicznego znaczenia:

– Dziękuję – powiedział Marcinkowski podnosząc się z krzesła – tylko to chciałem wiedzieć. Podnosząc się, spojrzał na

ścianę za plecami docenta.

– O, ćwiczysz pan karate! – zdziwił się Marcinkowski zauważywszy pamiątkowy proporzeczek z zawodów.

– E tam, zaraz ćwiczę. Nie mam na to czasu. Kiedyś interesowałem się walkami Wschodu. Byłem wtedy trochę młodszy i miałem na 'wszystko więcej czasu. A teraz mam czas tylko na to – tu wskazał na stos książek piętrzący się na biurku.

– Czy mógłby mi pan zostawić to zdjęcie? – zapytał docent Karwat. – Myślę, że nie przydam się na wiele, ale mógłbym jeszcze na nie spojrzeć w wolniejszej chwili. Kto wie, może na coś wpadnę. Choć nie mam żadnej pewności...

–Niestety, mam tylko tę odbitkę, ale mogę jutro podrzucić panu kilka zbliżeń. Podeślę tu jutro z tymi fotkami młodego szczuna z mojego zespołu. Blaszkowski się nazywa...

– Dobrze, będę czekał. Pewnie nic nie wymyślę, ale kto wie...

Godz. 16.40

Chorąży Teofil Olkiewicz zamówił kolejną setkę. Miał dziś sporo wolnego czasu, bo po odwiezieniu Weronki wrócił do biura, w którym nikogo już nie było. Szybko dokończył raport z przesłuchania dziewczyn, w którym stwierdzał, że żadna z nich nie miała niczego ciekawego do powiedzenia na temat denatki. Zostawił go na biurku Marcinkowskiego i zwał do domu. No, niezupełnie do domu, bo po drodze postanowił wpaść do swojej ulubionej restauracji przy Armii Czerwonej 24. Restauracja nosiła wdzięczną nazwę Przynęta. Było to jedyne miejsce w Poznaniu, gdzie podawano wyłącznie dania rybne.

Trzeba zresztą przyznać, że kucharze znali się tu na rzeczy i potrafili Przyrządzić ryby. Gdy tylko było to możliwe, Teoś wpadał tu na karPia czy sandacza.

Dziś jednak wybrał dość ekskluzywne danie. Poprosił kelnera, pana Zdzicha, by podał mu porcję szczupaka z ziemniakami z wody, z masłem i koperkiem i do tego sałatkę z porów. Wiedział, że na szczupaka poczeka przynajmniej pół godziny, dlatego po drodze kupił „Gazetę Poznańską”, którą

rozłożył na niezbyt czystym obrusie. Plamy zostawione przez poprzednich konsumentów nie robiły jednak wrażenia na Olkiewiczu. W końcu była to restauracja II kategorii i nie było się co przejmować takimi drobiazgami, jak upaprany obrus. Zdzichu przyniósł mu dwa kieliszki wódki i butelkę napoju gazowanego Orange niemal natychmiast po zamówieniu. Teoś przytrzymał go za rękaw i powiedział, żeby od razu przyniósł jeszcze setkę, bo tej pierwszej właściwie już nie ma. Na potwierdzenie swoich słów wypił natychmiast jeden kieliszek i w sekundę po nim drugi.

Kelnerowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. W końcu znał Olkiewicza od lat i wiedział, że milicjant pije jak smok. Gdy odszedł na zaplecze, Teoś zabrał się do przeglądania gazety. Na pierwszej stronie zainteresowały go tylko zdjęcia; jedno z produkcji silników okrętowych w Cegielskim, a drugie z turnieju szachowego we Wrześni. Artykułów nie czytał, bo były za długie. Dopiero na piątej stronie znalazł coś dla siebie. Uratowano większość marynarzy głosił tytuł notatki w ramce. Już miał nadzieję, że to relacja z jakiejś ciekawej katastrofy, ale okazało się, że to historia o zatonięciu okrętu „Grom” w czasie wojny. Powoli, aczkolwiek bez przekonania, zaczął czytać artykuł, gdy zorientował się, że ktoś nad nim stoi. Spojrzał w górę. Obok stolika stał wysoki, postawny mężczyzna w jasnym garniturze. Olkiewicz poznał go od razu. Kiedyś pracowali razem w SB. Później, gdy Teofil przeniósł się do kryminalnej, stracił faceta z oczu.

– Cześć Teoś, co za spotkanie. Można się dosiąść?

– Siadaj, pewnie – wskazał mu miejsce obok siebie i zaczął składać gazetę.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak facet miał na imię. Nic dziwnego, nie byli kumplami. Zresztą dzieliła ich przepaść kilku stopni. Pamiętał natomiast nazwisko. Dryblas nazywał się Wirski albo Wilski, czy jakoś tak, myślał Olkiewicz. Nie przepadał za facetem, wiedział, że to łotr i kanalia, jakich mało, i dlatego już w trakcie swojej służby w bezpieczeństwie wolał unikać kontaktów z takimi ludźmi. Szczerze powiedziawszy, to nawet się go trochę bał, bo w firmie szeptało się po kątach, że to gość

od brudnej roboty, cokolwiek by to znaczyło. Teoś cenił sobie spokój i ciszę, dlatego wołał omijać z daleka ludzi pokroju Wirskiego. To, że musiał wśród takich typów przebywać całymi dniami, było jednym z powodów jego odejścia ze służby. Poza tym nie miał wyników i dlatego jego przełożeni z SB bez żalu rozstali się z funkcjonariuszem, który zupełnie się nie starał, a jego agentura ograniczała się do paru pospolitych złodziejasków. Dopiero w kryminalnej poczuł się jak ryba w wodzie. To była robota jakby specjalnie dla niego.

Meliny, dziwki, złodzieje i cinkciarze to świat, który znał i doskonale rozumiał. Urodzony i wychowany na Chwaliszewie, od dziecka obracał się w środowisku, dla którego przepisy prawne były tylko niewygodnym kagańcem ograniczającym naturalne możliwości działania. Nadspodziewanie szybko przed nosem Olkiewicza pojawił się talerz ze smakowicie pachnącym szczupakiem. Postawiwszy danie, kelner spojrzał na nowego gościa.

– A dla pana coś do jedzenia? – zapytał Wirskiego.

– Niech no pan da mi też taką rybkę jak koledze i jeszcze pół literka czystej, no i jakąś zapitkę. Co, Teoś, wypijemy za spotkanie? Olkiewicz skinął głową i uśmiechnął się niepewnie. Co było robić? Jak facet stawia, to niegrzecznie jest odmówić.

Godz. 17.15

– Muszę teraz przejrzeć wszystkie rzeczy tej dziewczyny. Najlepiej niech pan sobie spokojnie usiądzie i poczeka, bo jeśli okaże się, że trafiłem na coś interesującego, to będziemy musieli to wpisać do protokołu, a pan jest niezbędny jako świadek.

– Nie ma sprawy! – odpowiedział uśmiechnięty od ucha do ucha kierownik akademika. – Jak coś trzeba, to wie pan, że ja zawsze z chęcią jestem do pomocy! – Kierownik Surma lekko chwiejąc się Podszedł do stołu i usiadł na drewnianym krześle, odsuwając na bok porcelanowy talerzyk z wyschniętą resztką bułki. Wypita dziś wódka lekko go zamroczyła, nie na tyle

jednak, by stracił kontakt z rzeczywistością. Jak każdy podpity człowiek, robił wszystko, by sprawiać wrażenie zupełnie trzeźwego. Starał się więc trzymać prosto i mówić bardzo wyraźnie.

– A co ta nasza studentka wywineła? – zagadnął milicjanta, który zaczął od przeglądania ciuchów w szafie.

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć •». zbył go sierżant.

– Bo wie pan – ciągnął dalej niezrażony Surma – u nas w akademiku to jest porządek, jak się patrzy. Wiadomo, jak są same dziewczyny, to łatwiej utrzymać go. Ten porządek znaczy. Ale tu żadnego kurewstwa i tak dalej. Sam wszystko kontroluję, a baby na portierni jak matki. Do rany przyłóż. Ale obcego to do akademika za nic nie wpuszczą. Mysz się nie prześlizgnie... Nie to, co na polibudzie. Tam jest bajzel jak diabli. Tam nawet – tu kierownik ściszył nieco głos, jakby obawiał się, że ktoś może usłyszeć – zrobili nielegalne radio i nadają na UKF-ie tę swoją muzykę z magnetofonów. Aż strach. u nas nie do pomyślenia.

W tym czasie Kubiak przetrząsał kieszenie spodni i kurtek. Wszystkie karteczki, bilety i drobiazgi, na które trafiał, układał na kupkę na kanapie. Po chwili zabrał się do książek i zeszytów. Przejrzenie ich poszło mu dość szybko, bo nie było tego zbyt wiele. W końcu natrafił na notes z kalendarzem, w którym zapisanych było parę numerów telefonów, a potem na indeks. W szufladzie biurka znalazł też szarą kopertę, a w niej kilka kolorowych zdjęć wykonanych na NRD-owskim papierze ORWO Chlor. Wszystko to odłożył również na tapczan.

Tak jak się spodziewał, nie było tu nic interesującego. Z szafki z ubraniami wydobyl przeźroczysty worek foliowy i włożył do niego wszystko, co znalazł podczas przeszukania. Wyglądało więc na to, że zrobił już to, co do niego należało. Spojrzał na kierownika. Ten drzemał, podpierając głowę rękami opartymi na blacie stołu. Podeszedł do mężczyzny i potrząsnął jego ramieniem.

– Kierowniku!

– Co jest? – Surma otworzył szeroko oczy i ze zdziwieniem zauważył przed sobą jakiegoś człowieka. Dopiero po kilku

dobrych sekundach doszło do niego, gdzie jest i kim jest ten gość, który czegoś od niego chce.

– A, już, już pan wszystko sprawdził? – zapytał, z pewną trudnością dobierając słowa.

– Spokojnie, kierowniku, wszystko w porządku – uśmiechnął się Kubiak, siadając po przeciwnej stronie stołu.

– Niech pan zobaczy, zabieram jej notes, indeks i kilka papierków, jakieś zapiski i takie tam pierdoły, bilety tramwajowe, o, bilet na pokaz filmowy w akademiku...

Surma postarał się wyteńczyć wzrok, by przyjrzeć się zawartości niewielkiego woreczka, ale spojrzenie trochę mu się rozjeżdżało.

– A chuj tam – mruknął. – Bierz pan, co trzeba i możemy już iść, nie?

– Jak trzeba będzie podpisać, że coś zostało zabrane, to jeszcze tu wpadnę jutro czy kiedy – powiedział milicjant. – Teraz niech pan posłucha. Pokój zamykamy i nikt do niego nie wejdzie, do odwołania. Rozumiemy się? – spojrzał uważnie na pijanego kierownika, by upewnić się, czy dotarło do niego to, co powiedział.

– Co się mamy nie rozumieć? Ja zamknę pokój, a pan se ten klucz weźmie i już. Jak sprawa się zakończy, to mi go zwróćcie.

– No dobra, to w takim razie możemy już iść – zdecydował sierżant. Wstali i poszli do drzwi. Nagle coś zaniepokoiło kierownika, bo stanął w miejscu i odwrócił się do milicjanta.

– A jak ona wróci, ta dziewczyna, to jej też nie wpuszczać?

– Ona nie wróci, panie Surma, na pewno nie wróci.

– Aha – ucieszył się kierownik akademika. – No, to kłopot z głowy.

W takim razie chodźmy jeszcze na chwilkę do mojego pokoju. Strzeniennego wypijemy, co? – powiedział, mrugnawszy przy tym wymownie lewym okiem.

Godz. 17.30

Maciek podłączył swój drogocenny magnetowid kablem własnej roboty do ruskiego, kolorowego telewizora marki

Rubin. Żeby wyświetlać filmy w klubach studenckich, musiał zawsze wozić ze sobą kilka rodzajów kabli, by dopasować się do różnych typów telewizorów. To, co pasowało do polskich kolorów, nie wchodziło już do ruskich.

Socjalistyczna myśl techniczna nie przewidywała jeszcze możliwości współpracy telewizora ze sprzętem video.

Zdarzały się, choć bardzo rzadko, telewizory japońskie z Peweksu i do tych pasowały przewody fabryczne, czyli te, które kupił razem z magnetowidem. W Ciciborze pracował już nie po raz pierwszy, więc nie było kłopotu z podłączeniem i długotrwałym sprawdzaniem sprzętu. Kabel pasował idealnie. Włączył więc telewizor, ustawił kanał dolnym pokrętkiem zmiany programów, na którym już od dawna miał wybraną częstotliwość video i wcisnął przycisk play w swoim magnetowidzie. Pojawił się obraz, więc wyłączył wszystko i wyszedł z sali, zamykając za sobą starannie drzwi na klucz.

W biurze klubowym czekał na niego szef Cicibora ze swoją dziewczyną. Janusz Ciesielski siedział za biurkiem, a przed nim, na fotelu koło ławy, siedziała Elżbieta, studentka IV roku socjologii. Maciej wiedział, że Elka jest dziewczyną kierownika. Ta miłość trwała już bowiem ze trzy miesiące i trudno było nie zauważyć, że kierownik dostał bzika na jej punkcie. Wokół klubu zawsze kręciło się sporo lasek, a Janusz był typem kobieciarza. Dlatego zdążył już przyzwyczaić swoich znajomych do tego, że co chwilę u jego boku pojawia się nowa dziewczyna. Z tą chyba jednak było coś poważnego, skoro trwało to tak długo. Może facet myślał już nad ułożeniem sobie życia, zastanawiał się Maciej, przyglądając się dziewczynie. W końcu Janusz zbliżał się już do trzydziechy i jak na studenta był trochę stary. Jeden z tych wiecznych studentów, o których mówiło się, że studiują do tyłu, bo im dłużej studiowali, tym na niższym byli roku. Ta przypadłość dosięgała wielu działaczy Zsypu. Dzięki swoim kontaktom i znajomościom dochrapali się ciepłych posadek, jak choćby ta w Ciciborze, ale mogli je sprawować tylko dopóty, dopóki byli studentami. Dlatego działacze dochodzili na jednym kierunku do trzeciego roku, po czym przenosili się na drugi rok, na innym kierunku tej samej

uczelni. Można to było ciągnąć latami.

Maciek nie miał pojęcia, co obecnie studiuje kierownik, ale był przekonany, że jest na trzecim roku maksimum. Ciesielski musiał sobie jednak zdawać sprawę z tego, że długo już tak nie pociągnie, dlatego pewnie zaczął się rozglądać za odpowiednią towarzyszką życia, no i na pewno za jakąś fajną fuchą poza uniwerkiem. A na jego miejsce już szykowało się paru chętnych. Trelka był wśród nich. Bardzo dużo zależało teraz od tego, kogo na swoje miejsce namaści obecny szef klubu. Warto więc było dobrze z nim żyć i starać się wykazać, że potrafi się zakreślić wokół klubowych spraw. Pokazy video mogły to znacznie ułatwić.

– To czego się napijesz, Maciek? – zapytał Ciesielski, gdy ten rozsiadł się już wygodnie na jednym z foteli. – Mamy wódeczkę i piwko.

– Ja oczywiście to, co ty, tylko pięć razy mniej, bo jadę samochodem.

– My z Elą pijemy wódeczkę z pepsi i cytryną. Mówię ci, pierwsza klasa drinek. Elżbieta, umieszaj Maćkowi.

Dziewczyna wstała z fotela, podeszła do niewielkiej lodówki szron i wydobyła ze środka butelkę żytniej. Na lodówce stała tylko jedna szklanka z grubego prążkowanego szkła.

– Może być w musztardówce, bo normalne szkło się skończyło? – zapytała i zrobiła smutną minę.

– Jasne, nie przejmuj się, Elka. W najgorszym razie mogę pociągnąć z gwinta, zapić pepsi i zagryźć cytryną. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Godz. 17.35

– Mówię ci, coraz gorzej się dzieje, bejmów mało, wiara patrzy się na nas jak na bandytów i nawet szczupaki jakieś takie, kurwa, mniejsze niż kiedyś – zasmucił się mocno już wstawiony Teofil Olkiewicz, spoglądając na nędzne resztki ogryzionego do czysta rybiego szkieletu na swoim talerzu.

W restauracji rybnej było coraz tłoczniej. Co prawda kuchnia

już kończyła powoli wydawanie ciepłych posiłków, ale o tej porze mało kto przychodził tu na obiad. Teraz pojawiali się ludzie, którzy chcieli się napić w kulturalnym, restauracyjnym towarzystwie. Restauracja była dobrym miejscem dla tych pijaków, którzy uważali się za wyższą kategorię pijaków. Ci z najniższej kasty, niepracujący nigdzie penerzy, pili w bramach i parkach przemysławkę, spirytus salicylowy i nalewkę na kościach, czyli denaturat. Było zupełnie obojętne, czym się załatwia. Byle waliło w czachę.

Lepsi goście, pijący na etatach robotniczych w socjalistycznym przemyśle i sektorze usługowo-handlowym, trzaskali piwo, wino i gorzołę w barach. Natomiast inteligenci zachlewali się w restauracjach, przy stolikach z białymi obrusami, do barów zachodząc tylko sporadycznie, w stadium schyłkowym zalewania ryja, czyli albo wcześniej rano przed pracą albo wieczorem, gdy restauracje wyrzucały już ostatnich amatorów wódki gastronomicznej.

– Ty nie jesteś od kochania, ale od tego, żeby trzymać ich wszystkich tak, mocno za facjatę. – Tu Wirski zademonstrował swoją wielką jak bochen pięść, którą podsunął pod nos milicjantowi.

– Pierdole to – mruknął Teoś. – Oni nas powinni szanować, a mnie nie szanuje nawet moja stara.

– Tylko siła daje szacunek. Jak się ciebie nie boją, to się z ciebie śmieją. Jakbyś jej wlał parę razy po ryju, to nie miałbyś problemu – przekonywał esbek.

– Stary, ty chyba nie wiesz, co mówisz! – zaśmiał się Teoś. – To ona mnie leje, a nie ja ją. Ja bym był kimś, jakbym przynosił do domu poważne pieniądze. A co ja mogę przynieść na pierwszego. Wielkie gówno, za które nic nie można kupić.

Kelner, pan Zdzychu, chwiejnym krokiem przepływał właśnie koło stolika, przy którym siedzieli dwaj funkcjonariusze. O tej porze był już, podobnie jak większość klientów restauracji, w radosnym nastroju. Biegł właśnie do stolika w kącie lokalu, pod oknem wychodzącym na ulicę Armii Czerwonej, bo tam czterech gości w garniturach dopiero zaczynało pracować nad polepszeniem stanu ducha, a widać było (po tym jak zamówili

cztery butelki wódki i skrzynkę piwa), że chcą sprawę załatwić zdecydowanie szybko.

Byłby się już przecisnął koło ramienia Olkiewicza, gdyby nie refleks Wirskiego. Złapał kelnera za rękaw, pociągnął go do siebie i wyszeptał mu do ucha:

– Dwa wędzone węgorze i dwie seteczki pan da zaraz.

Rozpędzony Zdzichu chciał w pierwszej sekundzie zignorować zamówienie nachalnego gościa, ale gdy spojrzał w zimne oczy mężczyzny, nie wiedzieć czemu ciarki przeleciały mu po plecach. Błyskawicznie zawrócił do bufetu. Nie minęły dwie minuty, jak był już z powrotem. Postawił talerzyki z rybką, kieliszki z wódką i odetchnąwszy z ulgą, pognął do narożnego stolika. Teoś chciał mu nawet powiedzieć, że może by pozbierał ten chlew z ich stołu, ale Zdzichu uciekł tak szybko, że nie zdążył wyartykułować polecenia. Zdążył natomiast zauważyć, że jeśli natychmiast nie wstanie i nie pójdzie do kibla, to może to źle wpłynąć na stan jego spodni. Uniósł się, opierając rękoma o stolik, bąknął coś pod nosem w stronę swojego współbiedniaka i ruszył do toalety.

Babcia klozetowa, pani Janina, w filcowych papciach i nylonowym fartuchu w niebieskie kwiatki, spojrzała na niego, oceniając okiem znawcy kondycję klienta. Był jeszcze w miarę na chodzie, więc nie musiała się martwić o stan kafelkowanej podłogi. Za ledwo chodzącymi klientami wkraczała do środka ze szmatą, by szybko, jeśli będzie potrzeba, zetrzeć rzygowiny, które mogłyby okazać się niebezpieczne dla kolejnych użytkowników toalety.

Po prawej stronie ubikacji umieszczono pisuary, po lewej kabiny.

Teoś miał opracowany system. Jeśli był w miarę trzeźwy, sikał do gąsiora o dwunastu oczkach, wiszącego z prawej. Za każdym razem podczas sikania liczył dziurki w pisuarze, bo to przynosiło mu ukojenie i poczucie stabilizacji. Kiedyś po pijaku sikał w restauracji Fregata w Katowicach, w której pisuary miały po trzynaście dziurek. Tak go to zezłościło, że postanowił wyrwać pechową muszlę. Okazało się, że nie ma takiej możliwości, zabrakło mu mocy przerobowych, choć była

odpowiednia motywacja.

Jeśli natomiast czuł, że ma kłopoty z równowagą, wchodził do kabiny i siadał na sedesie. Dziś doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli usiądzie.

Wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Spuścił spodnie i zaczął sikać. Poczuł się odprężony i zrelaksowany. Pomyślał nawet o tym, że może byłby już czas, żeby jechać do domu, choć nie bardzo śpieszyło mu się do spotkania z żoną Jadwigą. Nagle zza drewnianego przepierzenia doszły go jakieś dziwne jęki.

Pierdolone pedały – pomyślał zdenerwowany i niezbyt tolerancyjny dla odmiennych preferencji milicjant. Błyskawicznie podciągnął portki, zapiał rozporek i zaciągnął pasek. Wyszedł ze swojej kabiny i podszedł do drzwi obok. Szarpnął za klamkę gotowy przegonić zboczeńców. Drzwi wyposażone w byle jakie zamykadło, puściły.

Na kiblu siedział z opuszczonymi spodniami młody, upity do nieprzytomności chłopak, a na podłodze klęczała pomarszczona, ale za to pięknie umalowana, co najmniej sześćdziesięcioletnia kobieta, pani Ewelinka.

– O, pardon – powiedział Teoś i najdelikatniej jak umiał zamknął drzwi.

– Jeśli chodzi o bejmy, to powiem ci – zaczął spokojnie Wirski, gdy Olkiewicz wrócił do stolika – że mogę ci jakoś pomóc.

Teofil, już mocno wstawiony, spojrzał na niego z zaciekawieniem, a właściwie nawet z wyraźnym zainteresowaniem. Wirski tymczasem wolno sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobyl studolarowy banknot. Położył pieniądze, niby od niechcenia, na środku stołu pomiędzy talerzami pełnymi ości i pustymi kieliszkami po wódce. Olkiewicz, który na widok takiej sumy natychmiast przetrzeźwiał, przykrył prezydenta Franklina gazetą i bojaźliwie rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy aby nikt z siedzących nieopodal niczego nie zauważył.

– O co chodzi? – zapytał już całkiem przytomnie Teoś.

– O informacje – uśmiechnął się Wirski.

Godz. 17.55

W salce telewizyjnej siedziało już ze dwadzieścia osób. Aby dostać się do środka, trzeba było najpierw zapłacić chłopakowi, który siedział przy drzwiach. Na stoliku stała metalowa kasetka na pieniądze, a obok leżał bloczek z numerowanymi biletami. Każdy z tych standardowych biletów na imprezy uniwersyteckie miał odbitą z tyłu pieczętkę klubu studenckiego Cicibór z datownikiem. Bilety były drukami ścisłego zarachowania i każdą imprezę kierownictwo klubu musiało rozliczyć, wykazując wpływy do budżetu klubowego. Była to jednak czysta fikcja. Bilety były w sprzedaży, ale kasjer dawał je tylko tym, którzy tego wyraźnie zażądali albo tym spoza środowiska studenckiego. Studenci płacili, ale biletów nie brali, bo nikt im ich nie dawał. Zwykle rozprawdzano kilka sztuk na samym początku, później leżały na stole tylko dla formalności. W ten sposób pieniądze za wstęp wpływały do metalowej kasetki, a później do kieszeni kierownika, organizatora pokazu i wszystkich studentów z obsługi. A szef klubu wykazywał w sprawozdaniu, że na seansie było dziesięć osób, czyli tyle, ile biletów wyrwano z bloczka. W rzeczywistości film mogło oglądać nawet czterdziestu widzów.

Oszustwo było bardzo łatwe do wykrycia. Wystarczyłoby tylko przysłać kogoś z administracji uniwersytetu na kontrolę. Ale nikt nie był zainteresowany przeprowadzaniem takiej kontroli. Bo i po co?

W końcu nikt tu niczego nie kradł, nikomu nie działa się krzywda, a że parę osób przy tym zarobiło, to i cóż z tego? W końcu każdy musiał jakoś kombinować, żeby żyć.

Mariusz Blaszkowski zapłacił za dwa bilety i weszli do środka. Obaj byli w doskonałych humorach, bo w akademiku wypili po trzy piwa.

Przed chwilą przyjechali na Obornicką autobusem, wysikali się w krzakach koło przystanku i popędzili na seans. Nowacki poleciał do przodu i zajął dwa ostatnie wolne miejsca w trzecim

rzędzie. Mariusz rozejrzał się uważnie po sali, przypatrując się siedzącym na krzesłach studentom.

– To jest bez sensu – denerwował się. – Co ja tu mogę zdziałać?

Mam wypytywać wszystkich, czy przypadkiem nie interesują się szczególnie filmami grozy i horrorami?

W pewnej chwili zauważył niewysokiego chłopaka, majstrującego Przy magnetowidzie. Od razu coś zaświtało mu w głowie. Spojrzał na Roberta, który nawiązał już znajomość z dziewczyną siedzącą obok niego. On nie tracił nigdy czasu i potrafił wykorzystać każdą okazję. Mariusz też postanowił działać.

– Cześć – powiedział do chłopaka od video.

Ten spojrzał na niego tylko przez chwilę i natychmiast powrócił do przygotowywania sprzętu.

– Co jest? – zapytał, nie unosząc głowy znad magnetowidu.

– Słuchaj, jestem Mariusz, chciałem pogadać, chodzi mi o filmy.

No, dokładnie o horrory. Gdzie to można kupić i czy w ogóle można?

Bo wiesz, mój ojciec przywiózł z Iraku fajny sprzęt, ale kaset to mam jak na lekarstwo. Ledwie pięć filmów – kłamał jak z nut Blaszkowski. Chłopak spojrzał na niego uważniej.

– Wiesz co – powiedział – teraz muszę puścić ten film. – Tu wskazał ręką na kasetę. – Ale jak się skończy pierwszy, to będzie dziesięć minut przerwy na śmika. Więc jak chcesz, to możemy pogadać.

– Świetnie – ucieszył się Mariusz – to ja przyjdę tu do ciebie. A teraz to idę pooglądać.

Machnął ręką na pożegnanie i zaczął przeciskać się na swoje miejsce. Po chwili zgasło światło, a na ekranie kolorowego telewizora, w którym dominowały wszystkie odcienie zieleni, eksportowego osiągnięcia myśli technicznej radzieckich inżynierów, pojawili się łowcy duchów.

– Podjedź koło tego poloneza. Widzisz go tam po lewej? – Marcinkowski wskazał kierowcy swój samochód stojący pod blokiem. Gdy tylko wjechali na parking, już z daleka dostrzegł, że auto nie stoi na ceglówkach. Pomyślał więc sobie, że ten Rychu, kumpel Brodziaka, to niezły gość i że dobre stosunki z nim jeszcze nieraz mogą okazać się bezcenne.

Niebieska milicyjna nyska zatrzymała się kilka metrów od poloneza. Plutonowy Janicki zaciągnął ręczny hamulec, ale nie zgasił silnika. Jego wóz miał spieprzony rozrusznik i nigdy nie było pewności, czy po przekręceniu kluczyka w stacyjce silnik zaskoczy. Miał co prawda z tyłu, pod siedzeniem, korbę do odpalania ręcznego, ale nie bardzo lubił z niej korzystać. Poza tym zawsze to obciach dla milicji, gdy funkcjonariusz ręcznie uruchamia służbowy wóz. Dlatego wołał na każdym postoju zostawiać nyskę z włączonym silnikiem.

Marcinkowski zgasił klubowego w popielniczce w drzwiach samochodu i zaczął zbierać się do wyjścia. Plutonowy wyciągnął ze schowka zeszyt w plastikowej okładce, otworzył go i wydobył ze środka kartę pojazdu. Podsunął świstek z długopisem oficerowi.

– Pan kapitan podpisze mi kurs? Marcinkowski zaczął przyglądać się karcie, nie bardzo wiedząc, gdzie ma złożyć podpis.

– Tu, gdzie ptaszek, pan podpisze – wskazał odpowiednie miejsce podoficer.

Marcinkowski złożył parafkę.

– Przepraszam, że teraz głowę zawracam, ale później miałbym problem z rozliczeniem trasy. A pan wie, jak te baby w księgowości pilnują papierów.

– Nie ma o czym gadać – machnął ręką Marcinkowski. – No, to dzięki, na razie.

– Niech pan nie zatrząskuje! – zawołał jeszcze za nim plutonowy, widząc jak oficer bierze zamach, by wałnąć drzwiami. – Ja sam od środka zamknę, bo z zewnątrz się nie da. Zamek jest do dupy.

Fred puścił drzwi, raz jeszcze machnął plutonowemu na pożegnanie i ruszył w stronę swojego poloneza. Za plecami słyszał, jak kierowca kilka razy próbuje zatrzasać drzwiami. Wreszcie za piątym czy szóstym razem zamek zaskoczył. Nyska powoli wytoczyła się z parkingu pod blokiem i wyjechała na osiedlową drogę, wyłożoną betonowymi, ośmiokątnymi bloczkami.

Sraczkowaty polonez stał na własnych czterech kołach. Kapitan obszedł samochód dookoła i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Zadowolony ruszył do drzwi. Na progu stał i palił papierosa pan Antoni, dozorca bloku. Mężczyzna ubrany był w dresowe czarne spodnie i białą podkoszulkę na ramiączkach. Opierał się ramieniem o ścianę tuż Przy wejściu.

– Jak pan to załatwił, panie Fredku? – zagadnął wchodzącego.

– Co załatwiłem, bo nie łapię?

– No, co pan? Patrzę na tę pana brykę i oczom nie wierzę. O świcie ekipa wymontowuje panu pany stomilowskie z Olsztyna, a w południe zakładają nowe. Obsługa pierwsza klasa, jak przed wojną u Mercedesa.

– Jakie nowe? Te same wróciły z przeglądu gwarancyjnego – zaśmiał się Marcinkowski.

– No, nie rób pan ze mnie balona, co ja ślepy jestem czy jak? Prawdziwego dunlopa to ja po zapachu nawet poznam.

– Co pan powiedział? – nie chciał uwierzyć własnym uszom Marcinkowski. Odwrócił się i spojrzał z niedowierzaniem na koła swojego samochodu.

– Że teraz to pan musisz chyba milicjanta na straży koło auta postawić, bo jak nic, rąbną panu te cudenka w trymiga.

ROZDZIAŁ VII

Środa, 5 czerwca

Godz. 5.50

Pan Klemens Dolata wreszcie uporał się z rozkładaniem na ladzie dzisiejszych gazet. Teraz spokojnie mógł zapalić papierosa i zabrać się do przejrzenia „Poznańskiej”. Ta poranna godzina, od piątej do szóstej, to był najgorszy moment w jego codziennej pracy. O piątej wchodził do swojego kiosku Ruchu przy Marchlewskiego, przyklejonego dachem do samu spożywczego Beta. Musiał natychmiast zabierać się do segregacji porannych gazet i czasopism, które w paczkach poukładano mu pod drzwiami, a przy tym trzeba było od razu otworzyć kiosk i jednocześnie pro wadzić sprzedaż. O tej porze bowiem z osiedla Piastowskiego wylewała się już pierwsza fala ludzi śpieszących do pracy. Byli to przeważnie robotnicy jadący tramwajem na pierwszą zmianę do Ceglorza, ZNTK i innych fabryk zaczynających nowy dzień. Oni na szczęście nie byli zbyt wymagający. Kupowali popularne na kartki i bilety tramwajowe. Rzadko który prosił o gazetę. Dlatego w trakcie obsługiwania najwcześniejszych klientów pan Klemens mógł segregować prasę.

Tuż przed szóstą robiło się trochę spokojniej, ale tylko na krótko.

Mniej więcej dziesięć po szóstej ruszała następna fala pracowników sklepów i zakładów, które otwierały się o siódmej. Na trzecią falę musiał być jednak już całkowicie przygotowany. Na ósmajechali bowiem urzędnicy, którzy pracę musieli zacząć od kawy i gazetki.

Przejrzał szybko pierwszą stronę „Gazety Poznańskiej”, ale nic go szczególnie nie zainteresowało. Przeczytał tylko podpis pod czarno-białym zdjęciem, z którego dowiedział się, że w

pleszewskich Zakładach Przemysłu Spożywczego obok dotychczas wyrabianych krówek i galaretek owocowych uruchomiono ostatnio produkcję nowego asortymentu – cukierków toffi.

– No to świetnie! – powiedział do siebie kioskarcz. – Tylko tego, jak smakują te toffi, dowiedzą się pewnie towarzysze radzieccy za Bugiem, a nie nasze dzieciaki. Bo u nas w sklepach tylko kamienioki bez kartek można dostać, i to jeszcze nie zawsze – zdenerwował się pan Klemens. Przerzucił szybko stronę i na drugiej zauważył niewielką rubrykę u dołu pod tytułem „Reporter zanotował”. Jego uwagę przyciągnęły słowa Poznań i osiedle Piastowskie w artykule podpisanym inicjałami M.K.

W Poznaniu, w okolicach przystani wioślarskiej przy osiedlu Piastowskim, w poniedziałek 3 czerwca dwaj wędkarze natrafili na zwłoki młodej kobiety. Dotąd, nie udało się jeszcze ustalić jej tożsamości. Według wstępnych informacji od prowadzących śledztwo funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, przyczyną śmierci było najprawdopodobniej utonięcie. Osoby, które mogą udzielić informacji na temat tego zdarzenia, proszone są o skontaktowanie się osobiście z Rejonowym Urzędem Spraw Wewnętrznych w Poznaniu plac Wolności 16 i telefonicznie pod numerem 41-2271 lub z najbliższą jednostką MO. Przeczytał tę notatkę raz, potem jeszcze raz i doszedł do wniosku, że chyba coś tu jest nie tak. No bo jak to, zastanawiał się, od przedwczoraj całe miasto, a Piastowskie w szczególności, mówi o dziewczynie bez głowy, a ten M.K. podaje, że dziewczyna się utopiła. W końcu Zygmunt Olczak, co ją znalazł, sam mówił mu, że dziewczyna była bez głowy. To jak jest, obcięli jej głowę i później się utopiła?

– Znowu te gnoje robią z ludzi idiotów i myślą, że ktoś da się zrobić w konia – wymruczał pod nosem.

– Coś pan taki zły? Rozchmurz się pan, bo dzień ładny się zaczął – uśmiechnięty Karol Frankowski wsadził głowę do okienka.

– A idź pan do cholery, panie Franiu – zdenerwował się kioskarcz.

- Człowiek czyta te pierdoły i krew go zalewa.
- Co tam, już wyprzedziliśmy Albanie w pogoni za socjalistycznym dobrobytem?

Godz. 6.15

Teofil Olkiewicz podniósł się z łóżka, ale zaraz z powrotem opadł na poduszkę i chwycił się za głowę. Ból mało nie rozsadził mu czaszki. Powoli, bardzo powoli zaczął odzyskiwać przytomność. Najpierw otworzył lewe oko, potem prawe, rozejrzał się wokół i z zadowoleniem stwierdził, że jest u siebie w domu. Bardzo ostrożnie spróbował jeszcze raz unieść się do góry. Udało się. Usiadł na łóżku i spojrzał za siebie. Tak jak się tego spodziewał, Jadwiga spała spokojnie obok. Jej jednostajne pochrapywanie upewniło go, że ma jeszcze przed sobą trochę czasu, zanim kobieta się przebudzi. Zwykle nastawiała zegar na siódmą by przyrządzić mężowi śniadanie i uszykować sznytki do roboty. Spojrzał na jej pulchne uda, które odsłonił ściągając kołdrę. Skrzywił głowę z niesmakiem i zaraz okrył ją szczelnie.

Wstał, uważając, by nie narobić niepotrzebnego hałasu i ruszył w kierunku ubikacji. Wysikał się, a potem poszedł do kuchni. W pomieszczeniu pachniało kiszoną kapustą i pastą do podłogi. Podszedł do żeliwnego zlewu, sięgnął po metalowy kubek wiszący na kołku pod drewnianą półką z przyprawami w porcelanowych słoikach. Napełnił go zimną wodą z kranu i wypił jednym haustem, splukując paskudny smak wczorajszej wódki i papierosów.

Gdy ugasił pierwsze pragnienie, z kubkiem w ręce podszedł do pomalowanego na białą olejną farbą kredensu. Z przeszklonej szafki wydobył butelkę wódki czystej i nalał pół kubka. Spojrzał na drzwi od sypialni i upewniwszy się, że żona nadal śpi w najlepsze, szybko wypił.

Już po chwili poczuł, że alkohol zaczyna działać. Od razu zrobiło mu się lepiej. Siadł przy stole przykrytym ceratowym obrusem w czerwoną kratkę i sięgnął po ekstra mocne, których paczka leżała na blacie. Zapalił i poczuł się już zupełnie dobrze,

a ból głowy zniknął, jak ręką odjął. Tuż obok na parapecie okiennym między doniczkami z pelargoniami i szczypiorkiem stało ruskie radio tranzystorowe. Przekręcił gałkę i nastawił cicho na rozgłośnie poznańską. O tej porze Poznań nadawał „Radioekspres”, czyli poranną audycję z muzyką i wiadomościami. Teofil, który lubił słuchać radia, nie uznawał żadnych innych stacji radiowych. Uważał, tak jak zresztą większość jego sąsiadów i znajomych, że w Poznaniu powinno się słuchać własnego radia, a nie pierdół z Warszawy. Poza tym, tutaj nie dawali tych bigbitowych wrzasków, ale spokojniejszą muzykę. Teraz całkiem ładnie śpiewał zespół Vox o jakichś bananach.

W gaciach i podkoszulce, z papierosem w ręce Olkiewicz próbował sobie przypomnieć wczorajszy wieczór. Z tym Wirskim nieźle zachłali w Przynęcie i teraz nie bardzo pamiętał, jak w ogóle znalazł się w domu na Wildzie. Najważniejsze jednak, że nie zapłacił za biesiadę ani złotówki. Pamiętał, że cały rachunek uregulował jego kolega.

Wtem uświadomił sobie, że nie dość, iż nie stracił ani złotówki, to jeszcze zarobił sto dolców.

Wstał szybko od stołu i poleciał do przedpokoju. W szafie wisiała marynarka. Wydobył z niej portfel i otworzył. Polskie pieniądze były na miejscu. Zajrzał do bocznej przegródki. Złożony na pół tkwił tam studolarowy banknot.

Z portfelem w ręce wrócił do kuchni. Otworzył kredens i nalał sobie jeszcze odrobinę wódki. Wypił i znów usiadł na taborecie. Rozłożył zielony banknot na stole i spojrzał w oczy jakiemuś facetowi o poważnym obliczu. Nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Tyle pieniędzy. I to za co? Że będzie przekazywał Wirskiemu informacje o postępach śledztwa.

I za coś takiego ten dał mu sto dolarów i obiecał jeszcze drugie tyle, jeśli informacje będą zadowalające. To chyba kretyn jakiś, myślał Olkiewicz.

jak można za takie bzdury wyłożyć tyle pieniędzy. No, ale co tam, jak chce baran, niech płaci. Nie mój interes. Widocznie esbecja sra pieniędzmi. Umówili się, że Teofil zadzwoni do niego, gdy czegoś konkretnego się dowie. No to dowie się i

zadzwonili.

W drzwiach od kuchni stała Jadwiga w nocnej koszuli w sprane, niegdyś czerwone kwiatki. Spojrzała na męża i warknęła:

– Gdzieś to się tak załatwił wczoraj, łachudro jedna?

– Ino nie łachudro – obruszył się Teoś. – Wczoraj piłem w służbowych kwestiach.

– Aleś miał tytę jak ratusz. Wcale nie służbową. Że aż cię musiałam rozbierać i do wyra taszczyć.

– No cóż, robota operacyjna wymaga czasami poświęceń. A ty się na tym znasz jak ksiądz na pieprzeniu. Chodź no lepiej i zobacz, co tu na stole leży. Bo to jest efekt mojej wczorajszej akcji. Olkiewicz zaśmiał się głośno i z radości klepnął się po gołym udzie.

– Łe jery, wszyscy święci –jęknęła kobieta spoglądając na zielony papierek.

– A widzisz? – milicjant w gaciach spojrzał z tryumfem na żonę.

– Widzisz, co stary Olkiewicz znaczy, jak ludzie go szanują. I powiem ci jeszcze, że niedługo następny taki papierek do chaty przyniesę. Weź se te dolary i pójdz do Peweksu po jakieś zakupy. I kup, co tam trzeba.

– Jeszcze rychło – powiedziała pani Jadwiga, biorąc do ręki cenny banknot. – Naszykuję śniadanie. Chleba z leberką, co, Teoś?

Dumny z siebie Teofil Olkiewicz wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i zapalił. Money, money, money – zaśpiewało ruskie radio głosami dwóch pań z zespołu ABBA.

Godz. 7.55

Podpułkownik Eugeniusz Żyto wszedł do sekretariatu swojego wydziału. Pani Krystyna, pięćdziesięcioletnia kobieta, która od lat pełniła rolę raczej gospodyni niż sekretarki, przywitała go uśmiechem.

– Dzień dobry, panie pułkowniku.

– Ładny dzień dziś mamy, pani Krysiu – przywitał się pułkownik.

– Jest do mnie coś pilnego? – zapytał.

– Na razie jeszcze spokój i nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Przypominam tylko, że dziś w południe ma pan się stawić u komendanta wojewódzkiego w sprawie przygotowań do rocznicy wypadków czerwcowych.

Szlag by trafił, zaklął w myślach pułkownik. Znowu ten czerwiec i co, ja mam być znowu na placu? Nie można uciec od przeszłości.

Zwłaszcza w tym kraju. Ale trzeba przynajmniej spróbować się od tego wyręczyć.

– Tak, pamiętam pani Krysiu, będę tam oczywiście. A teraz na ósmą miał przyjść do mnie Marcinkowski. Niech zaraz wchodzi, jak się pojawi, a pani niech nam zrobi dwie kawy i nie łączy nikogo przez piętnaście minut.

Wszedł do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem i wyciągnął z brązowej teczki dzisiejszą „Poznańską”. Pierwszej strony nie czytał z zasady, bo rzadko kiedy znaleźć tam można było coś interesującego. Dziś gazeta donosiła o XX Plenum KC, posiedzeniu Prezydium Rządu i obradach egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego w Koninie. On jednak szukał znacznie ciekawszego artykułu, którego był współautorem.

Znalazł na drugiej stronie. Zaczął czytać, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął pułkownik i po sekundzie w pokoju pojawił się kapitan Marcinkowski.

– Obywatelu pułkowniku – zaczął regulaminowo, ale Żyto tylko machnął ręką i wskazał mu palcem miejsce przy stole obok biurka. Siadając, jak zwykle spojrzał w oczy wiszącego na ścianie Feliksa Edmundowicza. I jak zwykle zdawało mu się, że towarzysz Dzierżyński przewierca go na wylot swoim przenikliwym spojrzeniem pierwszego czekisty. Wzdrygnął się na myśl o tym potworze Krwawym Felku i spojrzał na swojego szefa. Ten czekisty nie przypominał zupełnie. Łysy, masywny, z wielkim brzuchem wyglądał jak posterunkowy z Obrzycka, a nie jak szef wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej.

Drzwi otworzyły się tym razem bez pukania i do pokoju weszła pani Krysia z metalową tacką, na której stały dwie szklanki i kryształowa cukiernica. Przed każdym z oficerów ustawiła kawę i dyskretnie wycofała się do swojego przedpionka.

– Widziałeś już, że piszą o naszej dziewczynie znad Warty? – mówiąc to, pułkownik postukał palcem w płachtę gazety.

– Jeszcze nie zdążyłem przejrzeć gazet, obywatelu pułkowniku.

– No i nie ma po co. Ta notatka w „Poznańskiej” to wymyślone przeze mnie gówno, żeby ludzi trochę uspokoić. Żeby se nie myśleli, że tu jakiś obcinacz głów lata z nożem w zębach po Poznaniu. To kazałem napisać, że znaleziono zwłoki utopionej dziewczyny. Co o tym sądzisz?

– Ludzie nie są głupi, obywatelu pułkowniku. Już poszło po mieście, że jest trup bez głowy, bo mnie wczoraj żona o to pytała. Na szczęście wiara nie ma pojęcia, że są dwa trupy. I całe szczęście, bo mogłaby być panika, jak kiedyś z tą czarną wołą, co porywa dzieci.

W połowie lat siedemdziesiątych ktoś rozpuścił plotkę, że po kraju jeździ jakaś czarna wołą, a w niej zboczeniec, który wabi do środka małe dzieci i wywozi je w nieznanym kierunku. Rodzice przestrzegali dzieci przed zbliżaniem się do czarnych samochodów, a dzieci uciekały w panice, widząc wołę przejeżdżającą ulicą. Plotka umarła śmiercią naturalną i jakoś nikt nie został porwany. Pozostał tylko w ludziach lęk przed czarnymi wołami, ulubionymi samochodami partyjnych dygnitarzy.

– A co do informacji, że to jakaś topielica – ciągnął dalej kapitan, to myślę, że zawsze to trochę namiesza w głowach.

Pułkownik uśmiechnął się zadowolony, że podkomendny kombinuje podobnie jak on.

– No, to teraz mów, co udało się wam ustalić w sprawie lowcy głów.

Marcinkowski rozpoczął raport, podpierając się aktami, które od Przedwczoraj urosły już do rozmiarów solidnej teczki.

– Najważniejszą sprawą od wczoraj jest to, że mamy głowę

dziewczyny znalezionej nad Wartą. Natrafił na nią jakiś emeryt spacerujący z psem pod Laskiem Dębińskim. Cały czas trwają poszukiwania drugiego ciała. Penetrujemy też rynek video, handlarzy kaset z filmami, organizatorów pokazów filmów, bo wydaje nam się, że natchnienie do takich zbrodni musiało powstać w wyniku zapatrzenia się w jakiś przykład. Może to błędna hipoteza, ale sprawdzić trzeba. Bo może się też okazać, że mordercą jest jakiś kompletny pomyleniec, człowiek chory psychicznie. Ten kierunek też jest sprawdzany. Nasi ludzie, których włączyłem do śledztwa, analizują wszystkie przypadki szczególnie okrutnych morderstw z okaleczeniem ciała. Mamy takich przypadków kilkanaście, ale żaden nie był podobny do tego, z czym mamy do czynienia teraz. Sprawdzani są też potencjalni mordercy z grup największego prawdopodobieństwa, czyli kryminaliści na wolności. Choć w półświatku poznańskich przestępców, donoszą nam informatorzy, panuje powszechne przekonanie, że to robota jakiegoś psychicznego, bo normalny bandzior nie wpadłby nawet na pomysł, by swojej ofierze obciąć głowę. No i najistotniejsze, mamy już zidentyfikowane obie zamordowane. Próbuje więc ustalić, czy istnieje coś, co w jakikolwiek sposób może łączyć te kobiety. Jeśli coś takiego istnieje, zawężą nam to obszar śledztwa. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Pułkownik Żyto podrapał się w czubek лыsej głowy, a potem wypił spory łyk kawy. Jeszcze przez chwilę zastanawiał się nad czymś, jakby analizował to wszystko, co przekazał mu podwładny. Zmarszczył czoło i odezwał się do Marcinkowskiego:

– No dobra, to daj mi to na papierze, żebym miał, jakby się kto zainteresował, upisane. No i rób swoje, a ja, jakby co, będę mówił, że są wyniki. Tej sprawie nadaję najpierwszy priorytet, więc możesz działać zasadniczo z wolną ręką.

Godz. 8.00

Na parapecie okiennym usiadł gołąb. Gdzieś w pobliżu musiała być jakaś gołębicą, której uwagę samiec chciał

skierować na siebie. Napuszył się i zaczął gruchać, chodząc w tę i z powrotem, a jego trasę ograniczała niewielka szerokość otworu okiennego. Okno było nieduże, bo zaprojektowano je tak, aby maksymalnie utrudnić przecisnięcie się przez nie człowiekowi, który wpadłby na pomysł, by przez nie wyjść. Jeszcze parę lat temu dodatkowym utrudnieniem dla potencjalnego uciekiniera była pochyła blenda z matowego szkła z wtopionym weń drutem, przytwierdzona do parapetu i odchylająca się pod kątem od zewnętrznej ściany budynku. Taka zasłona nie pozwalała na wyglądanie na zewnątrz, ale dawała możliwość swobodnego patrzenia na chmury. Jakiś czas temu blendę ktoś wytłukł i nikt nie wpadł na pomysł, by wstawić nową. Przy oknie pozostała tylko metalowa rama, z resztkami szkła w czterech narożnikach. Dzięki temu z okna roztaczał się piękny widok na szarą ścianę koszarowego budynku przy ulicy Taborowej.

Po drugiej stronie okna, gdzie chodził radosny gołąb, w niewielkiej, śmierdzącej moczem i pastą do podłóg celi koszarowego aresztu siedział na pryczy szeregowy Mariusz Blaszkowski w cywilnym ubraniu. Godzinę temu zjadł cztery sznytki chleba z margaryną i popił je kawą zbożową z aluminiowego kubka. Najedzony i wyspany, nie miał nic do roboty, zajmował się więc obserwowaniem gołębia. Martwił się trochę, że nie zdąży dojechać na odprawę w komendzie wojewódzkiej. Kapitan Marcinkowski wyznaczył ją na dziewiątą rano. Ale na to w tej chwili Blaszkowski nic nie mógł poradzić. Nauczył się już w ciągu tych paru miesięcy służby w Milicji Obywatelskiej, że jeśli czegoś się nie da zrobić, to się nie da i trzeba siedzieć cicho. Siedział więc i czekał, bo już zrobił, co mógł. Rano, gdy pojawił się podoficer służbowy ze śniadaniem, zameldował, że o dziewiątej ma być w KW. Na co służbowy odpowiedział mu grzecznie, że ma zamknąć ryja, bo jego to chuj obchodzi i póki nie przyjdzie zawodowy podoficer na służbę w areszcie, to może najwyżej zameldować koniowi.

Wszystko przez tę gnidę Kurfika, myślał Blaszkowski. Bo gdyby nie ta świnia, to nie byłoby żadnego problemu. Wczoraj wrócił do koszar, co prawda dość późno, bo koło północy, ale z

pełnym przekonaniem, że jest kryty swoim przydziałem do kryminalnej. Tu się Jednak przeliczył. Rozkazy z KW za nic miał podoficer na służbie, a tym okazał się tego wieczoru kapral Fik. Gdy Mariusz zobaczył go w biurze przepustek, wiedział już, że na nic zdadzą się wszystkie tłumaczenia. Ta tępą pała i tak nie będzie chciała przyjąć niczego do wiadomości. Fik potraktował go jak deztertera i kazał odprowadzić do aresztu. Pewną satysfakcję dawała mu tylko świadomość, że któryś z oficerów prowadzących śledztwo będzie chciał zapoznać się z jego meldunkiem z wczorajszego popołudnia i zorientuje się, że go nie ma na komendzie. A wtedy podniesie słuchawkę telefonu i zadzwoni na Taborową. Miał więc nadzieję, że gdy Marcinkowski dowie się, że Mariusz siedzi w anclu, to zrobi wszystko, żeby pokazać zomowcom, kto tu rządzi. No chyba, że ktoś wcześniej spośród obejmujących służbę oficerów zainteresuje się jego losem. Ale to wydawało się mało prawdopodobne. Wczoraj obejrzał dwa całkiem fajne filmy, a w przerwie pogadał z tym chłopakiem, Maćkiem, co robił te seanse. Naplótł mu jakichś bzdur o swoim zainteresowaniu filmami. Gadali o horrorach i wkrótce okazało się, że Maciej jest prawdziwym specem od tego gatunku. Widać było, że naprawdę interesują go te krwawe paskudztwa. Mariusz udawał więc, że jest pod wrażeniem i że sam też chciałby rozwinąć swoje zainteresowania.

Po zakończonym pokazie jeszcze raz zagadnął Maćka, a ten, czując w nim bratnią duszę, pozwolił mu nawet pomóc sobie w pakowaniu sprzętu. Gdy po chwili obaj wyszli przed akademik, Blaszkowski zauważył swojego kumpla, Nowackiego, który siedział na ławce obok dwóch dziewczyn, sąsiadek z seansu. Ten pomachał do niego, przywołując gestem, by przyłączył się do towarzystwa.

– Masz coś do pisania? – zapytał Maciek.

– Nie, żadnego długopisu ani nic – Blaszkowski bezradnie rozłożył ręce.

– To chodź ze mną do samochodu, zapiszę ci mój telefon domowy.

Jak będziesz chciał kupić jakąś kasetę, to dzwoń. Ale

najlepiej rano, bo później wybywam z chaty.

– Świetnie – ucieszył się Mariusz. – Na pewno zadzwonię. Przeszli koło rzędu samochodów zaparkowanych przed akademikiem. Ostatni był biały trabant combi. Filmowiec zatrzymał się przy aucie i z kieszeni wyjął kluczyki. Otworzył tylną klapę i ostrożnie załadował do pustego bagażnika torbę z magnetowidem.

– Kurde, masz własny samochód, czy to twoich starych?

– Gdzie starych! Moja własna krwawica – odpowiedział dumny właściciel trabanta. Sięgnął do auta i wydobył z szafki na desce rozdzielczej notes. Na jednej z kartek zapisał numer telefonu i swoje imię. Właśnie trabant, pomyślał milicjant. Ten facet jeździ trabantem. No, ale to nie może być ktoś, kim się interesujemy, bo nie wygląda na mordercę. Tylko jak wygląda morderca?

– Co, podrzucić cię do miasta? Jadę przez centrum – zaoferował Maciek.

– Nie, dzięki, jeszcze tu trochę zostanę – odpowiedział i nagle wpadł na genialny, jak mu się wydawało pomysł, który natychmiast wprowadził w życie.

– Mam tu w „Jagience” kumpelkę z Rawicza, Małgosię Witkowską, może ją znasz, muszę zobaczyć, czy jest w pokoju.

– Znasz Gośkę? – zdziwił się Maciek Trelka. – Ona jest ode mnie z roku.

Obok napuszonego gołębia wylądowała z furkotem skrzydeł niezwykle ponętna gołębica. Zajrzała przez okno do środka celi i odfrunęła. Gołąb poleciał za nią.

Godz. 8.30

– A co on, kurwa, robi w areszcie? – krzyknął do słuchawki Marcinkowski. – Słuchaj, Jastrzębski, ten chłopak jest przydzielony do mnie. Wczoraj wykonywał ważne zadanie operacyjne i teraz czekam na raport od niego, a ty go zamykasz w anclu. Mam ci, kurwa, napisać pismo z prośbą, żebyś się od niego odpiardolił, a może mam ci składać raporty o wynikach

śledztwa? No i gównu mnie obchodzi, że przyszedł w nocy.

Jeśli tak, to znaczy, że nie miał innego wyjścia. A teraz posłuchaj – Fred już całkiem spokojny zaczął przekazywać porucznikowi polecenia.

– Tak. Najpóźniej na dziewiątą chcę go tu widzieć, w cywilkach oczywiście. No i jeszcze jedno, jeśli jeszcze raz się dowiem, że robisz trudności mojemu człowiekowi, to obiecuję ci, że zrobię wszystko, byś zobaczył, co to są prawdziwe trudności i na czym polega socjalistyczna sprawiedliwość.

Bez pożegnania odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał na Brodziaka, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

– Jastrzębski to kretyn. Zna się tylko na regulaminie i palowaniu, ale powiem ci, że zrobiło mi się go żal, jak go wdeptywałeś w posadzkę. Tylko jednego nie łapię.

– No co? – kapitan spojrzał na niego.

– Co to jest ta socjalistyczna sprawiedliwość?

– Socjalistyczna sprawiedliwość to znaczy każdemu według potrzeb. Nie uczyłeś się w szkole? Czyli ten, kto ma władzę, dyma tych, co jej nie mają albo mają jej trochę mniej.

Marcinkowski uśmiechnął się szeroko. Widać było, że jest zadowolony z przebiegu rozmowy. To Jastrzębski przed chwilą zadzwonił do niego z informacją, że młody siedzi w areszcie na Taborowej. Porucznik chciał zapytać, co z tym fantem zrobić, ale Fred nie dał mu zwyczajnych w takiej sytuacji wskazówek, jakich ten spodziewał się dzwoniąc do wojewódzkiej. Z pełną premedytacją opieprzył go, bo zdawał sobie sprawę, jaki to przyniesie skutek. Co do tego, że wsadzenie Blaszkowskiego do pudła to nie była bezpośrednia decyzja Jastrzębskiego, nie miał wątpliwości. Facet nie mógł przecież nocować w koszarach. Ale ktoś taką decyzję podjął. Ktoś, kto był podwładnym porucznika. Jedno było teraz pewne, Jastrzębski obędzie żywcem ze skóry idiotę, który wsadził Blaszkowskiego. I w ciągu paru minut wszyscy na Taborowej będą wiedzieli, że młody ma przydział do kryminalnej, a robienie mu jakichkolwiek trudności jest niemile widziane.

– Ten zomol jest kretynem i między nami mówiąc –

paskudną mendą, dlatego tym bardziej zjechałem go z przyjemnością.

Teofil Olkiewicz, który od paru minut drzemał na swoim krześle z rękami założonymi na brzuchu i z głową opartą o ścianę, nagle ocknął się i wyprostował gwałtownie. Chyba przyśniło mu się coś nieciekawego, bo teraz ze strachem w oczach rozejrzał się po pokoju.

– Jezus, Maria -jęknął i przetarł dłońmi ledwie widzące oczy – śniło mi się, że socjalizm zwyciężył i wszystko było wspólne.

– Mirek, zastrzel go – poprosił kolegę kapitan Marcinkowski. – W akcie socjalistycznej sprawiedliwości.

Zupełnie błady porucznik Jastrzębski odłożył słuchawkę na widełki. Spojrzał na plakat, który wisiał na przeciwległej ścianie jego służbowego pokoju. Na brzydkim fioletowym tle Reagan przebrany za kowboja, Adenauer w krzyżackim płaszczu i Krzyżak na koniu ruszali na krucjatę przeciwko Polsce. Zaciśnął dłonie w pięści i trzasnął nimi w blat biurka.

– Ty gnoju! Ja ci zaraz zrobię krucjatę. Załatwię cię, jak Amerykanie nasze kurczaki.

Podniósł ponownie słuchawkę i warknął do podoficera służbowego.

– Natychmiast wypuścić z aresztu Blaszkowskiego. Podstawić jakiś samochód i zawieźć go do wojewódzkiej. Ma się tam zameldować o dziewiątej zero zero. I dajcie mi tu na chwilę kaprała Fika. Uspokojony nieco usiadł przy swoim biurku. Dla ukojenia nerwów zaczął przeglądać dokumenty służbowe, ale nie mógł się skupić, a poza tym trzęsły mu się ręce. Położył więc papiery na blacie i rozłożył na nich dłonie.

Przez takiego kutasa oficer z komendy wojewódzkiej gnoi mnie przez telefon. Niech no tylko ta świnka przyjdzie do mnie. Już ja sobie z nim pogadam.

Zamek w obitych stalowymi sztabami drzwiach szczęknął głośno.

Do celi wszedł podoficer, starszy kapral Wiesiek Malinowski, który Pełnił dziś służbę w areszcie. Blaszkowski zgodnie z

regulaminem poderwał się na równe nogi i przyjął postawę zasadniczą. Chciał się zameldować, ale Wiechu machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że jest sam i ma sobie oszczędzić tych wygłupów z meldowaniem. Spojrzał na szeregowego w koszulce „Shaolin” i zrobił poważną minę.

– Ty wiesz, co się tu dzieje, bo ja, kurna, nic nie kumam. Dostałem telefon od Jastrzębia, że mam cię natychmiast wypuścić. I mam ci jeszcze powiedzieć, że biegiem masz lecieć na biuro przepustek, bo tam czeka na ciebie podstawiony samochód, który ma cię zawieźć do KW.

Coś ty chłopie nawywijał, że ich tak przypiliło?

– Nie mam pojęcia – skłamał Mariusz. – Może chcą mnie postawić przed sądem.

– Za co? – zdziwił się Malinowski – Za akcję „Liść dębu” – ciągnął swój dowcip były aresztant, któremu przypomniał się tytuł jednego z odcinków serialu Kapitan Kloss.

– Aha – podoficer zrobił minę, jakby zrozumiał o co chodzi, choć oczywiście nie miał zielonego pojęcia o żadnej akcji. – „Liść dębu”, no, to wszystko wyjaśnia – dodał poważnie.

Kapral Fik stał na środku pokoju w postawie zasadniczej i patrzył w podłogę. Liczył kostki linoleum, które, stojąc w tak skromnej pozycji, mógł objąć spojrzeniem. Zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować.

Przed nim za biurkiem siedział porucznik Jastrzębski i rozrywał go na strzępy.

– Ty tępy debilu, ty zawszawiony gównojadzie, już raz cię dopadłem, jak jebałeś tego Blaszkowskiego. Nie usłyszałeś, skretyniała cioto, że on ma rozkazy z wojewódzkiej? Co ty, kurwa, sobie myślisz, że jesteś ważniejszy od KW, że możesz podważać ich rozkazy, bo ci się ten klient nie podoba? On pracuje przy śledztwie i chuj ci do tego. Przez twoje wygłupy ja dostaję zębę. Ale o ile mnie tak naprawdę mogą skoczyć, o tyle tobie, zasrańcu, ja mogę urządzić tu powolne gotowanie twojego durnego łba we wrzątku.

Fik w dalszym ciągu stał wpatrzony w podłogę i nie śmiał nawet podnieść wzroku. Czuł, że porucznik krzywdzi go niesłusznie. Przecież w końcu nie zrobił nic nadzwyczajnego.

Ot, wyżył się trochę na tym gnojku Blaszkowskim. W końcu – co w tym takiego dziwnego?

On był podoficerem, a tamten tylko szeregowcem. Takie jego prawo, żeby jebać młodych. W końcu po to poszedł do milicji, żeby zacząć się wspinać po szczeblach władzy. No i w chwili, gdy zaczął korzystać z jej przywilejów, okazało się, że zrobił źle.

– I jeszcze jedno, Fik, jak jeszcze raz zrobisz coś tak głupiego, to dam ci słowo, że zrobię wszystko, żebyś wyfrunął z milicji z prędkością miga 29 i wylądował z obitą dupą w Ludowym Wojsku Polskim.

I wierz mi, że bez problemów załatwię ci przydział do cyrku w Walcu w stopniu szeregowca.

Na myśl o Waleckim Cyrku Fikowi zrobiło się słabo. Była to ciesząca się wśród poborowych najgorszą sławą jednostka pierwszorutowa Ludowego Wojska Polskiego. Czyli taka, która w razie wojny z imperialistycznym Zachodem miała zostać użyta w pierwszej kolejności, na pierwszej linii frontu. Dlatego utrzymywano ją stale w stanie pełnej gotowości, a służba w jej szeregach przypominała pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych.

– A teraz spierdalaj stąd, zasrańcu, i postaraj się zrobić wszystko, żebyś nie wpadł już dziś na ciebie, bo dam ci słowo, że jaknie wytrzymam, to oderwę ci łeb i nasram do środka.

Godz. 8.55

Niewielkie pierzaste chmurki płynęły wolno po jasnoniebieskim niebie. Bardzo wysoko samolot odrzutowy przecinał błękit, pozostawiając za sobą śnieżnobiałą smugę kondensacyjną. Gdzieś między chmurami a ziemią przesuwano się kilka ciemnych punkcików. Ptaki zataczały koła, zbliżały się do siebie, by za chwilę błyskawicznie się rozproszyć. Atu, na dole, śmierdziało rozkładającymi się resztkami jedzenia i kocimi szczynami. Karol Frankowski, zwany przez wszystkich panem Franiem, przyglądał się z zainteresowaniem temu, co działo się w górze. Normalnie prawie nigdy nie zwracał uwagi

na niebo, zawsze raczej starał się rozglądać wokół siebie. Ale dzisiaj nie miał takiej możliwości. Jedyne, na co mógł patrzeć, to było właśnie niebo. Leżał bowiem na betonowej podłodze osiedlowego śmietnika i nie mógł się ruszyć. Gdy odzyskał przytomność kilka minut temu, chciał się podnieść z ziemi. Okazało się jednak, że to zadanie ponad jego siły. Sygnały i polecenia wysyłane przez mózg do rąk i nóg nie przynosiły żadnego skutku. Kończyny były całkowicie bezwładne. Co gorsza, pan Franio nie mógł ruszyć też szyją, by unieść choć trochę głowę. Nie miał pojęcia jak znalazł się na ziemi. Pamiętał, że grzebał swoim zaostrzonym patykiem w pojemniku na śmieci. Nagle poczuł okropny ból i pogrążył się w ciemnościach. Leżał więc teraz jak kłoda i czekał na to, co może się wydarzyć. Nie czekał długo. Najpierw usłyszał jakiś szelest, a zaraz potem kroki. Jakies dwa metry nad sobą zobaczył twarz mężczyzny. Ten spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

– Widzisz, kochany, że nie oplaca się być upartym. Jeśli grzecznie proszę o informację, to nie warto odmawiać, więc proszę cię ostatni raz. Podaj mi numery tego trabanta, którego zobaczyłeś, i nie próbuj mnie oszukiwać, bo, jak widzisz, potrafię poradzić sobie z takim śmieciem jak ty. Uderzyłem cię tylko raz, a jesteś kompletnie sparaliżowany. Gdy uderzę po raz drugi, najpierw przeszyje cię niewyobrażalny ból, a później nie będziesz już czuć nigdy niczego. Więc teraz się zastanów. Daję ci trzydzieści sekund, a później mi powiesz wszystko to, co powiedziałeś milicji.

Pan Franio, który wtedy w nocy zobaczył trabanta, nie miał zielonego pojęcia, jaką samochód miał rejestrację. Próbował powiedzieć temu facetowi, że było ciemno, daleko, a on ma już nie ten wzrok, ale mężczyzna nie wiedzieć czemu był przekonany, że Frankowski kłamie.

– Nie widziałem całej rejestracji, ale na pewno było to PZK i chyba ósemka – wymyślił pan Franio. Jakies pół godziny temu chodząc po osiedlu, zobaczył trabanta podobnego do tego nad rzeką. Obszedł samochód dookoła, przyglądając mu się badawczo. Przyjrzał się też rejestracji, ale nie zapamiętał wiele. Teraz przypomniał sobie litery z tej właśnie tablicy i podał je.

– No dobra, a teraz powiedz mi, jak wyglądał ten człowiek, który był przy samochodzie.

– Nie wiem, nie pamiętam – zaczął pan Franio, patrząc w twarz pochylającego się nad nim mężczyzny. Spojrzał mu prosto w oczy i wtedy przestraszył się. Przymknął oczy i już miał pewność. Otworzył je znowu i upewnił się, że ten nad nim też już wie wszystko.

– No widzisz, nie lepiej było tak od razu, nie mielibyśmy tylu problemów – powiedział facet, nachylając się nad leżącym mężczyzną.

– Teraz wiemy już wszystko obaj, prawda? Delikatnie dotknął prawą dłońią policzka leżącego, a lewą oparł na jego czole. Pan Franio zobaczył, że czarne punkty na niebie znów zbiły się w niewielką gromadkę. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie jak kiedyś, gdy był mały, leżał tak na trawie nad Wartą i patrzył w niebo. Mama leżała obok i głaskała go po policzku. Nagle obie dłonie ścisnęły go mocno, a później zapadły ciemności.

Godz. 9.00

Niebieska milicyjna nyska z grubymi siatkami na bocznych oknach podjechała pod schody głównego wejścia do komendy wojewódzkiej.

Siatki zainstalowane były po to, by podczas rozpędzania ulicznych demonstracji tłum nie powybił okien kamieniami. W takich sytuacjach także na przednią szybę zakładano pancerną zasłonę. I dzięki tym zabezpieczeniom zwykła nyska stawiała się autem pancernym. Teraz zasłona przednia była zdjęta i samochód mógł posłużyć jako środek transportu dla ważnej osoby z Taborowej.

Kierowca zatrzymał auto tuż przy chodniku komendy. Właściwie od pewnego czasu budynek nie był już komendą, ale Wojewódzkim Urzędem Spraw Wewnętrznych. Taka była przynajmniej oficjalna nazwa, bo nikt z pracujących tu milicjantów nie nazywał tak tego miejsca. Od lat była to po

prostu komenda wojewódzka, a najczęściej mówiło się KW.

Na szczycie schodów stało dwóch młodych milicjantów w wysokich butach, czarnych spodniach i niebieskich milicyjnych kurtkach. Mariusz, który wysiadł z zomowskiej nyski, ruszył biegiem po schodach. Kiwnął chłopakowi stojącemu z prawej, bo to był Kowalik z trzeciej drużyny, otworzył drzwi i znalazł się w chłodnym holu.

– Już dziewiąta – Mirek Brodziak uśmiechnął się do swojego szefa – Jak nie będzie go za kwadrans, to możesz sobie jeszcze raz pogadać z Jastrzębskim. Chociaż myślę, że ten zrobił wszystko, by nie podpaść ci po raz drugi.

– Dam mu jeszcze szansę, temu Jastrzębiowi – zaśmiał się Marcinkowski, ale zaraz spoważniał. – To mówisz – spojrzał uważnie na Brodziaka – że ten chłopak ma dużą kolekcję tych filmów i organizuje pokazy filmowe? To może pozwolić nam spenetrować to środowisko.

Dobrze by było, jak byś się z nim umówił i przejrzał te filmy. Może tam jest coś ciekawego, co nas dokądś doprowadzi. Kurde, działamy nadal po omacku. Nie mamy żadnych konkretnów.

– Ta hipoteza, że morderstwa mogły być zainspirowane jakimś kretyńskim filmem, wydaje mi się pociągająca, choć na razie jest mało prawdopodobna. Ale sprawdzić trzeba wszystkie możliwości – włączył się Brodziak.

– Ja se myślę, że głowę się ucina, kiedy jest taka potrzeba – wtrącił się Olkiewicz, na którego od pewnego czasu nikt nie zwracał uwagi. Sprawiał dotąd wrażenie, jakby był nieobecny duchem. W rzeczywistości, siedząc na swoim krześle, pilnie przysłuchiwał się temu, co mówią oficerowie, bo wiedział już, że pewne informacje mogą się przydać.

– Chyba w sześćdziesiątym czwartym był tu taki przypadek na Wildzie, że jeden facet zarznął swoją babę – ciągnął dalej Teoś. – To kurew była i puszczała się na prawo i lewo, więc gość nie wytrzymał i nożem kuchennym ją załatwił, bo już znieść nie mógł, że ona rżnęła się z kim popadło. No i jak któregoś razu wróciła nad ranem do chaty, załatwił ją na amen. Ale miał kłopot, co z ciałem. Więc wymyślił, że zapakuje ją do

największej walizki i wyniesie z kamienicy. Ale babsko nie mieściło się w tej walizie, to facet włożył ją do balii i obciął jej giry piłką do drewna. A potem wcisnął ją do walizki, a nogi do drugiej, takiej mniejszej. Zabrał te paki, jakby jechał na wakacje, i poszedł z Wildy nad Wartę. I tam go przyskrzytnął patrol, zupełnie przypadkiem, bo zainteresowali się tymi walizkami, że niby jakiś może lewy towar. Zobaczyli chłopaki, że krew z jednej walizy kapie i pomyśleli, że klient niesie mięso z nielegalnego uboju. Zatrzymali go i zobaczyli, że w środku rzeczywiście mięso, ale niestety niejadalne – zarechotał na koniec opowieści Olkiewicz, ale nikomu z pozostałych milicjantów jakoś nie było do śmiechu.

W pokoju rozległo się pukanie, a zaraz potem drzwi otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty szeregowy Blaszkowski w pogniecionej koszulce.

Zrobił krok w stronę biurka, za którym siedział Marcinkowski, stanął na baczność i zameldował.

– Szeregowy Mariusz Blaszkowski melduje swoje przybycie.

– No i zguba się znalazła – powiedział Brodziak. – Tylko cztery minuty spóźnienia.

– Przepraszam za spóźnienie, ale dopiero przed chwilą wypuścili mnie z aresztu, w którym zostałem zamknięty za zbyt późny powrót do koszar.

– Znamy już całą historię – wyjaśnił kapitan Marcinkowski.

– A teraz powiedz, co się naprawdę stało, bo to, że wsadzili cię do ancla, to tylko finał sprawy.

Blaszkowski spuścił wzrok, spojrzał na swoje schodzone adidasy i zaczął opowieść.

– Więc wczoraj pochodziłem po akademikach. Spotkałem kolegę z Piły, co studiuje na polibudzie. Nie mówiłem mu, że jestem w milicji. Powiedziałem, że będę zdawał egzaminy na uniwersytet, a teraz przyjechałem trochę się pokręcić. No i wypiliśmy parę piw, a później poszliśmy na pokaz filmów do akademika „Jagienka”. No i tam poznałem pewnego gościa, który wyświetla filmy. Gadaliśmy trochę, ja mu powiedziałem, że mój ojciec przywiózł magnetowid z Kuwejtu. No i że chcę mieć filmy, ale z repertuarem krucho, a ja lubię horrory. To on

mi powiedział, żebym zadzwonił do niego, to pogadamy o filmach, bo on się horrorami interesuje bardzo. Potem pomogłem mu zanieść sprzęt i okazało się, że on jeździ trabantem combi. Białym. I że to jego auto.

No i on chciał mnie odwiedzić do domu, to mu powiedziałem, że nie mogę, bo chcę jeszcze zobaczyć się z jedną koleżanką, co studiuje historię i mieszka w tym akademiku. I powiedziałem mu, że ona nazywa się Małgosia Witkowska. No i wtedy ten chłopak powiedział mi, że ta Małgośka to jest z jego roku, znaczy się razem studiują. W pokoju zapadła kompletna cisza. Słyszeć było tylko muchę brzęczącą na szybie okiennej.

– Kurde, Fred, mamy tu Sherlocka Holmesa, jak Boga kocham – zaśmiał się Brodziak.

– Zdaje się, że młody rozpracował twojego chłopaka od filmów. Jak on się nazywa? – kapitan zapytał Blaszkowskiego, chcąc się upewnić.

– Nazwiska nie znam, panie kapitanie, ale na imię ma Maciek.

– No to, kurwa, jesteście w domu! – zawyrokował Brodziak.

– Trzeba to opić, co kapitanie? – ucieszył się chorąży Olkiewicz.

Godz. 9.30

Emeryt Alojzy Karpiel nie lubił swojej żony. Szczególnie irytowało go jej gderanie. A gderiała niemal ciągle. To ten typ kobiety, która stale była niezadowolona. Irytowało ją wszystko. Sąsiedzi, pies na dworze, kolejki w sklepach, pogoda ciągle nie taka, a najbardziej mąż, który nie wie, czemu stale pętał się po domu. Inni emeryci mieli swoje zainteresowania, łowili ryby, dłubali przy samochodzie albo uprawiali ogródek. A on, według niej, nie robił nic pożytecznego, tylko czytał te gówniane kryminały. Alojzy miał wrażenie, że żona, gdy wstaje rano, natychmiast nakręca jakąś ukrytą w tyłku sprężynę, która uruchamia cały mechanizm. Wprawiał on w ruch głowę, która nie mogła się zamknąć aż do wieczora, kiedy to zasypiała na

filmie po dzienniku. Ostatnio nie spała tylko we wtorki, gdy nadawano ten kretyński, brazylijski serial o przygodach białej niewolnicy Isaury.

W inne dni Alojzy mógł więc wieczorami spokojnie czytać, ale we wtorki kobieta za wszelką cenę próbowała zainteresować go tym, co dzieje się na ekranie.

– Jezu, zobacz, ten Leoncio przywiązał ją do łóżka. Mój Boże, patrz, ona ucieka. Zobacz, jaka z niego świnia, goni ją na koniu. A ten Murzyn, jaki on wielki!

Udawał wtedy, że śledzi z zainteresowaniem przygody tej pokraki Isaury, a jednocześnie uciekał wzrokiem na stronę kryminału, w którym Philip Marlow delektował się kolejnym gimletem.

W takich chwilach doskonale rozumiał niektórych bohaterów swych ulubionych książek, którzy na różne sposoby pozbywali się niewygodnych ludzi. Sam już nawet zaczął zastanawiać się nad tym, czy nie dopomóc żonie w skróceniu jej doczesnych męczarni. Ale tak naprawdę dobrze widział, że nie posunąłby się nigdy do czegoś takiego. Książki i ich najbardziej niesamowite wątki to była fikcja, a rzeczywistością była gderająca, wiecznie narzekająca baba, i co wtorek niewolnica Isaura, odbierająca żonie sen, a jemu spokojny czas na lekturę. Wczoraj wieczorem okazało się, ku uciesze pana Alojzego, że brazylijski serial zakończył się definitywnie, a w telewizorze pokazali tylko jakiś dokument o powstawaniu Isaury. To naruszenie wtorkowego rytuału oglądania filmu jego żona odebrała niemal jak osobistą klęskę. Już zastanawiała się nad tym, czy by wspólnie z sąsiadkami nie napisać jakiegoś listu obywatelskiego do telewizji, domagającego się pokazania dalszych odcinków albo choć puszczenia filmu od nowa. Przestraszony tym pomysłem Alojzy zwrócił jej uwagę, że taka obywatelska inicjatywa może zostać niezbyt przychylnie potraktowana przez władze. I to chyba ostudziło trochę jej wojowniczy zapał. Ale dziś od rana znów zaczęła narzekać na bezmyślność decydentów z Radiokomitetu, twierdząc, że nie liczą się zupełnie z potrzebami ludzi pracy.

Słyszac ten potok wylewający się z ust nakręconej od rana

kobiety, Alojzy postanowił wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Zabrał z kuchni wiadro ze śmieciami i wyszedł z domu, pozostawiając żonę samą z jej tęsknotą za utraconym filmem.

Z wiadrem w ręce zszedł po schodach na parter i wyszedł przed klatkę schodową. Gdzieś od strony śmietnika dochodziło wycie jakiegoś psa. Na Parkingu przed blokiem stało kilkanaście samochodów. Tak jak się tego spodziewał, popielata stara Skoda stała na swoim miejscu, a spod maski wystawały nogi jej właściciela, Mięcia Chojnickiego, sąsiada spod piątki. On również był emerytem. Zapalony mechanik amator, każdą wolną chwilę spędzał na dłubaniu przy aucie. Alojzy miał wrażenie, że po latach napraw i przeróbek w tym samochodzie nie było już żadnej oryginalnej części, bo wszystkie zostały wymienione i ulepszone. Zagadką pozostawało tylko to, dlaczego auto tak wypieszczone i stale remontowane rzadko było na tyle sprawne, by opuścić swoje miejsce parkingowe.

Alojzy stanął przy samochodzie.

– Jak leci, panie Mieciu? – zagadnął, spoglądając na nogi w wojskowych spodniach i zielonych trampkach. Po chwili spod auta wyczołgał się chudy właściciel z twarzą i dłońmi uwalanymi smarem.

– Witam sąsiada – uśmiechnął się mechanik amator. – Ręki nie podaję, bo pobrudzę tym gównem.

Alojzy ze zrozumieniem kiwnął głową.

– Zrób se pan przerwę na ćmika, pogadamy chwilkę, tylko śmieci wywalę.

– W porządku, panie Alku, i tak chciałem już wyleźć spod tego czechosłowackiego złomu – oparł się krawędzią dłoni o nadgryziony rdzą błotnik i stanął obok sąsiada.

– Tylko uważaj pan w tym śmietniku, bo tam jakiś kejter już pół godziny wyje. Pewnie szczuny jakieś go tam przywiązały. Miałem już iść zobaczyć, ale jak pan idzie, to ja po co. Chyba żebym był potrzebny, to krzyknij pan.

Pan Alojzy ruszył w stronę śmietnika. Już z odległości kilku metrów dostrzegł przez ażurową ściankę z białych cegieł siedzącego na ziemi dużego, rudego kundla. To ten, co łązi

zawsze za śmieciarzem Franiem, pomyślał. Nie rusza się z miejsca, to pewnie związany.

Pies podniósł łeb do góry i zawył znowu. Gdy zobaczył wchodzącego do śmietnika mężczyznę, poderwał się na cztery łapy i zamerdał ogonem. Nie był wcale przywiązany, pomyślał miłośnik kryminałów Alojzy Karpiel, spoglądając na nienaturalnie wykrzywioną głowę pana Frania, który leżał martwy na betonowej podłodze osiedlowego śmietnika.

Godz. 9.35

– W tej sytuacji obaj, to znaczy ty, Mirek, i ty, młody, musicie podtrzymać swoje kontakty z tym chłopakiem. Każdy z was na własną rękę postara się do niego zbliżyć. Młody, wykorzystasz tę historię z twoją niby koleżanką. Jak się z nim spotkasz, powiesz mu, że nie ma jej w akademiku, a masz do niej ważną sprawę. No i wypytaj go o tę znajomość. Tylko bardzo ostrożnie. Jak poczujesz, że facet ucieka od tematu, nie draż tego. To dla nas już będzie jakimś sygnałem. Ty, Miras, postarasz się przejrzeć jego kasety. Zresztą wiesz, co masz robić, nie będę dawał ci szczegółowych wskazówek. Teraz Tomek – tu Marcinkowski spojrzał na sierżanta Kubiaka, który siedział oparty o biurko Olkiewicza. – Dałem już znać do miejskiej. Dostaniesz tam kilku chłopaków do całodobowej obserwacji gościa. Musimy znać każdy jego krok. No i Teoś, dla ciebie zostało zbadanie środowiska. Zbierzesz wszystkie informacje na jego temat, sąsiedzi, rodzina, szkoła. Wszystko, co się da. I najważniejsze, nie musisz być bardzo dyskretny. Myślę, że może dojść do niego, że milicja się nim interesuje. Ciekawe, jak na to zareaguje.

– Kapitanie – odezwał się Kubiak – wczoraj nie było już okazji, ale jak byłem u tej dziewczyny w akademiku, zabrałem stamtąd trochę szpargałów. – Tu sięgnął do swojej brązowej torby, którą wcześniej postawił na podłodze. Wyjął z niej foliowy worek i położył na biurku Marcinkowskiego. – Jeszcze nie dałem tego do laboratorium, więc proszę nie dotykać, ale

możemy rzucić okiem na fotki.

Marcinkowski skinął głową a sierżant założył gumowe rękawiczki i szybko porozkładał na blacie znalezione w pokoju dziewczyny zdjęcia.

– Myślę, że na wszelki wypadek można je przejrzeć – dodał, gdy zakończył rozkładanie.

Zdjęcia przedstawiały grupę młodych ludzi grzebiących w ziemi. Niektórzy kopali jakieś doły łopatami, inni odkrywali coś niewielkimi szpachelkami, a jeszcze inni małymi miotłkami zamiatali fragmenty ziemi ogrodzone sznurkami.

– To chyba jakieś wykopaliska – zauważył Brodziak.

– Jest i nasza dziewczyna – wskazał na uśmiechniętą brunetkę Marcinkowski.

– A ten chłopak, obywatelu kapitanie, jest podobny do tego Maćka, co z nim wczoraj gadałem.

Marcinkowski spojrział na wskazane zdjęcie, a później na szeregowego Blaszkowskiego, który pod przenikliwym spojrzeniem kapitana natychmiast spuścił wzrok. Chłopak pomyślał, że wyrwał się niepotrzebnie i za chwilę spadną na niego gromy. Ale nic takiego się nie stało.

– On wcale nie jest podobny, kolego – stwierdził porucznik Brodziak. – Ten chłopak na zdjęciu z zabita dziewczyną to jest właśnie Maciej Trelka, nasz wspólny znajomy.

Godz. 9.40

Rower składany marki Karat, kolor złoty, sztuk jeden; rower składany marki Sokół, kolor czerwony, sztuk jeden; motorower marki Wierchowina, produkcji ZSRR koloru czerwonego, sztuk jeden; pralka do prania wirującego, marki Frania, bez silnika, sztuk jeden; pompka do roweru metalowa, bez przewodu dmuchającego, sztuk jeden; akumulator samochodowy, pęknięty ze strony prawej na plastiku, bez kwasu wewnętrznego, niedziałający sztuk jeden; kompoty wieloowocowe z przewagą wiśni, sztuk około trzydzieści; pół worka ziemniaków zeszłorocznych, porośniętych wraz z

workiem. Wszystkie wyżej wymienione dobra zostały wyniesione z piwnicy bloku mieszkalnego nr 5 na osiedlu Piastowskim w Poznaniu w nocy z 5 na 6 czerwca, gdyż jeszcze wieczorem wszystko było, jak w spisie powyżej, na swoim miejscu. W trakcie oględzin dokonanych na miejscu stwierdzono, że złodziej dostał się do pomieszczenia piwnicznego za pomocą przepiłowania kłódki piłką metalową, która jednak nie puściła, gdyż okazała się nie do przebycia dla złodzieja i dlatego użył do otwarcia drzwi, narzędzia prostego podważającego drzwi, jakim był najprawdopodobniej łom stalowy albo breszka. Właściciel piwnicy Kluza Mateusz, syn Klemensa, który powiadomił organy o zajściu o charakterze przestępczym, zapytany o sprawców zeznał, że w kwestiach sprawców nie ma wiedzy, czyli że nie wie, kto włamania dokonał do jego własności, gdyż nie zachodził w nocy do piwnicy z powodu spania.

– No dobra, panie Kluza, wszystko już upisane, to teraz podpisz pan ten protokół, że się wszystko zgadza, znaczy się jest spisane to, co podpierdolili. – Makarczuk podał zapisaną kartkę właścicielowi piwnicy, a sam upił łyk kompotu ze śliwek, jednego z niewielu ocalałych po nocnej wizycie włamywaczy. Myślał już o tym, że zaraz skoczy do Bety, przyjąć pierwsze dziś piwko, na odmulenie mózgu. Dlatego do minimum skrócił oględziny i formalności.

– Jak pan myśli, panie dzielnicowy – powiedział okradziony, oddając milicjantowi podpisany protokół. – Czy jest szansa, że to wszystko się znajdzie? To przecież dorobek całego życia. W szczególności motorower.

– Nie pij wódki, nie pij wina, kup se motor wierchowina! – zażartował milicjant. – A diabli ich wiedzą, tych złodziei znaczy się, które cholery do piwnicy wlażyły. Ale będziemy próbować, panie Kluza. Będziemy próbować. Jak wpadnę na jakiś trop, to wyślemy do was zawiadomienie odnośnie rezultatów – powiedział Makarczuk, zbierając się do wyjścia.

Włożył protokół do raportówki, zapiał torbę i założył czapkę, która leżała na półce po kompotach. Uporawszy się z rynsztunkiem, ruszył w stronę wyłamanych drzwi od piwnicy.

Nie zdążył jednak dojść do wyjścia, bo drogę zatarasował niemal wpadający na niego dozorca bloku, Marian Kmieciak.

– Panie dzielnicowy! Dalej, leć pan do śmietnika przy niskich blokach! – zawołał na widok milicjanta.

– Co jest, panie Kmieciak, jak pragnę zdrowia? A na chuj mi tam lecieć, że grzecznie spytam?

– A bo pies tam na śmierć człowieka zagryzł! – powiedział nie na żarty zdenerwowany dozorca.

Jasna dupa, pomyślał dzielnicowy Makarczuk, to piwa już się tak szybko nie napiję. Szlag by trafił wszystkie psy.

ROZDZIAŁ VIII

Godz. 10.30

– Jezus Maria, co też pani powie, pani Bielawska. Że jak, zagryzł?

Taki mały kejter miałby chłopa za szyję złapać! – otyła kobieta w trwałej fryzurze a la hełm niemiecki z niedowierzaniem spojrzała na rudego psa przywiązanego sznurkiem do ściany śmietnika. Wyglądał zupełnie nieszkodliwie. Nie miał w sobie ani odrobiny agresji. Siedział spokojnie przy śmietniku uwiązany na zwykłym sznurku i merdał ogonem na widok każdego przechodzącego obok milicjanta.

– Jak Boga kocham, pani Otocka. Tak mówił pan Alojzy, co go znalazł. Ponoć głowę miał odgryzioną kompletnie i ręki też nie miał. Musiała go ta bestia rozszarpać w trymiga, bo nikt nawet nic nie usłyszał.

– Łe jery! Niby tak spokojnie se siedzi, a człowieka ma na sumieniu. A onego tak cichcem zeżarł? – zdziwiła się właścicielka trwałej ondulacji, Pelagia Otocka, przyglądając się kundlowi.

– Jakbyś pani wiedziała! – odpowiedziała Bielawska. – Nawet ta Kozłowska spod jedyńki, co ciągle siedzi w oknie, zaklina się, że nic nie słyszała. Choć powiada, że coś jej się dziwne zdawało, że ten Franio tak długo w tym śmietniku grzebie, że aż chciała wyjść zobaczyć, co tam znalazł. Ale nie mogła się z domu ruszyć, bo zaraz miał być w telewizji ten film „Isaura o Isaurze”, znaczy się ta powtórka z wczoraj. A ona wczoraj nie widziała, to musiała oglądać teraz i przestała patrzeć się przez okno. I mówiła mi jeszcze, że dopiero ją ten wyjący pies wnerwił, bo spokojnie nie dawał patrzeć w telewizor, to wyjrzała i zobaczyła, że jak pan Alojzy tam idzie,

to chyba będzie zaraz spokój. To uSiadła znów przed telewizorem. I dopiero na powrót odeszła od patrzenia, jak karetka milicyjna na sygnale podjechała pod śmietnik.

– No niech pani powie, co to się dzieje, żeby pies zeżarł człowieka i nikt mu nie pomógł. Co to za ludzie tu mieszkają! – powiedziała mieszkanka osiedla w starannej fryzurze.

– Znieczulica, jak nie znieczulica – poparła ją pani Bielawska.

Na chodniku pod blokiem zebrało się kilkanaście osób, w większości emeryci i dzieci. Zebrani z ciekawością przyglądali się temu, co dzieje się po przeciwnej stronie osiedlowej ulicy. Niestety, najciekawsze rzeczy rozgrywały się za śmietnikowym murem, który na domiar złego obrośnięty był liściastym żywopłotem. Z miejsca, gdzie stali, gapie mogli przyglądać się tylko wchodzącym i wychodzącym milicjantom. Wszyscy zauważyli też podjeżdżającego na miejsce wypadku sraczkowego poloneza. Samochód zatrzymał się tuż przy śmietniku. Wysiadło z niego trzech mężczyzn. Dwóch w średnim wieku i jeden zupełnie młody. Ten ostatni w wymiętej koszulce z Bruce'em Lee. Wszyscy trzej natychmiast poszli tam, dokąd nie mogły już odprowadzić ich spojrzenia mieszkańców osiedla.

– A niech se pani wyobrazi – powiedziała jeszcze pani Bielawska – że myślałam o tym, że trzeba wyrzucić śmieci. W sam raz o tym myślałam przed filmem o Isaurze. Jakbym się pośpieszyła, to bym była pierwsza.

– No to mamy jak nie pecha – zasmuciła się kobieta w trwałej.

– Nie ma co – powiedział porucznik Brodziak – łeb mu ukręcili jak kurczakowi.

– Powiedz mi – Marcinkowski spojrzał na swojego kolegę – potrafiłbyś tak złapać faceta i odwrócić mu głowę na plecy?

– To zależy, o czym myślisz. Bo jeśli chodzi o to, czy bym dał sobie radę – to pewnie tak, bo kręgosłup nie może być zbyt twardy, ale jeśli pytasz, czy bym potrafił, to odpowiem, że zależy od tego, komu ten łeb miałbym ukręcić.

Kapitan uśmiechnął się krzywo.

– Jasne, że znalazłoby się paru klientów, którym warto byłoby skrócić doczesne cierpienia. Ale ja myślę raczej o tym, czy to jest prosta sprawa.

– Podejrzewam, że to jest tylko kwestia fachowego podejścia do tematu. Po prostu, to trzeba umieć – stwierdził Brodziak. – Zastanawiam się tylko – ciągnął dalej porucznik – komu przeszkadzał ten nieszkodliwy facet. Ktoś chyba przestraszył się tego, co on mógł wiedzieć albo widzieć.

– Zdaje się, że myślimy o tym samym – zauważył Marcinkowski. Śmietnikowy smród był nie do zniesienia. Gęsty zaduch wisiał w powietrzu i nie poruszał go najmniejszy nawet podmuch wiatru. Robiło się coraz cieplej. Wszędzie wokół kręciły się brzęczące muchy, które całymi chmurami krążyły nad cylindrycznymi pojemnikami na śmieci. Wokół ciała mężczyzny uwijali się milicyjni technicy, marząc o tym, by jak najszybciej opuścić to smrodliwe miejsce. Co chwilę któryś z nich wychodził na zewnątrz, by choć przez moment odetchnąć świeżym powietrzem.

Blady jak płótno szeregowy Blaszkowski stał oparty o ścianę śmietnika i patrzył na to, co jeszcze do niedawna było codziennym opakowaniem pana Frania. Chłopak nie mógł dojść do siebie po tym, jak pierwszy raz spojrzał w szeroko otwarte oczy zabitego mężczyzny. To nie był pierwszy trup, z którym miał do czynienia w swej karierze młody milicjant. Dokładnie rzecz biorąc, był to już drugi denat, którego widział w ciągu ostatnich paru dni. Ale ten był szczególny. Z tym, gdy jeszcze żył, Mariusz rozmawiał, to znaczy znał go osobiście. I właśnie dlatego chłopak nie mógł dać sobie rady ze świadomością, że zginął ktoś, kto nie był dla niego anonimowy. Przypomniawszy sobie jego na wpół drwiący uśmiech, który towarzyszył ich całej rozmowie nad Wartą. Zdziwiło go, że ten martwy Franio też się uśmiecha, tylko jakby trochę inaczej. Jakby się nad czymś zamyślił.

– I co, jeszcze chcesz być milicjantem w kryminalnym? – zapytał go Marcinkowski, który przystanął obok młodego, gdy z Brodziakiem wychodzili ze śmietnika.

– Teraz wiem na pewno, że chcę.

Do oficerów podszedł dzielnicowy Makarczuk. Czerwony na twarzy, w rozpiętej olimpijce i z czapką w ręce wyglądał jak karykatura milicjanta.

Jednak nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na jego niechlujny wygląd.

– Ja względem tego psa, obywatelu kapitanie – zaczął nieregulaminowo.

– Jakiego psa? – zdziwił się Fred.

– No tego, co zagryzł Frankowskiego. Myślałem, czy by go nie kropnąć gdzieś nad rzeką. Tak, żeby dzieciaki nie widziały. Kapitan spojrzał najpierw na rudego kundla, potulnie siedzącego przy murku, a później na dzielnicowego. Już chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Brodziak.

– Słuchaj, Makarczuk, sam się kropnij czymś w łeb. I to mocno. A psa do schroniska.

Godz. 10.40

Gwałtownie wyrwana ze snu Weronika spojrzała na zegarek stojący tuż przy łóżku. Nie było jeszcze jedenastej. To nie dzwonek budzika przerwał jej sen. Jednak dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to telefon. Poderwała się z pościeli i przeklinając w myślach nachalnego dzwoniącego, podeszła do aparatu. Była zła, że ktoś budzi ją o tak wczesnej porze. Zwykle nie wstawała z łóżka przed trzynastą – Halo – warknęła do słuchawki.

– Czy będzie pani mogła przyjąć dzisiaj trochę węgla? Może się okazać, że będę miał świeżą dostawę – powiedział mężczyzna po drugiej stronie.

Natychmiast rozpoznała głos Wirskiego i świadomość, że dzwoni ktoś ważny, pozwoliła jej całkowicie dojść do siebie. Daleko za oknem kilku chłopców z kijami w rękach goniło ujadającego, dużego psa. Weronika patrzyła na tę scenę z zupełną obojętnością. Uderzony w łeb pies przewrócił się. Gromada małych barbarzyńców rzuciła się na niego z dzikim wrzaskiem.

– O której godzinie może być dostawa?
– Na razie jeszcze trudno powiedzieć. Proszę się przygotować.

Niech pani sprzątnie piwnicę, bo trzeba będzie to gdzieś wysypać.

– Piwnica jest już gotowa. Czy przed samą dostawą będzie pan mógł jeszcze zadzwonić?

– Niestety, nie – odpowiedział mężczyzna. – Proszę cierpliwie czekać – powiedział i przerwał połączenie.

Weronika usiadła na łóżku. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Twarz, którą widziała w szklanej tafli, ostatnio coraz mniej się jej podobała. Ale dziś nie miało to większego znaczenia. Starość nie radość, pomyślała.

Postanowiła, że jeszcze raz przeprowadzi inspekcję piwnicy. Szybko założyła szlafrok i wyszła z sypialni. Zeszła na dół do kuchni. Tam od rana krzątała się już pani Bronia Kolanko, prawdziwa szefowa interesu.

– Pani Broniu, dzień dobry – powiedziała Weronika, wchodząc do środka.

– Dzień dobry, pani Weroniczko kochana, jak się spało?

– Jak zwykle bardzo dobrze. Niech pani na razie nie robi kawy – poprosiła, widząc, że kobieta stawia czajnik na gazie. – Chciałabym zejść do piwnicy i zobaczyć, jak wygląda to pomieszczenie. Mąż się wczoraj szybko uwinął z tymi porządkami – uśmiechnęła się Weronika.

Marian Kolanko znał się na pracach remontowych. Potrafił naprawić dosłownie wszystko. Pomagał żonie w prowadzeniu domu Weroniki, zajmując się sprawami wymagającymi męskiej ręki. A że rękę miał jak z żelaza, wieczorami pracował też jako portier i wykidajło. Wczoraj Weronika poprosiła go, by zrobił porządek w jednym z piwnicznych pomieszczeń koło kotłowni. Ten niewielki pokój miał zabite deskami okienko i metalowe drzwi wyposażone w zamek z kluczem.

– A co miał się nie uwinąć – odpowiedziała kobieta. – Gratów tam dużo nie było. Największy problem miał z zamkiem, bo nieużywany był od lat, to i zardzewiał. Ale go

rozkreślił i chodzi jak złoto.

– No to pójde zobaczyć, jak to wygląda – powiedziała szefowa i ruszyła w stronę korytarza.

– Niech pani poczeka – zawołała za nią gospodyni. – Pójdźmy tam razem, bo se pani jeszcze jaką krzywdę zrobi w tej graciarni. A i na schodach trzeba uważać, bo tam stromo.

Schodząc po schodach, Weronika uświadomiła sobie nagle, że to już, że lada moment w jej piwnicy dokona się coś strasznego. Dotąd nie myślała o tym w taki sposób. Wydała już kupę pieniędzy i miała zapłacić jeszcze więcej za zamordowanie człowieka. Tylko czy na pewno „człowieka”, zastanawiała się. A może nie chodzi tu o zabicie człowieka, ale o rozdeptanie jakiegoś potwora. Bo czy ktoś taki, kto zabija dziewczynę i obcina jej głowę, zasługuje w ogóle na to, by myśleć o nim jak o człowieku? To nie człowiek, ale dzika bestia, która nie zasługuje na to żeby żyć, przekonywała samą siebie. Myślała też o tym, czy dobrze zrobiła polecając przywieźć go tutaj. Łatwiej i prościej byłoby kazać zabić go gdzieś daleko. Ale ona wiedziała, że musi najpierw dowiedzieć się, dlaczego do tego doszło. No i jeszcze jedno, musiała spojrzeć w oczy tej kanalii.

Pani Bronia, która szła pierwsza, stanęła przed solidnymi metalowymi drzwiami. Przekręciła klucz w zamku i zapaliła lampę wiszącą u sufitu. Pomieszczenie było bardzo małe. Jakies dwa na trzy metry. Przez niewielkie okienko, które kiedyś, zanim budynek podłączono do komunalnej kotłowni, służyło do wrzucania węgla, wpadało do środka trochę dziennego światła. Wewnątrz nie było żadnych sprzętów ani pólek. Zupełnie pusto.

– W porządku, pani Broniu. Niech pani podziękuje mężowi.

– Ady, za co tam dziękować. Zrobił swoje jak mu kazali i już.

Ani gospodyni, ani jej mąż nie zapytali nawet, do czego będzie potrzebna ta piwnica. No i dobrze, pomyślała Weronika, lepiej żeby żadne z nich nie wiedziało, o co w tym wszystkim chodzi. To tylko sprawa między mną a tym... – przez chwilę szukała w myślach odpowiedniego określenia... – robakiem.

Chorąży Olkiewicz pił już trzecie piwo z solidnego, szklanego kufła.

W barze piwnym przy Strzeleckiej czuł się jak u siebie w domu. Co prawda, w domu nie śmierdziało tak piwem, papierosami i przepoconymi ciuchami, ale to mu akurat nie przeszkadzało. Smród piwiarni był czymś tak naturalnym, jak zapach kwitnących wiosną kasztanów. Lubił tu zachodzić, kiedy tylko nadarzała się ku temu okazja. Zнали go wszyscy z obsługi, a także większość stałych bywalców. Czuł się tu szanowany, bo nawet największe miejscowe oprychy i łachudry bez szemrania robiły mu miejsce, gdy szedł do swojego stolika z piwem w ręce. Miał swój ulubiony stolik pod ścianą. Z tego miejsca mógł obserwować cały lokal. Zwykle, gdy było piwo, wszystkie miejsca w piwiarni były zajęte. Jednak nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś nie ustąpił mu krzesła. Wystarczyło, że podchodził do baru, a nawet przy największym tłoku jego stolik robił się nagle pusty.

– Ot, co znaczy szacunek dla władzy – myślał z dumą Teofil, siedząc przy swoim stoliku. W piwiarni była samoobsługa, ale Olkiewicz kupował przy barze tylko pierwsze piwo. Później barman, pan Czechu, dbał już o to, by milicjantowi nie zabrakło picia. Gdy kończył jeden kufel, natychmiast na stole przed nim pojawiał się następny. Oczywiście, była to usługa gratisowa.

Teofil spojrzał na zegarek. Była za pięć jedenasta. Wirski się spóźniał. Ale nie było obawy, że nie przyjdzie. Bardzo się ucieszył, gdy Olkiewicz rano zadzwonił do niego. Powiedział esbekowi, że ma dobre informacje i zaproponował spotkanie na Strzeleckiej. To było idealne miejsce na takie tajne spotkanie, myślał Teofil. Bo skoro wszyscy go tutaj znali, nikt nie będzie im przeszkadzał. No i poza tym nie od rzeczy był fakt, że można było się tu napić poznańskiego piwa.

Popijając złotawy płyn zastanawiał się, na co najlepiej wydać kolejną, zarobioną dziś studolarówkę, którą, jak miał nadzieję, przyniesie mu Wirski.

Wahał się. Czekał go trudny wybór. Od dłuższego czasu myślał już o kupnie nowego telewizora, bo jego czarno-biały beryl psuł się co chwilę. Można by go było sprzedać na części Stachowi Pałubie, który w jego kamienicy prowadził mały warsztatik RTV. Na pewno dałby parę złotych za grata, myślał Olkiewicz. W Peweksie można było kupić japońskie telewizory kolorowe, ale niestety drogie. Sprzedawali tam też polskie neptuny, znacznie tańsze. Na taki polski kolorowy telewizor na pewno wystarczyłoby tych dolarów, myślał Teofil. Istniała też inna możliwość. Mógł tę stowę przeznaczyć na drobniejsze zakupy, jak na przykład zagraniczne wódki i papierosy. Po chwili jednak odrzucił tę myśl. W końcu i tak te łyski i martełe kopią jak nasza gorzoła, doszedł do jedynie słusznego, jak mu się zdawało, wniosku. Pieprzyć te kolorowe wynalazki. Na wątrobę najłepsza nasza czysta.

Wirski w niczym dziś nie przypominał wczorajszego eleganta w garniturze. Dziś miał na sobie czarną koszulkę z krótkim rękawem, dżinsy i adidas. Na jego ramieniu kołysała się skórzana brązowa torba. Wyglądał jak zwykły facet, który wpadł tu na jedno piwo, przechodząc Strzelecką. Pewnie nosi tam gnata, pomyślał Olkiewicz, gdy zobaczył podchodzącego do stolika znajomego.

Wirski usiadł naprzeciw. Teoś skinął na barmana ręką i wskazał na kufel. Po chwili przed obu mężczyznami pojawiły się pełne kufle.

– Dawno tu nie byłem – Wirski rozejrzał się po sali. Przy wszystkich stolikach siedzieli mężczyźni o niezbyt ciekawych twarzach. Zajęci piciem piwa, grą w karty czy rozmowami prowadzonymi w dialekcie, który trudno by uznać za potoczną polszczyznę, nie zwracali najmniejszej uwagi na Olkiewicza i jego gościa.

– Ale widzę, że nic nie zmieniło się tu od lat. Ciągłe ta sama stara mordownia.

– No jak to nic? – uśmiechnął się Teofil. – Nie słyszysz, że teraz można zamoczyć mordę w bardziej kulturalnych warunkach? Bo Czechu wstawił tu radio.

Wirski spojrzał na bar. Rzeczywiście, na półce obok

wywieszki informującej, że Młodzieży do lat 18 i osobom nietrzeźwym alkoholu nie sprzedaje się, stał radioodbiornik jola. Dopiero teraz Wirski zorientował się, że poprzez barowy gwar przebija się piosenka zespołu „2+1”, ta o windzie do nieba.

– Rzeczywiście, teraz jak mi o tym powiedziałaś, to zauważyłem.

Kiedys śpiewali tu tylko najebani faceci, a dziś radio jola. Signum temporis.

– Że co? – nie zrozumiał Teoś.

– A nic – machnął ręką Wirski. – Powiedz lepiej, jak tam sprawy. Chorąży Olkiewicz kiwnął głową, co miało oznaczać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Potem sięgnął ręką do kieszeni marynarki, w której nosił portfel. Z jednej z przegródek wyjął poskładaną kartkę z zeszytu w kratkę. Podał ją Wirskiemu, a ten rozwinął i szybko przejrzał notatkę.

– Wszystko wskazuje na to, że jest to ten, którego szukamy. Zadowolony esbek schował kartkę do kieszeni.

– To Teoś, powiedz teraz wszystko po kolei.

Godz. 12.00

Sierżant Tomasz Kubiak był wściekły. Wszystko się w nim gotowało i najchętniej skoczyłby do gardła temu zapasionemu, uśmiechniętemu, zadowolonemu z siebie milicjantowi. Grubas siedział za swoim biurkiem i radośnie patrzył na Kubiaka. Odczuwał prawdziwą satysfakcję, ponieważ mógł utrzyć nosa tym cwaniaczkom z wojewódzkiej, a przy tym zdawał sobie sprawę, że tym razem ujdzie mu to bezkarnie. Doskonale wiedział, że stojący przed nim Kubiak, gdyby mógł, zabiłby go natychmiast, ale na szczęście nie mógł. Dzielili ich ogromna przepaść stopni służbowych. Jeden był podoficerem, a drugi oficerem. No i dlatego sierżant Kubiak mógł się denerwować, ile chciał, a kapitan Drewniak z komendy miejskiej mógł spokojnie mieć to w nosie.

– I co z tego – wyjaśniał sierżantowi kapitan – że mieliście

dostać ludzi. Ja to rozumiem. Do mnie nawet przyszło takie polecenie. No, ale co ja mam zrobić. Przecież ich nie urodzę! – uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa rzędy nierównych, pośliskłych od nikotyny zębów.

– Kapitan Marcinkowski przekazał mi informację, że mam otrzymać od was ludzi do przeprowadzenia inwigilacji osoby podejrzanej o dokonanie dwóch morderstw. Wiemy, gdzie może być facet, ale jak nam się ulotni, to będzie duży problem.

– No to będziecie mieć problem – zaśmiał się Drewniak. – Co ja mogę na to poradzić. Uwierzcie mi, naprawdę nic.

Kubiak postanowił rzucić na szalę ostateczny, najcięższy, jak mu się zdawało, argument.

– O ile wiem, śledztwem tym interesuje się komitet wojewódzki. Pułkownik Żyto informuje o wynikach bezpośrednio sekretarza Łukasika.

Przyklejony do twarzy kapitana uśmiech natychmiast zniknął. Nazwisko samego pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR zrobiło na nim odpowiednie wrażenie. Wstał zza biurka, założył ręce za plecy i podszedł do okna. Po przeciwnej stronie Placu Wolności, przed budynkiem PKO, patrol ZOMO legitymował jakiegoś chłopaka. Drewniaka nie zainteresował specjalnie ten zwyczajny na ulicach miasta widok, ale nasunął mu pewną myśl. Odwrócił się do Kubiaka z zafrasowaną miną.

– Tam na ulicy młodzi chłopcy z ZOMO pracują wskazał ruchem głowy na okno. – Mają pełne ręce roboty. A wiecie, dlaczego musieli wzmóc czujność?

Sierżant spojrział na niego jak na idiotę, ale nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

– Bo jak spojrzycie w kalendarz, to zobaczycie, że właśnie jest czerwiec. A to w dwunastomiesięcznym kalendarzu dla Poznania miesiąc najważniejszy. Zaczynają się Międzynarodowe Targi, a 28 czerwca przypada rocznica wypadków czerwcowych. Już do miasta zjeżdżają całe tłumy zagranicznych gości z drugiego obszaru płatniczego. Świat spogląda na nas oczami swoich przedstawicieli, a nierzadko i szpiegów. A to wszystko oznacza jedno, że solidarnościowa

ekstrema, która siedzi pochowana po jakichś norach, teraz podnosi swój reakcyjny łeb, bo ona chce się pokazać zagranicznym gościom, że jeszcze coś może.

Ale ona nic nie może. A nawet jakby mogła, to my musimy jej pomóc, żeby nie mogła. Rozumiecie?

– Ale co mnie obchodzi ekstrema, od tego jest SB, a ja mam swoje śledztwo i rozkazy z samej góry -jeszcze próbował walczyć Kubiak.

– Mówicie, rozkazy z samej góry – zaśmiał się Drewniak. – A ja wam mówię, że rozkazy dotyczące jakiegoś gównianego śledztwa są niczym wobec rozkazów dotyczących bezpieczeństwa całego kraju.

Służba Bezpieczeństwa ma pełne ręce roboty. Oni nie śpią po nocach tylko pracują. Urlopy odwołane mają, ich rodziny wkrótce same na wakacje pojadą, bo oni będą pracować. A my musimy ich wspomagać. Dlatego nasi ludzie od działań operacyjnych są cały czas w terenie i chodzą za takimi typami, za takimi wichrzycielami, jak Pałubicki, Dymarski, Frankiewicz, Nowacki i nawet za tym małym Zydorkiem też chodzą, żeby im coś głupiego do łbów nie strzeliło.

Zmęczony przemówieniem gruby Drewniak usiadł na swoim miejscu i nalał sobie do szklanki wody mineralnej z metalowego syfonu stojącego na stole.

– Więc jeśli możecie, to podejmijcie sami decyzję o zdjęciu parasola z któregoś z ekstremistów, bo ja, niestety, jestem na to za mały.

– Ja wszystko rozumiem, obywatelu kapitanie, ale ja mam rozkazy.

Dlatego ponawiam prośbę o przydzielenie mi sześciu ludzi, zgodnie z poleceniem z Komendy Wojewódzkiej.

Drewniak spojrzał na niego, jak nauczyciel na upartego i tępego ucznia, i uśmiechnął się krzywo.

– Widzę, że nic nie zrozumieliście z sytuacji politycznej, sierżancie.

– Za przeproszeniem, obywatelu kapitanie, w dupie mam sytuację polityczną. Szukam mordercy.

– No to powodzenia, szukajcie, w miarę możliwości

będziemy was wspomagać. Wpadnijcie na początku lipca, wtedy na pewno coś da się dla was zrobić.

Godz. 13.20

W całym mieszkaniu pachniało sosem pomidorowym i trochę spalenizną. Maciek kończył właśnie obiad. Skórką od chleba pracowicie czyścił brzegi garnka, pomazane czerwoną, sosopodobną substancją. Mimo soczyście czerwonego koloru i smaku pomidorowego, nie był to prawdziwy sos, jaki robią gospodynie domowe. Ten powstał w wielkim garze Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Pudliszkach, a prawdziwego jego składu nie znał nawet główny technolog przetwórci. Na pewno jednak podstawowymi komponentami były nadgniłe pomidory, marchew, mąka i lój, a proporcje mieszanki zależały od aktualnej kondycji firmy i jej mocy przerobowych. Cała ta breja poddawana była wielogodzinnej, termicznej obróbce, a później służyła do zalewania w słoikach pulpetów mięsno-warzywnych. Słoik takiego jedzenia, które w innych, bardziej cywilizowanych krajach nie spełniłoby norm karmy dla psów, Maciek kupił sobie w Becie. Wiedział, że nie zdąży już zjeść niczego w mieście. Nie umiał zupełnie gotować, dlatego dziś zdany był na łaskę pracowników Pudliszek. Otworzył słoik i wrzucił wszystko do garnka. Po paru minutach „pasza treściwa”, jak nazywał w myślach takie jedzenie, była gotowa, choć sos trochę przypalił się na brzegach garnka.

Jedzenie zajęło mu jakieś pięć minut. Dojadł jeszcze resztkę chleba pomoczonego w sosie i pusty garnek wstawił do zlewu.

Chyba będę musiał w końcu zabrać się do mycia naczyń, pomyślał, patrząc na stertę garów i talerzy zalegających od dłuższego czasu w dwóch komorach kuchennego zlewozmywaka. Na szczęście nie musiał tego robić natychmiast. Już chciał wyjść z domu, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć, tu Mariusz, pamiętasz? Wczoraj poznaliśmy się w Ciciborze. Ja w sprawie tych filmów, o których gadaliśmy.

– No, cześć – odpowiedział. – Pamiętam, jasne. Ale słuchaj,

teraz nie mam czasu, bo umówiłem się na spotkanie i zaraz spadam. Właśnie wyłażę z chaty. Dziś puszcza filmy w akademiku na Rocha. Jak chcesz, wpadnij tam, to jeszcze pogadamy.

– To świetnie, widziałem plakat, że seans będzie w DS sześć.

– No właśnie. Przyjdź do sali telewizyjnej w szóstce. Jak puszcze video, to wyjdę na korytarz. Tam się możemy spotkać.

– Jasne, no to nie przeszkadzam. Do zobaczenia wieczorem.

Maciek odłożył słuchawkę, zabrał klucze od trabanta i wyszedł z domu, przedtem starannie zamknawszy drzwi na wszystkie trzy zamki patentowe yeti.

Jego biały trabant combi stał na parkingu pod blokiem. Ze zdziwieniem zauważył, że tuż za jego autem, stał bokiem czerwony duży fiat. Samochód ustawiony był tak, że całkowicie uniemożliwiał mu wyjazd z parkingowej zatoczki. Maciek zaklął w myślach i szybko ruszył w stronę auta. Gdy podszedł bliżej, odetchnął z ulgą. Dostrzegł bowiem, że w środku fiata, za kierownicą siedzi jakiś facet. Z daleka nie było go widać, bo pochylony grzebał coś przy stacyjce.

Stanął przy drzwiach fiata i zapukał w okno. Mężczyzna w czarnej koszulce poderwał głowę i spojrzał na chłopaka. Miał w ręce pęk kabli ze stacyjki. Puścił przewody i uchylił drzwi.

– Co jest? – zapytał z uśmiechem.

– Przepraszam – powiedział Maciek – ale stanął pan tak, że nie mogę wyjechać. Mój trabant jest przyblokowany.

– Cholera, coś mi się stało ze stacyjką i nie mogę odpalić – wyjaśnił mężczyzna. – Zaraz przepchnę go dalej. Ale wie pan co – spojrzał na chłopaka, jakby właśnie wpadł na jakiś pomysł – może mógłby mi pan pomóc. Może by zaskoczył, jakby pan zwarł mi te kabelki, a ja bym spróbował przy rozruszniku.

Trelka spojrzał na zegarek, chcąc dać facetowi do zrozumienia, że się śpieszy, ale tamten nie dawał za wygraną.

– Tylko spróbujemy, a jak nie zaskoczy, to już go przepycham.

– No dobra – odpowiedział zrezygnowany – dwie minuty mnie nie zbawia.

– Świetnie! – ucieszył się pechowy kierowca. – Niech pan

siądzie tam obok i już pokazuje, co trzeba zrobić – dodał zadowolony. Maciek obszedł samochód dookoła, otworzył drzwi i wsiadł do auta.

– Niech pan zobaczy. Ja pójdę na zewnątrz do silnika i jak powiem „już”, to pan zepnie te dwa kable, o tak. Tu niżej, niech pan zobaczy pod deską rozdzielczą.

Chłopak nachylił się, spoglądając we wskazane miejsce. Zobaczył kable i nogi mężczyzny w prawdziwych adidasach, a później nagle wszystko wokół zawirowało. Poczuł, że leci w jakąś przepaść i w końcu zapadły kompletne ciemności.

Godz. 14.15

Gruby Rychu siedział przy służbowym stoliku piwiarni przy ulicy Wrocławskiej. Palił papierosa i powoli sącył piwo poznańskie nalane z lewego kranika. Pipa, z której lano tu piwo do kufla, miała dwa krany. Ten z prawej strony był dla wszystkich klientów, ten z lewej – dla wybranych. Różnica polegała na tym, że w jednej beczce było piwo chrzczone, czyli rozrabiane z wodą, a w drugiej normalne, bez domieszek. Dzięki temu prostemu zabiegowi, wystarczyło bowiem z każdej beczki odlać mniej więcej jedną piątą jej zawartości, personel baru uzyskiwał z każdych pięciu beczek jedną nową, za darmo.

– Skoro Chrystus potrafił zamienić wodę w wino, to dlaczego my nie możemy zamieniać jej na piwo? – lubił powtarzać pan Froncek, oczywiście tylko w towarzystwie zaufanych osób. Pieniądze w ten sposób zarobione szły prosto do kieszeni obsługi.

Beczka nierozrobionego piwa zaspokajała potrzeby ludzi ogólnie szanowanych, takich jak choćby Gruby Rychu, którym nie wypadało podawać rozcieńczonego napoju. Przydawała się też w razie niespodziewanej kontroli. Jeśli do baru wchodził któryś z kontrolerów jakości, barman natychmiast podawał mu właściwe piwo. Nie mogło być mowy o pomyłce, bo pan Froncek znał ich wszystkich od lat.

Dziś jak zwykle było tłoczno. O tej porze do stałych

biesiadników, którzy siedzieli tu od rana, dołączali ludzie pracy, robotnicy wracający z fabryk do domu.

Rycha nie obchodzili jednak robole. To nie byli dla niego ludzie godni uwagi. Stanowili jedynie tło dla jego biznesowej działalności, coś jak wystrój wewnętrzny miejsca, w którym pracował.

Do baru powoli zaczynali się schodzić jego ludzie, rozstawieni w różnych częściach miasta pod Peweksami. Przynosili przedpołudniowy utarg, oddawali grubsze sumy, z którymi niebezpiecznie było stać na ulicy, i odbierali od szefa polską gotówkę. Znosili też Rychowi inny bezcenny towar. Informacje i plotki o tym, co ciekawego dzieje się w mieście.

Dziś panował duży ruch w interesie. Co chwilę do stolika Rycha dosiadał się któryś z jego ludzi. Tak było zawsze przed targami. Goście zagraniczni przyjeżdżający do Poznania na potęgę zaopatrywali się w złotówki, jednak nie kupowali ich w banku. Woleli robić to u cinkciarzy, bo ci oferowali znacznie korzystniejszy kurs niż oficjalne 155 złotych za dolara.

Od stolika wstał właśnie Hrabia, stary szpakowaty cinkciarz, który dorobił się tej ksywki dzięki doskonale dopasowanym garniturom i manierom przypominającym przedwojennego arystokratę. Należał do walutowej elity. Poza tym perfekcyjnie znał angielski, dlatego często prowadził najbardziej skomplikowane transakcje. Aura, jaką roztaczał wokół siebie, sprawiała, że ludzie rozmawiający z nim często czuli się onieśmieleni jego sposobem bycia. Rychu nawet zastanawiał się, czy Hrabia nie jest czasami prawdziwym arystokratą, który tylko przypadkiem nie wpadł w komunistyczną maszynkę do mielenia reliktyw przeszłości. Co prawda, nigdy ani słowem nie wspomniał o swoim pochodzeniu, ale nigdy też nie ukrywał swej szczerej nienawiści do komunistów. Często powtarzał, że w kraju rządzonym przez bolszewików porządny człowiek nie może hańbić się pracą dla nich. Dlatego też od lat pracował na własny rachunek, tylko i wyłącznie dla siebie.

Wolne hrabiowskie krzesło naprzeciw Grubego Rycha zajął natychmiast Mały, trzydziestoparoletni łysiejący facet w dżinsach i dżinsowej koszuli. Bez słowa podał Rychowi

grubąkopertę wypełnioną zagranicznymi pieniędzmi.

– I co słyhać ciekawego, Mały? – zapytał Gruby od niechcienia, chowając kopertę do niewielkiej skórzanej torby wiszącej na oparciu krzesła.

– Ruch jak na pierwszego maja, tak zapierdalamy, że nie ma czasu tacek załadować.

– A szkieły się kręcą?

– Ani widu, ani słyhu. Przyczepiają ogony do solidarnościowych tyłków, to gdzie im tam myśleć o nas, biednych misiach. Mam za to informację z pierwszej ręki. Myślę, że może być ciekawa.

Rychu przybliżył się trochę do Małego.

– Nadawaj, zamieniam się w słuch.

– Ruda Weronika, szefowa burdelu z Kaliskiej, przygotowała w swojej piwnicy pokój operacyjny.

– Kogo chce tam zoperować? – zainteresował się Rychu.

– Faceta, który odrąbał łeb jej Sandrze.

– Wie, kto to zrobił?

– Jeszcze nie, ale sprawę załatwia były ubek, Wirski.

– No to klient wypatroszy tego łowcę głów jak karpia.

Rychu wyprostował się na krześle i skinął na pana Froncka, by nalał kolejne piwo. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, a potem spojrzał na Małego.

– Widzę, że masz dobre dojście – pochwalił swojego współpracownika. – Możesz dowiedzieć się, kiedy będzie dostawa towaru?

– Zrobi się, panie kierowniku – powiedział, Mały, wstając od stolika.

Pan Froncek bez słowa, za to z usługnym uśmiechem, postawił przed Grubym Rychem kolejne piwo. Oczywiście, to nalewane z lewego kranika.

Godz. 14.40

– Pani Marzenko, pójdzie pani na szóstkę? Tam jest jakiś zalany klient. Ten cham próbował mnie klepnąć w tyłek, ale mu

ucieklam.

Pani wie, jak z takimi gnojami postępować, a ja... No przecież nie będę się z nim bić. Młoda kelnerka spojrzała błagalnie na Marzenę, która siedziała przy stoliku na zapleczu restauracji i piła kawę.

Nie miała innego wyjścia, musiała pomóc mniej doświadczonej koleżance.

– Jak wygląda rachunek, zapłacił już? – spytała rzeczowo.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszonki fartuszek z białym blokiem zamówień. Wydarła jedną kartkę i podała koleżance.

– Zamówił golonkę z ziemniakami i kapustą, trzy piwa i cztery setki wódki. Chciałam, żeby zapłacił, a on chciał jeszcze setkę, no i wtedy mnie zaczął łapać – wyjaśniła dziewczyna.

– Już ja go zaraz złapię, nic się nie przejmuj – uspokoiła dziewczynę.

Zdecydowanym krokiem przeszła przez salę restauracyjną i stanęła przed klientem siedzącym przy stoliku pod oknem. Łysiejący mężczyzna po czterdziestce w białej, pomiętej koszuli i rozpiętym pod szyją krawacie. Pewnie jakiś dyrektorzyzna, oceniała go fachowym okiem Marzena. Widząc podchodzącą kelnerkę, uśmiechnął się szeroko.

– Pani jest tu kierowniczką? – zapytał bełkotliwie.

Od razu dało się zauważyć, że wkłada całą siłę woli, by jego wypowiedź zabrzmiała jak najbardziej trzeźwo.

– Całe szczęście, że pani przyszła, bo ta młoda nie chciała mnie obsłużyć. Zamówiłem jeszcze seteczkę, a ta siksa powiedziała, że mam zapłacić. A ja chcę się jeszcze napić i szlus.

Marzena wyciągnęła rachunek i położyła na stole.

– Trzy piwa – 327 złotych plus cztery setki wódki – 400 złotych, golonka z ziemniakami i kapustą – 350 złotych, razem płaci pan -1077 złotych.

– Zaraz, ale chyba mnie nie zrozumiałaś, kochana. Najpierw jeszcze setka i płacę. Ty chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia. Wyobraź sobie, że jestem dyrektorem PSS Społem. Rozumiesz, kotku.

A teraz spierdalaj stąd i podaj gorzołę. A jak ci się coś nie

podoba, to dawaj książkę skarg i zażaleń, zrobię wam taki wpis, że mnie jeszcze długo popamiętacie.

Marzena oparła się o blat stołu i nachyliła w stronę klienta.

– Słuchaj, zapijaczony penerze, dyrektorem to może jesteś w swojej firmie, ale tu jesteś tylko zalanym, obślizgłym i jeszcze do tego chamskim klientem. Płać i won stąd, bo jak nie, to tak ci wymodeluję facjatę, że cię matka rodzona nie pozna. Pieniądze na stół i won, gnoju.

A książką to ci mogę najwyżej w pysk zajechać, bo i tak pewnie pisać nie umiesz.

Facet zrobił się czerwony jak burak. Już chciał się poderwać na równe nogi i skoczyć w stronę kelnerki, gdy wtem ciężka ręka opadła na jego ramię i przygwoździła go do krzesła.

– Ta pani grzecznie prosi o odrobinę kultury, kolego. Poproszę więc o uregulowanie rachunku i opuszczenie lokalu – wyszczał mu do ucha szczupły rudzielec, który wyrósł nagle jak spod ziemi.

– To napad! – krzyknął dyrektor. – Ja zawołam milicję.

– Proszę bardzo – zaśmiał się mężczyzna, puszczając dyrektorskie ramię. – Nie musisz daleko szukać, kolego. Ja jestem milicja – powiedział porucznik Brodziak, rozkładając przed oczyma pijaka swoją podłużną legitymację w plastikowej obwolucie. – Jak chcesz, mogę wezwać patrol i chłopcy zaraz zawiozą cię na izbę wytrzeźwień w twarzowym kaftanie.

Dyrektor PSS Społem już bez słowa sięgnął do portfela i wydobył pieniądze. Marzena szybko wydała mu resztę.

Gdy przetaczał się chwiejnym krokiem przez salę, mruczając coś pod nosem o książce skarg i zażaleń, dziewczyna spojrzała na Brodziaka.

– I co się wtrącasz, głupku. Sama bym se poradziła.

Mirek zrobił niewinną minę, jak chłopak przyłapany na podkradaniu jabłek.

– Jak byś se mogła poradzić, to daj dwie fajne golony, bo zaraz wpadnie tu jeszcze Fred. Umieramy z głodu, kotku.

Zawsze ją rozbierał tarniną. Uśmiechnęła się, potargała go lekko po rudej grzywie i poszła w kierunku kuchni.

Godz. 15.30

Maciej Trelka otworzył oczy. Poczuł rozsadzający czaszkę ból i suchość w ustach. Gdy wzrok przyzwyczaił się już do ciemności, zorientował się, że jest w jakimś paskudnym, małym pomieszczeniu.

Chciał się podnieść, ale okazało się, że nie może poruszyć ani rękami, ani nogami. Powoli zaczął przypominać sobie, co się właściwie wydarzyło. Pamiętał, że rozmawiał z jakimś facetem przy samochodzie.

Ten chciał, by mu pomógł. Zapamiętał też, że wsiadał do dużego fiata, a później kompletna pustka.

Może zasłabłem, myślał chłopak, uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność. No tak, ale jakbym zasłabł, to chyba ten facet albo jacyś inni ludzie wezwaliby pogotowie. A wtedy byłbym w szpitalu, a nie tu. No właśnie, tu, to znaczy gdzie? Jeszcze raz rozejrzał się wokół. Ciemne pomieszczenie, szare, brudne ściany i gdzieś w górze nad głowajakiś okienko. Przez nie sączyła się do środka odrobina światła. Nie na tyle jednak dużo, by rozświecić mrok. W powietrzu unosił się ten charakterystyczny dla wszystkich starych piwnic zapach kocich szczyń, mysich kup i węglowego pyłu, który przez lata wgryzał się w każdy najdrobniejszy nawet kąt piwnicy.

Spróbował się obrócić, bo czuł, że bok na którym leżał, jest już całkowicie zdrętwiały. Napiął wszystkie mięśnie i udało się. Leżał teraz na plecach, ale dalej czuł, że nie w pełni panuje nad swoimi kończynami.

Pomyślał, że to efekt zasłabnięcia i teraz jest częściowo sparaliżowany. Po jakimś czasie jednak poczuł, że krew zaczyna mu żywiej krążyć.

W dłoniach poczuł ciepło i mógł już poruszać rękoma i nogami. Ostrożnie, z wielkim trudem oparł się na podkurczonej ręce, a później, podpierając się dłonią o posadzkę, usiadł. Plecy oparł o ścianę. Czuł, że powoli wracają mu siły.

Gdzie ja, do cholery, jestem, zaczął zastanawiać się

gorączkowo.

O co tu, do kurwy nędzy, chodzi. Ktoś zamknął mnie w jakiejś piwnicy.

Tylko dlaczego i po co? Jak w ogóle tu się znalazłem, myślał, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

Po jakimś kwadransie siedzenia na podłodze poczuł się już na tyle dobrze, że spróbował wstać. Udało mu się od razu. Zrobił parę drobnych kroczków i znalazł się tuż przy niewielkim okienku. Okazało się, że było zabite dechami od zewnątrz. Tylko dzięki niechlujności majstra, który byle jak poprzybijał deski, do środka wpadało nieco światła. Przysunął się jak najbliżej otworu. Z zewnątrz dobiegał jednostajny warkot jeżdżących samochodów.

Jestem gdzieś niedaleko ulicy, pomyślał, tylko co ja tu, kurwa, robię?

Odwrócił się od okna i ruszył w kierunku drzwi. Tak jak się spodziewał, były zamknięte. Już chciał zacząć w nie łomotać, by sprowadzić jakąś pomoc. Podniesione pięści zatrzymały się jednak w pół drogi.

Jak zacznę pukać, to przyjdzie tu nie pomoc, ale ktoś, kto zamknął mnie w tej norze, rozważał chłopak. Ktoś, kto raczej nie ma wobec mnie dobrych zamiarów. Najlepiej więc będzie poczekać spokojnie i przekonać się, o co chodzi. Usiadł na podłodze, dokładnie w tym miejscu, w którym się ocknął, a po chwili położył się w takiej pozycji, w jakiej go tu pozostawiono.

W głowie świtał mu już pewien pomysł.

Godz. 16.35

– Jak ty możesz wpieprzać tę tłustą skórę? – nie mógł się nadziwić Fred, patrząc na przyjaciela, który z zapalem pochłaniał golonkę.

– A co, miałem zostawić dla ciebie? To właśnie ta delikatna skóra z tłuszczkiem jest najlepsza. Bez niej nie byłoby prawdziwej golonki. Marcinkowski popatrzył na swój talerz, na którym zalegały zwały tłuszczu starannie oddzielonego od

mięsa, i zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że mógłby przełknąć choć kęs tego nieapetycznego paskudztwa.

– Wiesz jaka jest między nami różnica? – zapytał go Brodziak, patrząc na niego z iskierką rozbawienia w oczach. – To kwestia wychowania. Ja zawsze musiałem walczyć o każdy kęs jedzenia, a ty, grzeczny chłopiec z Sołacza, wzorowy uczeń Marcinka³, zawsze dostawałeś do buźki najlepsze kąski. W czasie, kiedy ty wybrzydzałeś, ja musiałem się nawpieprzać czym popadło, bo później mogło już nic nie być. Ergo – czy kłak, czy wełna, byle dupa pełna.

– Ale jeśli chodzi o gorzołę, to już chyba nie jestem tak wybredny?

– zapytał Fred, uśmiechając się szeroko ubawiony żartem Mirka.

– No i całe twoje szczęście, bo gdybyś jeszcze tu był takim francuskim pieskiem, to jak Boga kocham nie piłbym z tobą.

– To wypijmy w takim razie – zaproponował Marcinkowski, podnosząc do góry oszroniony kieliszek z wódką gastronomiczną.

Wypili. Fred jeszcze przez chwilę patrzył, jak Mirek dokładnie czyści swój talerz. Po chwili nie było już na nim nic prócz obranej dokładnie kości. Przypomniiał sobie, że wuja Stefan, jego chrestny ojciec, z równym zapałem wyлизywał do czysta kość od golonki. Takie danie pojawiała się w jego rodzinnym domu zawsze w święta wielkanocne. Kilka dni wcześniej mama razem z ciotką Janką szykowały obszerne torby i walizki. Rano pakowały je z pomocą wuja Stefana do bagażnika jego wielkiej niebieskiej warszawy. Jechali we troje aż za Szamotuły. Tam, we wsi o bajkowej nazwie Gaj Mały, w zaprzyjaźnionym gospodarstwie chowano na zamówienie mamy świąteczną, lewą świnię. Świnia była lewa, bo nieobjęta państwową kontraktacją. Zabijał ją znajomy rzeźnik. Poćwiartowane, oporządzone mięso trafiało do toreb, a później do bagażnika wujowej warszawy. Przy ogromnym stole w jadalni zbierała się w czasie świąt cała rodzina. W sumie jakieś

³ Marcinek – elitarnie I Liceum Ogólnokształcące im. Karola Marcinkowskiego

dwadzieścia osób. Inteligencka rodzina z tradycjami, a ten wuja Stefan, przedwojenny adwokat, żarł golonkę zupełnie tak jak Miras.

Brodziak wytarł usta papierową serwetką i odstawił talerz na brzeg stołu. Popił posiłek piwem i zadowolony spojrzał na Freda.

– Powiem ci, że im więcej o tym myślę, tym mam większe wątpliwości.

– Jakie wątpliwości? obudził się Marcinkowski.

– Chodzi o tego chłopaka. On mi nie wygląda na zbokola. Poza tym wydaje mi się, że wymyśliliśmy sobie teorię i na siłę dopasowujemy do niej rzeczywistość.

– Dobra. Zróbmy szybką analizę. Dwie dziewczyny zabite. Zakładamy, że takich morderstw dokonać mógł ktoś, kto jest odpowiednio zainspirowany. W naszej czarno-białej rzeczywistości inspiracją mogłyby być filmy video, bo na zdrowy rozum – co innego? Bo chyba nie filmy o7 zgłoś się z porucznikiem Borewiczem. Znajdujemy gościa, który interesuje się takimi filmami. Okazuje się, że klient jest z jedną z dziewczyn na roku i znają się. Co robimy? Nic. Puszczamy w ruch dyskretną i niedyskretną obserwację. Dyskretny ogon i niedyskretny Teoś. Czekamy na efekt. No i zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie.

– A co z twoim skarabeuszem? – zapytał Mirek.

– No, kurwa, nie wiem i to mnie właśnie martwi.

Godz. 16.30

– Ja to tej kielbasy z nutrów za nic bym do gęby nie wzięła! Pani, taki nuter to jak wyrośnięty szczur wygląda. A szczurze mięso to jest niejadalne chyba, nie? No to na samą myśl, że te nutry jak szczury, to mi się robi niedobrze, bo ja, pani, jestem obrzydliwa jak nic.

– No właśnie, to ja też tej Janiakowej mówię, pani, w życiu nie kupię takiej kielbasy. Po co oni takie coś do sklepu dają? Że niby jakieś zaopatrzenie jest bez kartek? Bo co innego konina.

Koninę mogliby dawać. To z czystego konika, to jak najbardziej, kabanosa, czy taką jak myśliwska podsuszana. Ja tam często do tej jatki koło Starego Rynku na Wodnej zaglądam. Tam, jak się idzie na plac Kolegiacki. Bo naprzeciwko, w tym kiosku na narożniku z Garbarami, jak kupuję kurczaki, to idę se zobaczyć, czy czego ciekawego z tej koniny nie idzie dostać. Ale z nutrii... nigdy w życiu. A widziała pani sąsiadka, jakie one mają te zęby żółte i takie wielkie. Ponoć wystarczy im palec dać do powąchania i zaraz taki ciachnie jednym kłapnięciem paszczy. No i palec zeżarty. Tfu, paskudztwo i już.

– Święta racja, pani Kaczmarkowa, święta racja – powiedziała Kazia Grzybowska i odkroiła jeszcze po kawałku śląskiej kupionej przed godziną w sklepie rzeźnickim.

– Pani się nie przejmuj, niech pani skosztuje jeszcze. Całe trzy kilo mi sprzedali, to i nie ubędzie, jak po kawałku zjemy.

Kobiety siedziały przy stole w kuchni mieszkania na drugim piętrze. Właścicielka, pani Grzybowska, zaprosiła po udanych zakupach znajomą z kolejki, do siebie na kawę. Woda już grzała się w czajniku, a na kredensie stały dwie szklanki ze świeżo zmieloną kawą orient. Wtedy właśnie zabrzączał dzwonek. Gospodyni poderwała się z krzesła i podeszła do drzwi. Otworzyła.

Na progu stał niewysoki, uśmiechnięty mężczyzna w szarym znoszonym garniturze.

– No – powiedziała właścicielka mieszkania.

– No co? Nie mówi się „no”, chyba że „no proszę”.

– Co proszę?

– Proszę wejść, panie władzo! – powiedział chorąży Olkiewicz i minawszy zdziwioną kobietę, wtoczył się do mieszkania. Natychmiast znalazł drogę do kuchni. Za stołem przykrytym ceratąw niebiesko-białąkratę siedziała Kaczmarkowa i w pośpiechu pochłaniała spory kawałek kielbasy śląskiej.

– Smacznego! – powiedział uśmiechnięty milicjant i usiadł na krześle naprzeciw kobiety.

– Niech pani siada, pani Grzybowska – wskazał właścicielce

mieszkania trzecie, wolne krzesło, na którym ta zaraz usiadła.

– A pani kto jest? – zapytał Olkiewicz.

– Genowefa Kaczmarkowa – przedstawiła się. – Jestem sąsiadka z czwartego piętra – dodała pośpiesznie.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze – ucieszył się chorąży. – Bo widzicie, panie, ja tu w służbowej kwestii, znaczy się w sprawie niejakiego... – tu spojrzał do notatnika, który przed chwilą rozłożył na stole. – Niejakiego Trelki Macieja, który mieszka pod piątym. Znaczy się naprzeciwnie pani, obywatelko Grzybowska.

– Jezus Maria, a co się stało? – zapytała.

– To właśnie chciałbym wiedzieć, a panie możecie mi pomóc. Musimy wiedzieć o tym chłopaku wszystko. Dlatego zapytam, co o nim wiecie?

Niebieski, emaliowany czajnik zaczął syczeć i zaraz potem para z gotującej się wody poleciała w gwizdek.

– Kawy się pan napije? – zapytała, wstając od stołu gospodyni.

– Ja tam kawy nie piję – oznajmił Teofil.

Miał nadzieję, że kobieta się zorientuje, że skoro kawy nie, to może coś innego, mocniejszego. Ale nie zorientowała się. Nalała do dwóch szklanek i zaparzone kawy postawiła na stole.

Sąsiadka Kaczmarkowa widać zebrała się na odwagę, bo zaczęła pierwsza.

– Ja od razu wiedziałam, że coś z nim nie tak. Późno z domu wychodził, po nocy wracał, a czasami to po kilka dni go nie było. A samochód to stał wtedy pod blokiem, to pewnie pociągami wyjeżdżał.

Olkiewicz spojrzał na nią, niby uważnie, ale nie bardzo chciało mu się słuchać, co ona ma do powiedzenia. Zastanawiał, się co ciekawego gospodyni może mieć schowanego w barku. Odczekał chwilę i dał się jeszcze wygadać Kaczmarkowej. Gdy kobieta skończyła, spojrzał na Grzybowską.

– Ja kawy nie piję, ale coś mocniejszego, to i owszem – powiedział z uśmiechem, choć dało się słyszeć wyraźną irytację w jego głosie.

– No, skoro pan oficer już do nas zaszedł, to możemy chyba po kieliszeczku wypić, co, pani sąsiadko? Po małym. – Kaczmarkowa od razu skinęła głową, chcąc utwierdzić sąsiadkę w jej decyzji.

– W końcu dlaczego nie wypić, jak jest ważna okazja – dodała pani Genowefa.

Grzybowska znów wstała, otworzyła białą szafkę wiszącą nad zlewem i wyjęła trzy kieliszki. Olkiewicz krytycznym spojrzeniem specjalisty zlustrował mikroskopijne naczynia i postanowił, że czas już się stąd ewakuować. W przekonaniu tym utwierdził się ostatecznie, gdy zobaczył, że z drugiej szafki gospodyni wydobywa butelkę wypełnioną żółtą cieczą.

– A w zeszłym roku ten Trelka to co i rusz jeździł za granicę do Niemców – powiedziała Grzybowska, nalewając ajerkoniak do kieliszków.

Niemcy? – coś mu się nagle przypomniało. Ruda Weronka mówiła, że ta jej Sandra przyjechała z Niemiec. Jasna cholera, on jeździł do Niemiec, a ona tam mieszkała. Jest ślad jak nic, ucieszył się Teoś. Znaczy się, że z jedną zabitą chodził do szkoły, a drugą poznał w Niemczech.

Uradowany, szybko opróżnił swój kieliszek, nie zwracając uwagi na słodki, okropny smak wódki na jajkach. Wierzchem dłoni otarł usta i wstał od stołu.

– A do których Niemców jeździł, do NRD czy zachodnich? – zapytał dla porządku milicjant.

– Diabli wiedzą, panie kapitanie – odpowiedziała Kaczmarkowa.

Trabanta ma z NRD, ale pewnie jeździł na Zachód, bo się sprzętu wyświetlającego dorobił. Tacy to se jeżdżą, a tu człowiek musi harować jak wół. I niech pan powie, gdzie tu sprawiedliwość?

– Sprawiedliwość to będzie na sądzie ostatecznym, pani Grzybowska, albo jak zwycięży socjalizm – zaśmiał się głośno Teofil Olkiewicz.

– No, tośmy są w dupie – zawyrokowała Genowefa Kaczmarek, odgryzając kolejny kęs kielbasy.

ROZDZIAŁ IX

Godz. 17.15

Lekki wietrzyk zmarszczył powierzchnię wody leniwie przesuwającej się, ciemnej rzeki. Gęsty las na drugim brzegu oświeślały ostre promienie słońca, które usadowiło się już na zachodniej stronie nieba, oblewając blaskiem korony i pnie sosen, świerków i dębów.

Druga, zaciéniona strona podkreślała tylko wyrazistość pierwszej, budując gęstym, ciężkim światłocieniem najwymyślniejsze drzewne kształty. Gdy patrzy się o tej porze na iglaste gałęzie ze znacznej odległości, wydaje się, że można dostrzec nawet pojedyncze igielki. Rześkie nadrzeczne powietrze i ostry słoneczny blask działając jak soczewka wyostrajająca szczegóły. Wszystko dzięki złudzeniu optycznemu.

Wiechu Klemasa nie miał żadnych złudzeń. Patrzył na te drzewa, ale nie widział żadnych szczegółów. W ogóle to w tej chwili mało co widział. Próbował skupić wzrok na starej wierzbie, która pochylała się nad wodą, ale im mocniej patrzył, tym bardziej gruby pień rozjeżdżał się i rozdwajał.

Ciekawe, pomyślał Wiechu -jak to jest, że drzewa i wszystko widzę podwójnie, a butelka cały czas jest jedna.

Z pojedynczej butelki pociągnął jeden, za to spory łyk wina owocowego. Z żółtej nalepki można się było dowiedzieć, że wino nazywa się „Wino”, a drobne literki u dołu informowały, zawartość SO_2 do 200 mg. Jaból, bo tak powszechnie nazywano wino wytwarzane ze sfermentowanych jabłek i spirytusu z ziemniaków, był ulubionym napojem całych rzesz pijaków. Jego niewątpliwą i najważniejszą zaletę stanowiła niska cena, bo o walorach smakowych lepiej nie mówić. Litrowa butelka kosztowała nieco mniej niż dwa piwa

poznańskie.

Wiechu, nigdzie niepracujący mieszkaniec Puszczykowa, kończył właśnie piątą butelkę wina. Czuł, że chyba na razie ma już dość i w związku z podwójnym widzeniem raczej trzeba będzie się troszeczkę przespać.

Jego kolega, Marych Frąckowiak, już pół godziny temu przewrócił się na plecy i zasnął natychmiast w miejscu, w którym pili, czyli na trawie. Donośne chrapanie śpiącego niesło się po wodzie, zagłuszając śpiew ptaków i cykanie świerszczy.

Wiechu chciał się już położyć, ale spojrzał na butelkę i żał mu się zrobiło resztki wina. Pomyślał, że Marych może obudzić się wcześniej i dopić to, co zostało. Nie było więc innego wyjścia. Słynna wielkopolska sumienność nakazywała robić wszystko jak najlepiej i najdokładniej. Dlatego wypił wszystko do ostatniej kropli, a butelkę, żeby nie śmiecić, rzucił w stronę nadbrzeżnych szuwarów.

Fłaszka wpadła w zarośla, jednak nie było chlupnięcia, którego się spodziewał, ale jakieś dziwne, głuche pacnięcie. Dźwięk był na tyle niespodziewany, że pijany mężczyzna zainteresował się jego przyczyną. Wstał z trawy i zataczając się, ruszył w kierunku brzegu. Po drodze podniósł z ziemi solidny kij i tak uzbrojony podszedł do zarośli. W miejscu, gdzie, jak mu się zdawało, wylądowała butelka, rozchylił szuwały patykiem. Od razu zobaczył brązową flaszkę po jabolu. Rzeczywiście nie wpadła do wody, więc nie mogło być żadnego chlupnięcia. Butelka wylądowała na gołych, sinobladych plecach kogoś, kto leżał zanurzony w wodzie.

Wiechu dźgnął plecy końcem kija i już wiedział z czym ma do czynienia.

– Topielec, kurwa – wyszeptał do siebie pobladły i nieco otrzeźwiałły mężczyzna. Trzeba obudzić Marycha, pomyślał i poszedł w stronę, skąd dobiegało dźwięczne chrapanie.

Usiadł na trawie obok śpiącego kolegi i szturchnął go w głowę. Żadnej reakcji. Złapał go więc za ramię i zaczął tarmosić w tę i z powrotem.

– Łee łee, tej puszczaj, no puszczaj, mówię – stękał Marych wyrwany ze snu, a ręką opędzał się jak od natrętnej pszczoły.

-Wstawaj, łachudro, ino migusiem, bo Warta się poli.
- O co chodzi? – wyjęczał już trochę rozbudzony.
- O co chodzi, o paczkę młodzi. Wstawaj, bo trzeba nam władze zawiadomić. Topielec w wodzie siedzi, nieżywy jak nic.
- A skąd niby wiadomo, że nieżywy, he? – zapytał oprzytomniały już całkowicie Marych.
- Bo jak ktoś pod wodą leży, że tylko plecy mu wystają, sine jak twój kinol, to chyba nie żyje, co? Leć ino na posterunek, a ja tu będę pilnował. No, co się jeszcze gapisz, fruwać w podskokach, bo jak nie zameldujemy, to będzie na nas.
Chcąc nie chcąc Marych podniósł się na równe nogi, wepchnął koszulę w portki i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku centrum Puszczykowa.
Wiechu popatrzył za odchodzącym i ze zdziwieniem stwierdził, że widzi już pojedynczo.

Godz. 17.55

- Ja go, kurwa, zapierdołę jak psa! – pieklił się przewodniczący rady osiedla studenckiego Wojtek Gromadziński. – Za pięć minut będzie początek seansu, na sali prawie czterdziestu ludzi, a tego kutasa nie ma.
- Spokojnie, panie Wojtku – łagodził portier, pan Romek. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie wyświetlił filmów, no nie? Diabli wiedzą, co się stało. Może chłopak miał wypadek.
- Lepiej dla niego by było, żeby to wypadek był, bo inaczej zabiję jak psa.
Obaj mężczyźni stali na schodach przed wejściem do akademika nr 6 przy ulicy św. Rocha. Spoglądali w uliczkę, na której końcu znajdowała się stołówka studencka. To właśnie stamtąd zazwyczaj nadjeżdżał biały trabant Maćka Trelki, winowajcy całego dzisiejszego zmieszania.
Wojtek popatrzył na zegarek i podjął decyzję.
- Daję mu jeszcze parę minut i odwołuję seans – zdecydował. – Tylko jak ja tym ludziom spojrzę w oczy?
- Powiedz pan, że bilety zachowują ważność.

– Jakie bilety, nie sprzedaliśmy ani jednego, wszystko szło prosto do kasy, bez niepotrzebnych papierów. Teraz ludożerka będzie musiała dostać forszę z powrotem do łapy.

Mariusz Blaszkowski siedział w fotelu w holu akademika. Z niepokojem patrzył na oszklone drzwi, ozdobione afiszem informującym o dzisiejszym seansie. Widział, że sala telewizyjna jest pełna ludzi. Kilka osób stało na zewnątrz i paliło papierosy. Organizator seansu razem z portierem stali na schodach. Mariusz domyślił się, że musiało się stać coś nieprzewidzianego. Wstał z fotela i podszedł do dwóch chłopaków rozmawiających koło popielniczki ustawionej tuż przy drzwiach sali telewizyjnej.

– Nie wiecie panowie, co się dzieje? Będzie to kino, czy nie?

– A cholera ich wie – odpowiedział wyższy z wąsem porudziałym od nikotyny. – Nie ma jeszcze tego klienta od filmów. Jak zaraz nie przyjedzie, to niech oddają kasę i na drzewo z taką zabawą. Mogłem, kurza twarz, iść do Apolla na tego ET, to mi się taniego kina zachciało...

– Spokojnie, chłopie, bez gorączki, poczekamy jeszcze parę minut, a jak nici z tego będą to idziemy na piweczko. Nie ma kina, jest melina!

– pocieszył wąsacza jego kolega.

Dziesięć minut po osiemnastej Wojtek Gromadziński podjął decyzję. Pewnym krokiem wmaszerował do salki telewizyjnej. Stał na środku i ogłosił:

– Bardzo mi przykro, ale właściciel kina objazdowego stłenił się i niestety do seansu dziś już nie dojdzie. Jak tylko się pojawi, obiecuję obić mu mordę za wprowadzenie zamieszania. A was wszystkich w imieniu Zsypu, czyli głównego organizatora imprezy, przepraszam. Kasa zwraca kasę.

Uczestnicy niedoszedłego seansu bez szemrania przyjęli to oświadczenie, zdając sobie sprawę, że za gradobicie i wypadki losowe klub nie może ponosić odpowiedzialności. Stanęli grzecznie w kolejce po pieniądze, które oddawał kasjer.

Mariusz podbiegł do Gromadzińskiego wychodzącego z sali.

– Słuchaj – zaczął. – Miałem się tu spotkać z Maćkiem, dziś rozmawiałem z nim przez telefon. On na sto procent miał tu

być. Nie dzwonił? Nie zostawił jakiegś wiadomości?

Student popatrzył na niego zdziwiony, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie dał najmniejszego znaku życia, a to oznacza, że jest zwyczajnym gówniarzem. Jakbyś się przypadkiem z nim spotkał, to powiedz gnojowi, że za ten numer nakładam szlaban na jego kino na Poligrodzie. Chyba że ma szczęście i się okaże, że leży w szpitalu. Powiedz mu, że innych usprawiedliwień nie przyjmuję.

Godz. 18.25

Sierżant Tomasz Kubiak siedział w nieoznakowanym milicyjnym fiacie i jadł kanapkę z konserwą turystyczną. Miejsce kierowcy zajmował Grzesiek Kowal. On również jadł chleb, ale z salcesonem. Zapach wędlin wypełniał wnętrze całego auta.

– Grzechu, otwórz też swoje okno – powiedział sierżant, opuszczając szybę ze swojej strony. – Bo śmierdzi tu jak u rzeźnika. Plutonowy Kowal odłożył kanapkę na deskę rozdzielczą i obrócił się w stronę okna, by chwycić za klamkę. Jednak był za wielki do tak delikatnej operacji. Z ledwością mieścił się na miejscu kierowcy w dużym fiacie. Dlatego po pierwszej nieudanej próbie złapał niższą klamkę i otworzył całe drzwi.

– To nie jest samochód dla mnie – powiedział zakłopotany. – Ja powinienem jeździć ciężarówką.

– Widzę – uśmiechnął się sierżant – ale co miałem zrobić. Musiałem zafundować ci dzisiejszą nockę. W końcu – jak cztery bele, to służba co niedzielę, nie? Zresztą sobie też zafundowałem, a wcale mi się to nie uśmiecha.

Po tym jak kapitan Drewniak z komendy miejskiej spuścił go do kibla, musiał sam wykombinować jakąś grupę operacyjną. Wyzначzył więc siebie i Grzecha na dyżur do północy, a na drugą zmianę dwóch innych chłopaków z wydziału. Zmuszony był sam szybko podejmować decyzję, bo Marcinkowski i

Brodziak gdzieś zniknęli. Zostawił im więc pisemną informację o tym, co się dzieje, i pojechał z Grzechem pod dom chłopaka. Szczerze powiedziawszy, nie liczył na to, że o tej porze Trelka jeszcze będzie w domu, ale od czegoś w końcu musiał zacząć. Najpierw na parkingu przed blokiem zauważył białego trabanta. Sprawdził w notesie numery rejestracyjne, które podali mu na komendzie i okazało się, że to auto chłopaka. Gdy przyjeżdżali tu po czwartej, wiedzieli, że na osiemnastą ma on umówione wyświetlanie filmów, więc sierżant nie martwił się, że go dziś nie znajdzie, mimo że tak późno zaczęli obserwację. Trabant na parkingu był widocznym znakiem, że jeszcze nie wyjechał.

Około osiemnastej Kubiak zaczął się denerwować. Obiekt nie wychodził z domu. Mogło to oznaczać, że postanowił dziś nie jechać do akademika, co byłoby dziwne, albo nie ma go w domu i do akademika pojechał nie swoim autem, co byłoby jeszcze dziwniejsze, zważywszy na konieczność zabrania sprzętu wyświetlającego.

Wreszcie, gdy było już dwadzieścia minut po wyznaczonej godzinie seansu, sierżant otworzył drzwi auta i przelicykując ostatni kęs kanapki, oznajmił plutonowemu:

– Pójdę tam na górę i zapukam do mieszkania. Jak będzie w środku, to powiem, że się pomyliłem.

Grzechu Kował wyszedł z auta.

– Ja też rozprostuję gnoty, bo już się całkiem zasiedziałem i dupa mi ścierpła.

Wejście na drugie piętro zajęło Kubiakowi kilkadziesiąt sekund. Po drodze sprawdził w notesie, które to mieszkanie. Nie było tabliczki z nazwiskiem, ale numer się zgadzał. Zapukał. Cisza. Zapukał jeszcze raz. Usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza tyle, że nie przed sobą, lecz za plecami. Odwrócił się. W otwartych drzwiach stała pani Grzybowska.

– Niestety, pan Maciek wyszedł. Jak coś ważnego, to ja mogę przekazać – powiedziała sąsiadka, myśląc, że trzeba zapamiętać tego blondyna, który dobijał się do poszukiwanego przez milicję chłopaka i zapisać w kalendarzu godzinę jego

przybycia.

– Nie, nie trzeba, przyjdę później – powiedział mężczyzna, jak się wydawało pani Grzybowskiej, nieco zmieszany. I to upewniło ją w przekonaniu, że to na pewno ktoś również poszukiwany przez milicję. Zaraz też podejrzany osobnik odwrócił się i pośpiesznie zszedł na dół. Kobieta pobiegła do kuchni i wyjrzała przez okno. Po paru sekundach zobaczyła, jak blondyn wychodzi z bramy i idzie do samochodu, przed którym stał drugi facet, wielki jak koń. Wzięła ze stołu w kuchni przygotowaną wcześniej ruską lornetkę teatralną i spojrzała na numery rejestracyjne. Zdjęła ze ściany kalendarz i zapisała pod dzisiejszą datą: Godz. 18.27 blondyn lat 30, drugi b. wysoki szatyn przy samochodzie fiat duży, czerwony, nr. rej. MO 54-95.

Dziwną rejestrację mają ci bandyci, pomyślała, prawie jak milicja.

Lee, pewnie fałszywe, dla niepoznaki, rozszyfrowała złoczyńców.

Godz. 18.30

W trakcie rozmowy z sąsiadką obywatelką Grzybowską Kazimierą z domu Szmitke, powziąłem informacje, że osoba podejrzana, niejaki Maciej Trelka w zeszłym roku wyjeżdżał kilka razy za granicę do Niemiec w celu nieznanym, najprawdopodobniej gdyż handlował. Na pytanie czy wyżej wymieniony jeździł do Niemiec Zachodnich czy Wschodnich, obywatelka Grzybowska Kazimiera stwierdziła, że nie wie. W związku z tym rodzi się podejrzenie, że w Niemczech mógł kontaktować się z denatką Agnieszką Klimek.

Olkiewicz spojrzał na swój raport i wykreślił słowo „rodzi się”. Odsunął się nieco od swojego biurka i otworzył szafkę. W środku stała ostatnia już butelka z wypadu do meliny pana Antosia.

Niestety, do połowy opróżniona albo, na szczęście, w połowie pełna.

Niestety, za chwilę będzie zupełnie pusta, pomyślał filozoficznie Teofil i pociągnął spory łyk. Niezbyt dużą resztkę odstawił z powrotem do szafki. Znowu spojrzął na kartkę. Rodzić to się może dziecko, zaśmiał się głośno, a podejrzenie może występować? Wystąpiło podejrzenie? To jakby wystąpił jakiś linoskoczek w cyrku, a tu nie cyrk, tylko raport urzędowy, doszedł do wniosku chorąży Olkiewicz. Musi być urzędowo i poważnie, a nie byle jak. No może lepiej będzie, jak się na przykład „ujawni”. Ale nie się ujawni samo, tylko ujawniono podejrzenie, znaczy się, że przeze mnie zostało wypatrzone i odkryte. No, tak będzie najlepiej, ucieszył się milicjant i wpisał cały zwrot. Dzięki temu, myślał, jego raport nabrał wreszcie odpowiedniego charakteru.

W związku z tym ujawniono podejrzenie, że w Niemczech mógł on kontaktować się z denatką Agnieszką Klimek.

Zadowolony, że skończył wreszcie tę pisaninę, wstał od biurka i podszedł do okna. Włączył radio stojące na parapecie. Było ustawione na fale długie i program pierwszy. Rozległy się delikatne dźwięki fortepianu. No, niech będzie tam i Chopin, pomyślał Olkiewicz i zapalił papierosa. Nie miał zielonego pojęcia, czy muzyka płynąca z radia to rzeczywiście utwór Chopina, ale nie znał żadnego innego kompozytora, który kojarzyłby mu się z fortepianem, dlatego każda taka muzyka to był dla niego Chopin i już.

Spojrzął na swój ruski zegarek. Do siódmej zostało jeszcze niecałe pół godziny. Za chwilę powinien już tu być Marcinkowski, bo tak umówili się rano. Zastanawiał się, jaką minę zrobi kapitan, jak dowie się, co udało mu się ustalić. Ale póki co, nie warto było tracić czasu. Wrócił do biurka i wypił resztkę z coraz bardziej pustej butelki.

Godz. 18.30

– Nie ma go, kurza twarz, w domu – powiedział Kubiak wsiadając do auta. – Musimy podjechać na Rocha. Tam w akademiku miał wyświetlać filmy.

Plutonowy Kowal bez słowa odpalił silnik. Już miał wrzucić jedynkę, gdy sierżant powstrzymał go.

– Poczekaj – powiedział. Do trabanta podszedł młody człowiek w dżinsach i podkoszulce.

– To ten? – zapytał Grzechu.

Chłopak oparł się o maskę i przez okno zaglądał do środka. Stał tam przez parę sekund, a potem ruszył w stronę klatki schodowej. Kubiak otworzył drzwi od samochodu i wyszedł na chodnik.

– Młody! – krzyknął – cho no tutaj.

Błaszkowski, który wchodził do bloku, odwrócił się i spostrzegł stojącego przy fiacie Kubiaka. Podszedł szybko do sierżanta.

– Jeśli idziesz do tego Trelki, to nie ma go w domu. Jedziemy do akademika, tam gdzie miały być te filmy.

– Nie ma go tam, obywatelu sierżancie. Idę stamtąd. Seans jest odwołany, a Maciek się nie pojawił. Nikt nie wie, o co chodzi. On chyba zniknął.

– No to mamy niezły pasztet. Wsiadaj, jedziemy na komendę.

Błaszkowski otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka. Auto ruszyło.

18.32. Do samochodu z bandytami wsiada jeszcze jeden, młody około 20 lat w dżinsach i czarnej koszulce, na której z przodu są jakieś napisy i jakaś gęba, krótko ostrzyżony. Auto odjechało szybko. – zapisała w swoim kalendarzu pani Grzybowska i wróciła na posterunek przy oknie.

Godz. 18. 55

Na ciepły porcelanowy talerz, który jeszcze przed chwilą grzał się w specjalnym elektrycznym podgrzewaczu, kelner nakładał frytki. Nabierał je z dużego płaskiego półmiska za pomocą łyżki i widelca, trzymając oba sztucce jak jakieś specjalne szczypce, w prawej ręce. Zaraz po frytkach na talerzu pojawił się bukiet surówek, a na koniec sznycel cięły przykryty jajkiem sadzonym. Jajko, tak jak powinno, było tylko

lekko ścięte.

– Smacznego! – powiedział kelner i odszedł w głąb długiej sali restauracji Smakosz.

Gruby Rychu wziął ze stołu zwiniętą w stożek zieloną, wykrochmaloną serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. Po całym dniu pracy czuł się naprawdę głodny, dlatego z zapalem zabrał się do jedzenia. Restauracja Smakosz mieściła się w starej secesyjnej kamienicy przy ulicy 27 Grudnia 9. Należała do niezbyt liczного grona najbardziej ekskluzywnych poznańskich restauracji. Porządne drewniane meble, czyste obrusy, ściany obite boazerią i tkaninami a do tego jeszcze olejne obrazy.

Poza tym szybka, grzeczna obsługa i – co najważniejsze – doskonała kuchnia. Wielu klientów nie zważając na wysokie ceny, zachodziło tu tylko po to, żeby choć przez chwilę poczuć się, jak w innym świecie i zapomnieć o tym wszystkim, co otaczało ich na co dzień. Starsi mówili, że tak przed wojną wyglądały dobre restauracje. Na pewno Smakosz miał swój niepowtarzalny klimat, którego próżno by szukać w innych restauracjach. Rychu, od czasu jak zamieszkał na Lampego, zachodził tu niemal co dzień. Tutaj przy dobrym jedzeniu podsumowywał ze swoimi ludźmi całodzienne interesy. Dzisiaj zebrał już cały utarg i teraz czekał tylko na ostatniego człowieka.

Mały pojawił się, gdy talerz szefa był prawie pusty. Najpierw podał mu grubą kopertę.

– No i jakie wieści? – zapytał Rychu, odbierając pieniądze i chowając je do torby.

– Towar jest już na miejscu. Teraz czeka na przegląd. Wszystko wskazuje na to, że w nocy będą sprawdzać zawartość przesyłki.

– Dobra robota! – pochwalił swojego pracownika szef, po czym wyciągnął z koperty dwa zielone banknoty i podał Małemu.

– To ekstra premia – uśmiechnął się i wrócił do jedzenia.

Godz. 19.00

Najpierw słyhać było przytłumione kroki, a później rozległ się szcęk kiepsko naoliwionego zamka. Drzwi zaskrzypiały przeraźliwie.

Rozbłysło światło. Do piwniczki weszły dwie osoby. Pierwszy wkroczył wysoki mężczyzna, za nim rudowłosa kobieta.

– Cały czas jest nieprzytomny? – zapytała.

– Oddycha normalnie, to tylko kwestia czasu i odpowiedniej reakcji organizmu – wytłumaczył jej mężczyzna, pochylając się nad leżącym chłopakiem. – Może odzyskać świadomość za dwie minuty albo za dwie godziny.

– Właściwie to w tej chwili i tak nie ma dla nas żadnego znaczenia. Zajmiemy się nim dopiero nad ranem. Powiem szczerze, że on nie wygląda mi na mordercę.

– Chyba nie miała pani w swoim życiu do czynienia ze zbyt wieloma mordercami – zaśmiał się Wirski. – Ci psychole rzadko wyglądają tak, jak byśmy chcieli, by wyglądali prawdziwi bandyci. Myślę, że szybciotko przekonamy się, czy to rzeczywiście on. Wystarczy, że wezmę go w obroty. Jeszcze nie widziałem człowieka, który nie powiedziałby mi prawdy.

– A milicja jest też przekonana, że to jest ten gnój? – zapytała Weronika – Oni właśnie go szukają. Zwłaszcza teraz, jak dowiedzieli się, że często jeździł do Niemiec.

– To pewnie dlatego Sandra mówiła, że dopadły ją stare sprawy.

Musieli poznać się w Niemczech i ten kutas coś od niej chciał. I tak się to skończyło.

– Już niedługo, droga pani Weroniko, dowiemy się, co to za stare sprawy ją dopadły. A później zakończymy wszystko tak, żeby nie było najmniejszego śladu. A milicja wkrótce znajdzie ciało samobójcy, który nie wytrzymał życia ze świadomością tego, co zrobił.

– A co to za druga dziewczyna, ta, którą ponoć też zabił?

– To jego koleżanka z roku, jakaś Gośka. Też obciął jej głowę i wyrzucił do rzeki. Ale chyba ona nas nie interesuje.

– Co za skurwiol – syknęła kobieta. – Ona dla mnie nie

istniała i nie istnieje, ale jest potwierdzeniem tego, że to jego robota.

– Dobra, chyba nie warto tu nad nim stać – zdecydowała Weronika.

– Mamy jeszcze trochę czasu. A jak się obudzi, będzie mógł się zastanowić nad tym, co zrobił.

Kroki oddaliły się od leżącego. Szczęknęły zamykane drzwi, zazgrzytał zamek, zgasło światło.

Maciek otworzył oczy. Zesztywniały usiadł powoli, opierając się o ścianę. Wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć.

Teraz, pomyślał, trzeba zacząć działać, i to szybko. Wstał i podszedł do niewielkiego okienka. Już wcześniej zauważył, że jedna z desek jest obluźwana. Jakiś metr nad oknem biegła stalowa rura. Podskoczył i uchwycił się jej. Trzymając się oburącz, wspiął się nogami najpierw na parapet, a później oparł stopy na ścianie powyżej okna. Naprężył się, wygiął w łuk całe ciało i z impetem skoczył na deski w oknie. Poczuł i usłyszał głośnie chrupnięcie, i do pomieszczenia wpłynęło światło.

Godz. 19.05

– Obywatelu kapitanie! – zawołał dyżurny podoficer siedzący za szybą w biurze przepustek. – Jest informacja dla was z Puszczykowa. Podobno znaleźli tam ciało kobiety bez głowy. Tamtejszy komisariat prosi o pilny kontakt. Technicy już wysłani. – Poinformował dyżurny milicjant, bo wiedział już, o co chce zapytać oficer.

– Podstawcie jakiś samochód z kierowcą. Za dziesięć minut jedziemy – zdecydował Marcinkowski. – No to chyba mamy nareszcie naszą zgubę – powiedział Fred do Brodziaka i obaj poszli szybko do swojego pokoju na górze.

Olkiewicz, Kubiak, Kowal i Blaszkowski, wszyscy pracujący przy sprawie milicjanci, siedzieli w pokoju. Fred zdziwił się, widząc cały zespół na miejscu. Wiedział jednak, że skoro są tutaj, to znaczy, że wydarzyło się coś ważnego. Usiadł na swoim

fotelu, rozłożył przed sobą na biurku czystą kartkę i wyjął z kieszeni marynarki długopis.

– Dobra – zaczął – zanim przedstawię nam wyniki powiem tylko, że przed chwilą dostaliśmy sygnał, że w Puszczykowie znaleźli ciało bez głowy. Mam nadzieję, że to nasza zamordowana, Małgorzata Witkowska, a nie kolejna ofiara. Zaraz jedziemy tam z Mirkiem, więc proszę o wasze informacje.

W ciągu kilku minut milicjanci przekazali kapitanowi wszystko, co udało im się ustalić.

– Wygląda na to, że jesteśmy w domu – odezwał się Brodziak, przerywając ciszę, jaka zapadła po opowieści Olkiewicza o rozmowie z sąsiadkami Trelki. – Mamy podejrzanego, który znał dziewczyny, nie mamy tylko motywu. Ale na razie to chyba drugorzędna kwestia.

– Masz rację – powiedział Marcinkowski. – Rano spróbuję przedstawić wszystko prokuratorowi i poproszę o pozwolenia na przeszukanie samochodu i mieszkania. Tomek i Grzechu, musicie teraz wrócić przed jego blok, bo może się tam przypadkiem pojawić. Jeśli wróci, zdejmujecie go. Jutro, jeśli sytuacja się nie zmieni, załatwię rozszerzenie zespołu o kolejnych ludzi do obserwacji. Teoś i młody, możecie iść spać. Jutro ósma rano odprawa – zarządził kapitan. – A my, Mirek, nad wodę. Idź już do samochodu na dole, a ja tylko zadzwonię do pułkownika. Muszę mu dać znać, co się dzieje, bo jak bym mu nie powiedział, to jutro mógłby mi wyrwać nogi...

– Aha, Mirek – odezwał się Teofil. – Dzwonił do ciebie jakiś Rychu i prosił o kontakt.

Brodziak spojrział na Freda i wzruszył ramionami.

– To chyba może poczekać, nie? – powiedział.

Godz. 19.40

– Jak Boga kocham, panie władzo! – zaklinał się Wiechu Klemasa.

– Nie widziałem zupełnie niczego, bo wtedy właśnie już prawie nic nie widziałem. A Marych spał, nawet nie zipnął, bo

obalił się zaraz po czwartej butelce. On ma słaby łeb i jemu byle dać trochę czegoś mocniejszego, to zaraz zasypia. I wtedy jak, ja tę flaszkę rzuciłem, to poszłem sprawdzić, czemu nie chlupnęła, no tam tam znalazł tego nieboszczyka.

-I nie chcieliście mu pomóc, wyłowić z wody i jakieś sztuczne oddychanie zrobić czy coś? – kapral Witold Kluska spojrzał uważnie na przesłuchiwanego mężczyznę.

– Ady, jak miałem ja pomóc temu trupu, jak on był trup nieżywy najzwyczajniej w świecie, czyli martwy. To jemu by nawet podwójna lewatywa nie pomogła we wstaniu! – zdenerwował się Wiechu.

-Ale mogliście go we dwóch bynajmniej wydobyć z tej wody, nie? – zauważył milicjant.

– A skąd, panie władzo kochany. Jakem onego znalazł w tej wodzie, to byłem już po piątym winie. Znaczy się słaby jak chuchro, a do tego walczyłem z poprawnością widzenia, bo mnie się już na oczy rzucało, a Marych nawet palcem kiwnąć nie mógł, bo spał. To jak my go mieli z wody wyciągać? Jak by my weszli do rzeki, to teraz pisałbyś pan protokół o trzech utopionych, a nie, chwała Bogu, o jednym.

– A ten wasz kolega, to czemu on poszedł zgłosić utopienie, jak taki był śpiący? – kapral próbował znaleźć jakąś nieścisłość w zeznaniu.

– Bom mu kazał iść, gdyż nogi ma młodsze i lepiej nimi przebiera.

– Jak to, na śpiku poszedł?

– Nie, najpierw się obudził, a potem poszedł – wyjaśnił Wiechu.

Godz. 19.55

Podpułkownik Żyto siedział w gabinecie pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR i palił papierosa. Miał ochotę napić się kawy, ale wiedział, że na to nie ma najmniejszej szansy. Sekretarka od kilku godzin była już w domu, a nie mógł prosić Pierwszego, by ten zajął się

parzeniem. Pozostawała mu tylko grodziska, która stała na ławie. Nalał sobie pełną szklankę i wypił od razu połowę jej zawartości. Od paru minut był sam w gabinecie Pierwszego, bo ten poszedł się wysikać.

Pół godziny temu zadzwonił do sekretarza na numer, którego mógł używać tylko w nagłych wypadkach. Gdy ostatnio Żyto zdawał mu raport w sprawie śledztwa „Łowca głów”, ten nakazał mu natychmiast dzwonić, gdyby okazało się, że sprawa jest bliska rozwiązania. Po telefonie od Marcinkowskiego był przekonany, że to już kwestia godzin, dlatego odważył się zakłócić sekretarzowi spokojny wieczór. Pierwszy zareagował błyskawicznie. Kazał pułkownikowi niezwłocznie przyjechać do swojego gabinetu, w celu, jak to powiedział, „uzgodnienia dalszych szczegółów postępowania w sprawie”.

W tej sytuacji należało niezwłocznie wezwać także Marcinkowskiego, by ten przedstawił sytuację.

Na szczęście kapitana jadącego do Puszczykowa udało się namierzyć w radiowozie i zawrócić do Poznania. Pułkownik spodziewał się go tutaj lada chwila. Pierwszy w gabinecie pojawił się jednak Pierwszy.

– No jak tam, pułkowniku, napiliście się – widzę – wody, bo kawy czy herbatki to ja wam nie proponuję. Jestem tu sam jak palec.

–No, ale co wy, towarzyszu sekretarzu, gdzie tam kawa, wieczorem o tej porze.

–Ale widzę, że ta wasza drużyna działa jak dobrze naoliwiony radziecki zegarek. Najszybsza na świecie! – zaśmiał się sekretarz zadowolony z dowcipu. Pułkownik też się zaśmiał, bo mu wypadało me śmiać się, gdy robił to sekretarz, choć dowcip miał już przynajmniej trzydzieści lat.

– Cieszę się, że tak myślicie, towarzyszu sekretarzu – powiedział Żyto. – Mam nadzieję, że to naprawdę błyskawiczny sukces.

– No właśnie, sukces, który musimy teraz odpowiednio wykorzystać, w sensie propagandowym oczywiście. Czyli wykazać, że nasza milicja obywatelska potrafi łapać przestępców, bo ona jest od tego, żeby dbać o porządek i bezpieczeństwo.

– Tylko jeszcze brakuje nam tego ostatniego ogniwa, czyli zatrzymania mordercy, bo pewne poszlaki mówią, że wszystko wskazuje...

– Wy byście, towarzyszu pułkowniku, chcieli tak od razu i najlepiej zapięte na wszystkie guziki razem – przerwał mu sekretarz. – Ale to są sprawy drugorzędne. Wszystko po kolei się poskłada, a bandyta, jak już wiemy, kto on jest, i tak wpadnie w wasze milicyjne ręce. Więc nie myślcie o niepotrzebnych szczegółach, tylko spójrzcie na efekt całościowy.

Pułkownik pokiwał głową, przyznając rację swojemu rozmówcy.

Te nieścisłości nie powinny przysłonić im efektu, czyli rozwiązania zagadki.

Godz. 20.15

Pierwsza deska pękła natychmiast. Z drugą poszło już znacznie gorzej. Musiał uderzyć w nią kilkanaście razy. Zdawał sobie sprawę, że nie może skakać na te dechy tak, jakby tego chciał, czyli raz za razem, bo hałas mógł sprowadzić kogoś na dół. Szybko jednak zauważył, że co kilka minut w jednostajny szum pobliskiej ulicy wdzierają się łoskot przejeżdżającego tramwaju. Postanowił więc wykorzystać te momenty, kiedy będzie najgłośniejsze. Po którymś z kolei skoku druga deska w końcu pękła z trzaskiem. Był wdzięczny Opatrzności, że ta czuwała nad nim, i dzięki temu założył dziś enerdowskie półbuty na twardej podeszwie. Gdyby bowiem miał na nogach adidas, w których chodził zazwyczaj, połamanie desek blokujących okienko byłoby znacznie trudniejsze.

W odstępach pomiędzy skokami natychmiast podchodził pod metalowe drzwi i nasłuchiwał. Bał się, że ktoś może w końcu coś usłyszeć i zejść na dół. Ale na taką ewentualność też się przygotował. Na podłodze tuż obok drzwi położył spory fragment wyłamanej deski. Wiedział, że użyta w odpowiedni sposób, może okazać się śmiercionośną bronią.

Po wybiciu drugiej deski mógł już bez przeszkód rozejrzeć się po okolicy. Jednak na zewnątrz dostrzegł jedynie kilka krzaków i kawałek metalowej siatki ogrodzeniowej. Zorientował się jednak, że miejsce, w którym go przetrzymywano, nie jest fortecą, a zwyczajnym domem. Wystarczyło tylko wyjść na zewnątrz, by wydostać się z tego absurdałnego więzienia.

Trzask. Z trzecią deską poszło równie łatwo, jak z pierwszą.

W tym tempie za godzinę będę na wolności, pomyślał, i znowu podszedł do drzwi. Przyłożył ucho. Usłyszał muzykę. Gdzieś tam na górze Laura Branigan śpiewała piosenkę o samokontroli.

Godz. 20.20

Kapitan Marcinkowski był zły. Co tam zły, on był po prostu wkurzony. Przejechali już cały Luboń, gdy przez radiotelefon dostał polecenie od „Żytniego”, bo tak między sobą nazywali swojego szefa, że ma natychmiast wracać do Poznania. Chcąc nie chcąc, poprosił więc centralę o transport do miasta, a Mirka wysłał do Puszczykowa ich samochodem.

Odczekał na przystanku autobusowym jakieś dziesięć minut, gdy wreszcie podjechała po niego niebieska nyska. Usiadł obok kierowcy i kazał się wieźć pod KW. W niespełna dwadzieścia minut był na miejscu. Teraz biegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Gdy stanął pod drzwiami najważniejszego z tutejszych gabinetów, poczekał parę sekund, aż wyrówna mu się oddech. Przyglądał nieco rozwiane włosy i zastukał. Nie było odzewu. Pociągnął za klamkę i wszedł do środka. W sekretariacie nikogo nie było, więc od razu poszedł do gabinetu pierwszego sekretarza. Drzwi były otwarte.

– Wszystko po kolei się poskłada, a bandyta, jak już wiemy, kto on jest, i tak wpadnie w wasze milicyjne ręce. Więc nie myślcie o niepotrzebnych szczegółach tylko spójrzcie na efekt całościowy – mówił partyjny dygnitarz pouczającym tonem. Przed nim na fotelu siedział podpułkownik Żyto i kiwał

potakującą głową. Spojrzał w lewo i zobaczył Marcinkowskiego stojącego w otwartych drzwiach.

– O, jest kapitan! – ucieszył się najwyraźniej Żyto, zadowolony, że wreszcie skończy się to przemówienie sekretarza.

– Wchodźcie, wchodźcie, towarzyszu kapitanie. Siadajcie tu na fotelu – wskazał mu miejsce gospodarz. Sam wziął krzesło stojące dotąd pod ścianą i przysunął je do ławy.

– Mówcie, kapitanie, mówcie, co tam słyhać, jak tam sprawy się mają. A jak tam w waszym życiu osobistym? Wszystko dobrze pewnie, he he.

– Dziękuję, wszystko dobrze.

– A wiecie – mówił dalej sekretarz – wasz pułkownik to nie może się was nachwalić. A i ja widzę, że radzicie sobie nadzwyczajnie. Żeby mieć już wynik, tak szybko. No, chyba już niedługo będę musiał do Was mówić – majorze, a nie – kapitanie. He he, co sądzicie o tym, towarzyszu pułkowniku?

– Hmm – zdążył tylko odpowiedzieć pułkownik, ale sekretarz wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– To co? – ciągnął działacz partyjny. – Mogę już zawiadamiać Warszawę, że sprawa „Łowcy głów” jest rozwiązana?

– Myślę towarzyszu sekretarzu, że lepiej byłoby się nie śpieszyć.

Mamy, co prawda, wytypowanego podejrzanego, ale nie mamy go jeszcze w rękach. To pewnie tylko kwestia czasu, ale myślę, że ze świętowaniem sukcesu powinniśmy się jeszcze trochę wstrzymać – wyjaśnił Marcinkowski.

– No właśnie – poparł swojego podwładnego Żyto.

Sekretarz zrobił poważną minę, jakby się nad czymś zastanawiał.

Po czym uśmiechnął się szeroko i klepnął w kolano.

– No, nie bądźcie tacy skromni. Ostrożność jest potrzebna, oczywiście, ale bez przesadnej skromności. Widzę po was, że sukces jest bliski. A my tu, w Komitecie wojewódzkim, potrafimy doceniać ludzi dobrej roboty.

Godz. 20.30

– Czy ja muszę pracować z debilami?! – wściekał się Mirek Brodziak, patrząc na stojącego przed nim kaprała milicji obywatelskiej.

Ekipa techników milicyjnych właśnie kończyła pracę nad brzegiem rzeki. – Wystarczy tylko spojrzeć na zwłoki, by się zorientować, że leżały w wodzie kilka dni, a wy mi tu pierdolicie, że zatrzymaliście podejrzanych. Jak wy, kurwa, chcecie pracować, jeśli zatrzymujecie ludzi, którzy chcą wam pomóc? Jak dobrze słyszałem, to ci pijaczkowie sami się do was zgłosili i powiedzieli, że znaleźli zwłoki, nie?

– Melduję obywatelu poruczniku, że to Marych przyszedł, a drugi był tu – wyjaśnił kaprał Kluska.

– No i co, zatrzymaliście obu, tak?

– Tak jest, do wyjaśnienia, czy nie są sprawcami.

– I każdego, kto wam zgłosi przestępstwo, zatrzymujecie do wyjaśnienia? – spojrzał z niedowierzaniem na podoficera.

– Tak jest.

– No, to musicie mieć niezłą liczbę zatrzymań.

– Największą w województwie – pochwalił się kaprał Kluska. Brodziak z niedowierzaniem pokręcił głową a potem zadecydował:

– Wypuścić obu.

Kluska chciał coś powiedzieć, ale gdy spojrzał na porucznika, uznał, że lepiej będzie nie zadzierać z tym facetem. Zasalutował i ruszył w stronę radiowozu.

Brodziak tymczasem podszedł do siedzącego w milicyjnej nysce doktora Malinowskiego. Lekarz oparty o blat stolika zainstalowanego wewnątrz wozu wpisywał coś do formularza.

– I jak tam, doktorze, jak to wszystko wygląda? – zapytał porucznik.

– Świetnie, świetnie – odpowiedział Malinowski, uśmiechając się do Brodziaka. – Z tego co tu widzę, to powiem ci, że z dużym prawdopodobieństwem jest to dziewczyna od tej głowy z ciemnymi włosami. Ciało jest w wodzie mniej więcej od

tygodnia, wszystko więc by się zgadzało. No, ale na ostateczne wyniki sekcji jeszcze musisz poczekać.

– To jest świetna informacja! – ucieszył się milicjant. – Bo jak tu jechałem, bałem się, że to może być trzeci trup bez głowy.

– Możesz teraz spokojnie iść na wódkę. Dla mnie to ta dziewczyna, na dziewięćdziesiąt procent. Jutro koło południa dam wam szczegółowe informacje.

– W porządku. Idę teraz na gorzołę.

Godz. 21.30

– Powiedz mi, jak długo się znamy? – Gruby Rychu patrzył uważnie na Weronikę.

– A co, zebrało ci się na wspominki? – zaśmiała się kobieta.
– Będzie już parę ładnych lat.

Podniosła się z łóżka i zupełnie naga podeszła do stolika, na którym stała butelka z wodą grodziską. Nalała do dwóch szklanek. Jedną podała Rychowi, który leżał przykryty prześcieradłem.

Kiedy się poznali, Weronika dopiero stawiała pierwsze kroki w zawodzie. Rychu dość często korzystał wtedy z jej usług. Dziewczyna miała pecha, bo trafiła do stajni Turka, wyjątkowo odrażającego typu, który wykorzystywał swoje kobiety do granic możliwości. Turek nie był żadnym Turkiem, ale miał ciemną karnację i wyglądał na południowca. Był brutalny i bezwzględny, i wydawało się, że nie ma na niego mocnych. Miał goryla, niejakiego Alberta, bandziora wielkiego jak szafa trzydrzwiowa, a przy tym głupiego jak but. Robił wszystko, co kazał mu jego pryncypał, łącznie z oprawianiem ręcznym (i za pomocą scyzoryka) niewygodnych facetów. Powszechnie było też wiadomo, że Turek to kapuś esbecji. Miał więc nad głową parasol ochronny i każdy konflikt z nim mógł się zakończyć dla przeciwnika tragicznie. Miarka się przebrała, gdy któregoś dnia po pijanemu tak pobił jedną z dziewczyn, że trafiła do szpitala i mało brakowało, a nie udałoby się jej uratować.

Wtedy Weronika zwróciła się o pomoc do swojego stałego klienta, Rycha właśnie. On obiecał, że zobaczy, co się da zrobić. I rzeczywiście, wnikliwie przyjrzał się Turkowi. Widać ocena działalności sutenera nie wypadła zbyt korzystnie, bo kilka dni później pan Turek drżącą ręką napisał pożegnalny list i strzelił sobie w usta ze starego niemieckiego pistoletu parabellum. W jego mieszkaniu znaleziono także pana Alberta z odstrzelonym łbem. Wszystko wskazywało na to, i taka była ostateczna wersja ustalona w śledztwie, że to Turek zastrzelił swojego goryla, a później odebrał sobie życie.

Esbecy nie bardzo chcieli uwierzyć w taką wersję wydarzeń, ale i oni w końcu musieli dać za wygraną, bo kompletnie nic innego nie udało im się ustalić.

Wtedy Rychu jeszcze raz pomógł Weronice. Gdy Turek odszedł w zaświaty, dziewczyna nie bardzo miała co ze sobą zrobić. Nie miała gdzie mieszkać, a w dodatku bezpieka nie dawała jej spokoju. Chcieli koniecznie zmusić ją do współpracy. Nagle Weronika zniknęła. Przepadła jak kamień w wodę i nikt na mieście, łącznie z esbecją, nie wiedział, co się z nią dzieje. To Rychu zabrał ją do siebie, a po kilku dniach przyniósł jej paszport z wizą RFN i bilet na zupełnie legalną wycieczkę do Niemiec, zorganizowaną przez Biuro Podróży Orbis. Ten wyjazd pozwolił jej stanąć na nogi. Spędziła tam dwa lata, a po powrocie kupiła willę w Poznaniu i mogła założyć własny, niezależny od jakiegokolwiek sutenera interes. Na początku było paru chętnych, którzy chcieli się nią zająć i dać jej ochronę. Ale potem, gdy jednemu z nich zupełnie przypadkowo jego własny samochód zmiażdżył kolana, przyciskając go do ściany domu, inni dali spokój. Po mieście poszła plotka, że Weronika to dobra znajoma Grubego Rycha, który w tym czasie stał się jedną z najbardziej szanowanych osób w świecie poznańskiego „małego biznesu”.

Usiadła na łóżku. Rychu złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Przywarła do niego całym ciałem.

– Czy kiedykolwiek źle ci poradziłem?

– No co ty, Rysiu.

– To posłuchaj mnie uważnie. Jeśli ja wiem, że sprzątnęłaś

sprzed milicyjnego nosa tego mordercę, to za chwilę będzie o tym wiedzieć pół miasta. Mówię ci, wypuść go i niech oni go sobie wsadzą. Spojrzała na niego przestraszona – Co ty mówisz, skąd o tym wiesz?

– Czy to ma jakieś znaczenie? Wiem i już.

– To bydlę musi ponieść karę – powiedziała zaciskając usta.

-I poniesie, ale dlaczego ty masz być sędzią? Niech go osądzi socjalistyczny wymiar sprawiedliwości. Facet dostanie czapę jak nic.

– Powieszenie to żadna kara. On musi poczuć, że umiera.

Godz. 22.55

Więzień najwyraźniej nie miał ochoty na umieranie. Z zapalem pracował nad wydobyciem z okna kolejnej deski. Od kilku godzin działał wytrwale, i ani myślał przerywać pracy. Zdawał sobie bowiem sprawę, że każda minuta jest droga. Sytuacja, w jakiej się znalazł, była absurdalna. Wiedział, że może wydarzyć się dosłownie wszystko, a skutki wydarzeń mogą okazać się koszarne. W końcu był specjalistą od filmów grozy, a to, co teraz przeżywał, było jak żywcem wyjęte z jakiegoś filmowego scenariusza. Nauczony filmowym doświadczeniem, jednego był pewien: nie wolno biernie czekać na to, co może się wydarzyć. Koniecznie trzeba działać, bo inaczej można spodziewać się najgorszego. Robił więc wszystko, by wydostać się z opresji.

Na dworze już się ściemniło. Słyszał, że ruch na ulicy zelżał. Za to w domu ponad piwnicą było coraz głośniejsze. Słyszał muzykę, trzaskanie drzwiami i śmiechy. Przez chwilę zdawało mu się nawet, że odgłosy, które docierają do piwnicy, pochodzą z jakiejś knajpy, która być może znajduje się gdzieś nad nim. Pomyślał, że trzeba by wzywać pomocy, ale szybko odrzucił ten pomysł. Mogło to być zbyt niebezpieczne, bo na pewno krzyki zaalarmowałyby najpierw jego prześladowców.

Następna deska została wyłamana. Teraz mógł już swobodnie wystawić głowę na zewnątrz. Miał przed sobą

niewielki ogród na tyłach domu.

Spróbował się precyzyjnie, ale szpara ciągle jeszcze była zbyt wąska. Nie było innej rady, kolejny raz uwiesił się na rurce pod sufitem i skoczył na deski w okienku. Deska pękła jednak, jego ręce, osłabione kilkugodzinną pracą, nie wytrzymały. Dłonie ześlizgnęły się z rury i z łoskotem spadł na betonową podłogę. Poobijany, podniósł się jednak natychmiast. Chciał wrócić do pracy przy oknie, ale zaniepokoiło go coś, co działo się za drzwiami. Przez chwilę nasłuchiwał w bezruchu. Po paru sekundach miał już pewność. Ktoś się zbliżał.

Początkowo Weronika nie chciała wtajemniczać ani pani Broni, ani jej męża w sprawę zatrzymania i uwięzienia mordercy. Wkrótce jednak okazało się to niemożliwe. Bez pomocy pana Mariana nie mogłaby przetransportować nieprzytomnego człowieka do piwnicy.

A bez jego wiedzy nie udałoby się trzymać tam kogokolwiek. Musiała więc wszystko im wyjaśnić. Wyjaśniła, a oni przyjęli to zupełnie spokojnie, jakby przedstawiała im kwestie związane z codziennymi obowiązkami domowymi. Nie zadawali żadnych pytań.

Teraz Marian zszedł do piwnicy, by przynieść z niewielkiego magazynku kilka butelek wina. Na górze było już kilku gości i z każdą minutą alkohol lał się coraz szerszym strumieniem.

Na schodach usłyszał jakiś stłumiony łomot. Od razu pomyślał o piwniczce, w której leżał ten facet. Ruszył w kierunku metalowych drzwi. Stał przed nimi i przez chwilę nasłuchiwał. Było cicho. Pomyślał więc, że się przesłyszał. Ale dla pewności postanowił sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Przekręcił klucz w zamku. Drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem. Od razu zobaczył, że deski w oknie są wyłamane, a w miejscu, w którym spodziewał się nieprzytomnego więźnia, nie było nikogo. Uciekł gnojek, pomyślał Marian i wkroczył szybko do środka. To go zgubiło.

Silny cios zadany deską trafił go w głowę tuż za uchem. Pod wpływem uderzenia mężczyzna zachwiał się i upadł na kolana. Drugie uderzenie w kark pozbawiło go przytomności. Gdy deska kolejny, trzeci raz lądowała na głowie Mariana, on leżał

już niezdolny do jakiegokolwiek reakcji.

Maciek tylko przez sekundę popatrzył na leżącego i zaraz spojrzął w głąb piwnicznego korytarza. Na jego końcu dostrzegł schody. Wyszedł ze swojej celi i dokładnie zamknął drzwi na klucz, by nie mieć kłopotów za plecami, gdyby nieprzytomny nagle się ocknął.

Na korytarzu natknął się na stertę narzędzi ogrodniczych. Chwycił obłamany trzonek od łopaty i tak uzbrojony zaczął się wspinać po ciemnych schodach. Ostrożnie uchylił masywne drzwi z desek i znalazł się w niewielkim korytarzyku. Pasiasty, podłużny dywan doskonale tłumił kroki. Bezszelestnie przeszedł kilka metrów, mijając pustą kuchnię i łazienkę. Głośna muzyka i gwar rozmów dochodziły zza przeszkłonych drzwi z prawej strony. Minął je, przesuwając się wzdłuż przeciwległej ściany. Za zakrętem zobaczył nieduży przedpokój i solidne, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi.

Boże, żeby nie były zamknięte, pomyślał. Nacisnął mosiężną klamkę. Drzwi ustąpiły. Przed sobą miał kilka schodków i jakieś pięć metrów do furtki. Wyszedł na zewnątrz i niemal wpadł na wielkiego, grubego faceta, który stał przed domem i palił papierosa.

Maciek stanął jak wryty i ze strachu nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Mężczyzna obrzucił go obojętnym spojrzeniem. Wypuścił dym nosem i spokojnie powiedział:

– No i co się gapisz, frajerze. Spierdalaj stąd.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Błyskawicznie zbiegł ze schodów i dopadł bramki. Otworzył ją i wybiegł na całkowicie pustą ulicę. Za plecami słyszał głośny, tubalny śmiech grubego faceta.

ROZDZIAŁ X

Godz. 23.30

W restauracji Pod Koroną przy ulicy Zamkowej tylko przy dwóch stolikach siedzieli klienci. Przy jednym czterdziestoparoletni, pijany mężczyzna bełkotliwym głosem tłumaczył coś swojej, na oko o dziesięć lat młodszej, również niezbyt trzeźwej partnerce.

– Pierdol ich, Zocha, mówię ci, pierdol ich wszystkich. Ty się jak nikt znasz na handlu. Na jaką cholerę ci te pieprzone PSS-y. Oni się zawsze będą dopierdalać o jakieś głupoty. Że niby sto kilo kawy poszło na lewo? No i co z tego? A oni to niby na lewo nie sprzedają? Jak by nie sprzedawali na lewo, to z czego by, przepraszam, żyli? Pierdol ich, mówię ci, pierdol ich bez mydła.

– Masz rację, Mieciu, ty jeden mnie rozumiesz – kobieta spojrzała z wdzięcznością na Miecia. – Nalej jeszcze po małym. Wypijmy, żeby tym skurwysynom w gardle stanęło. Żeby do mnie kontrol przysyłać! Ja im jeszcze pokażę, żeby nie wiem co.

Pochyliła się nad stolikiem, zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła szlochać. Mieciu chwycił ją za prawy nadgarstek, przyciągnął dłoń do swojej gęby i ucałował z głośnym cmoknięciem.

– Ja razem z tobą im pokażę, Zocha, możesz być pewna, że ja za tobą murem. Razem ich wszystkich wypierdolimy. Ja mam znajomego w ministerstwie, to mu powiem, co tu się porządnym ludziom wyrabia. No, nie płacz już. Żeby kobietę do łez doprowadzić, kontrolą straszyć – zdenerwował się.

Rozejrzał się wokół i dostrzegł dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku pod oknem. Widać szukał u nich wsparcia i zrozumienia. Ale nie dość, że nie znalazł współczucia, to nawet ani odrobiny zainteresowania.

Rudowłosy w dżinsowej kurtce właśnie rozlewał resztkę

wódki z butelki do dwóch kieliszków. Drugi, w brązowym garniturze, w koszuli bez krawata, wsparty na ręce z zainteresowaniem przyglądał się tej czynności.

– Wiesz co, Mirek, czasami to mam ochotę rzucić to wszystko w cholerę i zająć się czymś innym. Bo ja wiem, może powinienem pisać książki?

– No, chyba cię pogięło – rudzielec spojrzał na kolegę z niedowierzaniem. – Książki to może pisać Roman Bratny, a ty umiesz tylko łapać skurwysynów i pić wódkę. A jak będziesz to robił tak dobrze jak teraz, to w końcu znajdzie się jakiś Bratny czy inny Iwaszkiewicz, co to opíše.

– Ja wiem – bronił się Marcinkowski. – Jestem szkieł i nic tego nie zmieni, ale nieraz się tak chce czegoś innego. No wiesz, jak pomarańczy na święta.

– Wszystko rozumiem, tylko pojąć nie mogę. A jak chcesz w swoim życiu coś zmienić, to zapisz się na kurs korzenioplastyki dla milicjantów – zaśmiał się Mirek.

– A słyszałeś, jak dwóch zomoli pyta się w księgarni jednej sprzedawczynie, czy jest Pan Tadeusz, a ona się odwraca i krzyczy na zaplecze: „Jezus Maria, panie Tadeuszu, przyszli po pana!”

Ubawiony własnym żartem Mirek spojrzał w stronę stolika służbowego, przy którym kelner, pan Olek, zliczał właśnie dzienny utarg.

– Nie poda już dzisiaj gorzoły – stwierdził Brodziak z miną znawcy.

– Już zrobił kasę.

– Mylisz się – powiedział Fred. – Założę się, że tego klienta obsłuży mimo wszystko.

Mirek spojrzał zdziwiony na Marcinkowskiego, a później odwrócił się, by zobaczyć na kogo patrzy jego kolega.

W kierunku ich stolika szedł uśmiechnięty od ucha do ucha Gruby Rychu.

– No, cześć chłopaki – powiedział nowo przybyły. Odsunął krzesło i nim zdążył usiąść, przy ich stoliku już pojawił się kelner Olek.

– Pozwólcie, panowie, że postawię wam po kielonku. Pan da

trzy seteczki, panie Olku.

Kelner uklonił się grzecznie i bez słowa pognał do baru.

– Powiem szczerze, że nietrudno było was znaleźć. Zadzwońcie najpierw na komendę i tam mi powiedzieli, że już śpicie, później pojechałem do was do chaty, Miruś, a potem pomyślałem, że pewnie poszedł na gorzole gdzieś blisko domu. No i jak widzę, nie pomyliłem się wcale.

Kelner postawił na stoliku oszronioną butelkę wódki gastronomicznej i dwie butelki pomarańczowego napoju orange.

– Pomyślałem, że dam od razu całą flaszkę, żeby dwa razy nie chodzić panie Rysiu – usprawiedliwił się pan Olek.

– Nie ma sprawy, jakoś sobie z nią poradzimy – uspokoił go Rychu, nalewając wódkę do trzech kieliszków. Wypili.

– Szukałem was, chłopaki, bo chciałem wam powiedzieć, że może wiem coś, co pomoże wam rozwiązać pewien problem.

– Milicja obywatelska nie ma problemów – przerwał mu Brodziak z uśmiechem. – Problemy ma społeczeństwo, a MO służy mu radą pomocą, a czasami pałą.

– A ja myślę sobie, że wasz problem nazywa się łowca głów.

Milicjanci przestali się uśmiechać i z uwagą spojrzeli na Rycha. Ten zadowolony z wrażenia, jakie wywołał, milczał jeszcze przez chwilę, a potem powiedział:

– Coś mi się wydaje, że pewien sympatyczny młodzieniec, który lubi filmy na video, właśnie idzie do domu. Ale może się okazać, że ktoś nie bardzo chce mu na to pozwolić i jeszcze dzisiejszej nocy będzie chciał mu oderwać łeb. Więc może warto by było porozmawiać z nim wcześniej, zanim ten ktoś dobierze się do waszego problemu.

Godz. 23.40

Osiedle Piastowskie szykowało się do snu. O tej porze wszystkie podwórka przed blokami były zupełnie puste. Dzieci zmęczone bieżącą spaliły w swoich łóżkach, miłośnicy telewizji wyłączali telewizory po ostatnim dziś wydaniu

„Dziennika”, pijacy dopijali resztki alkoholu i zabierali się do robienia awantur swoim żonom, a niektórzy młodszy i bardziej wytrwali mieszkańcy w pocie czoła pracowali nad zwiększeniem przyrostu naturalnego. Ale byli też i tacy, którym nie dana była żadna z tych rozrywek. Dwaj ubrani po cywilnemu milicjanci czuwali. Od kilku godzin siedzieli w zaparkowanym przed blokiem dużym fiacie. Liczyli ostatnie minuty swojego dyżuru. O północy miała ich zmienić kolejna para stróżów prawa.

Potężny Grzechu Kowal drzemał w fotelu kierowcy, obok siedział sierżant Tomasz Kubiak. Znużony kręcił potencjometrem radia safari. Radio miało zepsute UKF-y, skazani więc byli na fale długie. Na 1322 metrach nadawano audycję „Dla tych, co nie lubią rocka”. A tak się właśnie składało, że Kubiak lubił rocka, a nie znosił piosenek, jak mówił, dla starych ciotek. Dlatego wytrwale przesuwiał czerwoną strzałkę na skali, szukając czegoś, czego można by posłuchać. Niestety, większość stacji zagranicznych puszczała jakieś smutne kawałki, więc zrezygnowany wrócił na polską jedynekę. Gdy Alicja Majewska śpiewała o bielącym się w dali żaglu, Kubiak zobaczył idącą w ich stronę postać. Mężczyzna widoczny był z dużej odległości, bo miał na sobie jasny garnitur. Gdy znalazł się na wysokości ich samochodu, sierżantowi przez chwilę wydało się, że zna gościa. Na pewno nie był to jednak ten, na którego czekali. Mężczyzna wszedł do klatki, w której mieszkał Trelka.

Na schodach rozbłysło światło. Kubiak przestał się nim interesować. Spojrzał na swojego kolegę i trącił go w ramię.

– Plutonowy Kowal, pobudka, zaraz jedziemy do chaty.

Grzechu ocknął się wyrwany z pierwszego snu. Rozejrzał się szybko, jakby sprawdzał, gdzie jest.

– No przecież nie śpię – skłamał. – Która jest na osi?

– Za piętnaście północ. Zaraz tu będą następni do golenia. A jak się nic nie wydarzy ciekawego, to od siódmej rano znowu my.

– Jak ja, kurwa, nie lubię takiej nudnej roboty. Jak jadę samochodem, to czuję, że żyję, a takie stanie to jest prawdziwa

katastrofa.

– Ty się cieszyć, że nie musimy już chodzić na piesze patrole. A słyszałeś ten kawał, jak dwóch szkiełków na patrolu stoi se z psem, a tu podchodzi do nich jakiś facet i kładzie się pod tego Szarika. Co robicie, obywatelu? – pyta się jeden z gliniarzy. – A nic – mówi ten leżący – tylko sprawdzam, bo jeden gość powiedział mi, że tu stoi pies z dwoma kutasami.

Godz. 23.40

Droga do własnego bloku zajęła mu prawie godzinę. Gdy wybiegł z willi, pognął ulicą wprost przed siebie. Nie miał pojęcia gdzie jest, dopóki nie wpadł na ulicę Zamenhoffa. Na przystanku na wprost czteropiętrowych akademików polibudy akurat zatrzymał się zielony tramwaj nr 4 jadący na Serbską. Nie zastanawiał się ani sekundy. Wskoczył w otwarte drzwi. Tramwaj jechał w stronę Środki. Jego osiedle znajdowało się dokładnie w odwrotnym kierunku. Ale dla niego najważniejsze było w tej chwili jak najszybsze oddalenie się od willi, z której uciekł. Od razu przeszedł na tył wozu, by sprawdzić czy nikt za nim nie przyszedł.

Tramwaj ruszył. Na przystanku nie było nikogo, na ulicy pusto, nie widział nawet żadnego samochodu, który jechałby w tym samym kierunku co tramwaj. Po chwili wytężonej obserwacji nabrał pewności, że nikt go nie goni. Usiadł na drewnianym krześle z prawej strony wagonu. Tramwaj minął Małą i wjechał na rondo Środka, przeciął wielkie skrzyżowanie i zatrzymał się na przystanku przy Cybińskiej. Tu Trelka wysiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy, po czym wrócił na Zamenhoffa. Nie czekał nawet minuty. Z głośnym chrzęstem i łoskotem na przystanek wtoczyła się osiemnastka.

Wszedł do drugiego wagonu. Siedziało tu trzech pasażerów. Wybrał miejsce przy oknie. Pomyślał, że ma szczęście, bo ten tramwaj zawiezie go pod samą Betę, a więc bardzo blisko domu. Bał się tam wracać po tym, co wydarzyło się w południe, ale był przekonany, że musi zaryzykować. W mieszkaniu miał

bowiem zapasowy komplet kluczy do samochodu, a samochód był mu potrzebny, by zniknąć z Poznania. Postanowił, że wyjedzie na parę dni, wszystko przemyśli i zastanowi się, co dalej. Nie wiedział jeszcze, dokąd pojedzie, ale to była sprawa drugorzędna.

Klucze i dokumenty zostały chyba tam, gdzie go przetrzymywano, bo kieszenie miał zupełnie puste. Pojawił się więc niewielki, jak mu się zdawało, problem z wejściem do mieszkania. Na szczęście, dodatkowy klucz zawsze był u sąsiadki, pani Grzybowskiej. Trzeba będzie ją obudzić i wymyślić jakąś historyjkę o zgubieniu kluczy.

Tramwaj stanął na przystanku przed mostem Marchlewskiego.

O tej porze na ulicach nie było prawie ruchu. Przeszedł przez jezdnię i wzdłuż Bety zmierzał w kierunku swojego bloku. Pokonanie całego dystansu zajęło mu nieco ponad pięć minut. Już z daleka dostrzegł swój samochód. Stał tak, jak go zostawił wczoraj. Rozglądając się uważnie, ruszył w stronę swojej bramy. Spojrzał w górę. W mieszkaniu Grzybowskiej paliło się światło. Wszystko wskazywało na to, że koło bloku nie ma żywej duszy.

Godz. 23.40

Wirski wszedł na klatkę schodową. Ucieszył się, że nigdzie nie widać milicjantów. Wiedział, że w czerwcu wszyscy zajmują się walką z podziemiem i marne są szanse na zorganizowanie ekipy obserwacyjnej dla jakiegoś mordercy. Na wszelki jednak wypadek sprawdził okolicę kilka razy. Było zupełnie czysto. Z doświadczenia wiedział, że gdyby zarządzono obserwację obiektu, jeden funkcjonariusz powinien dyżurować na klatce schodowej, jeden w bezpośredniej bliskości wejścia do domu, a dwóch lub trzech w zaparkowanej niedaleko furgonetce. Nie było jednak nikogo koło domu, nie było też charakterystycznej, białej nyski z radiotelefonem w środku.

Parę sekund zajęło mu znalezienie w ciemnościach przycisku

włącznika światła po lewej stronie. Wcisnął guzik i na schodach zrobiło się jasno. Po chwili stał przed drzwiami na drugim piętrze. Zadzwoił. Nie było żadnego odzewu. Zadzwoił na wszelki wypadek jeszcze raz.

Znowu cisza. Musiał to jednak sprawdzić. Chłopak mógł być przecież w domu i celowo nie reagować na dzwonek. Wyciągnął uniwersalny wytrych, którym bez trudu można było otwierać wszystkie polskie zamki patentowe. Z pierwszym poradził sobie natychmiast. Otwarcie drugiego zajęło mu prawie minutę. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły.

W tym momencie usłyszał, że drzwi od mieszkania sąsiadów też się otwierają. Odwrócił się. W drzwiach stała kobieta w różowym szlafroku i papilotach na głowie.

– A pan tu co? – zapytała – A ja tu do Maćka, jestem jego wujkiem – odpowiedział mężczyzna, uśmiechając się sympatycznie.

– Aha – odpowiedziała pani Grzybowska – bo jego nie ma w domu.

– No wiem, dlatego sam musiałem otworzyć drzwi.

– Pan ma swoje klucze? – zdziwiła się. – Bo te zapasowe są u mnie.

– Ja mam zapasowe do zapasowych – uśmiechnął się po raz kolejny Wirski. – Pani wybaczy, ale już pójdę.

– No pewnie, jest w końcu noc, nie?

– Dobranoc.

– No właśnie.

Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Wewnątrz było ciemno i teraz miał już pewność, że całkowicie pusto. Śmierdziało niemytymi garami i brudnymi ciuchami. Zapalił światło w przedpokoju. Szybko zlustrował wszystkie zakamarki, zapalając tylko na sekundę światło w dużym pokoju. Kompletna pustka.

Wirski pomyślał, że nie ma tu co czekać na faceta. Najbezpieczniej będzie na klatce schodowej, bo stamtąd można się błyskawicznie ewakuować. Opuścił mieszkanie i poszedł na dół.

– Powiedz im, kurwa, że on zaraz tam powinien być! – krzyczał do słuchawki telefonu Marcinkowski. – No ten, kurwa, podejrzany, rozumiesz. Niech ekipa, która ma ich zmienić o północy, nie podjeżdża pod sam dom. Niech staną gdzieś dalej i czekają na sygnał, a Kubiak i Kowal niech uważają, bo on może tam być lada moment!

Kelner, pan Olek, stał nad Marcinkowskim i nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Przed paroma minutami ten rudy wyrzucił z lokalu parę napranych gości, zamknął Koronę na klucz i zażądał telefonu. Teraz przez ten telefon darł się facet w garniturze, a pan Rysiek siedział sobie przy stoliku i najspokojniej w świecie palił papierosa.

W końcu kelner podjął decyzję. Szybko podszedł do stolika Grubego Rycha.

– Panie Ryśku – spojrzał na niego błagalnie – o co tu, kurka, chodzi? Co ja mam robić?

– A, panie Olku, spokojnie, siadaj pan, dziabnij se kielonka i o nic się nie martw, bo tu się rozgrywa akcja milicyjna.

– Aha – powiedział pan Olek i usiadł skromnie na brzegu krzesła.

– No i dawaj mi jakiś samochód pod Koronę – warczał do telefonu Marcinkowski, a Brodziak chodził obok, paląc kolejnego papierosa. Rychu nalał wódkę do dwóch kieliszków i jeden podsunął kelnerowi.

– Nic się pan nie martw. Chłopaki se pogadają i polecą za swoimi sprawami, a pan se zamkniesz tę budę, jak Pan Bóg przykazał.

No i nie rób pan takiej miny, bo to nie napad, ale legalna milicyjna interwencja.

– Jak, kurwa, nie masz samochodu, dawaj najbliższy patrol i już!

– krzyczał do słuchawki kapitan. – Dobra, czekamy Pod Koroną, a co z Kubiakiem?

– Ja go zapierdołę jak psa! – wściekał się kapitan.

– Co jest? – zapytał Brodziak – Kubiak ma wyłączony radiotelefon. I z kim ja muszę pracować, no kurwa, powiedz z kim?

Godz. 23.45

Sierżant Kubiak nie wytrzymał nerwowo, gdy usłyszał głos Mieczysława Fogga. Nic nie miał do faceta, który był historią polskiej pi^o

senki, ale dlaczego ten facet miał śpiewać w jego samochodzie? Zdenerwowany wyłączył wzmacniacz, który podawał prąd do radia i jednocześnie do radiotelefonu. O tym szczególnie Kubiak jednak nie wiedział. To dlatego dyżurny z komendy mógł sobie krzyczeć do mikrofonu, ile chciał, próbując bezskutecznie nawiązać kontakt z radiowozem.

Kowal ziewał jak najęty i Kubiak był na niego zły, bo przez to ziewanie i jemu zbierało się na senność. Już chciał warknąć na Grzechę, gdy nagle zauważył coś dziwnego. Na krótko w oknie mieszkania, które obserwowali, rozbłysło światło. Nie mógł się mylić. Zapaliło się i zgasło natychmiast. Ktoś był w środku.

– Ktoś tam jest! – krzyknął i otworzył drzwi.

Grzechu Kowal, z prędkością, o jaką nie mógłby go pół minuty temu nikt podejrzewać, wyskoczył z auta. Ruszyli biegiem w stronę wejścia do budynku, przedzierając się przez wyrwę w gęstym żywopłocie. Tuż przy drzwiach dosłownie wpadli na młodego chłopaka. Kubiak już chciał go zepchnąć z drogi, gdy nagle uświadomił sobie, że to właśnie on, ten, na którego czekali przez pół dnia. Wyrósł jak spod ziemi, zdążając w tym samym kierunku co oni.

– Grzechu, łap go, to on jest! – krzyknął Kubiak.

Kowal odwrócił się w pełnym biegu i chwycił nic nie rozumiejącego Maćka za kołnierz.

I w tym momencie zdarzyło się coś, czego nikt z uczestników zajścia nie mógł sobie wcześniej wyobrazić. Przed klatką stał mężczyzna w jasnym garniturze. Sierżant, który patrzył, jak Kowal chwyta ich obiekt, kątem oka zauważył, że facet ma w

ręku pistolet. Wydawało mu się, że wycelował broń w kierunku Kowala. Nim Kubiak zdążył pomyśleć, padł pierwszy strzał. Kowal zareagował błyskawicznie, skoczył na chłopaka i całym ciężarem ciała przygniótł go do ziemi. Sierżant nie zastanawiając się wiele, sięgnął do kabury pod ramieniem i wydobył swoją TT-kę. Błyskawicznie przeładował. Facet w drzwiach strzelał dalej do dwóch leżących ciał.

Ale ani jedna kula nie dosięgnęła celu. Ruski pistolet Kubiaka zagrzmiał jak armata. Druga TT-ka, należąca do Kowala, zaczęła miotać pociski w stronę napastnika. Plutonowy strzelał jak na strzelnicy, leżąc na brzuchu, jednak jego kule nie wyrządziły najmniejszej szkody bandycie. Mężczyzna, widząc zagrożenie ze strony leżącego, wycelował ponownie w jego stronę i wtedy pierwszy pocisk trafił. To Kubiak miał wreszcie chwilę, by odpowiednio wycelować i pociągnął język spustowy swojej broni.

Pocisk rozerwał jasny rękaw marynarki i utkwiał w ramieniu mężczyzny. Ten zawył głośno, a potem odwrócił się i zaczął biec w stronę parkingu. Kubiak wymierzył jeszcze raz, celując w plecy uciekającego. Ale ten ostatni strzał, opróżniający zupełnie magazynek, był chybiony. Kula roztrzaskała szybę jakiegoś samochodu.

– Grzechu, strzelaj! – krzyknął milicjant do swojego kolegi.

– A czym mam, kurwa, strzelać. Mogę na niego napluć najwyżej – odpowiedział Kowal, wstając z trawnika i wyciągając z pistoletu pusty magazynek. – Ja pierdołę, Tomek, ten pojebaniec strzelał do nas. Co to kurwa było? Jakiś kutas chciał mnie zabić? A ja go nawet nie znam.

Tomek Kubiak, który pierwszy raz w życiu strzelał do człowieka, był kompletnie roztrzęsiony. Bał się, że zaraz się przewróci. Jednak pewne czynności wykonywał niemalże automatycznie. Wyciągnął opróżniony magazynek, załadował nowy, włożył pistolet do kabury, a później usiadł na chodniku, opierając się plecami o ścianę budynku.

– Wy gnoje, spierdalać z tymi petardami, bo ludzie spać nie mogą! – krzyknął jakiś facet z okna na czwartym piętrze.

– Chuligany jedne, na milicję zadzwonię – odpowiedziała

mu kobieta z trzeciego.

– Cisza! – krzyknął Grzechu Kowal. – Ja jestem milicja! W powietrzu pachniało słodko kwitnącymi akacjami.

Godz. 23.55

Na ziemi leżał przerażony Maciek Trelka, który nie bardzo wiedział, co się dzieje. Jednego był pewien. Ten koszmarny dzień powinien jak najszybciej się skończyć. Pomyślał sobie jednak, że w filmach koszmary kończą się dopiero z nastaniem świtu. No, ale to przecież nie był film.

To, czego świadkiem był przed chwilą, tylko pozornie przypominało scenę z jakiegoś gangsterskiego filmu. W celuloidowej rzeczywistości każdy strzał oznaczał jednego trupa. A tutaj faceci strzelali do siebie z odległości kilku metrów i skończyło się na zaledwie jednej ranie. Wyglądało na to, że żaden z nich nie umiał obchodzić się z bronią.

I chyba to go uratowało, bo przecież ten typ w jasnym garniturze najwyraźniej strzelał do niego. Maciek rozpoznał go od razu. To był ten sam facet, który rano porwał go sprzed bloku. Teraz zaczął się na niego, bo wiedział, że nawiał z piwnicy. Ale kim do cholery byli ci dwaj, którzy stanęli w jego obronie. Ten wielki, co krzyczał, że jest z milicji, najwyraźniej uratował mu życie, bo gdy zaczęła się strzelanina, rzucił go na trawę i przykrył swoim ważącym sto dwadzieścia kilo ciałem.

Jeden z nich siedział teraz pod ścianą bloku, na chodniku. Ten wielkolud stał jakieś dwa metry dalej i palił papierosa. Wreszcie wyrzucił niedopałek, przydepnął go butem i spojrzał w stronę siedzącego na chodniku kolegi.

– Idę zawiadomić centralę – powiedział Grzechu Kowal. – Niech zajmą się poszukiwaniem tego postrzelonego kutasa.

– Weź od razu do auta tego młodego i zaobraczkuj go, bo nam jeszcze da dyla.

Sierżant Kubiak wstał, a jego partner pochylił się nad ciągle leżącym na ziemi chłopakiem.

– No, młody, koniec spania, wstawaj i idziemy do autka.

Maciek powoli podniósł się z ziemi. Wstając, zaczął otrząpywać dżinsy z paprochów, które oblepiły spodnie. Kowal chwycił go za prawą rękę i błyskawicznie zatrzasnął mu na przegubie kajdanki. Zdziwiony chłopak spojrzał na milicjanta. Chciał o coś zapytać, ale plutonowy pociągnął go za sobą. Ich samochód był zaparkowany tuż koło osiedlowego śmietnika, za zielonym żywopłotem. Nie było go widać z chodnika i dlatego Wirski nie dostrzegł czuwających wewnątrz milicjantów. Oni natomiast mieli na widoku cały blok łącznie z osiedlową drogą.

Maciek usiadł na tylnym siedzeniu, a milicjant przykuł kajdanki do uchwytu nad drzwiami. Obszedł samochód i usiadł na miejscu kierowcy. Przekręcił klucz w stacyjce i uruchomił silnik. Samochód powoli wytoczył się z parkingu na osiedlową drogę. Kowal zatrzymał auto w miejscu, w którym stał Kubiak. Wziął do ręki mikrofon radiotelefonu i wcisnął przycisk umożliwiający połączenie z centralą. Telefon był głuchy. Sprawdził wzmacniacz i okazało się, że przycisk zasilania jest wyłączony.

Po chwili z głośnika rozległ się głos dyżurnego:

– 085, odezwijcie się do cholery!

– Ja zero osiemdziesiąt pięć. Melduje się plutonowy Kowal. Mieliśmy pewne problemy. Była tu mała awantura z użyciem broni palnej. Postrzelony w rękę przestępca ucieka.

– Ty, Grzechu, co ty pierdolisz, kto strzelał?

– No, ja i Kubiak. Ale z nami wszystko w porządku. Aten, co do nas strzelał, gdzieś zwał, ale Tomek, znaczy się sierżant Kubiak, ranił go w rękę. Powiadomcie wszystkie patrole w okolicach Piastowskiego, facet metr osiemdziesiąt w jasnym garniturze, ranny w rękę. Jest uzbrojony w pistolet.

– To znaczy, że wasz obiekt podczas próby zatrzymania zaczął do was strzelać?

– No, niezupełnie. Obiekt jest zatrzymany i siedzi w naszym aucie.

– To kto to jest ten, kto strzelał?

– A chuj go wie.

Czwartek, 6 czerwca

Godz. 0.10

Sierżant Tomasz Kubiak stał oparty o maskę milicyjnego radiowozu. Widział teraz przed sobą sześć milicyjnych aut. Na trawniku uwijali się technicy poszukujący łusek i innych śladów, mimo że Kubiak wyjaśnił im, że nic ciekawego tam nie znajdą. Oni jednak wiedzieli swoje. W oknach bloku siedzieli rozbudzeni lokatorzy i komentowali między sobą wydarzenia. Jednak tak naprawdę, nikt nie wiedział, co się stało. Szczególnie cierpiała z tego powodu pani Grzybowska, która przegapiła tak ważne wypadki.

Tymczasem sierżant zastanawiał się nad tym, co się przed chwilą wydarzyło. Dokładnie zapamiętał twarz tego faceta, który do nich strzelał, i był przekonany, że już go gdzieś widział. Nie mógł tylko skojarzyć, gdzie i kiedy. Na szczęście, istniały całe teczki milicyjnych zdjęć przestępców i faceta będzie można spokojnie odnaleźć, bo skoro gdzieś się z nim zetknął, to znaczy że ten typ musiał już być notowany. Istniała jeszcze możliwość, że któryś z patroli znajdzie go dziś w nocy i wtedy przeglądanie kartotek nie będzie potrzebne.

Kapitan Marcinkowski podszedł do niego i wyciągnął papierosy. Podsunął sierżantowi otwartą paczkę klubowych. Zapalili.

– Co to za pasztet? Powiedz Tomek, co o tym myślisz?

– Bo ja wiem. Przede wszystkim to sędzę, że bez flaszki dzisiaj nie zasnę. Ten klient był od nas jakieś dziesięć metrów i ani razu nie trafił. Ale, co gorsza, myśmy też nie trafili.

– No, nie do końca. Jednak dostał w łapę.

– Powiem szczerze, daliśmy dupy na całej linii. Bo jak on zaczął strzelać, to myśmy wyciągnęli swoje pukawki i zaczęliśmy walić nie do niego, ale przed siebie. Ze strachu, rozumiesz. Myśmy strzelali, nie celując, bo byliśmy posrani ze strachu. W końcu tylko raz wymierzyłem i wtedy go kropnąłem. A jak bym się opanował od samego początku, to on by tu teraz leżał sztywny.

– A jak myślisz, dlaczego on zaczął do was walić? – zapytał Marcinkowski.

– On na początku wcale nie strzelał do nas. On z tym gnatem wyszedł na tego młodego, a myśmy się wtedy napatoczyli. Rozumiesz?

Chciał go sprzątnąć tu, przed blokiem. Zobaczył, że chłopak idzie, wyszedł na niego z klatki ze spluwą w ręce, a my dwaj wpadliśmy w tę gemelę.

Godz. 0.20

Czerwony fiat Wirskiego zatrzymał się na pustej uliczce osiedla domów jednorodzinnych. Mężczyzna wyłączył silnik. Parę metrów dalej stała taksówka. Wysiadło z niej dwóch wyraźnie rozbawionych facetów.

Wirski spojrzał na swoje zakrwawione ramię i zaklął cicho. Siedząc w samochodzie, zaczął analizować sytuację. Popęnił ewidentny błąd, a przy tym jeszcze wykazał się kompletnym brakiem profesjonalizmu. Przede wszystkim za wcześnie wyszedł z klatki schodowej. Chłopak był jakieś dziesięć metrów od drzwi. W normalnej sytuacji całkowicie by to wystarczyło. Liczył na to, że gdy ten zobaczy go wychodzącego i idącego mu naprzeciw, najpierw zatrzyma się, a dopiero później zacznie uciekać. Zwykle ten moment wahania wystarczał na zrobienie jeszcze kilku szybkich kroków i oddanie pewnego strzału.

No i tak jak przewidywał, ten chłopak rzeczywiście zobaczywszy go, przystanął, ale wtedy jak spod ziemi wyskoczyli ci dwaj. I ich idiotyczna reakcja całkiem go zaskoczyła. Źle wycelował pierwszy strzał, a oni też zaczęli strzelać. Na szczęście dla niego, byli zbyt zdenerwowani, by zrobić odpowiedni użytek ze swojej broni. Jemu też puściły nerwy. Dotychczas nigdy nie był w sytuacji, kiedy ktoś mierzył do niego z broni, nie mówiąc już o strzelaniu. Ci, do których strzelał dotąd, byli nieuzbrojeni. No i to dlatego właśnie stracił zimną krew i zachował się jak partacz.

Gdy poczuł ból w lewym ramieniu, wiedział już, że nie zdoła

załadować nowego magazynka do swojego walthera. Dlatego zaczął uciekać. Milicjantom też skończyła się amunicja i już zupełnie nie wiedzieli, co dalej robić. Pobiegł przez parking między samochodami i wypadł za sąsiedni czteropiętrowy blok. Tam zostawił wcześniej swojego fiata, by charakterystyczny samochód nie spłoszył wracającego do domu uciekiniera. Po drodze nie trafił na żadnego przechodnia. Strzelanina nie wyrwała ze snu mieszkańców osiedla.

Dopał do auta, otworzył drzwi i wszedł do środka. Wiedział, że ma niewiele czasu. Musiał jak najszybciej opuścić osiedle i dostać się do jakiegoś cichego i spokojnego miejsca. Czasu było coraz mniej, bo po strzelaninie milicja zrobi wszystko, żeby go złapać. Nie warto ryzykować jazdy do centrum, bo tam zatrzymać go mógł każdy patrol.

Nie miał wyjścia. Postanowił jechać do Weroniki, bo z osiedla Piastowskiego na Kaliską jechało się o tej porze dwie minuty. Teraz czekał na odpowiedni moment, by dostać się niezauważenie do willi. Jeden z mężczyzn wysiadających z taksówki, nachylony do okienka, tłumaczył coś taksówkarzowi. Wreszcie klient wyprostował się, kiwnął kierowcy i auto odjechało. Pozostawieni na chodniku pasażerowie odwrócili się w stronę willi. Po chwili byli już w środku. Na ten moment czekał Wirski. Szybko wysiadł z samochodu, przeszedł przez bramkę w ogrodzeniu i poszedł na tyły domu. Od strony ogrodu znajdowało się drugie wejście. Wiedział, że zazwyczaj jest otwarte. Nacisnął klamkę i drzwi puściły. Wszedł do niewielkiego korytarzyka, a później po schodkach, które kończyły się podestem przed drzwiami do kuchni. Przez chwilę stał i nasłuchiwał. Gdy upewnił się, że wewnątrz panuje spokój, otworzył drzwi. Zrobił krok naprzód i stanął jak wryty.

Godz. 1.30

– Kiedy i w jakich okolicznościach poznałeś Agnieszkę Klimek? – spytał Olkiewicz zza biurka. Przed nim na taborecie przysiadł kompletnie wytrącony z równowagi Maciek Trelka.

– Kogo? – zdziwił się przesłuchiwany Chorąży przesunął w jego stronę zdjęcie dziewczyny. Chłopak patrzył na nie przez chwilę, a później odłożył z powrotem na biurko.

– Niestety, ale ja pierwszy raz ją widzę.

– Nie znasz jej? – zdziwił się milicjant.

– Nie, proszę pana.

Zapadła cisza. Teofil zastanawiał się, o co dalej pytać. To pierwsze przesłuchanie i tak nie miało większego znaczenia. Ono miało dać do zrozumienia zatrzymanemu, że jest w beznadziejnej sytuacji i lepiej dla niego, by przyznał się do wszystkiego, do czego tylko się da. A milicja obywatelska i tak wie już wszystko. Było to jedynie przesłuchanie zmiękczone materiałem.

Olkiewicz nawet nie był zły, gdy godzinę temu obudził go dzwonek do drzwi. Wiedział, że jeśli budzą go w nocy, to coś się musiało wydarzyć. Marcinkowski przysłał po niego samochód z poleceniem natychmiastowego stawienia się w komendzie. Później nawet ładnie się zachował, bo przeprosił go za wyciągnięcie z wyra i dał Teosowi prócz akt i instrukcji o co pytać butelkę czystej, żeby mu jakoś noc minęła. Sam pojechał do domu się przespać, bo ledwie trzymał się na nogach. Przed rozpoczęciem przesłuchania Olkiewicz wypił więc sobie pół szklaneczki i schował flaszkę w sąsiednim pokoju. W razie czego zawsze mógł przerwać rozmowę i wejść tam po coś, nie budząc niczych podejrzeń.

– Ile razy w zeszłym roku byłeś w Niemczech? – zapytał znienacka, bo mu się przypomniało, że Fred kazał pytać o Niemcy.

– Kilka, nie pamiętam.

– Aha – Olkiewicz udawał, że coś notuje w grubym zeszycie, tymczasem szukał w swoich notatkach nazwisk tych dwóch zabitych dziewczyn i nie mógł ich znaleźć, dlatego pytał dalej, nie podnosząc wzroku znad kartek. – Po co tam jeździłeś?

– Na wycieczki.

– Aha – ucieszył się, bo trafił wreszcie na właściwy wpis. Podkreślił dwa razy długopisem zenith oba nazwiska i zaczął jeszcze raz od tej pierwszej.

– Agnieszka też tam jeździła na wycieczki? – zapytał podchwytliwie.

– Nie wiem, może.

– Więc jednak ją znasz – spojrzał na przesłuchiwanego z tryumfem w oczach, bo był przekonany, że przyłapał go na sprzeczności w zeznaniu.

– Nie znam – próbował się wykręcić chłopak.

– Jak to? Powiedziałeś, że może jeździła – postanowił pogrążyć go ostatecznie i dlatego spojrzał groźnie znad zeszytu.

– No nie, powiedziałem, że nie wiem.

Wijesz się jak piskorz, pomyślał Olkiewicz, ale teraz mi się już nie wywiniesz, bratku.

– A ja słyszałem, że może jeździła – przy dusił go jeszcze raz, patrząc z satysfakcją, jak pytany próbuje się wykręcić.

– No, nie wiem, nie mam pojęcia, kto to w ogóle jest i czy jeździła, o to mi chodzi.

Kłamie jak nic, już się zdradził, że jeździła do Niemiec. Teraz załatwię go na amen. Jeszcze raz zajrzał do zeszytu i odczytał drugie nazwisko.

– A Małgorzata Witkowska też jeździła, tak? – zapytał podchwytliwie, uśmiechając się przy tym, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że i tak wie już wszystko.

– Nie – odparł twardo Trelka.

– To nie poznałeś jej na wycieczce? – zdziwił się Olkiewicz.

– Nie.

– A gdzie?

– Ona jest ode mnie z roku, to ją znam ze szkoły.

Milicjant uśmiechnął się radośnie. No, pomyślał, wreszcie moja metoda krzyżowego ognia pytań zaczyna przynosić skutki. Już mam potwierdzenie, że znał jedną dziewczynę, zaraz przyzna się do znajomości z drugą.

– Była twoją dziewczyną? – wystrzelił z grubej rury.

– Nie – odpowiedział zmęczony Maciek.

– To czemu razem jeździliście do Niemiec – atakował dalej niestrudzenie Teofil.

– Nie jeździliśmy razem z Goską.

– Ale z Agnieszką tak.

- Jaką Agnieszka?
- No, tą, co mieszkała w Niemczech, tam ją poznałeś?
- Kogo?
- Ja tu się pytam – kogo. Agnieszkę czy Gośkę, no tę, z którą byłeś w Niemczech.
- Z nikim nie byłem w Niemczech.
- Jak to, sam jeździłeś na wycieczki?
- Nie, z różnymi ludźmi, chłopakami i dziewczynami.
- Aha, to znaczy, że i z Agnieszką i Gośką razem – ucieszył się chorąży Olkiewicz, czując już swoim niezawodnym milicyjnym nosem, że przesłuchiwany pęka.

Godz. 1.30

Przy stole w kuchni siedział Gruby Rychu i jadł kanapkę z kielbasą. Wirski stał w drzwiach i nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Wiedział doskonale, kim jest Rychu, bo kilka razy ich ścieżki przecięły się. Ale Wirski nigdy nie był w takiej sytuacji jak teraz. Czuł się idiotycznie z zakrwawioną ręką a poza tym nie wiedział, co ten gruby facet tu w ogóle robi.

– Wchodź pan, panie Wirski, i siadaj – Rychu wskazał mu białe krzesło.

– Widzę, żeś pan wpadł w jakieś gówno, ale akurat na to możemy coś zaradzić. Zaraz zawołam panią Bronię.

Wstał od stołu i wyszedł z kuchni.

O co tu chodzi, zastanawiał się Wirski, i skąd się tutaj wziął ten typ?

Wygląda to tak, jakby on tu czekał na mnie, bo wcale się nie zdziwił, gdy mnie zobaczył.

Weszła pani Bronia, a za nią Rychu. Kobieta bez słowa podeszła do Wirskiego i zaczęła mu ściągać zakrwawioną koszulę. Przemyśla ranę ciepłą wodą i z uwagą przyjrzała się oczyszczonemu śladowi po kuli.

– Szczęście to pan majak nic. Kula rozerwała tylko skórę. Znaczy się, prześlizgnęła się po ramieniu, ale nic nie zwojowała. Do wesela się zagoi, ale dobrze by było, byś pan

poszedł jeszcze do lekarza, bo to może się paprać.

-Ale boli jak diabli -jęknął Wirski.

- Nie trzeba się było bawić w milicjantów i złodziei, to by nie bolało, a teraz siedź pan grzecznie, bo będę zawijać – pouczyła go kobieta tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Z szuflady kredensu wydobyła bandaż, plaster i nożyczki. Ranny mało nie zemdlął, gdy połała mu ranę solidną porcją wody utlenionej, ale później działała już niemal bezboleśnie. W ciągu paru minut ramię było fachowo zawinięte, a fotografię opatrunku można byłoby z powodzeniem umieścić jako przykład na stronie podręcznika przysposobienia obronnego dla klas pierwszych liceum ogólnokształcącego.

W tym czasie Rychu zdążył spokojnie zjeść wszystkie sznytki ze swojego talerzyka i wypić szklankę herbaty madras.

- No, to jesteś pan jak nowy – powiedział, uśmiechając się do Wirskiego. - Pani Broniu, niech pani będzie tak miła i znajdzie dla pana jakąś koszulę. Kobieta wyszła z kuchni.

- Nie wiedziałem, że i tutaj może pan wydawać polecenia – zdziwił się Wirski.

- Polecenia? Ja nie rozkazuję, ale grzecznie proszę. A to jest znaczna różnica – uśmiechnął się Rychu. - No, ale przejdźmy do rzeczy.

Pani Weronika jest moją starą przyjaciółką i trochę czuję się za nią odpowiedzialny.

- Jest pan jej alfonsem? – zdziwił się Wirski.

- Ady tam zara. Pani Weronika jest osobą niezależną, ale jak powiedziałem, pomagam jej w niektórych sprawach. Tych trudniejszych sprawach. Myślę, że pod wpływem emocji zrobiła błąd, kontaktując się z panem i nie mówiąc mi o tym. No, ale tak to już w życiu bywa, że w chwilach szczególnego napięcia robimy rzeczy, których nie zrobilibyśmy w normalnej sytuacji.

- Drogi panie Wirski – ciągnął spokojnie Rychu. - Myślę, że złecone zadanie dobiegło końca z chwilą dostarczenia tego gnojka tu na miejsce. Proszę więc o wstrzymanie się z jakimikolwiek działaniami wykonywanymi na prośbę pani Weroniki.

A tu masz pan resztę umówionej kwoty.

Wydobył z kieszeni kopertę i położył ją na stół.

– Łe, jeszcze jedno. Myślę, że w tym stanie nie powinienes się pan pałętać po ulicach. Pani Bronia już przygotowała dla pana pokoik na górze. Prześpij się pan. A – i kluczyki od auta potrzebuje.

Wirski spojrzał na niego zdziwiony.

– Trzeba w nim trochę posprzątać, nie?

– Dlaczego pan to robi? – zapytał Wirski.

– Co? – zdziwił się Rychu.

– No, pomaga mi pan...

– Panie Wirski, ja po prostu nie chcę, żebyś pan wpadł w łapy milicji, bo możesz przez przypadek przypomnieć sobie, dla kogo była zlecona robota. A jak już pan wiesz, trochę pomagam pani Weronice.

A tak w ogóle, jesteś pan pewny, że ten mikry szczun mógłby kom kolwiek obciąć głowę?

Godz. 1.40

W całym domu panowała kompletna cisza. Ostrożnie otworzył drzwi do mieszkania i wszedł do ciemnego przedpokoju. Nie chciał zapalać światła, by nie obudzić śpiącej żony. Jak zwykle rozebrał się w korytarzu i w samych gaciach poszedł po omacku do kuchni. Przed wejściem poszukał włącznika na ścianie. Zrobiło się jasno. Z lodówki wydobył wodę grodziską i napił się wprost z butelki. Usiadł przy stole i włączył radio tranzystorowe. Na UKF-ie wszystkie stacje o tej porze spały. Przełączył więc na długie. Nadawali „Muzykę nocą”. Jeszcze raz wrócił do lodówki, bo przypomniał sobie, że jest tam schowana butelka bałtyckiej, a czuł, że musi się napić po tym dzisiejszym dniu. Odkręcił metalowy korek i pociągnął spory łyk. Zakrztusił się i o mało nie zwrócił wszystkiego na podłogę. Z trudem opanował atak kaszlu. Stał chwilę przy otwartych drzwiach lodówki. Jeszcze raz sięgnął po grodziską. Woda spłukała smak wódki. Na stole leżały klubowe. Zapalił i usiadł na krześle. Poczuł, że wreszcie napięcie zaczyna

ustępować.

Sięgnął po zeszyt, w którym Grażyna skrzętnie zapisywała wszystkie wydatki, i wyrwał środkową kartkę. Rozłożył ją na stole i zaczął pisać. Od dawna rozpisывał sobie w ten sposób wszystkie najważniejsze fakty z prowadzonego dochodzenia.

Teraz zapisał nazwisko zatrzymanego chłopaka i poprowadził od niego dwie kreski. Na końcu jednej wpisał nazwisko studentki, na drugiej nazwisko prostytutki. Powiązania tej dziewczyny z akademikiem z Trelką były poza dyskusją. Znali się, ale nie wiadomo jak blisko. Przy drugiej kresce napisał „NRF”. Z informacji, które udało się zebrać jego współpracownikom, wynikało, że dziewczyna przez dłuższy czas mieszkała we Frankfurcie. Trelka wyjeżdżał do Niemiec. Tam mogli się poznać i tutaj spotkać ponownie. Ale nie było na to żadnego dowodu.

No i jeszcze motyw. Czy fascynacja filmami grozy mogła przerodzić się w obsesję i skłonić do morderstwa? Pewnie, że tak. Było już wielu wariatów, którzy zapatrzyli się na filmy i utożsamili z bohaterami. W szpitalach psychiatrycznych co jakiś czas zdarzają się agenci J-23. No, ale czy w tym wypadku jest tak rzeczywiście, to będą musiały potwierdzić badania lekarskie.

I jeszcze coś. Ten uduszony bezdomny, Frankowski. Zginął całkiem niedaleko domu Trelki. A był to jedyny człowiek, który widział faceta wrzucającego ciało do wody. Morderca mógł zauważyć kloszarda. Skojarzył, że to ten facet, który grzebie w śmietnikach na osiedlu.

Przyuważył go w odpowiednim momencie i ukręcił mu głowę.

I ten fakt, myślał Fred, może mieć rozstrzygające znaczenie.

Wszystko więc wskazywało na to, że mają podejrzanego, którego od biedy można by przypasować do tych zbrodni. Jutro trzeba przeszukać jego mieszkanie i samochód. Jeśli w aucie będą ślady krwi, wszystko będzie jasne.

A skarabeusz?, przypomniał sobie tatuaż z robakiem na ramieniu pierwszej znalezionej dziewczyny. To chyba tylko niepotrzebny szczegół, któremu przypisałem zbyt wielkie

znaczenie. No cóż, moje przeczucie w końcu mnie zawiodło.

Zadowolony, że wszystko sobie poukładał, postanowił, że wypije jeszcze małego łyeczka i pójdzie spać. Podniósł wzrok znad kartki i zobaczył, że w drzwiach do kuchni stoi oparta o framugę Grażyna.

– Czy w twoim milicyjnym świecie jest chociaż trochę miejsca dla mnie? – zapytała z uśmiechem.

Godz. 1.45

Mirek Brodziak siedział na schodach i palił papierosa. Obok niego stała do połowy opróżniona butelka stołowej. Popijał wódkę niewielkimi łyżkami i popalał papierosa. Był już kompletnie pijany i to była przyczyna, dla której pił tej nocy w tak nietypowych warunkach. Parę minut temu wszedł na piętro i zapukał do mieszkania Marzeny.

Kilka minut trwało, zanim dziewczyna otworzyła drzwi. Już chciała go wpuścić do środka, ale zauważyła, że ledwo trzyma się na nogach.

Kiedys powiedziała mu, że nie chce go widzieć, jak będzie nachlany do nieprzytomności. Dziś nie pamiętał o tym. Wydawało mu się, że ta strzelanina, którą przeżyli jego koledzy, jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla jego stanu. Wspólnie z Kubiakiem i Kowalem wypili dwie butelki wódki, a Brodziak wziął jeszcze jedną na drogę. Teraz chciał opowiedzieć Marzenie o tym, co się wydarzyło, ale ona nie dała mu dojść do słowa. Powiedziała tylko, że jest nachlaną świnią i może sobie spać na korytarzu. Przyjął to ze stoickim spokojem. Gdy zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, usiadł na schodach i otworzył butelkę. Wiedział, że nasłuchiwała z drugiej strony, zastanawiając się, czy sobie pójdzie. Nie poszedł. Był przekonany, że ona w końcu zmięknie i prędzej czy później wpuści go do domu. Tu mógł go w końcu zobaczyć jakiś sąsiad i wstyd byłby na całą kamienicę. Oczywiście, wstyd nie dla niego, bo on miał głęboko w nosie, co powiedzą sąsiedzi. Wstyd dla Marzeny, która była bardzo wyczulona na opinię innych.

Postanowił więc spokojnie czekać, aż dziewczyna pęknie.

Pociągnął jeszcze łyk z butelki i oparł głowę o ścianę. Po paru sekundach klatkę schodową wypełniło donośne chrapanie porucznika Brodziaka.

ROZDZIAŁ XI

Piątek, 7 czerwca

Godz. 11.30

– I jak tam ten twój zatrzymany? – zapytał pułkownik Żyto kapitana Marcinkowskiego, który właśnie rozsiadał się za stołem.

Przez otwarte okno wlewało się do pokoju coraz bardziej gorące powietrze, a wietrzenie przynosiło wręcz odwrotny skutek. Fred od razu zaczął się pocić, dlatego bez zastanowienia poluzował krawat.

– Na razie jeszcze wszystko w proszku, obywatelu pułkowniku – zameldował nieregulaminowo Marcinkowski.

– To znaczy? – zainteresował się podpułkownik.

– No, niestety, dotąd do niczego się nie przyznał.

– Łee tam – machnął ręką Żyto. – Myślę, że to tylko kwestia czasu.

A jak tam wyniki oględzin? Co znaleźliście w jego mieszkaniu, w samochodzie?

– Znowu na dwoje babka wróżyła – odpowiedział kapitan. – Po pierwsze, w mieszkaniu tak jak się spodziewaliśmy, była ogromna kolekcja prawie pięćdziesięciu kaset z filmami. Same horrory. Aż się rzygać chce, jak człowiek na to patrzy, bo krew się leje strumieniami.

Z tego wynika, że facet to fanatyk tego paskudztwa.

– Jak takie gówna można oglądać? – zdziwił się dowódca. – Ja w ogóle nie lubię filmów, gdzie jest przemoc. O, westerny to owszem, takie jak ten Po południu, czy Winnetou albo wojenne, jak Kloss, Czterech pancernych, Siedemnaście mgnień wiosny, to człowiek se z przyjemnością obejrzy, ale takie gówna to aż mną wstrząsają.

– No właśnie, obywatelu pułkowniku, to znaczy, że trzeba

mieć nie wszystkie klepki w domu, żeby na takie coś patrzeć. No, ale czy to jest wariat, to zobaczymy, jak wyślemy go na badania psychiatryczne. Na razie Teoś magluje klienta cały czas i nic z tego nie wynika.

– Twardy jest? – zainteresował się pułkownik.

– Ady tam, zaraz twardy, zachowuje się tak, jakby nie wiedział, o co chodzi, ale dziś wreszcie go załatwimy. Bo technicy zbadali jego trabanta. No i proszę sobie wyobrazić, że w środku natrafili na odciski palców Małgorzaty Witkowskiej, tej pierwszej zamordowanej.

Więc wszystko zaczyna nam się składać. Ale nie natrafili na najmniejszy nawet ślad krwi. Więc musiał przewozić zwłoki w jakiejś folii albo jak.

– No to rzeczywiście jest sukces! – rozpromienił się Żyto. – Napijesz się wody sodowej?

Wstał zza biurka i nie czekając na potwierdzenie, podszedł do okna. Na parapecie stała metalowa, jasnoniebieska butla NRD-owskiego syfonu na naboje. Plastikową tackę z dwiema szklankami postawił na biurku i nalał sobie wody. Popatrzył na kapitana.

– No śmiało, Fred, pij. Trochę ciepła, ale i tak lepsza niż kranowa. Marcinkowski sam się obsłużył, napełniając szklankę do połowy.

Wypił. Woda smakowała jak chlorowana gnojówka z bąbelkami, ale nie było się na co obrażać. I tak lepiej nie było w pokoju, bo Żyto, odkąd dostał syfon w prezencie, pił tylko własnoręcznie zrobioną wodę z bąbelkami.

– To co, kapitanie, ile jeszcze czasu potrzebujesz na przekazanie sprawy do prokuratury?

– Niech mi pan da tydzień i myślę, że pozapinamy wszystko na ostatni guzik.

Podpułkownik Żyto spojrzał zadowolony na wiszący przed Fredem portret Dzierżyńskiego.

– No i co, Feliksie Edmundowiczu, twoi czekaści mogliby się od naszych chłopaków wiele nauczyć, nieprawdaż? – mrugnął do Marcinkowskiego.

Godz. 12.00

– Ja już, kurwa, mam dość tych ksiutów. Chłopaku, jak długo jeszcze będziemy maglować to samo. Powiedz wreszcie prawdę i wszystko będzie w porządku. A ty się, kutasie jeden, upierasz jak dziecko. Po co ci to mówię? Marnujesz mój cenny czas i swój oczywiście także. Jeśli milicja obywatelska wie wszystko, to, za przeproszeniem, na chuj wprowadzasz organy w błąd, nie szanując naszego czasu i wysiłku, który można by przerzucić na inny odcinek walki z przestępczością.

– Ale ja ciągle nie rozumiem, do czego mam się przyznać – Trelka spojrzał na Olkiewicza, jakby rzeczywiście nic nie rozumiał.

– Jak to, ty łachudro, nie rozumiesz? Rozumiesz lepiej niż ja, tylko udajesz, kreaturo niemyta. Ale my już wiemy lepiej od ciebie, co zrobiłeś, bo ślady naprowadziły nas na odpowiednią ścieżkę.

– Jaką ścieżkę?

– Ja tu pytam, a ty mówisz, gnoju! – krzyknął Olkiewicz, który był już naprawdę zły.

Było upalne południe, a on zamiast siedzieć za stołem i pić zimne piwko, musiał użerać się z jakimś parszywym gnojem. I nawet nie mógł mu przylać, bo drzwi do pokoju, w którym siedział za biurkiem Brodziak, były cały czas otwarte. A Mirek, zupełnie nie wiadomo dlaczego, nie pozwalał tłuc zatrzymanych. Nieraz zdarzało się, że podczas jakichś akcji czy zatrzymań bardzo skutecznie używał pięści, ale w komendzie zamieniał się w baranka i co gorsza, nikomu nie pozwalał nawet lekko przyłożyć w papę.

Teofil wyciągnął z paczki ekstra mocnych papierosa. Pokruszył go trochę w palcach, a potem zapalił. Duszący smród natychmiast wypełnił cały pokój. Milicjant zakrztusił się pierwszym pociągnięciem, ale następne już gładko weszło w płuca. Wstał i z papierosem w zębach przeszedł do sąsiedniego pokoju. Brodziak siedział za biurkiem i czytał gazetę. Podniósł wzrok znad płachty i spojrzał pytająco na Olkiewicza. Ten

znacząco przyłożył rękę do szyi i ruchem głowy wskazał na swoje biurko. Mirek skinął przyzwalająco głową. Zadowolony Olkiewicz szybko nalał wódki do dwóch szklanek i jedną podał porucznikowi.

Wypili bez popijania. Pokrzepiony chorąży dziarsko wmaszerował do pokoju, w którym siedział zatrzymany.

– No to ci, kurwa, teraz powiem, że w twoim samochodzie znaleziono odciski palców niejakej – tu Olkiewicz spojrzał do swojego notatnika i powoli odczytał – Małgorzaty Witkowskiej, lat 21, studentki historii zamordowanej najprawdopodobniej w nocy z 29 na 30 maja 1985. I co powiesz na to, skurwielu? – zapytał, spoglądając tryumfalnie na chłopaka. Ten nic nie odpowiedział, ale widać było już na pierwszy rzut oka, że zbladł jak ściana. Po chwili jednak wyszeptał:

– Gośka jechała ze mną w poprzednią środę. Wiozłem ją z uczelni do akademika.

Zobaczyłem ją zupełnie przypadkiem. Wchodziłem po wijących się schodach Okrągłaka. Chciałem wejść na drugie piętro do sklepu obuwniczego. Gdy byłem pomiędzy pierwszym a drugim, nagle ją dostrzegłem. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Schodziła drugimi schodami na dół. Zapomniałem o butach i sklepie. Roztrącając ludzi, zbiegłem na dół. Stałem przed spiralą schodów, którymi szła. Była tak zamyślona, że zauważyła mnie, dopiero gdy prawie wpadła na mnie.

– Jesteś! -powiedziałem. Chyba się trochę zmieszala, aleja wtedy tego zupełnie nie zauważyłem. – Wróciłaś w końcu! – mówiłem. – Dlaczego nie dałaś znaku życia, dlaczego się nie odzywałaś tyle czasu, czemu nie powiedziałaś, że jesteś? – zasypywałem ją pytaniami: Uśmiechnęła się niepewnie, a potem powiedziała:

– Wiesz, minęło już tyle czasu, nie wiedziałam, czy chcesz się ze mną jeszcze zobaczyć. Poza tym, wszystko się zmieniło – tłumaczyła.

– Od kiedy jesteś w Poznaniu? – nie dawałem za wygraną.

– Od niedawna.

– Wróciłaś na stałe? – pytałem z nadzieją w głosie.

– Tak, ale to i tak nie ma znaczenia -powiedziała Agnieszka.

– Jak to nie ma znaczenia, jesteś i to się liczy przede wszystkim. — cieszyłem się jak wariat.

– Ty nic nie rozumiesz – zacisnęła usta. — Wszystko się zmieniło – próbowała mi tłumaczyć, a ja jak głupiec brnąłem dalej, szukając najprostszego z możliwych wytłumaczeń.

– Masz kogoś?

– Nie. To nie o to chodzi, nie zrozumiesz tego. Chodzi o to, że nic już nie może być takie, jak dawniej. Wszystko, co było kiedyś, teraz nie ma już żadnego znaczenia. To było i już odeszło. Teraz wszystko jest zupełnie inne – tłumaczyła mi dalej, a ja niczego nie rozumiałem, bo tak naprawdę nie chciałem zrozumieć.

– Słuchaj – powiedziałem do niej. — Widzę, że tam, w Niemczech, coś się zmieniło, ale jesteśmy tu i teraz możemy spokojnie o tym pogadać. Nie tu, w tej chwili. Mamy czas. Skoro wróciłaś, to tylko się liczy. Jesteśmy, i wszystko jeszcze przed nami.

– Naprawdę nic nie rozumiesz... — mówiąc to, patrzyła gdzieś w bok, jakby chciała uniknąć mojego spojrzenia.

– Wiesz co, Agnieszko, spotkajmy się i porozmawiajmy. Chyba możesz poświęcić mi kilka godzin. Usiądziemy, pogadamy jak za dawnych czasów. Daj mi tylko możliwość...

– Nie wiem, myślę, że i tak nic z tego nie zrozumiesz. Ja po prostu jestem już kimś innym.

– To niemożliwe! — przekonywałem ją. — Musimy się spotkać, proszę. — Widziałem, że się zastanawia, że coś rozważy i chciałem to wykorzystać. — Powiedz, gdzie mieszkasz, to przyjadę do ciebie — powiedziałem, ale zobaczyłem strach w jej oczach. Zaraz się więc wycofałem. — Nie, albo jak będziesz mogła, przyjedź do mnie. Wiesz, gdzie mieszkam. Ciągłe w tym samym miejscu. Jeśli możesz, na przykład w niedzielę. Cały dzień będę w domu. Przyjedziesz?

– Dobrze, przyjadę, ale uwierz mi, to nic nie da...

– Nieważne, przyjedź, proszę!

– Będę w niedzielę.

Spojrzała na mnie i przez chwilę wydawało mi się, że w jej oczach widać łzy. Ale chyba mi się tylko wydawało. Odwróciła

się szybko i wybiegła na ulicę. A ja stałem wewnątrz cylindrycznej klatki schodowej oplecionej podwójnym węzłem schodów.

Godz. 12.24

„Pociąg dalekobieżny z Poznania do Kołobrzegu, przez Oborniki Wielkopolskie, Rogoźno, Chodzież, Pile Główną i Szczecinek odjedzie z toru przy peronie pierwszym. Powtarzam, pociąg dalekobieżny do Kołobrzegu... ”

Mariusz Blaszkowski stał w otwartym oknie pociągu i spoglądał na wypełniony ludźmi, samochodami i autobusami plac przed Dworcem Głównym. Stał na korytarzu, bo pociąg był wypełniony po brzegi. Tłoczno było nie tylko w przedziałach, ale także i we wszystkich przejściach. Ludzie zajmowali nawet ubikacje i łączniki pomiędzy wagonami. Mariusz znalazł się w wyjątkowo komfortowej sytuacji, bo stał przy samym oknie i przynajmniej mógł się oprzeć. Spojrzał na elektryczną tablicę zainstalowaną pod dachem peronu. Do odjazdu pociągu została jeszcze minuta.

Cieszył się, bo za dwie godziny powinien, oczywiście, o ile pociąg będzie jechał zgodnie z rozkładem jazdy, znaleźć się w Pile. Po raz pierwszy, odkąd dostał się do milicji, otrzymał przepustkę. I to jaką przepustkę! Wystawił mu ją szef wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej podpułkownik Żyto na prośbę kapitana Marcinkowskiego. Była to nagroda za pomoc w śledztwie, w tak zwanej sprawie „łowcy głów”. Marcinkowski, jego nowy szef, załatwił mu też stałe przeniesienie do komendy wojewódzkiej i to była dla niego najlepsza nagroda. Przestał bowiem podlegać formalnie swojemu dotychczasowemu dowódcy z Taborowej, porucznikowi Jastrzębskiemu. Teraz na Taborową chodził tylko spać, a oficjalnie przydzielony został do zespołu kapitana Marcinkowskiego.

Jechał do domu na tydzień, zadowolony z tego, co się stało. Już widział, jak jego ojciec będzie szczęśliwy, gdy opowie mu o tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Jego stary był od

ponad dwudziestu lat milicjantem, ale nie bardzo chciał, żeby syn poszedł w jego ślady. Zwłaszcza w czasach, gdy wejście do milicji musiała poprzedzać służba w ZOMO. Jednak teraz, po paru miesiącach tej gównianej służby, dzięki przypadkowi skończył z ZOMO, a został stażystą w wydziale kryminalnym.

Szarpięcie i głośny zgrzyt kół pociągu wyrwały go z zamyślenia.

Cały skład powoli ruszał na północ, wtaczając się pod most Dworcowy.

Mariusz spojrzął jeszcze raz na zegar.

12.25, czyli ruszył o czasie, pomyślał z ulgą. Mam nadzieję, że dowlecze się planowo do Piły. Na piętnastą mama zawsze robi obiad, była więc duża szansa, że załapie się jeszcze na ciepłe jedzenie, zwłaszcza że w Pile mieszkał pięć minut drogi od Dworca Głównego. Swój pobyt w rodzinnym mieście zaplanował już w najdrobniejszych szczegółach.

Dziś spotkanie z kumplami ze szkoły. Może jakieś piwo w Młynie albo w Gościradzie. To się jeszcze zobaczy, jak się sprawy rozwiną. Może wieczorem dyskoteka w Rokadzie, a jutro cały dzień na plaży nad jeziorem Płotki. Ale najważniejsze, że na wszystkie wydatki miał kasę, bo przez ostatnie trzy miesiące nie wydał prawie ani grosza z przysługującego mu żołdu.

Tydzień niespodziewanych wakacji. Czy może być coś piękniejszego? Zacząłem powoli przypominać sobie to wszystko, co wiązało się z Agnieszką. To była miłość jak z filmu. Poznaliśmy się w Poznaniu. Przyjechała tu na studia. Jakoś tak zupełnie przypadkowo wpadliśmy na siebie na korytarzu w Collegium Novum. Potraściłem ją, a ona mało nie upadła na ziemię. Gdybym jej nie złapał, pewnie leżałaby jak długa. Staliśmy, patrząc na siebie bez słowa i chyba po raz pierwszy w życiu poczułem, że to, co piszą w książkach o miłości od pierwszego wejrzenia, to nie jest tylko wymysł natchnionych pisarzy.

Nie dostała się na uczelnię. Coś tam poknociła z językiem rosyjskim na egzaminie wstępnym i wszystko oblała. Ale nie przejmowaliśmy się tym zbytnio. To nie był przecież problem.

Spędziliśmy razem całe wakacje, planowaliśmy już, że ona pójdzie w Poznaniu do szkoły policealnej. W sierpniu pojechała do domu do Piły. Stamtąd zadzwoniła, że dostała niesamowitą propozycję pracy w NRF-ie i chyba pojedzie tam na trochę. Na początku pisała codziennie. W jednym z listów powiedziała mi, że postanowiła, specjalnie dla mnie, zrobić sobie na ramieniu tatuaż. Długo zastanawiała się, co to ma być, i w końcu postanowiła, że będzie to skarabeusz, symbol odrodzenia. Pisała o odradzającej się co dnia naszej miłości.

Codziennie zaglądałem do skrzynki pocztowej. Ale listów było coraz mniej. W końcu przestały przychodzić.

Moje listy wracały z adnotacją „Adresat nieznany”.

Teraz, gdy wróciła, byłem pewny, że wszystko będzie jak dawniej.

Zacniemy wszystko od początku. Myślałem już, jak będę ją trzymał w ramionach.

Nie spodziewałem się tego dnia Gośki. Przyszła, jak zwykle, bez zapowiedzi. Gdy zobaczyłem ją w drzwiach, nawet się ucieszyłem. Postanowiłem wyjść z tego związku z twarzą. Tak naprawdę, to nawet nie był związek. Sypialiśmy ze sobą, spotykaliśmy się od czasu do czasu. Najczęściej było to tak właśnie jak teraz. Ona wpadała wieczorem, zostawała na noc i rano znikła.

Powiedziałem jej więc uczciwie, że to wszystko nie ma sensu. Powinniśmy się przestać widywać. Poza tym wróciła Agnieszka i to wszystko zmienia. Gośka zaczęła płakać, a później wpadła w prawdziwy szal. Zaczęła krzyczeć, że ona mi tego nie daruje, że opowie wszystkim, że ją wykorzystałem i zostawiłem. No i na koniec powiedziała, że nie da mi spokoju, bo jest w ciąży i wszystko opowie tej dziwce, która chce jej mnie odebrać. Nie chciałem jej zrobić krzywdy. Nie wiem, jak to się stało. Przestraszyłem się, że ta idiotka zepsuje to wszystko, co było takie czyste i piękne między mną i Agnieszką. Złapałem ją tylko, by się uspokoiła. Zatkąłem dłonią usta. Przytrzymałem ją mocno i wtedy okazało się, że ona jakoś tak dziwnie zwiotczała. Bezwładnie opadła na podłogę. Gdy doszedłem do siebie, chciałem ją ocucić, ale ona nie dawała znaku życia.

Godz. 12.30

Maciek Trelka siedział blady na taborecie. Nic z tego, co mówił Olkiewicz, nie docierało do niego. Teofil położył nogi na biurku i palił kolejnego papierosa. Zastanawiał się, czy nie zakończyć już na dziś przesłuchania. Widział, że ostatnia informacja, ta o odciskach palców w samochodzie, zrobiła na chłopaku odpowiednie wrażenie. Ten przestraszony gnojek odjechał myślami gdzieś daleko i przestał odpowiadać na jakiekolwiek pytania. Teoś wiedział, że albo teraz wykorzysta moment, przy dusi go do podłogi i spowoduje, że przestępca pęknie, albo pozwoli mu odejść do celi i zabierze się za niego później. Pierwsze rozwiązanie miało swoje dobre strony, bo przy założeniu, że facet jest już gotowy do zeznań, pozwalało szybko zakończyć przesłuchanie i uzyskać podpis na przyznaniu się do winy. Drugie wydłużało całą sprawę, ale dawało przesłuchującemu parę godzin wytchnienia. Olkiewicz pomyślał sobie, że mógłby w tym czasie wyskoczyć do pewnej sympatycznej piwiarni na Dąbrowskiego. Parę piw pozwoliłoby mu na przemyślenie dalszej strategii przesłuchania. Poza tym – zbliżała się pora obiadowa. Za chwilę w stołówce zaczną wydawać fajnie przyrządzoną, pieczoną fladkę z ziemniakami i surówką z kiszonej kapusty. Na pierwsze danie – Teofil już rano był w bufecie i przeanalizował dzisiejszy jadłospis – miała być zupa pomidorowa z lanymi kluskami.

To przeważało szalę i chorąży podjął ostateczną decyzję. Podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wezwał podoficera na służbie. Gdy ten wszedł, kazał wyprowadzić aresztanta, a sam poszedł do pokoju obok. Brodziak drzemał w fotelu przy biurku. Olkiewicz nachylił się nad nim i trącił go w ramię.

– Co, przyznał się? – zapytał powracający do rzeczywistości porucznik.

– Jeszcze nie, ale jesteśmy już coraz bliżej. Zrobiłem małą przerwę. Może chlapniemy jeszcze po małym przed obiadem,

obywatelu poruczniku?

Brodziak, jak zwykle, nie miał nic przeciwko temu.

Gdy zdałem sobie sprawę z tego, co się stało, nie wiedziałem zupełnie, co dalej robić. Leżałem przy niej na podłodze i chyba popadłem w jakiś obłąd. Mówiłem do niej, chciałem, aby się poruszyła, by się ocknęła, głaskałem ją po twarzy, po rękach, włosach. Prosiłem, by wstała, przepraszałem. Wszystko na nic. Był już środek nocy, gdy wreszcie jako tako doszedłem do siebie. Mój umysł zaczął pracować w miarę normalnie. Przeanalizowałem całą sytuację i doszedłem do wniosku, że lamentowanie nic nie da. Muszę zacząć działać. Rozebrałem ją do naga, by utrudnić identyfikację, bo wiedziałem, że niekiedy dzięki częściom garderoby łatwiej jest rozpoznać nieżyjącą osobę. Ciuchy postanowiłem spalić. Ciało zawinąłem w gruby koc i tak zawinięte zaniósłem do samochodu. Było już po północy, więc musiałem się śpieszyć. Zdawałem sobie sprawę, że noc nie będzie trwać wiecznie i już za parę godzin przyjdzie świt. A ja musiałem pozbyć się jej tak, by nikt tego nie zauważył. Otworzyłem bagażnik i ułożyłem ją w środku. Nie przypuszczałem jednak, że będzie to takie trudne. Walczyłem z oporem materii prawie godzinę, nim udało mi się zamknąć pokrywę bagażnika. W końcu zupełnie wyczerpany usiadłem za kierownicą. Do mostu miałem bardzo blisko. W pięć minut byłem na miejscu. Zatrzymałem samochód nad środkowym przesłem. Chciałem wyrzucić ją na samym środku rzeki, by najsilniejszy nurt wyniósł ją jak najdalej. Wydobyć ciało z bagażnika poszło już zdecydowanie łatwo. Błyskawicznie przerzuciłem ją razem z kocem przez barierkę i zaraz potem usłyszałem głośny plusk. Dowody wyrzuciłem też resztę w foliowej reklamówce.

Dopiero wtedy rozejrzałem się dookoła. Ale ta spóźniona ostrożność okazała się zupełnie zbyteczna. Drogi dojazdowe do mostu były zupełnie puste. Wsiadłem do auta z poczuciem ulgi. Pomyślałem, że to wszystko, co wydarzyło się dziś wieczorem, ma jakiś głębszy sens. To wszystko było jak ofiara złożona na ołtarzu najwspanialszego Bóstwa, mojej Agnieszki.

Godz. 13.30

Jola stała koło okna i patrzyła na samochody przejeżdżające ulicą. Co chwilę pod budynkiem komendy wojewódzkiej zatrzymywały się radiowozy i prywatne samochody. Mimo że ulica Kochanowskiego była boczną uliczką ruch panował tu jak przed dobrze zaopatrzonym sklepem w centrum. Milicjanci w mundurach co chwilę przeganiali z głównego podjazdu cywilne samochody interesantów, którzy chcieli zaparkować jak najbliżej wejścia do komendy. Oni musieli parkować na chodnikach pobliskich uliczek. Podjazd był dla aut milicyjnych. Przed chwilą taki właśnie mundurowy wprowadził ją na drugie piętro budynku i kazał czekać na korytarzu, podczas gdy sam zniknął za jakimiś drzwiami. Stała teraz z kartką w ręce, którą wypisano jej w biurze przepustek. Parę dni temu, gdy trafiła do szpitala na Lutyckiej po tym całym nieszczęściu z Goską, przyszedł do niej jeden sympatyczny milicjant. Pogadał z nią trochę, ale widział, że nie jest w najlepszym stanie. Dlatego zaprosił ją, tego właśnie sformułowania użył, na komendę wojewódzką w piątek o 13.30. No i zgodnie z tym zaproszeniem już dziś przyjechała do Poznania, choć egzaminy wstępne na PWSSP zaczynały się dopiero w poniedziałek.

Drzwi, za którymi zniknął jej przewodnik, znów się otworzyły i milicjant skinął na nią głową. Posłusznie weszła do środka. Za biurkiem siedział ten sam mężczyzna, który odwiedził ją w szpitalu. Tym razem miał na sobie mundur. Po rombach na naramiennikach zorientowała się, że ma do czynienia z sierżantem. Uśmiechnął się do niej i wskazał wolne krzesło.

– Już się pani lepiej czuje? – zapytał.

– Chyba dochodzę do siebie, ale jeszcze nie mogę w to wszystko uwierzyć – odpowiedziała Jola.

– No, to zupełnie normalna reakcja. Musiała pani przeżyć prawdziwy szok. Proszę się niczego nie obawiać, nie będę pani długo męczył, chciałem tylko chwilkę porozmawiać. Może przypomni pani sobie cokolwiek? Interesuje nas wszystko, co mogłoby pomóc w ustaleniu, kim jest morderca.

– Nie wiem, czy się na coś przydam – odpowiedziała niepewnie Jola.

– Niech pani spokojnie popatrzy na te rzeczy, może coś panią zainteresuje.

Szybko przejrzała całą stertę szpargałów należących do Goški, ale nie natrafiła na nic ciekawego. Jej uwagę na dłużej zatrzymały dopiero zdjęcia. Były to fotografie wykonane chyba na obozie archeologicznym, na którym Goška była w zeszłym roku. Jola przyglądała się im uważnie.

Nagle zobaczyła faceta, który stał w grupie kilku osób. Jego twarz wydała jej się znajoma, ale początkowo nie potrafiła osadzić go w żadnej konkretnej sytuacji.

Wskazała palcem twarz mężczyzny i powiedziała: – Nic tu ciekawego nie znalazłam, ale wydaje mi się, że tego człowieka już gdzieś widziałam.

Sierżant Kubiak uśmiechnął się, spoglądając z daleka na zdjęcie, bo był przekonany, że dziewczyna odnalazła na fotografii Macieja Trelkę, ich podejrzanego.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach go pani widziała. Tylko spokojnie, nie ma pośpiechu...

Zacząła analizować wszystkie swoje spotkania z Gošką z ostatniego czasu. Było ich niezbyt wiele, ale podczas żadnego z tych spotkań nie było z nią faceta. I nagle przyszło rozjaśnienie myśli. Jesienią była w Poznaniu i umówiła się, że razem z Gochą będą wracać pociągiem do domu. Czekala na nią przed Dworcem Głównym. Padał deszcz i robiło się coraz chłodniej, poza tym co chwilę zaczepiali ją jacyś oberwańcy, więc chciała już wejść do budynku. Nagle zobaczyła, że z białego trabanta, który stanął na parkingu, wysiada jej koleżanka, a z drugiej strony jakiś facet. Obszedł samochód i wyciągnął z bagażnika niebieską dużą torbę. Goška założyła ją na ramię, a później pocałowała tego faceta w policzek. Mężczyzna wsiadł do samochodu, pomachał jeszcze przez mokrą szybę i odjechał.

– To twój chłopak? – ucieszyła się Jolka, widząc koleżankę podchodzącą pod dworcowe wejście.

Goška najwyraźniej wyglądała na zmieszaną i szybko uciekła

od tematu. Jola nie chciała być niedelikatna i nie drażyła tej kwestii. Teraz jednak była najzupełniej pewna, że to ten uśmiechnięty facet, który jest na zdjęciu. Opowiedziała więc wszystko, a sierżant robił notatki w swoim kajecie, zadowolony, że wszystko tak ładnie się układa.

– Jest pani przekonana, że rozpoznaje pani tego chłopaka? – ucieszył się Kubiak, wskazując na uśmiechniętego Trelkę.

– Tak, na pewno, panie sierżancie – powiedziała z poważną miną Jola – tylko nie tego, co pan tu pokazuje, a tego tam dalej. To on odwoził ją na dworzec trabantem, a ona go pocałowała.

Zdziwiony sierżant Kubiak nachylił się nad zdjęciem. A ten to co za jeden? – pomyślał i zaklął cicho pod nosem.

Nie mogłem doczekać się niedzieli. Przez kolejne dni liczyłem godziny do naszego spotkania. Zaplanowałem je w najdrobniejszych szczegółach. Kupiłem w Peweksie butelkę napoleona, a w Delikatesach udało mi się dostać dużą butlę słodkiego wina sangria. U rzeźnika kupiłem bez kartek dużego kurczaka i od rana piekłem go w piekarniku, posypanego majerankiem, papryką i pieprzem. Pachniało w całym domu, a ja siedziałem w fotelu i czekałem, nie mogąc zająć się niczym konkretnym. Patrzyłem w telewizor, ale i tak nie wiedziałem, co dzieje się na ekranie. Czekałem cierpliwie, zły na siebie, że nie umówiłem się z nią na konkretną godzinę.

Godz. 14.35

Pociąg dalekobieżny powoli wtoczył się na peron dworca w Pile.

Od kilkunastu minut Mariusz stał na korytarzu, nie mogąc doczekać się końca podróży. Gdy minęli już stację Leszków, przez otwarte okno wleciał do wagonu smród z oczyszczalni ścieków. Był to najpewniejszy znak, że pociąg zbliża się do Pily. Później pojawiły się w oddali dziesięciopiętrowe wieżowce, a potem rozrzucone przy torach budynki węzła kolejowego.

Długi skład stanął przy peronie drugim. Mariusz szybko

wyskoczył z wagonu i pobiegł do tunelu ozdobionego na początku wieku ceramicznymi kaflami. Teraz ręka anonimowego artysty przystroiła poniemieckie kafelki pięknym, olejnym napisem Polonia Pany. Ale Blaszkowski nie zwrócił na napis najmniejszej uwagi. Przebiegł przez tunel i halę dworca, by już po chwili wyskoczyć na ulicę 14 Lutego. Stąd do domu rodziców miał tysiąc pięćset metrów. Przeszedł na drugą stronę ulicy i poszedł w stronę placu PPR. Po chwili minął dworzec PKS, zieloną budę kiosku warzywnego i wszedł na podest pasażu przed sklepami. Interesował go ostatni sklep w tym rzędzie, ten ze sprzętem RTV.

Od dawna bowiem chciał sobie kupić radiomagnetofon i teraz postanowił sprawdzić, czy coś ciekawego tu mają.

Po chwili był już w środku. Tak, jak się tego mógł spodziewać, półki były niemal puste. Tylko w jednej części sklepu stało kilka telewizorów neptun, jakieś radia i czarne, monofoniczne radiomagnetofony grundig. Niestety, była to oferta nieosiągalna dla zwykłych klientów, przeznaczona tylko dla młodych małżeństw posiadających odpowiednie książeczki uprawniające do takich ekskluzywnych zakupów. Dla pozostałych dostępne były jedynie anteny radiowo-telewizyjne i kasyety czyszczące Stilonu Gorzów.

Mariusz szybko wyszedł na ulicę i po przecięciu placu, na którym stał pomnik mający świadczyć o wielowiekowej polskości pilskiej ziemi, pobiegł w stronę swojego domu.

Mieszkał na drugim piętrze dziesięciopiętrowego wieżowca przy ulicy Towarowej. Stały tam obok siebie cztery identyczne bloki. Żeby było szybciej, przebiegł przez czteropasmową ulicę i chodnikiem koło sklepu rzeźnickiego. I tutaj pod drzwiami sklepowymi niemal zderzył się z panem Klimkiem, sąsiadem z sąsiedniego bloku, ojcem tej zabitej Agnieszki. Mężczyzna spojrzał na niego i uśmiechnął się przepraszająco. Jakby to on był winien, że pędzący Mariusz chciał go staranować. Chłopak przystanął w miejscu. Nie bardzo wiedział, co może powiedzieć poza zwykłym „dzień dobry” i chyba dlatego wypalił, jak mu się zaraz wydało, dość głupio.

– Bardzo mi przykro. Ja wiem, co się stało.

Mężczyzna pokiwał głową i zrobił się jeszcze mniejszy, niż był w rzeczywistości. – Wiesz, Mariusz – powiedział – nie ma chyba nic gorszego niż stracić własne dziecko. Dziękuję.

Chciał wyminąć chłopaka i ze spuszczoną głową powlec się do domu, ale wtedy Blaszkowski poczuł, że musi mu jeszcze coś powiedzieć.

– Wie pan, ja pracuję w milicji i jestem przy tym śledztwie.

Pan Klimek zatrzymał się i z uwagą spojrział na chłopaka. Mariusz wyczuł, że ten człowiek czeka na coś jeszcze, więc powiedział, jakby chciał wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Złapiemy tego gnoja, może być pan pewny.

Mężczyzna jeszcze raz przyjrzał się Mariuszowi, a potem powiedział:

– Chodź ze mną.

Czekałem prawie cały dzień. W końcu późnym popołudniem usłyszałem dzwonek do drzwi. Otworzyłem. Agnieszka była piękniejsza niż kiedykolwiek. Usiadła w fotelu, na którym wcześniej siadała tyle razy. Gdy patrzyłem na nią, wydawało mi się, że nigdy nie opuszczała tego miejsca.

Początkowo była jakaś spięta, jakby znalazła się nagle w obcym miejscu. Jednak czułem, że powoli zaczyna się odnajdywać, jakby wróciła z dalekiej podróży. Zjedliśmy kurczaka z frytkami i konserwową papryką, popiliśmy słodkim winem. Później zrobiłem kawę, którą na tę okazję kupiłem w Peweksie i koniak, a właściwie brandy napoleon. Im dłużej była w moim domu, tym bardziej byłem pewny, że będziemy mogli zacząć wszystko od początku. I wreszcie, gdy wydawało mi się, że lody zostały przełamane, powiedziałem jej, że powinna do mnie wrócić i że możemy spróbować raz jeszcze, bo to, że coś się rozpadło, to moim zdaniem tylko dlatego, że byliśmy zbyt daleko od siebie.

Agnieszka spojrzała na mnie zimno i wtedy poczułem, że coś jest nie tak, jak być powinno. Nie tak, jak bym chciał, żeby było.

– Ty nic nie rozumiesz. To, co było między nami, to przeszłość, której już nigdy nie da się przywrócić. Tam, w

Niemcech, za dużo się wydarzyło. Ja jestem już innym człowiekiem, nie takim, jakim chcesz mnie widzieć, ale zupełnie kimś innym – tłumaczyła mi, ale ja niczego nie chciałem zrozumieć.

– Ja nie przyszedłem tu, by wracać do ciebie. Przyszedłem, by się z tobą pożegnać, żeby ci powiedzieć wyraźnie, że nigdy już nie będziemy razem.

Nie chciałem tego słuchać, nie chciałem w to uwierzyć. Ona nie mogła, ot tak sobie, zakończyć tego wszystkiego. Czekałem na nią tyle czasu i teraz miałem ją wypuścić z ręki?

Chyba wyczuła, że przekonywanie mnie na nic się nie zda, więc użyła argumentu, który, jak myślała, spowoduje, że zrozumieć.

– Tam za granicą zaczęłam inne życie. Zaczęłam pracować w agencji i tu robię to samo, dlatego nie możemy już być razem.

Nadal nic nie rozumiałem, więc wykrzyczała mi w twarz coś, czego nigdy bym się po niej nie spodziewał.

– Jestem kurwą, rozumiesz, idioto, jestem zwyczajną kurwą, która co noc obsługuję dziesięciu facetów. Zrozum to wreszcie, kretynie!

Aleja nie chciałem tego zrozumieć. Moja Agnieszka nie była taka.

Ta, co stała przede mną, była kimś zupełnie innym, obcym i złym człowiekiem. Nie pozwoliłem jej już więcej mówić.

Godz. 14.55

– Właściwie to nie wiem, dlaczego cię tu przyprowadziłem – powiedział ojciec Agnieszki. – Otworzył drzwi do niewielkiego pokoju. Mariusz domyślił się, że należał do niej.

– Byli tu już milicjanci i sprawdzali wszystko, ale nie natrafili na nic interesującego. Tak mi powiedzieli. Ale chyba niespecjalnie szukali – tłumaczył pan Klimek. – Wejdz i zobacz sam, może ty trafisz na coś...

Mariusz chciał powiedzieć, że to nie ma sensu, że ci, co byli tu przed nim, znają swoją robotę i na pewno zrobili wszystko,

co do nich należy, ale gdy popatrzył na tego załamane go mężczyznę, zrozumiał, że nie może tego zrobić. Że ten stojący przed nim wrak człowieka nie chce stracić najmniejszej nawet szansy. Chce pewnie wierzyć, że niczego nie zaniedbał. Mariusz wszedł więc bez słowa do pokoju i zaczął szukać, tyle że nie bardzo wiedział, czego.

Przeglądał półki pełne maskotek i bibelotów, zaglądał do szafek z ubraniami, sprawdzał szuflady wypełnione przyborami szkolnymi, zeszytami i linijkami. Po piętnastu minutach szukania po omacku był już niemal pewien, że niczego nie znajdzie. W końcu zrezygnowany podszedł do okna. Z siódmego piętra rozciągał się widok na plac PPR, pomnik i dwa przystanki autobusowe. Na jednym z nich, tym bliższym, zatrzymała się dwójka, czerwony autobus, który jechał z alei Niepodległości na ulicę Poznańską. Harmonijkowe drzwi otworzyły się i z wnętrza wozu zaczęły wysypywać się ludzie. W szarym tłumie mignął mu niebieski milicyjny mundur. Rozpoznał przygarbioną sylwetkę ojca, który wracał po pracy do domu. Postanowił, że pobiegnie na dół i złapie go pod blokiem. Chciał jak najszybciej opuścić to smutne mieszkanie.

W tym momencie spojrzał na stojące na parapecie zdjęcie w drewnianej ramce. Poznał ją od razu. Uśmiechnięta Agnieszka przytulała się do jakiegoś faceta. Wziął zdjęcie do ręki i w tym momencie poczuł, że ręka zaczyna mu drżeć. Mężczyzna patrzył na dziewczynę zakochanym wzrokiem, a ona w ten sam sposób patrzyła na niego. To można było od razu wyczuć. Widać też było na pierwszy rzut oka, że stanowią parę. Dotąd jednak nikt z prowadzących śledztwo nie miał zielonego pojęcia, że ona miała jakiegoś faceta. Chyba nikt nie myślał o niej w ten sposób. Dla nich była zabita prostytutką, a on odkrył ze zdziwieniem, że kiedyś była normalną dziewczyną, zdolną do prawdziwej miłości. Facet na zdjęciu był jej chłopakiem, a Mariusz rozpoznał go natychmiast. Zrobiłem dokładnie to samo, co poprzednio. Załadowałem ją do bagażnika i pojechałem na most. Była noc, więc wydawało mi się, że nie powinienem mieć żadnych problemów. Tak jak ostatnio, zatrzymałem auto na środku mostu, wysiadłem i podszedłem

do bagażnika. Już chciałem go otworzyć, kiedy z daleka zobaczyłem światła nadjeżdżającego samochodu. Szybko wskoczyłem za kierownicę i odpaliłem silnik. Obce auto zamiast przejechać i minąć mój wóz, zatrzymało się z zapalonymi światłami tuż przed mostem. Zastanawiałem się, co robić, ale sytuacja wydała mi się zbyt niebezpieczna. Dlatego spokojnie ruszyłem i pojechałem przed siebie. Ten za mną też ruszył. Coraz bardziej zdenerwowany jechałem byle dalej i dalej. Nawet nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na Dolnej Wildzie. Skręciłem w stronę ulicy Bema i nagle okazało się, że tamten zniknął. Wiedziałem jednak, że nie mam czasu do stracenia. Byłem już blisko rzeki. Błyskawicznie zjechałem w wąską uliczkę, która prowadziła do przystani wioślarskiej. Nad wodą było ciemno i zupełnie pusto. Zjechałem nad sam brzeg. Błyskawicznie wyskoczyłem z samochodu, otworzyłem bagażnik i wyciągnąłem ją. Zacząłem znosić ciało po pochyłym, betonowym nabrzeżu. Najtrudniej było przejść po kamieniach, które wystawały z wody. Udało mi się jednak. Ułożyłem ją na samym brzegu i spróbowałem zepchnąć do rzeki. Po paru minutach zmagania leżała do połowy w wodzie. Myślałem, że jestem tu zbyt długo i w każdej chwili wszystko może obrócić się przeciwko mnie. Rozejrzałem się dookoła i wtedy na drugim brzegu zobaczyłem jakiegoś człowieka. Stał i patrzył prosto na mnie. Wydawało mi się nawet przez chwilę, że nasze spojrzenia spotkały się. Nie było ani chwili do stracenia. Szybko pobiegłem do auta, zatrzasnąłem klapę bagażnika i ruszyłem. Jeszcze przez chwilę w lusterku wstecznym widziałem tę postać stojącą na drugim brzegu. Wyjechałem na Bema i ruszyłem w lewo, w kierunku Lubonia. Droga o tej porze była zupełnie pusta. Gdy byłem już na wysokości lasu na Dębinie, nagle uświadomiłem sobie, że w bagażniku zostało jeszcze coś. Gdy zobaczyłem leśną drogę, natychmiast w nią skręciłem. Pojechałem kilkadziesiąt metrów w głąb lasu. Zatrzymałem samochód, z bagażnika wyjąłem foliową reklamówkę i pognałem z nią między drzewa. Po kilku minutach byłem z powrotem.

– Mówię ci, chłopie, że wszystkie fakty są przeciwko tobie. Zgadzą nam się nawet najdrobniejsze szczegóły, ale najlepsze jest to, że sam się pograżyłeś tą swoją ucieczką. Co, nerwy nie wytrzymały, jak się dowiedziałeś, że milicja już się domyśla i zaczyna węszyć po sąsiadach? – zapytał uśmiechnięty i zadowolony z siebie chorąży Olkiewicz.

Przypomniało mu się bowiem, że to jego działania, rozmowy z mieszkańcami i panią sąsiadką Grzybowską w szczególności, musiały doprowadzić do tego, że podejrzany nawiał. Teofil postanowił tym razem uderzyć z grubej rury, bo powoli miał już dość tego nudnego przesłuchania i głupiego uporu przesłuchiwanego. Chłopak spojrzał na milicjanta i powiedział z jakimś dziwnym zdecydowaniem w głosie:

– Nigdzie nie uciekałem, zostałem porwany i chyba chciano mnie zabić. Milicjant spojrzał na niego jak na wariata, który bredzi coś od rzeczy.

– Co ty pierdolisz, chłopaku, kto by chciał porwać takiego zasańca, i że tak zapytam, na jaki chuj?

– Tego nie wiem, ale zostałem porwany i uwięziony. Zamknięto mnie w jakimś domu, w piwnicy. A jak tam leżałem na ziemi, to weszła jakaś kobieta z facetem i coś mówili o tym, że zabiłem Gośkę i jakąś Sandrę. A ta baba, co chciała mnie wykończyć, to miała na imię Weronika.

Na dźwięk tego imienia Olkiewicz drgnął. Ten kutas próbuje teraz oskarżyć Weronikę, pomyślał. No ale przyznał się, że znał Sandrę i to jest najważniejsze.

– A więc znałeś Sandrę i Weronikę, gnoju. Chodziłeś do nich do tego burdelu i tam ją poznałeś. No widzisz, trzeba było tak od razu, nie byłoby tej niepotrzebnej gadaniny.

– Nie znałem żadnej Sandry i Weroniki – próbował bronić się Maciek.

Ale milicjant już nie słuchał. Uradowany wstał zza biurka i poszedł do drugiego pokoju, by pochwalić się Brodziakowi. Niestety, porucznika nie było. Podniósł słuchawkę i kazał dyżurnemu zabrać aresztanta.

Kapitan Marcinkowski stał w milicyjnym garażu przy swoim sraczkowatym polonezie i przez otwarte okno z ciekawością zaglądał do środka.

Wewnątrz siedział Grzechu Kowal i przykręcał do deski rozdzielczej miniaturowy radiotelefon wielkości cegłówki. Takie urządzenia można było instalować w autach służbowych, jednak szefowie niektórych zespołów mieli specjalne przywileje. Podpułkownik Żyto jednym poleceniem zmienił status prywatnego auta Marcinkowskiego. Pozwolił na przydział benzyny z dystrybutorów milicyjnych, dał zgodę na rozliczanie kilometrówki i, najważniejsze, polecił zamontować w aucie radiotelefon. Teraz polonez kapitana mógł być bez przeszkód używany przez właściciela do zadań operacyjnych. A Fred był zadowolony, bo od tego momentu kończyły się jego problemy z paliwem.

Kowal dokręcił ostatnią śrubkę i włączył zasilanie. Bez kłopotu połączył się z centralą. Oficer dyżurny kazał mu się wyłączyć, a potem odezwał się, wywołując auto nowym kryptonimem:

- Od dzisiaj jesteś 061, 061 – powtórzył dyżurny.
- A nie może być 07 zgłoś się? – zażartował Grzechu.
- Nie, bo porucznik Borewicz mógłby się zdenerwować – odpowiedział głos z głośnika.

Połączenie przerwało się i czerwona żaróweczka odbiornika zgasła. Kowal z trudnością wylazł z samochodu.

- Gotowe – powiedział i oddał kluczyki kapitanowi.

Ten chciał już wejść do środka, by sprawdzić wszystko samemu, ale koło auta pojawił się Tomek Kubiak.

- Kapitanie, ważna sprawazameldował sierżant.
- Co tam jest? – zapytał Marcinkowski.
- Rozmawiałem dziś z tą dziewczyną, studentką, koleżanką zabitej Małgorzaty Witkowskiej.
- No i? – niecierpliwił się oficer, który chciał już wsiąść do

auta.

– Ona rozpoznała na tej fotce faceta, z którym była blisko ta jej kumpelka.

– To dobrze; daj Olkiewiczowi to zdjęcie i niech przycisnie tego Trelkę.

– Tak jest, ale ten facet to nie jest Trelka.

– A kto? – zdziwił się Fred.

– To ten – wskazał palcem mężczyznę na zdjęciu.

Kapitan Marcinkowski popatrzył na fotografię i na chwilę zaniemówił.

– Kurwa, a to kutas – wykrztusił wreszcie. – Chodź, idziemy na górę, to wszystko zmienia...

Wydawało mi się, że nie zostawiłem nigdzie żadnych śladów, ale cały czas męczył mnie ten facet, którego widziałem na nabrzeżu. Postanowiłem więc rozejrzeć się trochę po osiedlu. On wtedy, w nocy, z daleka wyglądał jak jakiś lump. Zresztą, kto normalny o tej porze pałętałby się nad rzeką. Byłem przekonany, że jeśli jest to miejscowy łazik, to szybko na niego trafię. Dwa dni później, wcześniej rano, podjechałem na parking niedaleko samu spożywczego Beta. Zostawiłem auto i zacząłem obchód okolicy. Chodziłem już ponad godzinę po wszystkich zakamarkach, ale nie natrafiłem na nikogo, kto przypominałby mi tego znad Warty. I wtedy, gdy chciałem już zrezygnować, zobaczyłem go. Stał sobie spokojnie przy moim trabancie i przyglądał się tablicy rejestracyjnej. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale ten dziad chyba rozpoznał mój samochód. Musiał pewnie wtedy zapamiętać numery. Chwilę pokręcił się przy aucie, a potem poszedł w głąb osiedla. Po chwili wlaźł do śmietnika. Wszedłem tam zaraz za nim. Uderzyłem go mocno w kark i padł na plecy. Po chwili otworzył oczy, ale po tym uderzeniu wiedziałem, że nie jest w stanie się podnieść i minie sporo czasu, zanim odzyska pełnię władzy w rękach i nogach.

Przyznał się, że to on był wtedy nad rzeką. Zapytałem go więc, czy pamięta rejestrację auta, no i podał mi, choć niepełne, numery mojego wozu. Nie mogłem pozwolić, by jeszcze komuś o tym powiedział.

Godz. 15.25

-A skąd ja mogę wiedzieć, gdzie jest Marcinkowski. Zadzwoń za godzinę, to może się gdzieś znajdzie. Co, kurwa, pilne. Ja mam szukać kapitana? Ja nic nie muszę, rozumiesz, młody.

Olkiewicz już chciał przerwać połączenie, ale w tym momencie do pokoju wszedł Marcinkowski z Kubiakiem.

- Poczekaj – warknął do słuchawki i odwrócił się w stronę wchodzących.

- Obywatelu kapitanie, dzwoni młody z Piły i mówi, że to bardzo pilne.

Marcinkowski już chciał powiedzieć, żeby mu teraz nie zawracał głowy, ale po sekundzie namysłu wyciągnął rękę po słuchawkę.

- No, to mów, co tam się dzieje. Nie możesz spokojnie usiedzieć na urlopie czy jak? – zaśmiał się, patrząc na podwładnych, którzy już rozsiedli się na krzesłach koło biurka. Ale po chwili uśmiech z jego twarzy zniknął bez śladu.

- Masz to zdjęcie? – zapytał Blaszkowskiego. – To posłuchaj uważnie, zaraz dam sygnał do wojewódzkiej w Pile. Dyżurny niech podstawia samochód. Zadzwoń do nich za moment, to cię odbiorą, skąd tam chcesz i jazda do Poznania. Jak to się wszystko potwierdzi, to mamy całkowitą zmianę sytuacji. No i zabierz to zdjęcie, rozumiesz? Kapitan odłożył słuchawkę i spojrzał na Kubiaka.

- Słuchaj, Tomek, młody odwiedził rodziców zabitej dziewczyny z Piły, tej Klimek, i wiesz, co ten gnojek tam znalazł? Wyobraź sobie, że wyszperał gdzieś jej zdjęcie, na którym ona jest z pewnym facetem.

Kubiak spojrzał na fotografię, którą miał w swoim notatniku i uśmiechnął się do kapitana.

- Chcesz powiedzieć, że to ten sam klient, co jest na mojej fotce?

- Co jest, kurde? – Olkiewicz, który nie wiedział zupełnie, o czym mówią jego dwaj koledzy, spoglądał zdezorientowany to

na jednego, to na drugiego.

– Teoś – uśmiechnął się szeroko Marcinkowski – wygląda na to, że teraz naprawdę mamy gnoja.

– No, wiem przecież, miałem nawet powiedzieć, że on się przyznał, że znał tę Sandrę – ucieszył się Olkiewicz.

– Nie o nim mówię – wyjaśnił mu cierpliwie Fred.

– A o kim? – chorąży dalej nie wiedział, o kogo chodzi i dlatego kapitan wyjaśnił obu podwładnym, kto jest na zdjęciach.

Godz. 15.30

Chorąży Olkiewicz wyszedł z pokoju. Powiedział, że idzie na dół kupić sobie papierosy. Rzeczywiście poszedł do kiosku, przez chwilę porozmawiał z kioskarką, wycygał od niej paczkę ekstra mocnych bez kartki i kupił prócz tego „Głos Wielkopolski”. Chwilę jeszcze pokręcił się po dużym holu, pogadał o niczym z przechodzącym właśnie znajomym z obyczajówki, a potem podszedł do publicznego aparatu telefonicznego. Szybko wykręcił numer. Po drugiej stronie odezwał się znajomy głos. Teoś ucieszył się, że zastał go pod telefonem. Pośpiesznie opowiedział wszystko, czego się właśnie dowiedział.

Nie miał żadnych skrupułów. Nie myślał nawet o tym, że przekazuje informacje, które nie powinny wydostać się na zewnątrz. On był przekonany, że robi coś najzupełniej normalnego. Skoro facet, z którym wcześniej współpracował, potrzebował tych informacji, to znaczy, że były mu one do czegoś potrzebne, a jeśli jeszcze dodatkowo za nie płacił, to oznaczało, że są mu bardzo potrzebne i jest to poważna sprawa. A pracując wiele lat w organach, nauczył się jednego – poważnych spraw nie należało lekceważyć.

– Co tam, Teoś, za konspiracja? – zapytał go Brodziak, który zupełnie nieoczekiwanie wyrósł jak spod ziemi za jego plecami.

– A nic, do kolegi dzwoniłem – próbował się wytłumaczyć Olkiewicz.

– Nie szkoda ci pieniędzy, ze służbowego chyba taniej, nie? – zaśmiał się porucznik.

– No tak, ale ja kupowałem papierosy – brnął dalej chorąży, wyciągając na potwierdzenie swych słów paczkę z kieszeni.

– Zapalimy? – zapytał Brodziaka.

No to opowiedziałeś mi dziś pasjonującą historię, przyjacielu. Teraz ja ci coś opowiem.

Wydawało ci się, że nie zostawiłeś żadnych śladów? Jesteś kretnem.

Może i rzeczywiście zatarłeś wszystkie ślady tych morderstw, ale tak naprawdę nie da się uciec przed przeszłością. To właśnie ta przeszłość cię dopadła. Myślałeś, idioto, że w milicji pracują debile, którzy nie są w stanie powiązać paru prostych szczegółów z przeszłości tych dziewczyn. Oni to właśnie zrobili i za jakiś czas przyjadą po ciebie do twojego sympatycznego domku w Puszczykowie. Ale na twoje nieszczęście oni nie są tak sprawni jak ja. Bo gdyby to oni cię dopadli, to najpierw by cię aresztowali, później przez miesiąc ciągnęłyby się przesłuchania, posiedziałbyś trochę w śledczym, a później proces. Tam dostałbyś na pewno czapę, ale mogłoby to potrwać nawet i rok. Ale na szczęście pojawiłem sieja. A ja jestem człowiekiem litościwym i dlatego oszczędzę ci tych wszystkich kłopotów. Rozwalę cię tu i teraz. Ale żebyś nie szedł do piekła, nie mając pojęcia, dlaczego zostałeś w ten piękny sposób ukarany, powiem ci prawdę. Wynajęła mnie do tego zadania pewna kobieta, bardzo bliska przyjaciółka zabitej przez ciebie Sandry, którą znałeś jako Agnieszkę. I gdyby to była tylko transakcja handlowa, czysty interes z ukaraniem mordercy Sandry, to może nawet nie śpieszyłbym się dzisiaj tak bardzo, by cię odwiedzić w tym twoim sympatycznym domku.

Ale problem w tym, i to jest właśnie twój pech, że Sandra, czy jak wolisz Agnieszka, była też moją bliską przyjaciółką, a ja nie pozwalałam bezkarnie zabijać moich przyjaciół.

Godz. 19.30

Na podwórku przedwojennej willi w Puszczykowie stał biały trabant. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się duży fiat. Na sąsiedniej, równie cichej uliczce od kilku minut parkował sraczkowaty polonez. Dokładnie o 19.30 z aut wysiedli milicjanci w cywilu. Ruszyli biegiem w stronę drzwi. W tym samym czasie dwóch funkcjonariuszy przechodziło przez płot na tyły posesji. W jednym momencie sześciu ludzi wpadło do domu z pistoletami gotowymi do strzału. Wystarczyła im zaledwie minuta, by zorientować się, że dom jest pusty. W dużym pokoju zawałonym książkami i zapisanymi kartkami panował niecodzienny bałagan. Przewrócone krzesła, połamany stolik i jakieś rozbite na podłodze skorupy świadczyły o tym, że całkiem niedawno ktoś musiał tu stoczyć walkę.

– Na górze nie ma nikogo – powiedział Olkiewicz, wchodząc do pokoju, który właśnie przetrząsali Brodziak i Kowal. – A gdzie jest kapitan?

Fred przed chwilą wyszedł z domu i skierował się do stojącego na podwórku trabanta. Szybko uporał się z zamkami i otworzył bagażnik.

Smród, który buchnął mu prosto w nos, mówił sam za siebie. Ale dla porządku zajrzał jeszcze do środka. Cała podłoga bagażnika była uwalana poczerniałą i zaschniętą krwią.

– Tomek, Miras, chodźcie tu, kurwa! – zawołał w kierunku domu. Po sekundzie na dworze pojawił się Kubiak. Natychmiast podbiegł do dowódcy.

– Co jest? – zapytał.

– Zobacz sam – wskazał głową na bagażnik. Przy aucie pojawili się pozostali milicjanci.

– Słuchajcie – zaczął Marcinkowski – ten facet jest mordercą to nie ulega już żadnej wątpliwości, ale wszystko wskazuje na to, że ktoś nam go sprzątnął sprzed nosa. I coś mi się zdaje, że przypomina to całkiem sytuację spod domu tego Trelki. Tam mało brakowało, a facet z pistoletem załatwiłby go, zanim go dopadliśmy.

– W takim razie wszystko wskazuje na to, że ktoś chce załatwić mordercę, zanim go dopadniemy – powiedział Brodziak.

– Teoś – kapitan spojrzał na Olkiewicza, który stał nieco z boku paląc papierosa. – Słuchaj powiedziałeś mi dziś na komendzie, że Trelka mówił coś o tym, że przyznał się do znajomości z Sandrą. Jak to było?

– Ee, tak tam coś pierdolił. Mówił jakieś bajki, że ktoś chciał go zabić i trzymali go w jakiejś piwnicy, no i że była tam Weronka.

– Jaka Weronka? – drążył dalej kapitan.

– No, ta właścicielka burdelu. Chyba ona nie?

– Ja pierdołę, ta kretynka chce się zemścić -jęknął Brodziak.

Godz. 20.10

Pobity i zakrwawiony docent Krzysztof Karwat siedział na krześle w piwnicy domu Weroniki. Był tak zmaltretowany, że dawno spadłby z krzesła, gdyby nie był przywiązany do niego solidną liną.

– Przecież zlecenie zostało odwołane – denerwowała się Weronika.

– Dostał pan pieniądze i na tym mieliśmy zakończyć sprawę.

– Właściwie tak – odpowiedział Wirski. – Ale problem w tym, że ja się nigdy nie wycofuję. Jeśli się do czegoś zobowiązuję, zawsze sprawę doprowadzam do końca.

– To mnie już nie interesuje, niech go pan stąd zabiera.

– Wydaje mi się, że teraz jest już na to trochę za późno, droga pani.

I myślę, że w tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak dokończyć spokojnie to, co zacząłem.

Spod marynarki wyciągnął pistolet i wymierzył go w stronę egiptologa.

W tym momencie drzwi do piwnicy otworzyły się gwałtownie.

– Niczego nie musisz kończyć, przyjacielu – powiedział

Gruby Rychu, mierząc do Wirskiego z polskiego przedwojennego visa. – Rzuć tę spluwę i podnieś rączki do góry.

Ale Wirski był szybszy. Odwrócił się błyskawicznie i pociągnął za spust. Oba pistolety wypaliły niemal jednocześnie. Rychu upadł na ziemię. Wirski przeskoczył nad nim i wybiegł na zewnątrz.

Gdy kilka minut później do piwnicy weszli Brodziak z Marcinkowskim, Weronika klęczała na ziemi obok Rycha, trzymając go za rękę. Mirek pochylał się nad rannym, by sprawdzić puls. Kula trafiła go gdzieś w okolicy obojczyka i cały zalany był krwią. Gruby otworzył oczy i spojrzał na starego kumpla. Skinął na niego, z trudem unosząc do góry dłoń.

Brodziak pochylał się jeszcze niżej.

– Weronika nic o tym nie wiedziała, rozumiesz, nic nie wiedziała.

– Dobra, dobra, nie gadaj tyle, bo cię szlag trafi.

Mirek podniósł się i spojrzał na Freda, a ten przytaknął porozumiewawczo głową. Teraz dopiero Brodziak zwrócił uwagę na siedzącego na krześle egiptologa – łowcę głów.

Przez dziurę w jego czole widać było spory kawałek ściany.

EPILOG

Poniedziałek, 10 czerwca

Godz. 9.15

Feliks Edmundowicz Dzierżyński wydawał się dziś patrzeć z obrazu jakoś groźniej niż zwykle. Może wyczuł, że w tym, co zamierza powiedzieć kapitan Marcinkowski, jest jakiś szwindel. Niczego takiego natomiast nie wyczuwał w jego głosie podpułkownik Żyto. Wręcz przeciwnie, był zachwycony raportem, który składał mu jego podwładny.

– To, co na początku wydawało się nam zbrodnią psychopaty, okazało się w końcu zwyczajnym podwójnym morderstwem. Ten egiptolog zabił najpierw swoją aktualną kochankę, Małgorzatę Witkowską, bo do kraju wróciła jego była dziewczyna. To ona w dowód miłości do niego zrobiła sobie na ramieniu tatuaż ze skarabeuszem. Karwat spotkał się z nią i teraz miał nadzieję, że ona do niego wróci, więc tę niepotrzebną uprzątnął ze swej drogi do szczęścia. A ta, na którą liczył, zginęła, bo odmówiła mu, gdy prosił, by do niego wróciła. I jeszcze jeden zabity, bezdomny Frankowski. Zginął, bo mordercy wydawało się, że facet może go rozpoznać, ponieważ widział go nad rzeką, gdy wrzucał trupa do wody. W przeszłości Karwat ćwiczył karate, więc bez trudu, w fachowy sposób ukręcił mu głowę jak kurczakowi. Pech mordercy, obywatelu pułkownika, polegał na tym, że w Sandrze, czyli Agnieszce Klimek zakochał się jeden z jej stałych klientów, niejaki Wirski. Gdy dowiedział się, że jego ukochana została zamordowana, postanowił sam odnaleźć i ukarać sprawcę. Znał się na milicyjnej robocie, bo przez wiele lat pracował w SB. Najpierw próbował sprzątnąć tego pierwszego podejrzanego, Macieja Trelkę, i przy okazji oberwał w rękę od Tomka Kubiaka. Później dopadł właściwego mordercę i przesłuchał go

w wyjątkowo brutalny sposób. Na miejsce przesłuchania wybrał sobie od lat nieużywaną piwnicę w domu, w którym pracowała jego ukochana Sandra. Zaniepokojony dziwnymi odgłosami z piwnicy zszedł na dół stary znajomy właścicieli domu, niejaki Ryszard Grubiński. Doszło do szamotaniny. Wirski ciężko ranił Grubińskiego, a kula z drugiego pistoletu, który podobno odebrał Wirskiemu Grubiński, odstrzeliła głowę mordercy. Czynniki społeczny wyręczył więc wymiar sprawiedliwości.

– No to sprawa jest jasna i prosta jak prześcieradło! – ucieszył się podpułkownik. – Jedno mnie tylko zastanawia. Powiedz mi Fred, po co on obcinał tym kobietom głowy?

– To przez tego trabanta – wyjaśnił kapitan. – To NRD-owskie auto ma mały bagażnik. W dodatku Karwat miał połowę bagażnika zapchaną częściami zapasowymi do samochodu. Dlatego nijak nie mógł sobie poradzić z wepchnięciem trupa do środka. Albo wystawały nogi, albo głowa. No i łatwiej było obciąć głowę niż dwie nogi.

– Gdyby miał syrenkę, nie byłoby problemu – zauważył podpułkownik. – Jednak nasze auta są zdecydowanie lepsze.

– Cieszymy się, że nie miał małego fiata, bo wtedy musiałby je zmielić w maszynce do mięsa – zażartował porucznik Brodziak, ale jakoś nikomu żart się nie spodobał.

Kapitan Alfred Marcinkowski czeka teraz na obiecany awans na majora. W sierpniu ma jechać z żoną na wakacje do Złotych Piasków w Bułgarii. Przydział załatwił mu z Funduszu Wczasów Pracowniczych podpułkownik Żyto.

Porucznik Mirosław Brodziak dostał od komendanta wojewódzkiego talon na samochód osobowy Łada. Zastanawia się, czy sprzedać od razu talon, czy odebrać auto i wtedy je sprzedać.

Maciek Trelka przestał się interesować horrorami. Ostatnio podobno przerzucił się na filmy wojenne.

Mariusz Błaszowski, na stałe przeniesiony do komendy wojewódzkiej, nadal spotyka się z dziewczyną, którą poznał dzięki pomocy kaprała Fika, i marzy o tym, by dostać się do szkoły oficerskiej w Szczycie.

Ryszard Grubiński po miesiącu wyszedł ze szpitala. Ma pewne kłopoty w związku z użyciem broni podczas zajścia w piwnicy. Twierdzi, że pistolet vis odebrał Wirskiemu podczas szamotaniny. Potwierdza to zresztą właścicielka domu, pani Weronika.

Wirski nie może potwierdzić ani zaprzeczyć. Jakiś czas temu przejechał go jego własny samochód.

Teofil Olkiewicz kupił sobie jednak japoński kolorowy telewizor.

Cerekwica 2007

Niektóre wyrażenia gwarowe użyte w powieści

ady- ale, ależ, przecież, no ady tam zara - akurat!
ancel - więzienie
bamber - chłop, szczególnie bogacz wiejski, panisko
brecha - łom
breszka - mała brecha
Ceglorz- poznańska, potoczna nazwa Zakładów im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu
cho no tu! - chodź no tu!
cho no tutaj! - chodź no tutaj!
ćmik - papieros
dać dyla - uciec
doktór - lekarz
facjata - twarz, gęba
futrować -1. karmić 2. zaopatrywać
galart - mięso w galarecie (zwłaszcza stopki wieprzowe)
gemela -1. śmietnik 2. bałagan, nieporządek
girą (giyra)-noga
glapa -1. wrona 2. niezbyt mądra dziewczyna glapami
filtrowana - głupia, bezmyślna
gmerać - grzebać; przeglądać
gnoty- kości
Gocha - przyjacielskie zgrubienie od imienia Małgosia(podobnie jak Rychu, Krzychu, Zdzichu itp.) golona - golonka
graba - ręka, zwłaszcza wielka ręka
Grzechu - przyjacielskie zgrubienie od imienia Grzegorz
ino migusiem, bo Warta się poli! - ale szybko, bo Warta się pali!
kajzerka - bułka
kamienioki - twarde cukierki, np. landrynki
kejter - pies
kinol - nos, nochal
klesmenty (kleśmienta) - rzeczy, dobytek
klonkry- narzędzia, sprzęty, dobytek
kłapać dziobem - gadać, gadać bez sensu i potrzeby

korbol -1. dynia 2. tanie wino
ksiuty - zaloty, flirt, randka
leberka - wątrobianka, pasztetówka
łe - wykrzyknik używany do wyrażenia odmowy,
niezadowolenia, zdziwienia, rozczerowania lub zachwyty: o!
och! łe jery - o rany! o rety! łe tam - ach tam! nie to!
mikry - mały, drobny
Miras - przyjacielskie zgrubienie od imienia Mirek
młodzie - drożdże
paterak - partacz, kiepski rzemieślnik
pener - mężczyzna z marginesu społecznego
pipa - rurka, wylewka
pyra - ziemniak, kartofel
pierdolić - 1. dużo gadać, pleść głupstwa 2. psuć, niszczyć
pierdoła z Gadek - gaduła, plotkarz
pinda - strojnisia
pory - spodnie
rant - brzeg, krawędź
rychło - wcześniej; zaraz
se - się, sobie, siebie
Szkieber- Niemiec
szkieł - policjant, milicjant
sznytka - kromka chleba, kanapka
szczun (szczon) - chłopak
szczyl - chłopak
śpik - sen
tej! - wołacz zaimka ty
tyta - 1. twarz 2. głowa 3. stan upojenia
alkoholowego tytę podtrzymać - podtrzymać stan upojenia
alkoholowego
wiara - ludzie, ludziska
wiaruchna - ludzie, znajomi (forma zdrobniała od „wiara”)
Wiechu - przyjacielskie zgrubienie imienia Wiesiek
wuja-wujek
za szczona - w czasach młodości, w czasach, gdy było się
chłopcem
zomol - pogardliwa nazwa zomowca



VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik



lesiojot

